

Przeka ciepła opowieść o tym, jak niespodziewanie wydobrzeć
moży zmienił sobie życie. Na łonie

LUCY DILLON

PSY, RACHEL
I CAŁA RESZTA

Przełożyła: Irena

LUCY DILLON

PSY, RACHEL I CAŁA
RESZTA

Ochotnikom, którzy zabiegają o to,
aby osamotnione, skrzywdzone psy
na całym świecie dostały swoją drugą szansę.

Na początku lutego Rachel Fielding miała świetną pracę w branży public relations, faceta, który regularnie kupował jej kwiaty i ubierał się lepiej niż ona, sprzątaczkę oraz skórę trzy lata młodszą, niż wskazywała na to jej metryka, według której liczyła sobie lat trzydzieści dziewięć.

W okolicach drugiego tygodnia jednak za jednym zamachem straciła miłość swojego życia, mieszkanie w Chiswick oraz posadę. Tego samego ranka odkryła też pierwsze siwe pasmo, widoczne z daleka na tle ciemnych gęstych włosów, i dostała SMS - a od swojej siostry Amelii, która nie mogła jej darować, że zapomniała o piątych urodzinach siostrzenicy, „ponieważ brak własnych dzieci nie upoważnia do takiego cholernego egoizmu”.

Utrata pracy, faceta czy siwy włos stanowią cios same w sobie, ale wszystkie trzy naraz przerosły wytrzymałość nawet osoby wprawionej w trawieniu różnych informacji. Rachel chciała - marzyła - aby w rytm muzyki Joy Division pochłonąć całe opakowanie lodów o smaku likieru bailey's, ale zamiast tego tkwiła na plastikowym krześle w biurze prawnika w Longhampton, prowincjonalnym miasteczku, gdzie pojawienie się obcej osoby stanowiło wydarzenie na miarę sensacji, i słuchała wywodu na temat podatku spadkowego, wygłaszanego przez człowieka w średnim wieku, który z uporem nazywał ją panią Fielding i nadużywał słowa „ja”.

Właśnie odziedziczyła coś, co Gerald Flint był uprzejmy nazwać majątkiem o konkretnej wartości, jednakże w tej chwili myślała wyłącznie o tym, że ani chybi podzieli los świętej pamięci cioci Dot, skazanej przez resztę życia na samotne posiłki z mikrofalówki wśród fruujących kłębow psiej sierści. Ilekroć próbowała skupić się na swej nowej roli wykonawcy testamentu i, praktycznie rzecz biorąc, jedyne spadkobiercy majątku Dot, złożonego z domu i schroniska, a

także psów, psów i jeszcze raz psów, przed oczami uparcie stawało jej wspomnienie postępuku Olivera: jego mina, kiedy pokazała mu rachunki - wstrząs, potem strach, a następnie (o zgrozo) przeblysk czegoś, co po czasie bezbłędnie określiła jako samozadowolenie.

- Czy pani mnie słucha, pani Fielding?

Rachel zadrżała i z wysiłkiem skupiła uwagę na rozmówcy. Weź się w garść, upomniała się w duchu. Jego nie ma, a ty jesteś tutaj. I to się liczy.

- Słucham, panie Flint - odpowiedziała i postukała piórem w notatnik. - Ale przyznam, że w zasadzie czegoś tu nie rozumiem. Czy mógłby mi pan wyjaśnić, na czym konkretnie ma polegać moja rola wykonawcy testamentu?

Gerald siedział przy biurku pod przeniesioną na płótno odbitką zdjęcia swych czworga wytrzeszczonych wnucząt. Po jego prawej stronie przycupnęła dwudziestokilkuletnia blondynka, która pomagała Dot prowadzić schronisko, obok niej zaś tkwił smętny czarno - biały owczarek collie.

Rachel nie pamiętała, skąd się tu wziął. No ale w końcu Dot słynęła w rodzinie ze swego fioła na punkcie psów (tak przynajmniej brzmiała bezlitosna diagnoza matki Rachel; sama Rachel wychodziła z założenia, że na tle maniakalnego zamiłowania do czystości tej ostatniej nie było w tym nic szczególnego). Niewykluczone, że owczarkowi przypadła rola podwykonawcy testamentu.

Gerald błędnie odczytał jej otępienie.

- Rozumiem, że to dla pani wielki cios, ale jesteśmy tutaj, żeby pani pomóc. Omówmy wszystko jeszcze raz, dobrze?

Rachel otworzyła notatnik na czystej stronie. W przelocie mignęła jej sporządzona naprędce lista spraw z dnia poprzedniego - „spakować się, zadzwonić do przechowalni, zmienić zamki, zabukować wakacje” - i pospiesznie przerzuciła kartkę.

Gerald mówił, a ona notowała. Zanim odziedziczy dom ciotki i znajdujący się obok przytułek dla psów, będzie musiała zorganizować wycenę nieruchomości, następnie prawnicy prześlą jej różne druki do wypełnienia, urząd skarbowy obliczy należny podatek i nic nie będzie jej własnością, dopóki jego część nie zostanie zapłacona, bla, bla, bla - Rachel sumiennie pochylała się nad notesem, ale w gardle aż ją dławiło z żalu.

Dziesięć lat życia wyrzucone w błoto. Dziesięć lat, w dodatku tych najlepszych. Już nigdy, przenigdy nie dotknie czarnych włosów Olivera, zaczesanych z czoła niby to idiotycznie, a jednak oczu nie można było oderwać. Nie poczuje jego zapachu po pracy, tej cierpkiej męskiej woni, która otaczała jego koszulę, kiedy zdejmował marynarkę ze złotą lamówką i rzucał ją na jej krzesło...

- ...i Klejnot, ma się rozumieć? - uzupełniła blondynka, przerywając jej rozmyślania. Była Australijką, toteż zabrzmiało to bardziej jak pytanie aniżeli stwierdzenie. Promienny uśmiech, jaki skierowała do Rachel, świadczył bez cienia wątpliwości, że uważa to za wisienkę na torcie.

Rachel opuściła wzrok na złoty wisiołek z imieniem. Megan.

- Bardzo mi przykro, ale nie przypominam sobie żadnej wzmianki o psie - odparła, zerkając niepewnie na Geralda.

- Czy była o nim mowa w testamencie? Proszę mi wybaczyć, ale przez ostatni tydzień miałam istne urwanie głowy...

- Dot prosiła, żeby powiedzieć pani o Klejnocie zaraz po przyjeździe. - Megan wskazała na owczarka, który od początku spotkania siedział u jej stóp, posłuszny, ale jakby markotny, ze smętnie zwieszonymi uszami i ogonem.

Wygląda na bardziej przybitego niż ja, pomyślała Rachel z poczuciem winy.

- Klejnot ma siedem lat, to owczarek collie. Dot życzyła sobie, żeby pani się nim zaopiekowała. Bardzo jej na tym zależało, prawda, Klejnot? Chciała, żebyś miał dobrą panią. - Pies zastrzygł włochatym uchem i podrapała go czule.

- Kiedy ja nie lubię psów - zaproponowała Rachel, na co owczarek utkwiał w niej wzrok i aż się wzdrygnęła, jakby te lodowato błękitne oczy mogły ją przejrzeć na wylot. Od kiedy to psy mają takie oczy, pomyślała. Jakby zaglądał do jej głowy i widział kobietę, której nie sposób powierzyć nawet kwiatków do podlewania.

- Nie zrobiłaby tego, gdyby uważała, że pani nie podoła. Umiała bezbłędnie dopasować człowieka do psa - wyjaśniła z powagą Megan. - Od razu to widziała, jak tylko przestępował próg. Nie dałaby psa niewłaściwej osobie, choćby ją na klęczkach błagała.

Rachel zerknęła na prawnika w nadziei, że ten z politowaniem pokręci głową nad czymś tak niedorzecznym, ale on tylko uśmiechnął się pobłaźliwie.

- W moim przypadku na pewno się nie pomyliła, szelmy pasowały do mnie jak ulał. Nazywaliśmy ją psią swatką.

O matko, pomyślała Rachel. Ja chyba śnię.

- Czy to rodzinne? - zapytała Megan. - Ta więc z psami?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odpowiedziała Rachel uprzejmie, po czym zmieniła zdanie. - W sumie to nie. Zdecydowanie nie. Kiedy dorastałam, nie pozwolono mi nawet na rybki. Pojęcia nie mam, skąd się u niej wzięło to upodobanie do psów.

No ale Dot w ogóle różniła się od innych Mossopów. Nie wyszła za mąż w wieku dwudziestu czterech lat, nie miała dzieci i unikała jak ognia rodzinnych spotkań organizowanych przez Valerie, matkę Rachel. Podobnie zresztą jak Rachel. Val zdążyła jeszcze zrobić z siostry matkę chrzestną Rachel, tuż przed jej tajemniczym wyjazdem do Longhampton, do którego

przeniosła się w kwiecie wieku; Rachel zaczynała podejrzewać, że zdaniem matki ciotka zaszczepiła jej gen staropanieństwa.

- Proszę się nie gniewać, ale jest pani ładną podobna do Dorothy - oznajmił Gerald tonem, który wyraźnie wskazywał na komplement. - To znaczy, z wyglądu. A dokładnie...

Rachel wiedziała, co chciał przez to powiedzieć; wszyscy mówili to samo. Po prostu obie wyglądały jak ekscentryczne sufrażystki ogrodniczki z początku dwudziestego stulecia. Albo prerafaelickie anioły zemsty o długich nosach i ciemnych okrągłych oczach, jakże niepodobne do różanolicy i jasnowłosej Val i jej drugiej córki, Amelii. Rachel latami zazdrościła siostrze urody, dopiero Oliver przekonał ją, że będzie „olśniewająca” aż do późnej starości.

- Z nosa? - podsunęła.

- ...jakby z nosa - uzupełnił Gerald, nieco bardziej nerwowym tonem niż na początku. Rachel wiedziała, że minę ma bardziej wojowniczą, niż zamierzała. Prawnik usiłował ratować sytuację. - Dorothy była niezwykłą kobietą, oczu nie można było od niej oderwać, kiedy wychodziła z psami. Zastanawialiśmy się zawsze, czy aby nie pracowała dawniej w wywiadzie lub... - Stracił wątek. - To chyba wynikało z jej pewności siebie.

- Wiem - odpowiedziała markotnie Rachel.

Oliver też zawsze podziwiał jej pewność siebie. I swobodę, z jaką brylowała na spotkaniach z klientami, do tego stopnia, że prawie uwierzyła w swój wrodzony dar, nie składając go na karb nadmiaru kofeiny ani efekciarstwa.

- Cóż, pewnie coś nas łączy - przyznała, gdyż serce znów podskoczyło jej w piersi. - Ale na pewno nie zamiłowanie do psów. Mówię poważnie, Megan - dorzuciła na widok pobłażliwego uśmiešku zza biurka. - Nie mam gdzie trzymać psa. Dużo podróżuję, pracuję na cały etat. - Rozłożyła ręce.

Wprawdzie praca na pełen etat i mieszkanie w Chiswick należały do przeszłości, ale pies? Co to, to nie. W końcu jej specjalność to public relations, a nie teletubisie.

- Ależ Klejnot to nie pies. Klejnot to... stary druh. Prawda, mały? A jeśli Dot uznała, że do siebie pasujecie, to naprawdę jesteście sobie pisani. - Nagle jej uśmiech zgasł i na szczerzej twarzy pojawił się wyraz przestachu. - Rany, chyba nie powiedziałam nic niestosownego?

- To może ja dam pani klucze - wtrącił Gerald, ochoczo zmieniając temat. - Na pewno ma pani wielką ochotę pojechać do Czterech Dębów i trochę się rozejrzeć - dodał, wskazując głową na Megan. - Megan z pewnością wytłumaczy pani co i jak.

Nagle koszmar minionego tygodnia dał o sobie znać z nową siłą, jak co dzień wraz z wybiciem trzeciej po południu. Rachel zapragnęła znaleźć się pod kołdrą wraz z butelką wina i w piżamie zamiast spódnicy Marca Jacobsa, która cisnęła ją w pasie, ponieważ była na wyprzedaży w tym jednym tylko rozmiarze, a przecież niezamężna kobieta po trzydziestce musi dobrze wyglądać, zwłaszcza jeśli nie ma dzieci haftujących jej na ubranie.

Gerald z zawodowo współczującą miną podał jej pęk kluczy, opisanych starannym pismem Dot.

- A tutaj jest list, który Dorothy kazała dołączyć do kluczy, ale najlepiej będzie, jeśli przeczyta go pani na osobności. - Podał jej cienką kopertę, którą wsunęła do notatnika. - Jak już wspomniałem, możemy podesłać pani rzeczoznawców, którzy zrobią wycenę, dostarczą formularze i tak dalej. Czy może woli pani zrobić to we własnym zakresie?

- Poradzę sobie. Ale bardzo dziękuję. - Rachel przenosiła wzrok z jednego na drugie, szukając odpowiednich słów. Val, pomimo swoich wad, w takich sytuacjach czuła się niczym ryba w wodzie: zawsze wiedziała, w jaki ton uderzyć.

Pogrzeby, śluby, czytanie testamentu: to był jej żywioł. Zorganizowała cały pogrzeb z innego hrabstwa i pochowała siostrę w Lancashire, obok rodziców. Ale Dot musiała oczywiście zażyczyć sobie wykonanie testamentu w Longhampton i w dodatku zwalić wszystko na barki Rachel.

Val uznała to za osobisty afront, co było łatwe do przewidzenia.

Pies spoglądał na nią smutnymi, lodowatymi oczami. Dalej siedział jak posąg, ale wyglądał przy tym na tak nieszczęśliwego, że zdaniem Rachel najchętniej poszedłby za jej przykładem i zaszył się w swoim koszyku z kością bądź też innym psim odpowiednikiem butelki wina, zamiast uczestniczyć w tym przedstawieniu.

Megan poruszyła się niespokojnie.

- Czy mogę prosić o przysługę, uhm... pani Fielding?

- Proszę, mów do mnie Rachel. Jasne - dodała skwapliwie, bardziej niż chętna sprezentować jej owczarka na pamiątkę po Dot. Niestety, Megan chodziło o coś zupełnie innego.

- Podwiesz mnie do Czterech Dębów? Jeśli tam jedziesz?

- Naturalnie. Zresztą i tak nie wiem, gdzie to jest - odpowiedziała Rachel. I uśmiechnęła się, gdyż Megan miała w sobie coś takiego, że trudno było zachować powagę. Szczera, dobroduszna i wciąż opalona mimo lutowej szarugi za oknem, która już zapowiadała nadejście zmierzchu. Megan lubiła psy, co do tego nie było wątpliwości.

Trajkotała przez całą drogę na parking, a na widok samochodu Rachel aż jęknęła z zachwytem.

- Rany, to twój? - westchnęła, kiedy Rachel otworzyła pilotem czarnego range rovera. - Klejnot nie mógłby wymarzyć sobie nic lepszego! Klejnot, patrz, jaki twoja nowa mama ma śliczny samochód!

Rachel aż się wzdrygnęła na tę „nową mamę”.

- To pies, a ja nie jestem jego matką, jasne?

Potarła ręką twarz i przymknęła obolałe oczy. Nie wspomniała przecież, że rzuciła pracę, a range rover zapewne wróci do Londynu, z chwilą gdy firma leasingowa wyczuje pismo nosem.

Musisz poszukać nowej pracy, upomniała się w duchu. Z twoim doświadczeniem będziesz przebierać w ofertach jak w ulęgawkach. Ludzie potrzebują dobrego rzeczownika, nawet w czasie recesji. Zwłaszcza w czasie recesji.

Megan i Klejnot patrzyli na nią wyczekująco i Rachel nie wiedziała, kto ma bardziej gorliwą minę, dziewczyna czy pies. Czowała, że obojgu sprawiła zawód, i nie było jej z tego powodu lekko na sercu.

- Przepraszam. Słuchaj, jak ja mam go wieźć? W bagażniku będzie bezpieczny?

- W takim bagażniku będzie jechał jak król - oznajmiła Megan, otwierając klapę. - O, nie masz wiele bagażu - zauważyła na widok dwóch małych walizek Rachel i kartonu z drobiazgami, które spakowała naprędce przed opuszczeniem mieszkania. Był to kolejny powód do przygnębienia: oto. co zostało jej po dziesięciu latach. - Co zamierzasz?

- Sama nie wiem. - Rachel przeczesła palcami włosy i westchnęła na wspomnienie siwego pasma. - Chyba nie mam żadnych planów.

- Chcesz zobaczyć, jak się wszystko ułoży, co? Pewnie, tak będzie najlepiej. - Megan poklepała dno bagażnika. - Wskakuj, mały!

Klejnot posłusznie wskoczył do środka i ułożył się pomiędzy dwiema skórzanymi torbami. Rachel odnotowała długie kłaki już osadzające się na czarnej tapicerce, ale nie miała siły się nad tym zastanawiać. Zatrzasnęła bagażnik i otworzyła drzwi od strony kierowcy.

- Miło, że mnie podwieziesz, na tutejsze autobusy nie ma co liczyć. Ale dla ciebie to pewnie wiocha, co? Wyjedźmy na drogę w kierunku Hartley a potem cię pokieruję - mówiła Megan, wdrapując się na siedzenie. Musiała w tym celu podskoczyć, sięgała Rachel do ramienia. Nosła solidne buty na płaskiej podeszwie i stare dżinsy, a gdy sadowiła się na siedzeniu, Rachel wyczuła od niej zapach psów i White Musk Body Shopu.

- Kawałek od centrum, ale to pewnie wiesz, nie? - Ucichła, nasłuchując. - To twój telefon?

Owszem, dzwonił telefon Rachel; był to „Cwał Walkirii”, czyli dobijała się matka. Rachel miała ochotę udać, że nie słyszy, pod pretekstem jazdy samochodem, ale Val wiedziała o wizycie u prawnika i będzie tarabanić w nieskończoność. Lepiej od razu mieć to z głowy.

- Tak jest - powiedziała, sięgając do torebki. - W rzeczy samej. Wybacz, muszę odebrać. Zaraz wracam. - Wyskoczyła z samochodu i przyłożyła telefon do ucha. - Tak, mam?

- Rozmawiałaś z prawnikiem? Był jakiś błąd w testamencie?

- Val nie przebierała w słowach. - Rozmawiałam z ojcem i doszliśmy do wniosku, że może Dot zostawiła list z wyjaśnieniem, że masz po prostu wszystko podzielić. Znaczący, u prawnika. Może taniej było zapisać wszystko tobie, żebyś podzieliła się z siostrą, bez dodatkowych formalności.

Rachel odetchnęła przez nos. Ciągnęły tę rozmowę od czterech dni, Val niezmiennie podejmowała wątek od tego, na czym skończyła ostatnim razem.

- Owszem, jest list, ale jeszcze go nie otworzyłam. I przestań zachowywać się tak, jakby to była moja wina. Przecież nie mogłam tego przewidzieć, prawda? Na pewno znajdę coś, co spodoba się Amelii. Nie wydaje mi się, żeby Dot chciała ją ukarać.

- Nie zrozum mnie źle, nie mam żalu do Dot - podkreśliła mężnie matka, siłąc się na sprawiedliwość. Val zawsze była sprawiedliwa i oceniała sytuację na korzyść drugiej strony, nawet jeśli miała wątpliwości co do jej pobudek. Zwłaszcza wtedy. - Po prostu Dot... żyła sama jak palec, bez żadnych zobowiązań. Zresztą nie chodzi tylko o Amelię. Grace i Jackowi też należy się jakaś pamiątka po ciotecznej babce.

Rachel ugryzła się w język, aby nie powiedzieć, że opieka nad gromadą bezpańskich psów to nie taki znowu brak zobowiązań. Wkurzało ją to rodzinne przekonanie, że brak własnych dzieci prowadzi do rozrzutności i hulaszczego trybu życia.

- A chcieliby psa? - zapytała, na wpół tylko żartobliwie. - Jest w czym wybierać.

W słuchawce zabrzmiało odległe o trzysta kilometrów prychnięcie oburzenia.

- Że co? W życiu! To byłby kompletny brak odpowiedzialności! A co z alergiami? Najpierw musiałabyś porozmawiać z Amelią, Rachel. Nie, Grace na pewno ucieszyłaby się ze srebrnych szczotek, które należały kiedyś do naszej matki, a co do Jacka, Dot lubiła chyba kiedyś wędkować, więc dam głowę, że znajdzie się tam jakaś droga wędka. - Val umilkła na chwilę. - I nie mów, że ci o tym wspomniałam, lecz Amelii przydałaby się pomoc w opłaceniu czesnego za przedszkole. Opieka nad dziećmi kosztuje teraz majątek. Dot z pewnością zostawiła okrągłą sumkę, którą mogłabyś...

- Przestań, mamó - przerwała Rachel. - Od razu mogę cię uspokoić. Nie ma żadnych pieniędzy.

- Że co proszę? - W głosie Val brzmiało niedowierzenie.

- Słyszałaś. Jest dom i schronisko, ale po opłaceniu pracowników i prawnika nie zostanie ani grosza.

- Ale... jak to możliwe? Dostała połowę po sprzedaży domu dziadka, na kogo miała to wydać?

Jej słowa wręcz ociekały goryczą. Rachel wiedziała, że nie chodzi o pieniądze. Val była hojna aż do przesady i równie troskliwa jak Dot, z tą różnicą, że interesowali ją bardziej ludzie niż zwierzęta. Zawsze gotowa była przyjść z pomocą i przedkładała cudze potrzeby nad własne, woziła starców do szpitala i robiła pranie owdowiałym sąsiadkom.

- Pewnie wydawała dużo na psy, mamó - skwitowała Rachel, spacerując wokół samochodu. - Miała prawo.

Val ucichła; Rachel wiedziała, że liczy do dziesięciu, aby nie powiedzieć tego, co ma na końcu języka. Ktoś wykrzyknął coś w tle.

- O co chodzi, Ken? Aha, ojciec prosi, żebyś rozejrzała się za... za czym? Mów głośniej! Za płytami Ackera Bilka. Rachel obróciła się na pięcie i spojrzała w stronę Megan.

- Opanuj się, mamó - syknęła. - Słuchaj, jak już załatwię formalności, może sami przyjedziecie i wybierzecie sobie, co chcecie? Co ty na to?

- Nie chcemy się narzucać, a poza tym mam tu tyle na głowie... panie z hospicjum, twój tata... Nie mogę tak po prostu wszystkiego zostawić - krygowała się Val.

Ale ja mogę, uzupełniła w myślach Rachel.

- No tak. A zatem jakie masz plany? - podjęła Val. - Zamierzasz to sprzedać? Taki ogromny dom wymaga wiele zachodu, zwłaszcza jeśli się mieszka samemu. Zawsze powtarzałam twojemu ojcu, że to dom rodzinny, o wiele za duży dla samej Dot.

Rachel utkwiała wzrok w pozostałych samochodach na parkingu, widząc wśród nich srebrnego jaguara, wypisz wymaluj jak ten należący do Olivera. Niewidzialna obręcz wokół jej głowy zaciskała się coraz bardziej.

- Rachel? Jesteś tam?

- Tak, mam - odpowiedziała, ściskając palcami nos i przymykając oczy.

- Będiesz tam nocować? Wczoraj próbowałam dodzwonić się do twojego mieszkania, ale nikt nie odebrał. Przestałaś ze mną rozmawiać - dorzuciła łagodniejszym tonem. - Niektóre dziewczęta nie mają przed matkami żadnych tajemnic. Amelia zawsze przychodzi z dziećmi, a ja nigdy nie wiem nawet, czy jesteś w kraju.

- Mam urwanie głowy, mam - odparła Rachel, skłonna zakończyć rozmowę, zanim przybierze ona z góry przewidziany, bezowocny obrót. Kiedyś będzie musiała przyznać się do rezygnacji z pracy, na szczęście nie ma potrzeby wspominać o zerwaniu z Oliverem.

Rozważyła to przed laty i uznała, że łatwiej udawać samotną i znosić nagabywanie Val o znalezienie „tego jedyne”, aniżeli tłumaczyć się ze skomplikowanej i wysoce niestosownej relacji łączącej ją z Oliverem Wrigleyem. Jak na ironię, jedyną osobą z rodziny, która o nim wiedziała, była Dot, choć i przed nią

Rachel uchyliła zaledwie rąbka tajemnicy.

- Praca to nie wszystko - oznajmiła Val. W ustach kobiety, która od 1969 roku siedziała w domu w imię dentystycznej kariery męża, zabrzmiało to cokolwiek nieprzekonująco. - Nie robisz się coraz młodsza.

- Tylko ja? - burknęła Rachel i zawróciła do samochodu. Odwróciwszy się, ujrzała na wprost dwoje błyszczących oczu: Klejnot patrzył na nią przez tylną szybę i zdziwiona Rachel odruchowo cofnęła się o krok.

Siedział jak strażnik, z jedną łapą na pudle z drobiazgami i przekrzywioną głową, jakby słyszał cały przebieg rozmowy. Jedno czarne ucho miał opuszczone, a drugie postawił na baczność, odsłaniając cienką różową skórę, upstrzoną białymi kłaczkami. Z dumą strzegł jej dobytku, oddany temu całym

sobą i nieświadom, że w zagmatwanym życiu jego nowej właścicielki nie ma dla niego miejsca.

W piersi Rachel wezbrała idiotyczna fala litości i łzy zapiekły ją pod powiekami.

Może to wczesna zapowiedź menopauzy, pomyślała zgnębiona. Człowiek zaczyna rozczulać się nad zwierzętami, a ciało daje do zrozumienia, że pora założyć kocią fermę.

- Rachel! Powiedz coś! - ponagliła Val w nadziei na potok zwierzeń w stylu młodszej córki.

- Zadzwoń później, mamó - odpowiedziała.

- Zostało jeszcze parę spraw do omówienia - dorzuciła Val.

- I nie zapomnij o płytach! - zabrzmiał stłumiony okrzyk w tle.

- I nie zapomnij o... - zaczęła Val.

- Wiem - Rachel wpadła jej w słowo. - Słyszałam. Rozłączyła się, a Klejnot za szybą zaczął dyszeć. Wywalił różowy jęzor i pysk rozciągnął mu się w uśmiechu.

- Lepiej się nie przyzwyczajaj - mruknęła.

Pchnąwszy ramieniem frontowe drzwi, zrozumiała, że Dot raczej nie korzystała z nich na co dzień.

Drewno zastało się we framudze, a w ciemnym korytarzu brakowało jakichkolwiek oznak codziennego życia - żadnych reklam ani ulotek. Zamiast tego widniał tam mahoniowy kwietnik z zakurzoną aspidistrą, zegar stojący z mosiężnym cyferblatem oraz seria zawieszonych na czerwonej tapecie obrazków przedstawiających czekoladowoogie spaniele, dzierzące w pyskach bezwładne truchła dzikiego ptactwa.

Rachel poczuła zapach pasty do podłóg i lawendy, lecz, o dziwo, nie psów. Val zawsze mamrotała, że w domu Dot zapewne „cuchnie jak w mokrej psiarni”, ale wrażliwy nos Rachel nie wychwycił żadnych przykrych woni. To pewnie zasługa wysokiego sufitu.

Od czasu jej ostatniej wizyty w sylwestra przed siedmiu laty dom nie zmienił się ani o jotę. Miało to miejsce tuż po dzikiej awanturze z Oliverem, w czasach kiedy zabiegała jeszcze o wspólne spędzanie z nim świąt, po czym niezmiennie zostawała sama jak palec. Doprowadzona do ostateczności gderaniem Val i unikami Olivera zaplanowała dla siebie i dla niego wyjazd na narty, z którego przechera wycofał się w ostatniej chwili, więc nie chcąc zdać się na łaskę i współczucie najbliższych, zadzwoniła do Dot i ciotka nieoczekiwanie zaprosiła ją do siebie.

Zaraz prawie postukała się w głowę: po kiego grzyba tłuc się kawał drogi do Worcestershire, zamiast poflirtować sobie w londyńskim klubie, ale przemożna chęć ucieczki wzięła górę. Za to w Longhampton resztki wątpliwości rozwiały się bez śladu. Dot zaprowadziła ją do ciepłej kuchni, gdzie w radiu leciało słuchowisko, a kiedy ciotka robiła zapiekankę, Rachel mimowolnie też się zasłuchiwała. Potem zjadły w towarzyskim milczeniu, nie licząc popiskiwania siedmiorga

ocalonych szczeniąt przeróżnej maści w kartonie obok piecyka.

Północ nadeszła i minęła, uczczona przy kominku butelką kruga, rocznik vintage. Dot nie zapytała Rachel, dlaczego wzorem większości rówieśniczek nie uczestniczy w hucznej zabawie, ale czy jest szczęśliwa. To proste pytanie zburzyło fasadę udawanej nonszalancji i Rachel otworzyła się przed ciotką bardziej aniżeli przed własną matką. Ale nie powiedziała wszystkiego, tyle tylko, że Oliver nie znosi ograniczeń, a duma nie pozwoliła jej utknąć w domu.

- Mężczyźni lubią uchodzić za skomplikowanych. - Dot w oczywisty sposób wiedziała, co mówi. - Nie pozwól, żeby to wpłynęło na ciebie. Z psami jest inaczej, one kochają bezwarunkowo i prostolinijnie. Wystarczy spacer, miska z jedzeniem, legowisko... - Urwała, unosząc brew. - W sumie...

Wyglądała wówczas na młodszą o trzydzieści lat, a Rachel poczuła się jak nieopierzona nastolatka, a nie cyniczna karierowiczka z wielkiego miasta. Lecz nie miała odwagi zapytać. Val prosiła, żeby nie wypytywały ciotki Dot, dlaczego jest sama. Nawyk okazał się silniejszy od ciekawości.

Następnie poczęstowała Rachel whisky i kandyzowanymi owocami z Fortnum & Mason (Fortnum & Mason - londyński dom towarowy.), po czym każda znów pogrzyżyła się we własnych myślach. Rachel zastanawiała się, skąd Dot wytrzasnęła te owoce i kruga, jakoś nie pasowały one do łzawego wizerunku ciotki z lubością odmalowywanego przez jej siostrę.

Stała w progu, uderzona wspomnieniem tamtego wieczoru. Wyjechała wtedy zaraz z samego rana, żeby przygotować się na spotkanie z klientem, i żadna z nich nie nawiązała więcej do tamtego wspólnego sylwestra. Dalej wymieniały tylko zdawkowe życzenia na urodziny i święta, jak dotychczas. Od tamtej pory Rachel udzielała się jako

ochotniczka w miejscowym schronisku dla bezdomnych, żeby zagrać na nosie Oliverowi. Zupełnie jakby go to obchodziło.

Rachel weszła do środka. Dot nie robiła remontu, odkąd wprowadziła się tu mniej więcej na początku lat siedemdziesiątych, jednakże ów zgrzebny, acz nie pozbawiony godności wystrój zdawał się iść w parze z prowincjonalnym otoczeniem. Pastelowa farba na ścianach i wazony z kwiatami odmieniłyby to wnętrze nie do poznania. Wreszcie byłaby u siebie. Mogłaby je urządzić, jak zechce. Ostatnia myśl, o dziwo, wzbudziła w niej tylko umiarkowany entuzjazm.

- Masz ochotę najpierw się odświeżyć? - spytała Megan, przystając u stóp obitych wykładziną schodów z torbą Rachel przerzuconą przez ramię. - A może wolisz przywitać się z chłopakami, żeby mieć to z głowy? u piątej muszę wyprowadzić kilka psów, jeśli chcesz się przyłączyć, to proszę bardzo. Miałabyś okazję zapoznać się z Klejnotem...

Ucichła, widząc, że Rachel nie kwapi się z odpowiedzią.

- Wybacz, zupełnie jakbym witała cię w hotelu, co? A to przecież teraz twój dom.

- Nie ma sprawy - odpowiedziała Rachel. To nie dlatego zrobiła nietęgą minę, po prostu nie miała ochoty z nikim się bratać w chwili, gdy wolałaby zacisnąć powieki i wyprzeć z myśli wspomnienie niedawnych wydarzeń w Chiswick. Telefon dalej brzęczał w jej kieszeni, to zapewne Oliver. Nie chciała słuchać jego wynurzeń; po tym, co zrobiła, na pewno kipiał ze złości. - Hm, a dokładnie to o jakich chłopakach mowa...?

- Właściwie to mówiłam o psach. - Megan uśmiechnęła się przepaszająco. - Wybacz, przyzwyczaisz się. Ale przyszedł George, weterynarz, więc pewnie tak czy siak musicie porozmawiać?

Weterynarz George. Kąpiel i butelka wina kusiły nieodparcie, ale postanowiła stanąć na wysokości zadania. Byle już mieć to z głowy.

- Dobry pomysł! - stwierdziła obojętnie i na widok szczerego, niewymuszonego uśmiechu Megan aż ją zakłuło ze wstydu.

- Mamy zespół spacerowiczów ochotników - rzuciła przez ramię Australijka. - Prawdę mówiąc, bez nich ani rusz... pewnie właśnie wrócili z terierami.

- Ochotników? - powtórzyła Rachel, chociaż słuchała jednym uchem. Była to sztuczka, której nauczyła się od Olivera: gdy nie chcesz rozmawiać ani słuchać, po prostu powtarzaj ostatnie słowo, niech druga osoba trajkocze w najlepsze.

- Tak, to miejscowi, którzy wyprowadzają naszych podopiecznych ze swoimi psami. Mamy też dzieci, którym rodzice nie pozwalają na własnego zwierzaka, starszych ludzi, którzy nie mogą wziąć żadnego na stałe. Chętnych nie brakuje.

- Uhm - mruknęła Rachel, przystając przed fotografią Dot, siwowłosej i wyprostowanej niczym struna, otoczonej gromadą psów chcących polizać ją po twarzy. Tu i ówdzie widniały duże zdjęcia przedstawiające ogary i collie w półskoku, na podobnej zasadzie jak Val zapełniała ściany swego gniazdka podobiznami Amelii, Grace i Jacka.

- Czym się zajmujesz? - podjęła Megan, chcąc podtrzymać rozmowę. - Gerald wspomniał, że pracujesz w public relations! To musi być ekscytujące.

- Och, nie bardzo. Głównie nadzór stron internetowych nowych firm, sklepów, nic szczególnego. - Rachel poczuła, że coś trąca ją w nogę, i podskoczyła.

Klejnot stał obok, delikatnie popychając ją nosem. W pewnej chwili podniósł głowę i przechylił ją w bok, aż mu ucho klapnęło.

- Klejnot! Przestań się rządzić! - zawołała Megan, oburzona, a zarazem szczerze rozbawiona zachowaniem owczarka. - Nie gniewaj się na niego, Rachel, to prawdziwy collie. Zawsze musi być przewodnikiem stada i traci cierpliwość, kiedy się guzdrzemy.

- Był jednym z podopiecznych? - zapytała Rachel, po raz pierwszy spoglądając psu prosto w oczy. - Nie przypominam sobie, żebym go tu kiedyś widziała.

Megan spoważniała.

- Nie. Dot miała go od szczeniaka. Klejnot trafił tu, kiedy miał dwa tygodnie. Miejscowy policjant znalazł go w kartonie przy placu zabaw, razem z jego trzema braćmi, ktoś zostawił je tam na pewną śmierć. - Megan otworzyła szeroko oczy. - Bóg jeden wie, jaki los spotkał ich biedną matkę. Rzeka zamarzła, więc nietrudno zgadnąć, w jakim były stanie. Kiedy je przyniósł, leżały jeden przy drugim, ogrzewając się nawzajem. Ich siostra zdążyła już zamarznąć na śmierć.

- To straszne. - Rachel pokręciła głową, zapominając na chwilę o własnym położeniu. Uklękła obok owczarka, gładząc go po grzbiecie.

Klejnot spojrział na nią i oczy zaświeciły mu w półmroku. Miał tak gęstą i mocną sierść, że nie sposób było wyobrazić go sobie jako bezbronnego szczeniaka.

- Teraz wygląda imponująco - powiedziała Rachel.

- Hm, no tak, to zasługa Dot. - Megan schyliła się i podrapała go za uchem. - Prze pierwszy tydzień prawie ich nie odstępowała; były o wiele za młode, by radzić sobie bez matki, toteż musiała karmić je pipetką. Jeden maluch nie przeżył, był za chudy. George robił, co mógł, ale w końcu nawet Dot musiała dać za wygraną.

Z kuchni doleciał wybuch gromkiego śmiechu i Rachel pożałowała, że musi tam wejść. Zwłaszcza teraz, kiedy historia Klejnota znów o mało nie doprowadziła jej do łez.

- I co było dalej? - zapytała, chcąc zyskać na czasie.

Megan przykucnęła obok, dalej głaszcząc psa.

- Rubin i Diament zamieszkały u farmera niedaleko Hartley, Szafir u tresera w Rosehill. Ale z Klejnotem nie mogła się rozstać, no więc został. Twierdziła, że łamie swoje zasady, ale że jest tego wart. A ty kochałeś ją tak jak ona ciebie, prawda, biedaku? Hm? Tęsknisz za swoją panią, co?

Megan zanurzyła twarz w jego czarnej sierści i Rachel odniosła wrażenie, że próbuje w ten sposób ukryć łzy. Być może obie zwlekały z wejściem do kuchni.

- Dot zwykle nie zostawiała sobie psów? - zapytała. - Chyba przyszło jej to z łatwością, skoro tak go kochała?

- Nie, musiała być twarda. Gdybyśmy przygarniały każdego nieboraka, szybko nie dałybyśmy sobie rady. Kazała mi obiecać, że nie będę próbowała sama wszystkich ratować! Twierdziła, że najlepszym wyjściem jest zapewnić im drugą szansę i dopilnować, aby tym razem nie doznały zawodu. Musiałyśmy dawać psom drugą szansę, gdyż one to robiły bez względu na to, co przeszły.

- Przestań - powiedziała nagle Rachel. - Bo zaraz się rozpłaczę.

Megan wyprostowała się z markotnym uśmiechem.

- Przepraszam. Naprawdę nie mam pojęcia, jak wszyscy damy sobie bez niej radę, nie tylko Klejnot. Był przy niej, no wiesz, kiedy dostała wylewu. Przynajmniej jej nie szuka, zwyczajem innych psów. Wie, że jego pani nie wróci.

Klejnot postąpił do przodu dwa kroczki i tym razem trącił nosem Megan, aż wreszcie dała za wygraną i opuściła na niego wzrok.

- Tak, tak, wiem, podwieczorek. - Spojrzała na Rachel spod uniesionych brwi. - Właściwie to nie powinnam tak mówić. To była druga zasada. Nie udawaj, że zwierzęta gadają jak ludzie. To cholerne psy, mawiała, jakieś dziesięć razy mądrzejsze niż my. I są dziesięć razy lepszymi towarzyszami.

- W to akurat jestem skłonna uwierzyć - westchnęła Rachel na wspomnienie nieobecnego spojrzenia Olivera i matczynego utyskiwania. - Tylko nie rób sobie nadziei - dodała na wszelki wypadek.

Kiedy Megan pchnęła drzwi, rozmowa w kuchni toczyła się w najlepsze.

- ...a ja mu na to, proszę, oto torebka na kupkę! - mówiła starsza pani przy stole, kiwając głową tak energicznie, że cierpiała na tym jej starannie ułożona fryzura. - Zawsze powtarzam Tedowi, że to właściciele powinniśmy tresować, nie psy. Pippin nigdy nie załatwiał się, gdzie popadnie, prawda Ted?

- Przenigdy.

- No właśnie. Był bardzo czystym pieskiem.

- Jak na yorkshire teriera Pippin był w tym temacie istnym objawieniem, Fredo - wtrącił żartobliwym tonem oparty o zlew wysoki mężczyzna, ale Freda wzięła to za dobrą monetę.

Zatem to jest George, weterynarz, pomyślała Rachel. Przynajmniej ma poczucie humoru.

I wyglądał na weterynarza, w kraciastej koszuli z podwiniętymi rękawami, sfatygowanych czerwonych sztruksach i zabłoconych butach. Obejmował kubek dużą spierzchniętą dłonią, nie troszcząc się o ucho. Miał gęste jasne włosy, a sądząc po kpiarskim błysku w niebieskich oczach oraz tym, jak bez skrępowania nałożył sobie na talerz podwójny kawałek ciasta, czuł się tu wyraźnie jak w domu.

- Ach, Megan, jesteś nareszcie, kochana! - zawołał starszy mężczyzna (chyba Ted). - Odstawiliśmy Mickey i Minnie do boksów, jak chcesz, możemy wyprowadzić następne.

- Może Bertiego? - zaproponował George i Rachel zobaczyła, że starsi państwo jak na komendę zrobili niepewne miny. Naraz jego wzrok padł na stojącą z tyłu Rachel i w jednej chwili przywołał się do porządku.

Uznała, że woli to pierwsze, mniej oficjalne wcielenie; twarz miał wyrazistą raczej niż przystojną, a czerwony nos świadczył o tym, że niedawno wrócił z dworu. Ale gdy droczył się ze starszą panią, błysk w oku nadawał mu młodszy, bardziej zawadiacki wygląd, kiedy zaś ujrzał ją w progu, z miejsca przybrał pozę starego służbisty. Był mniej więcej w jej wieku, może trochę starszy.

I pewnie sam prowadził praktykę, na niczym garnuszku.

- Cześć wszystkim! - zawołała Megan. - Przedstawiam wam Rachel Fielding, siostrzenicę Dot. To nowa właścicielka domu i schroniska, wszystkiego!

- Witajcie - przywitała się Rachel, niepewnie unosząc rękę.

- Ted Shackley. A to moja żona, Freda. Wyrazy współczucia, moja droga - powiedział Ted. Wstał i ujął jej dłoń, na sekundę przytrzymując ją w swojej. Kiedy mówił, bruzdy na jego czole pogłębiły się wyraźnie. - Żałuję, że poznamy się w takich okolicznościach.

- Ano - poparła go żona. - Ze świecą szukać takich ludzi jak Dot.

- Ze świecą - westchnął Ted.

- George Fenwick. - Weterynarz oderwał się od zlewu i przełożył kubek do drugiej ręki, ale go nie odstawił. Był sporo wyższy od Rachel, co nie uszło jej uwagi; sama liczyła sobie prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i ostatni raz nosiła wysokie obcasy Przed Oliverem. Wyciągnął rękę i zobaczyła, że ramię

pokryte ma złocistym meszkiem, ginącym w czeluściach zakasanego rękawa.

- Cześć - powiedziała. Dłoń miał szorstką, nie to co ona ze swoją delikatną, „miejską” skórą. - Dziękuję, że pomagał pan Megan ogarnąć ten cały majdan, po tym jak Dot... przez ostatnich parę tygodni.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Dot była klientką i przyjaciółką. - Obserwował ją bacznie, z głową przechyloną w bok. - Zaraz, zaraz - dodał. - Przecież pani nie lubi psów.

- Panie Fenwick! - zawołała Freda z Oburzeniem. - Co za nietakt!

- A co, w czarnej spódnicy do psiarni? - zapytał. Nie odrywał od niej uważnego spojrzenia i poczuła, że chyba nie do końca żartuje. - Ja tam na modzie się nie znam, ale nie radziłbym iść do psów, zanim Megan nie skończy z karmieniem. Człowiek wchodzi w czarnym mundurku, a wychodzi w szarej flaneli.

- Nie ubierałam się z myślą o psach - odparła Rachel. Nie będzie słuchać docinków gbura, który myli chamstwo z ripostą. - Byłam na spotkaniu z prawnikiem.

- Naturalnie - wtrąciła pojednawczo Freda. - W rzeczach Dot na pewno znajdziesz sobie coś odpowiedniego. A gdybyś potrzebowała pomocy, mów śmiało. - Uścisnęła dłoń Rachel. - Jestem tu prawie codziennie, pomagam przy tych biedactwach. Dzięki temu czcimy pamięć Pippina. Był jednym z podopiecznych Dot, prawda Ted? Aniołkiem zesłanym nam prosto z nieba.

- A dokładniej yorkshire terierem zesłanym z hodowli w Walii - uściślił George. - Niedoszłym medalistą w haremie wyeksploatowanych suk, jeśli mnie pamięć nie myli.

Freda puściła jego słowa mimo uszu.

- George jest świetnym weterynarzem, ale manier nie ma za grosz - podjęła. - Nie słuchaj go, Rachel. Przecież widzę, że lubisz psy. Klejnot od razu to wyczuł.

Rachel opuściła wzrok i stwierdziła, że collie ułożył się u jej nóg, z długim nosem na łapach. Białe kłaki dryfowały w powietrzu, osiadając na jej nieskazitelnej spódnicy, która oczywiście nadawała się wyłącznie do prania chemicznego.

- Och. Ale obawiam się, że tak nie jest. Nigdy nie miałam psa. Często jestem w delegacji i nie mam czasu...

Nie chcę być uwiązana. Nie chcę utkwić w jednym miejscu. Tak jest między mną a Oliverem: żadnych więzi, żadnych nudnych zobowiązań. Coś pięknego.

Tak było, poprawiła się w duchu.

- To do niego niepodobne - ciągnęła Freda, nie zwracając na nią uwagi. - On wie. Psy mają do tego nosa, prawda? Pippin zawsze wiedział, kiedy będzie padać. Wsuwał głowę pod poduszkę i się chował. Był bardzo mądrym psem. Zawsze mówiliśmy, że ma jakiś szósty zmysł, prawda Ted?

- Nie inaczej.

- Pippin trafił szóstkę w totka - uzupełnił George, podchwytyjąc spojrzenie Rachel. - Freda i Ted zawdzięczają mu swoją oranżerię. Miał tam własną sofę, nieprawdaż? Na której oglądał tenis.

- Proszę mi nie przypominać. - Freda sięgnęła po chusteczkę. - Jest taka pusta bez niego.

Ted sięgnął po kolejny kawałek ciasta.

- Wiem, że jesteś nieodpowiednio ubrana, ale może jednak pójdziesz ze mną? - spytała Megan. - A potem odpoczniesz, czy co tam zamierzasz robić.

Rachel rozzłościła się na własny brak Organizacji. Musi mieć plan, tego od niej oczekują. Przyjechała tu jako wykonawca testamentu, wystrojona jak na raut, toteż musi wziąć sprawy w swoje ręce. Ba, tylko jak? Czowała się tak

przytłoczona ostatnimi wydarzeniami, problemami finansowymi oraz tym, co powinna była powiedzieć, gdyby jej mowy nie odebrało, że nie czuła się na siłach choćby iść do warzywniaka.

- Megan, przekaż psom, żeby nie liniały przez dziesięć minut - polecił George sztucznie pretensjonalnym tonem. - I weź ze sobą odświeżacz powietrza, żeby nam szanowna pani nie zemdląła od tych wiejskich aromatów.

Rachel miała zamiar najpierw poprosić Megan o kubek herbaty, ale słowa George'a zakłuły ją jak ostroga. Na jego wargach błądził ironiczny uśmiezek, który pchnął ją do natychmiastowego działania. I po raz pierwszy, odkąd tu weszła, zapomniała o Oliverze.

- Zawsze można porozstawiać zapachowe świece - dodał na widok jej irytacji. - I wypłoszyć złe duchy?

Nadęty pajac się nabija, pomyślała Rachel. Bierze mnie za jakąś londyńską księżniczkę, która brzydzi się wejść do psiarni. Myśli, że może sobie poużywać, bo nie przywlokłam ze sobą futrzaka. Ale ja mu pokażę.

Postawiła torbę z komputerem na podłodze przy stole i zakasała rękawy kaszmirowego swetra.

- Praca w Londynie przyzwyczaja do różnych smrodów - odpowiedziała. - Idziemy, Megan?

Megan przeniosła wzrok z jednego na drugie, jej brwi uniosły się o milimetr, po czym odstawiła napełniony przez Fredę kubek z herbatą i wskazała Rachel drogę do psiarni.

Schronisko łączyło się z domem zadaszonym przejściem wyłożonym czarno - białymi kafelkami, którego ściany udekorowano wesołymi zdjęciami starych psów w objęciach nowych właścicieli.

Podłużne okna wychodziły na sad jabłkowy oraz leżące dalej niewysokie pagórki i Rachel przypomniała sobie jak przez mgłę wzmiankę o blisko sześciu hektarach działki za

domem. Co jak co, ale przynajmniej psy miały się gdzie wybiegać.

Megan pchnęła ciężkie drzwi przeciwpożarowe i Rachel wreszcie poczuła psy, tę charakterystyczną biszkoptową woń sierści, zwieńczoną ostrym aromatem mięsa i lizolu. Dziwną, ale nie odpychającą. I wydało jej się, że ponad tym wszystkim czuje w powietrzu napięcie i tłumione emocje, a także strach i dotkliwą niepewność.

Betonowe powierzchnie lśniły czystością, podobnie jak szyby w oknach. Wchodząc głębiej, zobaczyła dwa rzędy okratowanych boksów biegnące po obu stronach kamiennego korytarza, z niewielkim biurem po jednej stronie i kuchnią naprzeciw. Na wprost widniały wielkie stare wrota; gdy otwierano ich górną część, tak jak teraz, do środka wpadało słońce i ostre, świeże powietrze. Psy pomrukiwały zawzięcie, jakby do wtóru płynącej z radia żarliwej dyskusji.

- No to jesteśmy! - oznajmiła wesoło Megan. Rozłożyła ręce. - Oto dom naszych przybłąd i sierot!

Na dźwięk jej głosu mrukliwe dotąd psy rozszczękały się na całego - ściany zatrzęsły się od ogłuszającego jazgotu, przetykanego gdzieniegdzie piskliwymi nutami. Nieprzyzwyczajonej Rachel aż zadźwięczało w uszach.

- Cisza! - wrzasnęła Megan, bez większego powodzenia zresztą.

- Ile ich jest? - spytała Rachel, przekrzykując kakofonię.

- Piętnaście, chyba że ostatnio coś nam przybyło? - Megan zajrzała do notatnika na stole, odsłuchując przy tym automatyczną sekretarkę. - Wybacz, często wydzwaniamy do nas desperaci, którzy nie radzą sobie z rozbrykanymi psami i najchętniej oddaliby je do schroniska. Zawsze próbuję im to wyperswadować... No nie, ta znowu swoje. Przepraszam, Rachel, ale ta wariatka z Madden usiłuje wcisnąć nam dwa

teriery szkockie już chyba dziesiąty raz w tym roku. Gdyby pofatygowała się na tresurę, oszczędziłaby nam sporo...

Chwyciła ołówek i wskazała na boksy.

- Masz ochotę się rozejrzeć? Włóż kalosze, jeśli chcesz. Chodź wolnym krokiem i nie wkładaj palców przez kraty.

Rachel musiała chyba zrobić przestraszona minę, gdyż Megan dodała pospiesznie:

- Nie gryzą, ale czasem o tej porze bywają humorzaste. - Rzuciła jej paczkę z suchą karmą. - Daj im po jednym ciasteczku, góra dwa, ale nie więcej. O szóstej jedzą kolację.

Rachel włożyła zapasowe kalosze stojące przy drzwiach i ostrożnie zbliżyła się do pierwszego boksu, nie chcąc prowokować psów do jeszcze większego hałasu. Woń psiego oddechu i sierści przybrała na sile. Zgodnie z zapowiedzią George'a jej spódnica i rajstopy poszarzały od włosów.

Trzeba było przywieźć dzinsy, pomyślała. Opuszczała mieszkanie w takim popłochu, że wrzuciła do walizek tylko odzież z pralni, a resztę rzeczy zostawiła w przechowalni. Miała wątpliwości, czy elegancka garderoba sprawdzi się w schronisku, w większości nadawała się przecież tylko do prania chemicznego.

Naraz spomiędzy krat wychynął mokry nos i Rachel aż podskoczyła, kiedy duży pies całym ciężarem oparł się łapami o siatkę.

- Boże! - jęknęła, łapiąc się za szyję. - Przestań!

Ale widok tego, co zobaczyła, ścisnął ją za gardło: piękny biało - rudy baset o pomarszczonym pysku węszył zawzięcie w jej kierunku, błagalnie oparty o siatkę wielką łapą, ukazując sterczące od spodu miękkie kępki włosów. Rachel nie miała pojęcia, w jakim jest wieku, lecz jego łapy i klapnięte uszy sprawiały wrażenie nieproporcjonalnie wielkich w stosunku do reszty ciała, nadając mu wygląd dziecka w ubranku za dużym o cały rozmiar.

Na boksie zawieszono kartkę z informacją, którą odczytała, podczas gdy pies wciąż bez reszty pochłonięty był jej nowym, intrygującym zapachem. Rozpoznała równe, pochyłe pismo Dot, jednakże głos z pewnością należał do osobnika w boksie.

Nazywam się Bertie i mam dwanaście miesięcy. Moi ludzie wzięli mnie na spacer do parku, a potem odjechali. Próbowałem za nimi biec, ale nie mogłem ich dogonić, ponieważ - jak widzicie - mam bardzo krótkie nóżki. Chciałbym, żeby ktoś mnie stąd zabrał, bo siedzę tu sam jak kołek w płocie i bardzo mi smutno. Szukam dwojga cierpliwych ludzi obdarzonych poczuciem humoru, którzy marzą o psie równie zabawnym jak oni sami.

PS Kiedy dorosnę, będę bardzo lubił spacerować, chociaż wyglądam, jakbym chciał całymi dniami wylegiwać się przy kominku.

Kiedy spragniony pieszczoł próbował polizać ją w rękę, coś ścisnęło Rachel w żołądku. Jak można tak po prostu porzucić szczeniaka? Odtrącić ufne zwierzę, żeby nie znalazło drogi do domu? Przygryzła wargę, tarmosząc miękkie ucho psa i próbując nie myśleć o jego smutnym losie.

Zobaczyła, że na pozostałych boksach wiszą podobne kartki; nie była pewna, czy ma ochotę je czytać, lecz pchnęła ją ku temu jakaś niewytłumaczalna ciekawość.

Podeszła do boksu naprzeciw Bertiego, gdzie w koszu, na samym końcu betonowego wybiegu, leżał mały czarny pudel, kompletnie niezainteresowany jej osobą. Widok przedstawiał sobą rozdzierający, wbrew temu, co głosiła informacja na tabliczce.

Witajcie, kochani! Nazywam się Lulu. Fryzurę mam nieszczególną, ale nie dajcie się zwieść - pod kołtunem kryje się urocza dziewczyna. Mój ostatni właściciel nie czesał mnie, nie traktował jak należy, a czasami wcale nie karmił. Na

szczęście teraz jestem tutaj, Megan ułoży mi loki i wkrótce zobaczycie, jaka ze mnie ślicznotka. Szukam osoby, która zrozumie, że nie jestem zabawką, tylko mądrym psem - może nawet najmądrzejszym z całej tej ferajny (oprócz Klejnota), i chcę zrobić z tej inteligencji dobry użytek! Wierzcie mi, stare psy też potrafią uczyć się nowych sztuczek.

Czy pudle są mądre? Rachel nie miała na ten temat zielonego pojęcia. Kojarzyły jej się tylko z nedorzecznie wystrzyżonymi cudakami, które widziała w cyrku. Ale tamte miały przynajmniej w sobie trochę życia, w przeciwieństwie do tej nieszczęśnicy.

- Cześć, Lulu! - zawołała przez kratę, machając przekąską, ale psiak nawet nie podniósł głowy, tylko skulił się w sobie, jakby Rachel chciała zrobić mu krzywdę. Skórę z boku miał wygoloną, a na jej sinym, aksamitnym tle widniał świeży szew.

Rachel odwróciła się od pudła, nie mogąc dłużej tego znieść. Widok był po prostu rozdzierający. Gdzie są normalne psy? Psy, którymi Dot opiekowała się pod nieobecność ich kochających właścicieli?

Oparła się o ścianę naprzeciw Lulu i przymknęła oczy, czując, jak zalewa ją fala litości i współczucia.

Jeśli ktokolwiek wiedział, jak to jest stracić grunt pod nogami z powodu ukochanej osoby, tym kimś była ona sama. Marzyła o drugiej szansie. Przecież Dot nie mogła przewidzieć, czym okaże się dla niej ten spadek. A może przewidziała? Może pamiętała tę dziwną nierozmowę sprzed lat i uznała, że Rachel potrzebuje nie tylko jednego psa do kochania, ale wszystkich piętnastu...

- Uwaga! Sio! O nie!

Rachel podskoczyła jak oparzona i zobaczyła, że Megan wybiega pędem z kantorka, celując palcem w boks. Spojrzawszy w dół, odkryła przyczynę jej dziwnego

zachowania: baset wysunął nos przez siatkę i na pół oblizywał, na pół przeżuwał rogowy guzik jej długiego swetra.

- Nie wolno! Wstydzilibyś się, Bertie! - Megan machnęła ręką na psa, który opadł z powrotem na cztery łapy. - Zastanawiam się czasem, czy nie jesteś aby świnką w przebraniu!

Bertie rzucił im obu przeraźliwe, wygłodniałe spojrzenie i Rachel sięgnęła odruchowo po torebkę z karmą, którą miała w kieszeni.

- Tylko nie próbuj jej podejść, ty mały oszuście - dodała Megan. - Przepraszam - powiedziała, zwracając się do Rachel. - Bertie jest niegrzeczny, ale go bardzo kochamy.

- Ale co on tu jeszcze robi? - spytała Rachel, podając basetowi smakołyk. - Jest przepiękny!

- Ach, basety - westchnęła Megan. - Jedzą, śpią, nie chcą się słuchać... milutkie szczenięta wyrastają na wielkie psy. Bertie podkrada jedzenie, robi bałagan, wyje, kiedy go zostawić samego, obgryza, co się da. - Zrobiła surową minę, która nie wypadła jednak przekonująco, pochyliła się bowiem i czule podrapała Bertiego za klapniętym uchem. - Ktoś musi się za ciebie wziąć, prawda Bertramie? Potrzebujesz pana, który nie boi się wyzwania.

- Widziałam opis - powiedziała Rachel, wskazując na tabliczkę. - Podobno Dot obstawała przy tym, że psy nie mówią ludzkim głosem.

- To prawda. Ale stwierdziła, że dzięki temu może ludzie rozumieją, że to nie zabawki, które można rzucić w kąt, że psy również mają uczucia. - Twarz Megan pociemniała z przejęcia i dziewczyna przygryzła paznokieć. - Jasne, nie wiedzą, co to poczucie winy, pogarda czy szantaż emocjonalny, ale też bywają samotne, jak my. Nowi właściciele muszą wiedzieć, co zabierają do domu: życie, które od tej chwili zależy tylko od nich.

- Jak dziecko - odrzekła Rachel i znów coś ją zakłuło w środku. Była to kolejna myśl towarzysząca jej od rozstania z Oliverem. Dziecko, którego już nigdy nie będzie miała, nawet jeśli dotąd jej na tym nie zależało.

- Gorzej - odezwał się czyjś głos i obie zwróciły się do drzwi, w których z założonymi rękami stanął George. - Dziecko umie powiedzieć, co jest nie tak, podczas gdy ludzie i psy muszą uczyć się nawzajem swego języka. Niektórym ludziom brakuje do tego cierpliwości, ale to nie wina psów. Jak tam pani eleganckie wdzianko? Widzę, że markowe buciki już zdjęte.

- Nie boję się paru włosków. - Rachel obojętnie strzepnęła spódnice. Za nic w świecie nie powie George'owi, że jutro z samego rana wszystko idzie do pralni. - Nie zdawałam sobie sprawy, że macie tu tyle bezpańskich psów. Prawnik wspomniał, że Dot prowadziła coś w rodzaju hotelu dla czworonogów.

- Taki był plan - odpowiedział George. - Ale Dot postawiła sobie za cel zapewnić dom każdej zbłąkanej psiej duszyczce w okolicy. Osobiście uważam, że gdyby nie schronisko, można by z tego nieźle wyżyć. To jedyne takie miejsce w okolicy, ma duży potencjał. Wiem, że Dot miała kilka ofert kupna; mogę dać pani namiary na solidnych agentów nieruchomości.

- O, bardzo chę... - zaczęła Rachel, ale na widok przestraszonej miny Megan urwała w pół słowa.

- Tak, pytanie tylko, jak potoczyłyby się losy schroniska, a Dot poświęciła temu całe życie. - Megan zajrzała do kantorka w poszukiwaniu dokumentów. - Psy bezpańskie i „pensjonariuszy” musimy trzymać osobno; tuż przed jej śmiercią mieliśmy tych ostatnich aż pięć. Stwierdziłam, że na razie warto z tym przystopować, dopóki nie będzie wiadomo, na czym stoimy - urwała. - Zamierzasz...?

- Megan - rzucił ostrzegawczo George.

Rachel żałowała, że matka nie widzi, jakie to wszystko pogmatwane. „Poszukaj płyt”. Łatwo im mówić. Dot nie zostawiła jej w spadku luksusowej willi z pięknym ogrodem, tylko stary dom, którego uporządkowanie potrwa miesiącami, interes, na którym nie znała się ni w ząb, stertę dokumentów do wypełnienia, pracowników, których musiała utrzymać, oraz piętnaście porzuconych zwierząt, które oczywiście skorzystają na jej poczuciu winy.

- Przepraszam, że wam przerywam, ale muszę porozmawiać z Megan o ostrzyżeniu Lulu - oznajmił George bez ogródek i podszedł do boksu pudlicy, jakby Rachel nie istniała. Wszedł do środka i ku zdumieniu Rachel suczka podniosła głowę i dała się wziąć na ręce. W stosunku do psa zachowywał się zupełnie inaczej niż wobec ludzi: był stanowczy, ale delikatny, prawie czuły. - Jeszcze nie wróciłaś do siebie, co? - Odwrócił się z powrotem do Megan, a Lulu wtuliła się w jego ramię, ginąc prawie w rozłożystych objęciach. - Jak wydobrzeje, warto przywrócić jej normalny wygląd, ale nie zrobisz z niej durnej maskotki rodem z Hollywood. I nie chcę słyszeć o kursie, który ukończyłaś!

- Podetnę tylko tu i ówdzie - obiecała Megan. - Ale tylko kilka pomponików, proszę! Ona marzy o pomponikach, to tancerka!

- Megan - powtórzył George ostrym tonem. - To nie zabawka i ma wyglądać normalnie, żeby ludzie nie patrzyli tylko na pomponiki.

Lulu łypnęła na Megan z bezpiecznej wysokości jego ramion i wśród matowej, splątanej sierści zaśniły czarne paciorki oczu.

- Przecież wiesz, że nie o to... - zaczęła dziewczyna i urwała na widok palca ostrzegawczo uniesionego w górę. Rachel poczuła się jak piąte koło u wozu.

- Proszę nie robić takiej przerażonej miny - powiedział George, widząc, że spogląda na bliźnię Lulu. - Niedawno była sterylizowana. Sterylizujemy wszystkie psy, a ściśle rzecz biorąc, ja to robię.

- Z rabatem - dorzuciła przymilnie Megan. - George ma w gruncie rzeczy miękkie serce.

- Nieprawda - zapewnił George. - A co do pomponików... Rachel powędrowała spojrzeniem w głąb pomieszczenia, dostrzegając po drodze cętkowanego stafika, dwa grube, czekoladowe labradory, energicznego jacka russela, który skakał jak piłka, oraz dwa terierowate kundelki o żarliwym wyrazie brązowych oczu i merdających przyjaźnie ogonkach. Pozostałe boksy zdawały się puste i wołała do nich nie zaglądać, na wypadek gdyby miała ujrzeć lokatorów smętnie wciśniętych w kąt, bez cienia nadziei w oczach, jak Lulu.

Jak można wybrać tylko jednego? Ścisnęło ją w gardle, jakby przełknęła kawał waty. Jak można tak po prostu stąd wyjść z nowym podopiecznym na smyczy i świadomością, że czternaście zawiedzionych istot zostało za kratami i nie wie, czym zawiniło? Ani kiedy wrócą po nie właściciele?

Spojrzała w dół i zamrugła ze zdziwieniem. Klejnot pojawił się znikąd i leżał przy niej z wąskimi łapami ułożonymi jedna przy drugiej, czekając na rozwój wydarzeń.

- Nie jestem Dot - szepnęła, tak żeby Megan nie usłyszała. - Ja nie wiem, co robić.

Rachel, pomyślała. Na miłość boską, nie gadaj z psem. Weź się w garść.

- Megan? - Jej głos zabrzmiał chrypliwie, chociaż starała się nadać mu lekki ton. - Idę się wykąpać. Mam za tobą zamknąć?

- Nie trzeba - oznajmiła pogodnie Megan. - Ja... tu mieszkam? To część mojej umowy. Jeśli nie masz nic przeciwko temu... Dot oddała mi do dyspozycji całe drugie

piętro? Jest tam oddzielna łazienka i duży pokój. Nie będę ci zawadzać.

- O - powiedziała Rachel. - Aha.

W dodatku miała lokatorkę. Super. Choć w sumie nawet ją to ucieszyło.

- Przygotować ci jakąś kolację? - spytała Megan. - Freda przyniosła zapiekankę, w kuchni też jest z czego wybierać.

- Nie, ja... - Nie chciała mówić „nie mam ochoty z nikim gadać”. Megan była taka miła, ale naprawdę wolała zostać sama. - Mam trochę pracy - uzupełniła. Była to niezawodna wymówka. Jak na ironię nie miała kompletnie nic do roboty, nie licząc napisania listów do byłych klientów z wyjaśnieniem, że już dla nich nie pracuje.

- W porządku! - zawołała Megan. - Nie byłam pewna, czy chcesz spać w sypialni Dot, i na wszelki wypadek przygotowałam ci gościnny pokój. Ręczniki wiszą na kaloryferze w łazience.

Rachel zmusiła się do uśmiechu.

- Uhm... dzięki. Dziękuję za wszystko.

Megan uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Serio, nie ma o czym mówić. Miłej kąpieli!

- Dobranoc - powiedział George Fenwick, kłaniając się w rozmyślnie staroświecki sposób. - Podam pani numer do mojej pralni chemicznej!

- Korzysta pan z pralni? - Rachel udała niedowierzanie. Uśmiechnął się żartobliwie.

- I tu mnie pani ma.

Ale Rachel była zbyt zmęczona, żeby się droczyć. Poczłapała do łazienki i z ulgą zanurzyła się w gorącej wodzie.

Johnny Hodge postawił opróżniony kufel obok pustej paczki po chipsach i salaterki wypełnionej skorupkami pistacji, a następnie spojrzął na zegarek.

Kwadrans po ósmej. Bill od dwudziestu czterech minut siedział przy barze, co stanowiło rekord nawet jak na warunki Lisa i Ogarów, gdzie szybkość obsługi zależała od tego, czy Raya akurat nie łupało w plecach.

Johnny czuł, że sam powinien się pofatygować. Nawet jeśli Ray uwijał się jak należy, doktor Bill zawsze napotykał po drodze osoby chcące poradzić się go w kwestii jakiejś niecierpiącej zwłoki przypadłości, najlepiej w swojskim zaciszu pubu. Ot, ryzyko zawodowe. Johnny'ego za to nikt nie molestował o plan lekcji ani program nauczania historii.

Zerknął na Natalie, wpatrzoną w przestrzeń pustym wzrokiem, co było zupełnie do niej niepodobne, i odechciało mu się wszystkiego.

Mógł zgadnąć, o czym myśli, ostatnio nie myślała bowiem o niczym innym. Pewnie obliczała swoje dni płodne, zastanawiając się, czy zawlec go do domu, czy może zostawić z Billem na kolejną godzinę. Jak na ironię żadna z tych opcji - namiętny seks z najpiękniejszą kobietą w barze ani następna kolejka z najlepszym kumplem - nie budziła w nim większego entuzjazmu.

Bill mógł sobie być lekarzem, lecz zdaniem Johnny'ego w kwestii płodności w porównaniu z Nat wysiadał w przedbiegach.

Oczywiście starała się oszczędzić mu drastycznych szczegółów, ale gdy żona uwodzi cię przez pół miesiąca, a przez drugie pół traktuje jak powietrze, nawet taki frajer jak Johnny czuł, że coś jest na rzeczy. Zresztą wcale nie był taki naiwny; widział stronę, której mu nie pokazała, tę z wykresem

porannej temperatury. I słyszał stłumione pikanie termometru jeszcze przed dzwonkiem budzika.

Ostatnio zaczął nawet myśleć o sobie w kategoriach dawcy spermy.

Postukał kuflem o stół, bardziej żeby o tym nie myśleć, aniżeli zwrócić uwagę Nat.

- Ile można zamawiać kolejkę? - spytał wesołym tonem.

- Co on tam wyprawia? Warzy browar?

Natalie ocknęła się z zamyślenia i spojrzała w stronę baru, gdzie Bill tkwił w szponach energicznego dziewczęcia w kozakach do kolan. Dziewczę chyba miało coś z szyją, sądząc po ferworze, z jakim podstawiało mu ją do obejrzenia. Bill nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać i nachylał się gorliwie, aż mu włosy wpadały do oczu, i robił uczoną minę.

- Nie, to mi raczej wygląda na konsultacje po godzinach - mruknęła ironicznie. - Ciekawe, że ludzi zawsze dopada tutaj jakaś wysypka. Ray powinien zastanowić się nad dezynfekcją.

- Chyba nie obejdzie się bez domowej wizyty - dodał Johnny.

- Ale długo będzie musiała poczekać - stwierdziła Natalie.

- Jest kolejka, pamiętasz?

Bill był niezwykle przystojnym mężczyzną, nawet Johnny musiał to przyznać. Wysoki, muskularny, o lśniących brązowych oczach - wyglądał wypisz wymaluj jak uniwersytecki wioślarz, toteż mógł bezkarnie nosić koszulki polo z postawionym kołnierzem, nie robiąc z siebie przy tym pajaca. Reprezentował typ faceta, jakiego matka Johnny'ego najchętniej ujrzałaby w roli oblubieńca jego siostry Becky - przy czym Johnny gotów był pójść o zakład, że biorąc pod uwagę liczne grono wielbicielek, przyjaciel nie da się łatwo usidlić. Trzy randki albo dwa weekendy, tyle przeciętnie trwała kadencja kolejnej dziewczyny Billa. Mimo to niezmiennie zrywał z takim wyczuciem, że dziewczęta

wypłakiwały mu się na ramieniu i zapewniały Johnny'ego, że Bill to „najmilszy facet pod słońcem”.

Johnny uważał, że czas, aby przyjaciel zaczął brać sprawę na poważnie. Nie tylko dlatego że jego zdaniem wiele przemawiało za małżeństwem, ale głównie z powodu ograniczonej liczebności mieszkańek Longhampton.

- Myślisz, że spuściłby z tonu, gdyby nie był taki przystojny? - zapytała nieoczekiwanie Natalie. - Twoim zdaniem ma za duży wybór?

Często to robiła, wkładała się do jego głowy i czytała mu w myślach. Przesunął rękę wzdłuż aksamitnego oparcia, żeby ją bliżej przyciągnąć.

- Myślę, że patrzy na nas i marzy o tym samym - odpowiedział szczerze. - Bo nie każdy może się tym pochwalić, prawda?

Codziennie myślę, jaki ze mnie szczęściarz, że spotkałem dziewczynę moich marzeń w szkolnej stołówce. Minęło dwanaście lat, ale zawsze pozostaniesz dla mnie słodką szóstoklasistką. Z fryzurą Jennifer Aniston.

Chciał jeszcze dodać „i z dnia na dzień stajesz się coraz piękniejsza i coraz wspanialsza, i nie mogę uwierzyć, że tak ambitna, mądra i atrakcyjna kobieta jak ty wybrała sobie kogoś takiego jak ja”. Ale nie powiedział tego, ponieważ Nat wiedziała, co czuł.

- Szczęściarz ze mnie - powtórzył tylko.

Spojrzała na niego z ukosa i w jej figlarnych kocich oczach błysnęło rozbawienie.

- Przestań, bo zaraz mnie zemdli. - Ale nachyliła się i ukradkiem musnęła wargami jego szyję. Serce zabiło mu mocniej w piersi; poczuł przypływ nadziei. Wygląda na to, że ta kolejka będzie musiała zaczekać na kiedy indziej.

Ale Natalie wróciła myślami do Billa.

- Powinien mieć dziewczynę - oznajmiła z westchnieniem, zapadając z powrotem w bordowe, aksamitne siedzisko. - Musi przestać być taki wybredny. Ile można włączyć się z takimi nudziarzami jak my? Dlaczego rzucił ostatnią?

- Bo nie umiała parkować. - Johnny przeniósł spojrzenie na bar, przy którym brunetka śmiała się hałaśliwie i kołysała biustem. Uśmiech Billa jakby stężał. - Daj spokój, przecież on nie ma dużych wymagań. On tylko szuka kobiety pomiędzy dwudziestym szóstym a ósmym rokiem życia, bez bagażu życiowego i byłych chłopaków spod ciemnej gwiazdy, która potrafi świetnie gotować, ma jasne włosy, jest wyższa od Kylie Minogue, ale niższa od Kate Winslet, lubi pobrykać na świeżym powietrzu, ale chętnie posiedzi też w domu.

- A do tego umie parkować.

- Aha, no tak.

- Moim zdaniem robi wszystko, żeby nikogo nie znaleźć - uzupełniła Natalie z westchnieniem. Dopła resztkę swojej coli bez cukru, podczas gdy Johnny zachodził w głowę, co też takiego miała na myśli. - Czekamy, aż wyda diagnozę, czy ruszasz na odsiecz?

Oboje popatrzyli na postawę Billa: noga na nodze, ręce splecione na piersi w obronnym geście. Podchwycił spojrzenie Johnny'ego i lekko potrząsnął głową.

- Ruszam na odsiecz. - Johnny wstał, o mało nie przewracając stolika. Był słusznego wzrostu, a stoliki stały ciasno stłoczone, odkąd Ray zamienił Lisa w bistro i zepchnął pijących w kąt, żeby zrobić miejsce na jadalnię. - Co ci przynieść?

- Krwawą Mary bez wódki. - Natalie odstawiła białe wino łącznie z herbatą, kawą oraz wszystkim, co mogło zakłócić pracę hormonów. - Nie chcę zrzędzić, Johnny, ale czy nie uważasz, że powinienes... wypić to samo? - Przygryzła wargę

i spojrzała na leżącą obok torebkę, bardziej zła na siebie niż na niego.

Wiedział, co chciała powiedzieć: czy pamiętał, co mówili o piwie? Natalie nigdy nie zrzędziła; była to jedna z obowiązujących między nimi zasad, obok jego obietnicy, że będzie prasował sobie koszule. Ale w tym wypadku nawet nie musiała: jeśli miał wybierać między rezygnacją z browaru a wręczeniem siostrze Soni, posępnej pielęgniarki doktora Billa, pewnej wstydlivej próbki do analizy, zdecydowanie opowiadał się za paromiesięczną abstynencją.

Minął dokładnie rok od chwili, kiedy „przestali próbować uniknąć ciąży”. Najdłuższy rok w jego życiu.

Natalie bardzo na tym zależało. Jemu też. Oczywiście. Zależało na tym obojgu, ponieważ jeśli ona była szczęśliwa, on również. Ale w głębi serca uważał, że gdyby mieli spędzić resztę życia tylko we dwoje, nie zmąciłoby to jego szczęścia ani trochę.

- Mary bez wódki? Chcesz powiedzieć, koktajl? W Lisie?
- odparł tylko. - Nie ma sprawy. Niech Ray potrenuje trochę na użytek przyszłej wytwornej klijenteli.

Natalie uniosła głowę i uśmiechnęła się z wdzięcznością, a on poczuł, że kocha ją jeszcze mocniej.

Dwadzieścia minut później Natalie dopiła sok i sięgnęła po torebkę.

- Muszę lecieć - rzuciła z przepaszającym uśmiechem.
- Wybaczcie, że się wyłamuję.
- Już? - Bill zrobił rozczarowaną minę. - Czy to znaczy, że pora umierać? Przecież mamy piątek. Spójrz, pan Hodge jeszcze siedzi!

Natalie poprawiła pasek torebki.

- Nie, ja tylko... mam do przejrzania parę raportów, wolę uporać się z tym przed weekendem. Nie lubię odkładać nic na niedzielny wieczór, lepiej robić wszystko na bieżąco.

Johnny sięgnął po kurtkę, ale Natalie pokręciła głową.

- Nie, kotku, ty jeszcze posiedź. Wrócę sama.

- Pojedziemy jedną taksówką - powiedział Bill. - Nie wróci późno.

- Byle przed północą - uśmiechnęła się Natalie. - Potem zamienia się znowu w żabę. Do zobaczenia!

Na zewnątrz przywitało ją zimne powietrze, przez ostatnie kilka dni znów ścisnął mróz. Ani śladu wiosny, pomyślała, owijając się szczelniej kurtką, po czym otworzyła mini coopera i usiadła za kierownicą.

Uwielbiała ten samochód. Johnny przeważnie jeździł do szkoły autobusem, więc cooper w zasadzie należał tylko do niej.

Dojeżdżała nim do pracy na obrzeżach miasta, a także na spotkania odbywające się w najmniej spodziewanych miejscach. Sam dotyk skórzanej kierownicy budził w niej niekłamaną radość życia. Samochód był nowy i drogi, ale pozwolili sobie na ten luksus, bo w końcu na kogo mieli wydawać pieniądze, jeśli nie na siebie, w przeciwieństwie do swych braci i sióstr, u których każdy grosz szedł na dzieci.

Kiedy Johnny zastanawiał się nad dodatkowym wyposażeniem, zaznaczyła siedzenie dostosowane do fotelika, na wszelki wypadek. I tak się przyda, pewnie kiedyś będą chcieli go sprzedać. Była to ze wszech miar rozsądna decyzja. Nie tylko dlatego że Natalie często wyobrażała sobie widoczny we wstecznym lusterku dziecięcy fotelik. Z małym, pulchnym Hodge'em w środku.

Wyjeżdżając ostrożnie z parkingu na ulicę, czuła niepokojący ucisk w piersi i zastanawiała się, czemu go przypisać. Odkąd oficjalnie zaczęli starać się o dziecko - Natalie nie lubiła tego określenia, ale koniec końców sama zaczęła go używać - traktowała swoje ciało jako coś w rodzaju

nadajnika radiowego, odnotowując skrzętnie każdy skurcz, pryszcz bądź zmianę nastroju.

Chodziło o pub? Miała żal o to, że nie wolno jej pić? Chyba nie. Bardziej tęskniła za kawą. Boże, pomyślała, jak te kobiety kiedyś zachodziły w ciążę, kiedy nikt nie truł im o paleniu, picciu, surowym mięsie i innych takich?

Chodziło o Billa? Też chyba nie. Lubiła, kiedy wychodzili we trójkę. Przyjaźnił się z Johnnym od college'u, traktowała go jak brata.

Czyżby praca? Ucisk przybrał na sile i wiedziała, że nie może go ignorować.

O tak, praca dawała jej w kość. Załamanie na rynku kredytowym odbiło się na atmosferze w koncernie, w którym pracowała jako specjalistka do spraw marketingu w nowym dziale żywności organicznej, a jej szefowa, Selina, codziennie dokręcała im śrubę. Natalie czuła przez skórę, że dzisiejsze spotkanie na temat miesięcznej strategii nie poszło najlepiej; wiedziała, że inni też mają ciasny budżet i związane ręce, ale mogła zwrócić się o pomoc jedynie do Banku Światowego.

Wrzuciła kierunkowskaz nieco gwałtowniej, niż należało, i skręciła w stronę domu.

Ale jeśli miała być szczerą - a szczerą ceniła sobie nade wszystko na świecie - w świetle tego, co dręczyło ją naprawdę, troska o dobro firmy schodziła na dalszy plan.

Tego ranka, kiedy Kay Lambert, trzecia ciężarna w promieniu dwudziestu metrów od jej biurka, ogłosiła swą radosną nowinę za pośrednictwem poczty elektronicznej, coś w Natalie pękło, pozostawiając bolesną wyrwę w jej sercu. Kay była naprawdę w porządku, ale miała trzydzieści siedem lat, a do tego dwójkę starszych dzieci. To była „miła niespodzianka"! Nawet nie próbowała zajść w ciążę. Nie zastosowała metody in vitro, tylko spędziła „niegrzeczną rocznicę ślubu w Bath"! Co za rażąca niesprawiedliwość.

Palce Natalie zbielewały na kierownicy. Oczywiście zrobiła dobrą minę do złej gry, nie chciała zepsuć Kay takiej chwili, poza tym naprawdę się cieszyła, cieszyła się z każdym, kto oczekiwał dziecka! Ba, to właśnie ona, nikt inny, zorganizowała pospieszną zbiórkę pieniędzy i kupiła prześliczny becik, który dopisała ukradkiem do swojej listy życzeń.

Ale dlaczego to nie ja, zawył głos w jej głowie, i przygryzła wargę, żeby się nie rozplakać. Mam dopiero trzydzieści lat, nie palę ani nie piję, kocham męża, uprawiamy seks kiedy trzeba, codziennie biorę kwas foliowy, przestałam nawet pić cholerną kawę! Co jest ze mną nie tak?

Zdaniem lekarzy nie dolegało jej zupełnie nic. Oprócz braku cierpliwości.

„Matka natura nie lubi harmonogramów”, tłumaczył lekarz (doktor Carthy, nie Bill), kiedy zwróciła się do niego z prośbą o zrobienie badań. Odniosła wrażenie, że chce ją zbyć, jakby miał do czynienia z jedną z tych natrętnych karierowiczek, które muszą mieć wszystko jak w zegarku.

Dziecko nie było dla Natalie kolejną pozycją na liście spraw; pragnęła go nieprzytomnie, aż się sobie dziwiła. Czuła, że do szczęścia brakuje im tylko tego, a w domu czai się pustka. Pragnęła go tak żarliwie, że wstydziła się swej zachłanności sama przed sobą.

Nie zawsze była taka zawzięta. Aż do dwudziestych dziewiątych urodzin perspektywa drugiej kreski na teście nappełniała ją zgrozą nie do opisanego, po czym nagle nastąpił zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, że mało nie straciła gruntu pod nogami. Teraz ilekroć wchodziła do kawiarni, rozplątywała się na widok tych paluszków i stópek w tych skarpetkach. A gdy maluchy uśmiechały się do Johnny'ego - umiał bezbłędnie je oczarować - Natalie skręcała się z żalu i zawiści,

że ich matki dokonały czegoś, czego ona nie jest w stanie dokonać. I może nigdy nie dokona.

Uspokój się, perswadowała sobie w duchu. Pamiętaj o tych wszystkich fantastycznych rzeczach, którymi obdarzył cię los: ładny samochód, ładny dom, niezależność, wakacje, osiem godzin snu.

Minęła pierwszych parę domów na ich ulicy, zaparkowane obok samochody ze znaczkami „dziecko na pokładzie”, i poczuła kolejną falę goryczy. Pamiętała, co jej tata powiedział na ślubie w czerwcu przed siedmiu laty: że ona i Johnny stanowią zadatek na wspólną rodzinę. Oboje kochali dzieci. Mieli w sumie pięcioro chrześniaków - wyglądało na to, że wszyscy mnożą się na potęgę, tylko nie oni.

Wjechała tyłem na podjazd i zaciągnęła hamulec. Na szczęście ma przy sobie Johnny'ego. Był taki wrażliwy i pełen optymizmu, od samego początku, i do wszystkiego podchodził na luzie. Ba, jaki facet nie byłby w siódmym niebie, gdyby żona zaciągała go do łóżka w regularnych odstępach czasu, ale ostatnio, kiedy zadręczała się, że przegapili „ten dzień” z powodu przeziębienia lub odwiedzin rodziny, też nie tracił poczucia humoru. Gdyby nie Johnny, pomyślała, byłoby krucho.

Próbowali różnych pozycji, nawet jogi. Natalie zapisała się na akupunkturę i wyrzuciła ulubione stare dżinsy Johnny'ego. I nic. Co miesiąc, kiedy spadała jej temperatura i przychodził nieunikniony okres, w pracy czekał na nią bukiet kwiatów, a w domu uroczysta kolacja, podczas której Johnny ukradkiem z troską lustrował jej twarz. Musiała udawać, że to nic; nie chciała, żeby upatrywał w tym czyjejs winy, a już szczególnie swojej własnej.

I tak minął rok. Niedługo przyjdzie kolej na badania. Na wypadek, gdyby faktycznie była to czyjaś wina. Natalie wolała odsunąć od siebie tę myśl.

Co jeśli to była jej wina? I jeśli nie będzie mogła dać mu tej statystycznej dwójki, na którą zasługiwał? Co stanie się wówczas z ich małżeństwem, które wszyscy uważali za idealne?

Natalie wysiadła z samochodu, po czym wyjęła z bagażnika swoją aktówkę i torbę z laptopem.

W domu pachniało hiacyntami i niezagraconą enklawą dwojga dorosłych ludzi; Natalie wyjęła z teczki różową reklamówkę i poszła na górę przebrać się w luźne spodnie do jogi. Szczotkując włosy, zawahała się, a następnie wyjęła z reklamówki nową jedwabną koszulkę nocną i schowała ją pod poduszkę, na później. Zanim seks zaczął służyć prokreacji raczej niż rekreacji, nigdy nie spała w nocnych koszulach. Teraz, owszem, pewnie w ramach rekompensaty.

Potem, żeby nie zapomnieć, przygotowała sobie termometr, chowając go pod książką na stoliku nocnym, żeby Johnny nie widział. Wołała, żeby się nie dowiedział.

Popatrzyła na łóżko - idealne, w mosiężnej ramie, z białymi poduszkami, jak z katalogu meblowego - i westchnęła. Poduszki podkładała pod pośladki, jak już było „po wszystkim”, żeby pomóc pływakom osiągnąć upragniony cel, a nogi opierała na ramie, by wspomóc grawitację. I gdzie tu miejsce na romantyczność?

Wreszcie obróciła się na pięcie i zeszła na bosaka na dół: wołała uporać się z raportami i wprowadzić w uwodzicielski nastrój, zanim Johnny wróci z pubu.

Zoe Graham rozejrzała się z podziwem po wysprzątanym salonie, żałując, że nie może spryskać go lakierem do włosów, aby wytrwał w tym stanie chociaż przez godzinę.

W domu nie było tak czysto, odkąd się wprowadzili. Poduszki leżały grzecznie w rogach odkurzonej sofy, gameboy znajdował się w dużej plastikowej skrzyni wraz z konsolami i grami, które zwykle zaśmiecały dywan, i wszystko pachniało płynem do mycia podłóg. Nawet puf, na którym Spencer i Leo spędzali większość czasu, jedząc, pijąc i wyklócając się przed telewizorem, nie nosił śladów keczupu i aż się chciało na nim usiąść.

Zoe oparła ręce na biodrach, rozkoszując się dziwną ciszą panującą w domu.

Kiedy jest czysto, to naprawdę ładny dom, pomyślała prawie ze zdziwieniem. Jeśli pozbyć się szpargałów rozsiewanych wszędzie przez dwóch gagatków poniżej ósmego roku życia, wyglądał jak wyjęty żywcem z broszury agencji nieruchomości: kominek, wielkie okna wykuszowe, stylowe gzymsy. Swojski wygląd nadawały mu jednak niezliczone fotografie jej, Leo i Spencera, zawieszane na niebieskich ścianach, półki, na których zabawki i filmy chłopców stały obok jej płyt, oraz malowane wspólnie obrazki. Dom rodzinny. Dlatego go kupili, skuszeni tą krzepiącą atmosferą, która długo nie potrwiała.

Zoe odsunęła tę myśl. To nie wina domu, że David odszedł, tylko jego współpracownicy Jennifer. No i ma się rozumieć samego Davida - wymyślonych delegacji w Solihull nie można przecież spędzać w pojedynkę. Nadal był to dom rodzinny, podkreśliła w duchu, ale teraz tę rodzinę stanowili we trójkę.

Z tylnej kieszeni dzinsów wyjęła telefon, po czym stanęła w progu, zrobiła zdjęcie swego dzieła i wysłała je mamie. A potem ustawiła je jako tapetę.

Gotowe.

Bez ciągłych awantur, terkotu karabinów maszynowych z gier i łoskotu telewizora w domu panowała dziwna cisza i Zoe poczęła sporządzać w myślach kolejną listę spraw, aby odsunąć od siebie zaciekawienie tym, jaką to wspaniałą niespodziankę ojciec przygotował dla synów tym razem. Wiedziała, że nie powinna zniżać się do tego poziomu, ale nie umiała nad tym zapanować. Pierwsze parę weekendów było koszmarne dla wszystkich - łyzy na pożegnanie, łyzy po powrocie - ale teraz chłopcy nie mogli się doczekać piątkowych wieczorów z tatą.

I nie ma co się dziwić, pomyślała, podnosząc z podłogi zdalnie sterowany samochód, z którym Spencer wrócił ostatnim razem. Kto by nie chciał, żeby jego urodziny wypadły dwadzieścia razy w roku?

W myśl umowy, którą zawarli po rozwodzie prawie rok temu, David spędzał z chłopcami co drugi weekend, a do tego połowę wakacji, Wigilię, urodziny i długie weekendy. Adwokat przestrzegł Zoe, aby nie dała się zbyt rozstawiać po kątach, ale ona chciała wynagrodzić chłopcom mękę rozwodu, który do przyjemnych nie należał. Uznała, że to najlepszy sposób. Z kolei David obsypywał ich prezentami. Prezentami i żelkami haribo, które Zoe zdołała prawie wykluczyć z ich codziennej diety.

Może powinnam wyszorować lodówkę. Mama zawsze mi to powtarza.

Popatrzyła na swoje rozczochrane odbicie w lustrze nad kominkiem. Włosy żyły swoim życiem jeszcze bardziej niż zazwyczaj i w ferworze sprzątanania skręciły się w ciasne brązowe sprężynki.

- Halo, co się z tobą dzieje? - powiedziała głośno. - Sprzątasz w wolny dzień?

Wiedziała, że powinna się odprężyć. Były to rzadkie, cenne chwile tylko dla siebie, o których inne matki w salonie rozprawały z zawiścią godną co najmniej wygranej w totolotka. Czy w dni powszednie nie marzyła o tym, aby wyciągnąć się w domu na kanapie? Czyż każda fryzjerka nie pragnęła położyć się plackiem i odciążyć na chwilę spracowane nogi?

- Chwile dla siebie - powiedziała głośno. Do powrotu chłopców zostało pięć godzin, mnóstwo czasu na... na co?

Nic nie przychodziło jej do głowy. Dawniej, zanim urodziła dzieci, było łatwiej: przeglądała wtedy kolorowe czasopisma dla przyjemności, a nie ponieważ zalegały w poczekalni. Niedzielne wieczory spędzała z maseczką na twarzy, skrupulatnie depilując nogi, i godzinami mogła rozmawiać o książkach, filmach i wypadach za miasto. A teraz wciąż robiła listy, na których niezmiennie figurowały pozycje typu „zużyć banany” i „wyprać pościel”.

Ponownie spojrzała na swoje odbicie i zobaczyła smutną kobietę, której przydałoby się poprawić pasemka i wyregulować brwi i która bez dwójki swoich ancymonów traciła grunt pod nogami.

- Och, na miłość boską! - burknęła ze złością i poszła do kuchni po paczkę czekoladowych herbatników; schowała je tam przed Spencerem, który umiał wyniuchać czekoladę z drugiego końca ulicy. Nagradzała się nimi w tych rzadkich chwilach, kiedy mogła skupić się na sobie. W zasadzie był to pierwszy raz, kiedy sięgnęła po nie przed północą.

Mogłabym zadzwonić do mamy, pomyślała, nastawiając świeżo odkamieniony czajnik. Albo do Cal. Ale z góry wiedziała, że nie ma ochoty z nimi rozmawiać. Otóż jej matka i najlepsza przyjaciółka sprzysięgły się, aby puścić ją z

powrotem „w obieg” - w kontekście porozwodowych randek było to, nawiasem mówiąc, adekwatne określenie - i każda rozmowa sprowadzała się do wypytywania, kiedy to Zoe zapisze się na lekcje tańca albo do klubu samotnych serc, byle tylko się z kimś umówić.

Odpowiadała im, że Spencer, Leo i transformersi to w tej chwili jedyni faceci, dla których ma czas, lecz prawdę powiedziawszy, na samą myśl o umawianiu się z kimkolwiek miała ochotę czmychnąć do mysiej dziury. David zdeptał resztkę pewności siebie, jaką miała, a co do przedstawienia chłopcom obcego mężczyzny... zakładając, że w ogóle go znajdzie...

Czajnik gwizdnął i Zoe podskoczyła. „Chwila dla siebie” polegała na stroszeniu piórek celem znalezienia nowego faceta. Na razie jednak Zoe wolała wysprzątać dom. Tego pragnęło jej wewnętrzne „ja”: dywanu bez śladu klocków lego oraz czystej wanny.

Problem zagospodarowania reszty popołudnia rozwiązał się sam, ponieważ Zoe zasnęła przed telewizorem, biernie śledząc losy bohaterów popularnego serialu o życiu przebojowych trzydziestolatków.

Dokładnie za dziesięć siódma obudziła się jednak za sprawą jakiegoś szóstego zmysłu i o mało nie spadła z fotela na dźwięk potężnego silnika na drugim końcu ulicy.

- To chyba oni - powiedziała głośno. Dziwnie było nie mieć do kogo ust otworzyć. Jakoś nie mogła się przyzwyczać.

Rzuciwszy ostatnie, zrezygnowane spojrzenie na wysprzątaną pokój, wstała i zaczęła krzątać się po kuchni. Zdjęła fartuch i zajrzała do lodówki. Pewnie przyjadą głodni jak wilki; David zawsze zabierał ich do McDonalda, a potem napychał cukrem we wszystkich możliwych postaciach i kształtach.

Myśl o Davidzie też wzbudziła w niej lekki niepokój. Nie żeby jeszcze coś do niego czuła, w życiu. Czar prysł, zanim jeszcze doszło do nieprzyjemnych scen w sądzie. Lecz odkąd piekielna Jennifer, ze swoim transatlantyckim akcentem i dobroczynnymi maratonami na koncie, na dobre zadomowiła się w jego życiu, litościwe spojrzenie, jakim obrzucał umęczoną byłą żonę, bolało Zoe bardziej niż jakiejkolwiek złośliwości pod jej adresem. Spotkała Jennifer tylko raz, na przyjęciu firmowym, ale czuła, że ma do czynienia z kobietą, która wstaje o szóstej i umalowana idzie na siłownię. Doszły ją słuchy, że Jennifer nalegała, aby dzieci zostały po rozwodzie z jej byłym mężem. Zoe była skłonna w to uwierzyć.

Samochód zatrąbił niecierpliwie. To na pewno David.

Cholera jasna, pomyślała poniewczasie, gdybym przed godziną nałożyła maseczkę, miałabym nawilżoną twarz i wysprzątaną kuchnię za jednym zamachem. Przeczesała palcami włosy, po czym dała za wygraną i wsunęła w nie spinkę, następnie włożyła fartuszek z napisem „Bogini domowa”, żartobliwy prezent świąteczny od mamy. Przynajmniej zakrył płamę po kawie na bluzce.

Pobiegła do drzwi i zobaczyła wielki nowy chelsea tractor Davida, właśnie parkujący pod domem. Spencer, który wyglądał na więcej niż swoje siedem lat, od razu wyskoczył na zewnątrz, podczas gdy David jeszcze nadawał przez telefon. Niespełna półtora roku młodszy Leo z pewnym trudem rozpiął pasy i pospieszył za bratem, po czym obaj wyraźnie podekscytowani stanęli przy bagażniku.

Zoe rozczuliła się na widok młodszego synka w za dużej kurtce. Kiedy otworzyła drzwi, chłopcy rzucili torby i podbiegli do matki, z przejęciem mało nie zbijając jej z nóg.

Wiedziała, że za nimi tęskni, ale nie sądziła, że aż tak. Sam ich widok wystarczył, aby odetchnęła pełną piersią i

znów poczuła się sobą. Nie było ich tylko jeden dzień, bo w niedzielę Davidowi „coś wypadło”. Następnym razem odbierze ich w sobotę, z tego samego powodu.

- Cześć! Cześć! - powiedziała, przekrzykując ich opowieści o gokartach, hamburgerach w Londynie i o tym, tu serce mocniej zabiło jej w piersi, jak strasznie za nią tęsknili.

- Nie przesadzajcie, chłopcy... jeszcze mama pomyśli, że się dobrze nie bawiliśmy!

Zoe wzięła głęboki oddech i przeniosła wzrok na Davida, który z triumfalną miną wypakowywał ich torby.

Gdyby nie był takim gnojkiem, pomyślała, byłby całkiem do rzeczy. Służył mu ten rozwód. Albo wrócił z urlopu, albo chodził z Jennifer do solarium - twarz miał opaloną, a jasnobrązowe włosy krótsze niż dawniej, przy czym srebrne nitki znikły w tajemniczy sposób. Nieśmiertelna bluza i dzinsy, z którymi nie rozstawał się kiedyś w każdy weekend, ustąpiły miejsca popielatemu sweterkowi z kaszmiru narzuconemu na T - shirt; o tak, nosił też płócienne spodnie i tenisówki. W lutym.

Z chwilą przerwania na nią wszystkich obowiązków rodzicielskich stał się bardzo apetycznym tatusiem. Jak na ironię, pomyślała Zoe.

- Cześć - rzuciła z rezerwą. Powzięła gorące postanowienie, że w duchu może wieszać na nim psy, lecz w obecności chłopców nie da nic po sobie poznać.

- Cześć! - odpowiedział, opierając się nonszalancko o samochód. - Sprzątałaś?

- Tak. - A ty skąd niby wiesz, draniu? W życiu nawet nie włączyłeś zmywarki. Zoe uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

David z rozbawieniem podniósł brew.

- Rany. Faktycznie sporo się zmieniło. - Nagle spochmurniał. - Chyba nie kombinujesz, żeby za moimi plecami sprzedać dom, co? Bo...

- Mamo, mamo! - Spencer pociągnął ją za rękaw. - Mamo, tata dał Leo najlepszy prezent!

- Tak! - włączył się Leo. - Nigdy nie zgadniesz, co to takiego, to fajowe!

Oczy błyszczały im z podniecenia; Zoe uśmiechnęła się, ucieszona z ich radości, ale z niepokoju ścisnęło ją w żołądku. Prezenty Davida kosztowały ją często wiele pracy i nerwów. Miała nadzieję, że nie pochorują się od tego ani nie zdemolują domu i że nie będzie musiała stać się na tę okazję Mamą, Która Wszystkiego Zabrania.

- Niech zgadnę! - powiedziała, z udawanym namysłem marszcząc brwi. - Czy to jest... tardis?

- Nie! - zawyli jednocześnie Leo i Spencer.

- A może... dalek (Tardis, dalek - zabawki związane z popularnym brytyjskim serialem science fiction „Dr Who”)? - Rzuciła Davidowi ukradkowe spojrzenie. Podejrzewała, że być może trafiła w sedno; myślała o wynajęciu czegoś takiego na przypadające w przyszłym tygodniu szóste urodziny młodszego syna, ale odkryła, że zlecenie wykonania go przez NASA wyniosłoby zapewne nieco mniej. To byłoby do niego podobne, zakasować ją w ten sposób. Ale on z wyższością pokręcił głową.

- Chyba nie powinni przywiązywać w tym wieku wagi do marek. Zresztą musimy o tym pogadać. O tym przyjęciu tematycznym i w ogóle.

Uch, przymknij się, ty zakłamanym kretynie.

- Za późno - oznajmiła. - Już zamówiłam tort.

- Nie, mamo! - wykrzyknął Leo. Podskakiwał z radości, a twarz mu promieniała. Wyglądał jak miniatura Davida, ale z jej brązowymi oczami. Serce podskoczyło jej w piersi. - Zgaduj dalej, zgaduj dalej!

- To coś lepszego niż dalek - oświadczył pogardliwie Spencer.

Zoe miała nadzieję, że to nie rower. Błagam, tylko nie rower.

Ani miniferrari czy coś w tym stylu.

- To może... - W zamyśleniu oparła palec na brodzie i spojrzała na młodszego syna, przymykając jedno oko. - Łódź motorowa?

- Nie! - wrzasnął, nie mogąc dłużej się powstrzymać. - To piesek!

Zoe oniemiała i tym razem nie musiała udawać.

- Ale chyba nie prawdziwy?

- Prawdziwy! - Spencer wpadł do domu, omal nie przewracając brata. W ciągu ostatnich miesięcy bardzo urósł i był sporo od niego większy; powoli przestawał wyglądać jak mały chłopiec. - Wyciągnijmy go! Jest w bagażniku. Nazywa się Toffi i wygląda zupełnie jak ten piesek z telewizji! W tygodniu będzie spał u mnie, a w weekendy u Leo!

- U mnie będzie spał, u mnie! - zawył Leo. - Na moim łóżku! To mój piesek!

- Ale ja jestem starszy...

- Należy do was obu - pouczył David spokojnym, wielkodusznym tonem, za który Zoe miała chęć go udusić. - Uważaj, Leo, Toffi pewnie boi się po podróży.

Kiedy chłopcy zaczęli się po swojemu wyklócać o to, kto ma wyjąć pieska, Zoe wyprostowała się i rzuciła Davidowi wściekłe spojrzenie.

- David. No po prostu nie wierzę, że możesz być tak nieodpowiedzialny! - syknęła. - Przecież rozmawialiśmy o tym w święta. Znasz moje zdanie: oni nie mogą mieć psa! To niemożliwe!

Podniósł ręce.

- Nie ma rzeczy niemożliwych, Zoe. To wyłącznie kwestia tego, co komu pasuje. Wszyscy musimy iść na

kompromis, a poza tym naprawdę uważam, że to im wyjdzie na dobre. Nauczą się porządku.

Aż jej dech zaparło z oburzenia. Porządku? Po tym jak własnymi rękami zburzył wszystkie jego pozory? Sytuacja była tak nieprawdopodobna, że Zoe nie wiedziała, od czego zacząć. Co gorsza, miała zaledwie trzydzieści sekund, zanim zostawi ją z tym fantem i zniknie z życia chłopców aż do kolejnego weekendu.

- Może wejdiesz na herbatę i porozmawiamy - zaproponowała, ale on miał z góry przygotowaną odpowiedź.

- Bardzo bym chciał, ale muszę lecieć. Jennifer zaplanowała coś na wieczór. Cały tydzień jej nie było i wiesz, musimy... nadrobić. - Rzucił to w ostentacyjnie zawołowany sposób i czekoladowy herbatnik podszedł Zoe do gardła.

- Ach tak? Nie było jej? - Przynajmniej darowała sobie „męski” weekend. Dobre i to.

- Owszem. - David obrzucił ją protekcyjnym spojrzeniem. - Ale pomyślałem sobie, że przy okazji następnego wyjazdu do Alton Towers mogłaby nam towarzyszyć. Może nawet zabierzemy jej dwójkę, chociaż są trochę starsi. To będzie taki rodzinny wypad.

Zoe zaschło w ustach.

- Musimy o tym porozmawiać. O tym, jak będziemy tłumaczyć chłopcom nasze nowe związki. Czy psycholog nie radził tego odłożyć, dopóki nie oswoją się z rozwodem? Jesteś pewien, że to właściwy moment? Czy ty w ogóle znasz jej dzieci?

- To już rok, Zoe. - David zbył jej słowa machnięciem ręki. - Pora iść naprzód. Poza tym nie podoba mi się sugestia, że to, co łączy mnie z Jennifer, jest tylko przelotnym romanssem. Łączy nas znacznie więcej.

Zoe odetchnęła, usiłując stłumić narastającą panikę. Nie czas i miejsce. Chłopcy pokrzykiwali, z bagażnika dobiegało

popiskiwanie, poza tym nie wzięła pod uwagę, że Alton Towers nastąpi tak szybko po Legolandzie. W domu panował wystarczający chaos i bez tego.

- Davidzie - powiedziała z naciskiem, na jaki potrafiła się zdobyć. - Musimy porozmawiać o tym poważnie, nie możesz stawiać mnie przed faktem dokonanym.

Problem tkwił w tym, że Zoe nie znosiła konfrontacji, a serce miała miękkie jak wosk. A David o tym wiedział - od zawsze. I właśnie dlatego postępował tak, a nie inaczej.

- Spencer, zejdź z ulicy! - zawołała. - Leo! Bądź ostrożny, proszę! Na chodnik! Obiema nogami.

Chłopcy łypali na nią figlarnie zza samochodu. Zoe czuła, co się święci. Jak mam się zajmować szczeniciem, mając na głowie pracę i dwójkę dzieci, krzyknęło coś w jej głowie.

Spojrzała na Davida.

- Nie dam sobie rady z psem. Dlaczego zawsze stawiasz mnie w sytuacji, kiedy to ja muszę powiedzieć „nie”? - Z trudem wydobywała głos.

- To nie mów - uciął David, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem. - Pa, chłopcy! Dacie tatusiowi buziaka?

- Mamo, patrz! - Leo wcisnął jej coś w ramiona i Zoe chwyciła odruchowo wiercącego się złocistego szczeniaka. Był ciepły, miękki i ciężki jak dziecko, sierść miał gładką niczym foka i wielkie brązowe oczy, które patrzyły na nią z bezgraniczną ufnością. Zaskomlił i spróbował polizać ją w rękę.

Co to, to nie, pomyślała, siląc się na obojętność. O nie. Nic z tego, ani mi się waż.

- Wabi się Toffi - oznajmił Leo. - Śliczny, prawda? Spencer zęgnął się z Davidem, który tulił go i czochrał mu włosy. Czujne ucho Zoe złowiło więcej obietnic, niż miała

ochotę usłyszeć. A obietnice bywają gorsze w skutkach niż nadmiar cukru.

Spojrzała na Leo, który stał w swojej za dużej kurteczce, patrząc na nią wyczekująco.

- Tak - odpowiedziała. - Jest śliczny. Ale pamiętasz, jak rozmawialiśmy o pieskach, że to nie było fair...

- Chodź pożegnać się z tatusiem! - David wyciągnął ręce i Leo popędził do niego, rzucając jej przez ramię skruszone spojrzenie.

Zoe pękało serce, gdy patrzyła, jak dzieci sumiennie odmierzają miłość, aby żadne z rodziców nie czuło się pokrzywdzone.

Szczeniak ponownie zaskomlił i Zoe zrozumiała, że niechcący za mocno go ścisnęła. Zastanawiała się, czy dobrze go trzyma. Ile mógł mieć tygodni? Nigdy nie miała psa. Jak należy się z nimi obchodzić?

Praktyczna część jej umysłu - ta, której istnienia nie podejrzewała nawet, zanim nie urodziła dzieci - od razu zaczęła kleić listę spraw. Czy przywieźli jakąś książkę o psach? Czy Toffi ma swoje rzeczy? Gdzie będzie spał? I zrozumiała, że furtka, przez którą miała nadzieję wcisnąć pieska z powrotem Davidowi, zamyka się nieodwołalnie.

Jej kochani chłopcy machali ojcu na do widzenia, z oczami pełnymi łez, których jeszcze nie starali się ukryć. David wskoczył za kierownicę i odjechał, zostawiając ją z dwójką hiperaktywnych dzieci, stertą prania i małym labradorem.

Poczuła na rękach coś ciepłego i mokrego.

Małemu labradorowi nie wytrzymał pęcherz.

Przeklęty David.

Rachel obudziła się, czując na twarzy poranne słońce i ciepły oddech. Stwierdziła, że leży w łóżku z Oliverem w swym londyńskim mieszkaniu. Dom i psy? To musiał być dziwny sen.

Serce wezbrało jej ulgą, lecz otworzywszy oczy, ujrzała przed sobą nie twarz Olivera, tylko podłużny, czarny nos oraz - gdy zaczęła widzieć wyraźniej - dwoje błękitnych oczu.

Klejnot stał oparty łapami o kołdrę i pochylał się nad nią niepewnie, cicho popiskując. Rachel uświadomiła sobie ze zgrozą, że ją lizał. Czują na nosie jego sierść.

- Faj! - Usiadła z rozmachem na łóżku, pocierając twarz, na co collie opadł z powrotem na cztery łapy i podreptał w kąt, skąd obrzucił ją pełnym wyrzutu spojrzeniem. - To. Jest. Ohydne. Rozumiem, że tak ma tu wyglądać pobudka? - zapytała.

Klejnot nie odpowiedział.

Rachel padła na poduszki i utkwiała niewidzący wzrok w wykonanym węglem portrecie ciemnowłosej piękności na ścianie naprzeciw.

Zdecydowanie nie była w Londynie. Tkwiła tu od trzech dni i jeszcze nie zabrała się do porządków, o przeczytaniu dokumentów dostarczonych przez Geralda nie wspominając. Zadzwoiła tylko do agenta nieruchomości, żeby wycenił dom, i okłamała Val, że poszukiwania cholernych srebrnych szczotek trwają w najlepsze.

Spojrzenie Rachel błędziło po pokoju. Zastanawiała się, czy obejrzenie solidnych wiktoriańskich mebli oraz niezwykłych bibelotów liczy się jako próba oceny ich wartości. Ponownie zapatrzyła się na portret femme fatale o ciężkich powiekach, z dumną miną pod kopułą zaczesanych do tyłu smolistych włosów.

Może go sobie zatrzymam, pomyślała. Gdyby się pomalowała, w zasadzie wyglądałyby jak dwie krople wody. Portret podpisano zawijaszem, a poniżej widniał napis „Paryż, 1966”.

Zastanawiała się, która godzina, chociaż było to i tak bez znaczenia, bo wszyscy tu wstawali z kurami. Poprzedniego dnia George Fenwick wpadł o dziewiątej rano i strzelił jej wykład o konieczności znalezienia podopiecznym nowych domów. Była w piżamie, ponieważ Megan wyciągnęła ją z łóżka, co bynajmniej nie skłoniło go do przełożenia wizyty.

- Przecież one tam zwariują - zaznaczył, pałaszując śniadanie, które Freda Shackley podstawiła mu pod nos. - Znasz się na public relations, co to dla ciebie taka mała kampania na ich rzecz? Dot byłaby szczęśliwa: nowe domy dla starych psów. Jesteś wykonawcą jej testamentu, to twój obowiązek.

- Zapiszę sobie - obiecała Rachel. Jej listy zdawały się nie mieć końca. Jednak albo leżała w odrętwieniu na łóżku, albo, na prośbę Megan, dreptała z Klejnotem po okolicznych polach, ćwicząc w myślach błyskotliwą, miążdżącą tyradę, którą powitałaby Olivera, gdyby kiedykolwiek miał czelność się tu zjawić.

Parę razy płakała. Klejnot siedział cicho, ale po powrocie do domu położył się obok, kładąc jej głowę na kolanach.

Z dołu dobiegło odległe szczenie i trzask frontowych drzwi, obwieszczający przybycie ochotników. W przebłyskach przyzwoitości Rachel wyrzucała sobie, że wszystko zwała na Megan. Jednakże widok rozgadanych ochotników w jaskrawych kurtkach i kaloszach, którzy przewijali się przez kuchnię, a następnie pędzili na błonia, skutecznie zniechęcał ją do wyjścia z pokoju. Byli tacy mili, tacy pełni współczucia - i tacy smutni, że zdruzgotana po śmierci ciotki nie ma siły wstać z łóżka.

To najgorszy aspekt jej oplakanego położenia: nie mogła nikomu się zwierzyć. Wszystko było zbyt skomplikowane.

Co gorsza, sama nawarzyła sobie tego piwa i kompletnie nie wzięła pod uwagę nieuchronnej katastrofy.

Dokąd ja mam pójść, rozmyślała, wpatrzona w splekany sufit. Co ja mam zrobić? I po co?

Ktoś cicho zastukał do drzwi.

- Rachel?

Była to Megan z filiżanką herbaty, którą co rano wywabiała Rachel z łóżka.

- Rachel, śpisz?

Klejnot wstał i bezszelestnie podszedł do drzwi, a następnie wyczekująco przekrzywił głowę, jakby dawał jej do zrozumienia, żeby się ruszyła, do jasnej cholery.

- Uhm, nie. - Głos jej się załamał i odkaszlnęła. - Ja właśnie... sprawdzam mejle.

Miała nadzieję, że Megan nie uzna za stosowne zauważyć, iż w domu nie ma internetu.

- Super! Przyniosłam ci herbatę. Chodzi o to, że przydałby się ktoś do pomocy przy spacerze - ciągnęła Megan.

- Jedna z dziewcząt zachorowała, a sama nie dam sobie rady ze wszystkimi. Pomożesz mi?

Rachel wsunęła się głębiej pod kołdrę.

- Kiedy coś się źle czuję...

- Serio?

- Mam... - Rachel rozpaczliwie potoczyła wzrokiem po pokoju. - Mam furę mejli do przeczytania. Uhm, no i pora się rozliczyć z fiskusem.

- Aha. - Za drzwiami zapadła cisza. - Ale świeże powietrze dobrze ci robi! I psy się ucieszą. Klejnotowi też przyda się dłuższa rundka, nie? Żeby przestał myśleć o... no wiesz.

Rachel prawie zobaczyła przez drzwi niezmordowany australijski uśmiech. Zobaczyła też, że na słowo „spacer” Klejnot zastrzygł uszami.

I tak muszę iść do banku, pomyślała. I wino się skończyło. Niech jej będzie.

- Dobrze - zawołała i odrzuciła kołdrę, żeby się nie rozmyślić. - Daj mi dziesięć minut.

Kiedy Rachel weszła do kuchni w najmniej eleganckich ciuchach, jakie udało jej się znaleźć w walizce, Megan śleczyła właśnie nad rozkładem dnia.

Na dużym stole znajdowała się największa kanapka z bekonem, jaką w życiu widziała, obok niej zaś siedziała Freda Shackley w kamizelce z wełnianą podszewką i różowych spodniach pod kolor. Powitała Rachel szerokim uśmiechem.

- Witaj, skarbie! - powiedziała. - Gotowa na drugą zmianę?

- Drugą? - upewniła się Rachel. Spojrzała na zegarek; dopiero minęła dziesiąta.

- O tak, Ted był ze mną w parku, a teraz wrócił do kawiarni. Twierdzi, że nie ma to jak przechadzka z samego rana - dodała Freda. - Ożywia umysł i ciało. Przysyła mnie na drugą, żebym nie plątała mu się pod nogami!

- A co z emeryturą? - spytała Megan, zaznaczając coś w grafiku.

- Mówi, że będzie odpoczywał, jak umrze. - Freda westchnęła. - Jego zdaniem w niedzielę ludzie chętnie przychodzą na jajecznicę. Kościół, majsterkowanie i tłuste śniadanko. Stały rozkład na niedzielę.

- Freda i Ted prowadzą włoską kawiarnię przy głównej ulicy - wyjaśniła Megan. - Tę z czarno - białą markizą. Kiedy została założona, Fredo?

- W tysiąc dziewięćset dwunastym. Jajecznicza Shackleyów przetrwała dwie wojny światowe. - Freda smętnie

wydeła usta. - Ale zastanawiam się czasem, jak to będzie, skoro nasza Lynne siedzi w Nowej Zelandii, otwierają nowy bar, a ja i Ted nie robimy się coraz młodszy.

- Wszystkich nas przeżyjecie - zapewniła Megan. - Tylko wam piesek potrzebny.

Rachel poczuła, że zanosi się na kolejną długą wymianę zdań.

- Żaden nie zastąpi naszego Pippina - oznajmiła kategorycznie Freda. - Kiedy się stoi nad grobem...

- Dałabyś już spokój. Rachel, to dla ciebie.

Rachel spojrzała na kanapkę i ślina napłynęła jej do ust.

- Dla mnie?

- Tak! Wszyscy weekendowi spacerowicze dostają kanapki, to część umowy. Przecież nie wyjdiesz z pustym żołądkiem.

- Megan odhaczyła listę i odłożyła trochę łakoci dla psów.

- Ty jedz, a ja wszystko ci wytłumaczę.

Rachel z wahaniem popatrzyła na talerz. Zwykle nie jadała chleba - a raczej w ogóle go nie kupowała - ale zapach był bardzo nęcący. Poza tym chyba nie zanosi się na to, aby w najbliższym czasie wciskała się w którąś z seksownych haleczek od Olivera. Niewiele myśląc, sięgnęła po kanapkę i z rozkoszą zatopiła w niej zęby. Jej kubki smakowe mało nie oszalały ze szczęścia.

- Weźmiesz dwa, dobrze? - podjęła Megan. - Z Klejnotem nie ma żadnego problemu, on nie potrzebuje smyczy, ale uczy Błyska i Dzwoneczek chodzenia przy nodze. To dla nich nowość, nigdy nie były wyprowadzane. Trafiły tu od jakiejś babki z Rosehill, zdaniem George'a to jakaś DH.

- DH?

- A, wybacz. Domorosły hodowca.

Freda prychnęła i spojrzała na Rachel, a jej twarz skrzywiła się w wyrazie dezaprobaty.

- Zobaczyłabyś niektóre kruszynki... w życiu nie były na spacerze. Trzymają je tylko w jakimś chlewie, przywiązane jak maszyny do rodzenia. Dałabym ja...

- Fredo, nie przestrasz jej! - upomniała Megan. Kątem oka zerknęła na Rachel. - Rzadko mamy takie poważne przypadki. Z tymi dwoma nie jest tak źle; to westies, George przywiózł je parę dni temu. Czasem ktoś dzwoni do niego, że hodowca chce się pozbyć psa... niestety, nie wszyscy właściciele są miłośnikami zwierząt.

- Przywozi je tutaj? - I ma czelność pouczać mnie, jak prowadzić interes i nie ulegać sentymentom, pomyślała. Co za tupet.

- Tak, Dot zawsze je przygarniała. Bardzo te biedactwa kochamy, potrzebują tylko nieco więcej wyczucia niż pozostałe przybłądy. Gotowa do wyjścia?

Rachel spostrzegła, że pochłonęła kanapkę w trzech kęsach. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, jaka jest wygłodzona, ale bądź co bądź ostatnio jadła do syta... dziesięć dni temu. Zjadła wtedy szybką kolację tuż przed wizytą Olivera, który zjawiał się u niej, wyzwalając lawinę koszmarnych zdarzeń.

- Zaraz przygotuję następne - obiecała Freda, kładąc na stole egzemplarz czasopisma „Psi świat”, komórkę oraz dzbanek z herbatą. - W razie czego będę dzwonić. Mam twój numer.

Spojrzała na Rachel, która chciała odpowiedzieć, że nie naładowała telefonu, ale Megan odłączyła coś od prądu i wcisnęła jej w rękę.

- Naładowałam - oznajmiła z prostotą. - Taki sam jak mój. To ci dopiero zbieg okoliczności, co?

Rachel włączyła telefon i na wyświetlaczu pojawiła się informacja. Piętnaście nieodebranych połączeń, dziesięć SMS - ów.

Właśnie dlatego wołała zostawić go w spokoju.

- Uhm, dzięki.

- Zmykajcie! - powiedziała Freda. - Bo słońko zajdzie!
Megan podała Rachel garść przedmiotów.

- Torebki na odchody, przekąski, gwizdek, smycz i słodczyce dla ciebie. - Uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Witaj w świecie psich spacerów!

W sadzie powietrze było rześkie, na ogołoconych gałęziach drzew zieleniły się blade pączki, a błękitne niebo skąpane było w blasku słońca.

Zgodnie z zapowiedzią Megan świeże powietrze naprawdę okazało się zbawienne, i choć z początku Rachel powłóczyła nogami w zapasowych kaloszach Dot, konieczność dotrzymania kroku dziarskiej Megan podziałała na nią wręcz energetyzująco. Zupełnie jakby jej mózg raptem przestawił się na inne obroty i po raz pierwszy od wielu dni jedna myśl prowadziła do następnej, zamiast bezwładnie kręcić się wokół własnej osi.

Przede wszystkim skupiała się na tym, aby nie podeptać dwóch nerwowych białych terierków, ale dobre i to na początek.

Cztery Dęby stały na szczycie wzgórza jak żywcem wyjęte z dziecięcego obrazka - doskonale symetryczna bryła, z czterema dużymi oknami w białych framugach, dwoma piętrami, parterem i suteroną, okrągłym wycięciem ponad czerwonymi drzwiami od frontu oraz pędami bluszczu uczepionymi fasady. Roztaczał się stąd malowniczy widok na Longhampton i jego skromną krzyżówkę uliczek; gdy wychodziły z sadu na ścieżkę, Rachel ujrzała z daleka ponad dachami iglicę wiktoriańskiego ratusza.

Z tego, co pamiętała, miasteczko tętniło życiem, lecz niebawem otoczył je prawdziwie wiejski krajobraz: droga za furką prowadziła w jedną stronę do centrum, a w drugą w

gęsty zagajnik, za którym rozciągały się pastwiska oraz niezbyt strome pagórki.

- Przeważnie robimy pętlę przez las, potem do miasta, wokół parku i z powrotem - oznajmiła Megan, ruszając dróżką obrośniętą jarzębiną i janowcem. Prowadziła cztery psy na dwu podwójnych smyczach, jakby powoziła rydwanem. - Jeśli chcesz, ja porzucam piłkę, a ty możesz załatwić swoje sprawy. Co powiesz na małe zakupy? Część sklepów jest dzisiaj otwarta.

- Dzięki. - Rachel spojrzała na swoje czarne spodnie, przezornie upchnięte w kalosze. - Przydałoby mi się parę rzeczy. Większość moich ubrań nie nadaje się na piesze wędrówki.

- Uprzedzam, że naszym sklepom daleko do londyńskich - uśmiechnęła się Megan. - Może poradź się George'a, miał na ten temat dużo do powiedzenia.

- Nie mam zamiaru pytać o zdanie mężczyzny, który nosi czerwone spodnie - oświadczyła Rachel. Wiosenne powietrze wyraźnie poprawiło jej humor. - Zakaz ich noszenia obowiązuje od tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku, prawie w całej Anglii.

Megan zachichotała.

- Powiem mu to, mogę? Pora, żeby ktoś pobił go jego własną bronią. Fuj, Dzwonek! Jazda mi stamtąd. Tylko delikatnie, Rachel.

- Jego własną bronią? - Rachel wyciągnęła Dzwoneczka z krzaków, przerażona, że skreśli mu kark. - Chcesz powiedzieć, że jestem tak chamska jak on?

- Ależ skąd! To znaczy, trochę. Och, George jest okropny. Pewnie dlatego że mieszka sam. - Megan urwała, czekając, aż Rachel zapanuje nad terierem. - Ale powinnaś zobaczyć Fredę, kiedy dokucza jej na temat braku manier Pippina: mało nie pęka ze śmiechu!

- Pewnie dlatego że jako jedyna pamięta zamierzchłe czasy, kiedy nieokrzesany dowcip był w cenie - stwierdziła Rachel. - Powinien wyciągnąć wnioski z tego, że jest sam.

- Hm, to akurat jego wybór. Wierz lub nie, ale babki za nim szaleją - odrzekła Megan. - Niektórym ten jego łajdacki urok bardzo pasuje; to nasz miejscowy Daniel Craig. Ma własną praktykę, a klientów mu nie brakuje, więc wielbicielek ma na pęczki.

Rachel prychnęła z rozbawieniem.

- Daniel Craig! Co on sobie wyobraża?

- Nie on, tylko inni, zwłaszcza odkąd zjawił się na świątecznym podwieczorku pani Merryman w smokingu. Cóż, na bezrybiu i rak ryba. - Megan przystanąła, kładąc dłoń na ramieniu Rachel, i ostrzegawczo wytrzeszczyła oczy. - Posiedzisz tu ponad rok, a zobaczysz w Tedzie Shackleyu Paula Newmana. Mówię ci, pora zainteresować się starszymi facetami.

Rachel roześmiała się serdecznie, zapominając na chwilę, że wcale nie ma powodu do śmiechu. A kiedy ją zakłuło - no bo przecież sama latała zawsze za starszymi facetami, wierząc naiwnie, że można na nich polegać - rozbawienie nie minęło i poczuła nagłą ulgę. Megan nie wiedziała o Oliverze. Rachel nie musiała go tłumaczyć, pomijać milczeniem ani za niego przeproszać, jak robiła przed przyjaciółmi w Londynie, nigdy nie mówiąc całej prawdy.

Olivera nie ma. Może zacząć od nowa. W pewnym sensie czuła, jakby zdjęto jej z pleców wielki ciężar.

Uśmiechnęła się i przygryzła wargę, po czym ruszyły ścieżką w dół.

Było dość stromo i Rachel martwiła się o krótkie nóżki westies, ale Klejnot zdawał się trzymać w szyku pozostałe psy, nie pozwalając im wybiec zbyt daleko naprzód. Wyglądało to uroczo, gdyż prowadził je za sobą jak owieczki.

- A więc jak długo zamierzasz zostać? - spytała Megan. - Nie chcę być wścibska, ale w którymś momencie przydałoby się skoczyć do supermarketu.

- Wiem - odrzekła Rachel. - Są też rachunki do zapłacenia. Rozumiem, że mam poczekać do czasu uwierzytelnienia testamentu, a potem ubiegać się o zwrot kosztów? - Zapomniała o smyczy i nerwowo przeczesła palcami ciemne włosy, mało nie zbijając przy tym z nóg zaskoczonygo teriera. - Wybacz, ale przez te formalności tracę głowę. Prawdę powiedziawszy, nie mam pojęcia, od czego zacząć.

- Jeśli potrzebujesz pomocy, wal śmiało - oznajmiła Megan. - Ale fakt faktem, przydałoby się podreperować budżet schroniska, mleko i chleb też się kończą. Trochę to krępujące, ale nie dostałam pensji za zeszły miesiąc i jestem splukana.

Rachel zamarła, przerażona własnym egoizmem.

- Przepraszam cię, Megan. Wstąpię do banku i wypłacę trochę gotówki.

Chyba mi wystarczy, pomyślała, obliczając w myślach. Pomiędzy rzuceniem pracy a wiadomością, że na spadek nie ma co liczyć przed uwierzytelnieniem testamentu, kwestia utrzymania jakby zeszła na dalszy plan. Oszczędzanie nie było jej specjalnością; żywot „wesołej singielki”, którym rekompensowała sobie komplikacje związku z Oliverem, pochłaniał znaczną część jej zarobków.

- Super! Czyli jak długo zamierzasz zostać? Miesiąc? Kilka miesięcy? - Cmoknęła i mieszaniec na najdłuższej smyczy cofnął się z powrotem do szeregu. - Na zawsze?

- Sama nie wiem - odpowiedziała Rachel.

- Rozumiem, że masz mieszkanie w Londynie, tak? - Megan mówiła swobodnym i tak życzliwym tonem, że Rachel zdobyła się na szczerść.

- Właściwie to nie, nie mam mieszkania. Wynajmowałam, przed wyjazdem oddałam klucze. Widzisz, mieszkanie należało do firmy, a ja właśnie rzuciłam pracę. To... skomplikowane.

Megan z zaciekawieniem podniosła wzrok i na widok jej przyjaznej twarzy zwierzenia popłynęły strumieniem. Rachel nie mogła nikomu o tym powiedzieć, nawet matce. Nawet jej najlepsza przyjaciółka Ali, która z pozycji szczęśliwej mężatki ostrzegała ją, że tak właśnie będzie, usłyszała mocno okrojoną wersję zdarzeń.

- Przed dwoma tygodniami rozstałam się z facetem. My...
- Rachel odruchowo pominęła drastyczne szczegóły, przedstawiając sytuację w korzystniejszym świetle; ot, skrzywienie zawodowe - ...byliśmy ze sobą długi czas, pracowaliśmy w tej samej agencji. Oliver był wspólnikiem, a ja dyrektorem. Mieszkałam nad siedzibą firmy i czynsz był znośny, ale po naszym rozstaniu musiałam się stamtąd wyrwać. I to natychmiast. Chciałam wyjechać tam, gdzie Oliver mnie nie znajdzie. Potem wynikła ta historia ze spadkiem i pomyślałam...

- O mój Boże. - Megan przystanąła, a psy pobiegły dalej na rozwijającej się smyczy. - Bił cię? - Z zatroskaną miną chwyciła Rachel za rękę. - Możesz mi powiedzieć, nie pisnę ani słoweczka. Ale jeśli cię szuka, może lepiej uprzedzić Fredę i pozostałych, żeby mieli oczy i uszy otwarte? I powinnaś zgłosić to na posterunku; na pewno cię wysłuchają, nie to co w Londynie.

Kiedy do Rachel dotarło, o czym mowa, ciarki przeszły jej po plecach. Przecież nie to miała na myśli! Wolą zatrzeć za sobą ślady, żeby Oliver nie robił jej wyrzutów z powodu bałaganu, jaki po sobie zostawiła; obawiała się też, że poleci do niego na pierwsze skinienie, jak ostatnia idiotka, którą była tyle czasu.

- Nie, nie, to nie tak - zaproponowała. - On był... - Umilkła, szukając odpowiednich słów.

Sęk w tym, że sytuacji nie da się bardziej wyretuszować, pomyślała z goryczą. Oliver Wrigley był jej facetem, ale nie miała do niego żadnych praw. Nie mogła przecież stracić tego, co do niej nie należało.

Od 1989 roku Oliver był mężem pani Kath Wrigley.

Rola kochanki nie stanowiła dla Rachel powodu do dumy. Ale kochała go, naprawdę. Oczywiście traktowała z przymrużeniem oka jego opowieści o obojętności Kath, o ich nieudanym małżeństwie osadzonym jedynie na wspólnych kredytach i opłatach za szkołę, lecz łączyło ich coś, czemu nie mogła się oprzeć, on zaś przysięgał, że tylko przy niej żyje pełnią życia. W rozmowach z Ali - która jako jedyna знаła szczegóły - upierała się, że to romans z prawdziwego zdarzenia, układ dający jej wolność i zwalniający z poczucia winy, nieuchronnego, gdyby rozbiła rodzinę. Twierdziła, że Oliver kocha ją z całego serca, Ali zaś kiwała głową i nic nie mówiła, co było Rachel w pewnym sensie na rękę.

Przez długi czas dostawała dokładnie to, co chciała. Z Oliverem rozumieli się bez słów i spędzali razem upojne noce, nigdy nie widział jej skacowanej, a w niedziele miała święty spokój. W końcu przestała słuchać wewnętrznego głosu, który nawoływał ją do opamiętania. Nigdy nie poprosiła, żeby zostawił Kath, w obawie, że usłyszy odpowiedź, którą z góry znała, i latami odpowiadało jej to w zupełności. Dopóki nie mogła zignorować tego, co miała przed nosem.

Ali uprzedzała, że to się tak skończy, dwa miesiące po tym, jak się zaczęło. Oliver miał zawsze wracać do Kath. Bez względu na nudne pożycie i brak porozumienia to ona była jego żoną. A teraz Rachel musiała za karę taić ból, podobnie jak wcześniej nie zdradzała się ze swoim romansem.

- Co się stało?

Megan patrzyła na nią, myśląc sobie pewnie Bóg wie co, a Rachel zapragnęła nagle paru słów otuchy. To było silniejsze od niej, zbolełe serce domagało się współczucia. Owszem, była skończoną świnią, lecz rujnując czyjeś życie, koniec końców zrujnowała własne. I zachwiała się w swoim postanowieniu.

- Odkryłam, że spotyka się z inną - wyznała. Faktycznie, Oliver spotykał się z własną żoną i kłamał Rachel prosto w oczy. Nie zabiera się żony na romantyczny weekend do Paryża, mydląc oczy kochance delegacją w Glasgow. Rachel miała dość poczucia humoru, aby dostrzec ponury komizm sytuacji.

- Jak na to wpadłaś?

- Zobaczyłam rachunek. A konkretnie rachunki. Opróżnił portfel na moim biurku i... - Rachel zgrzytnęła zębami na samą myśl. - Zawsze wkładał wszystko do niszczarki, mnie też kazał. Zobaczyłam rachunek z paryskiego hotelu. Powiedzmy, że zamawiał dużo do pokoju.

Kropła przelała czarę w którąś niedzielę. Rachel od rana była nie w sosie: dokuczalo jej napięcie przedmiesiączkowe, właśnie odkryła zwiotczalą skórę na dekolcie i generalnie zaczynała mieć dosyć samotnych niedziel. Pozorna niezależność ciążyła jej na tyle, że poczęła dostrzegać drugą stronę medalu. Nieoczekiwane przybycie Olivera w pierwszej chwili bardzo ją ucieszyło - odebrała je jako znak, że może ma dla niej więcej czasu.

Oddech uwiązał Rachel w gardle. Myliła się. Drań nie powiedział nic. Tyle tylko, że mu przykro. A potem znowu nic. Nic. Po dziesięciu latach życia, które mu dała, dziesięciu latach, w ciągu których on nie ofiarował jej zupełnie nic. A wyraz jego twarzy dowodził wszystkiego, czego tak usilnie nie przyjmowała do wiadomości. Jakby prawie było mu jej żal.

To dlatego odesłała klucze do Kath. Z informacją, że jeśli Oliver życzy sobie odzyskać rzeczy - zapasowe ubrania, dzinsy, na które jest za stary, koszule, które Rachel wysyłała do pralni chemicznej, gdyż prasowanie było domeną żony - niech któreś z nich przyjdzie i je zabierze.

- O Jezu - mruknęła pod nosem. O nie, nie może wrócić. Odrętwienie miało, stopniowo ustępując miejsca gryzącemu poczuciu winy wobec tego, na co naraziła Bogu ducha winną Kath.

Megan wzięła ją pod rękę, błędnie odczytując jej reakcję.

- Tak mi przykro, Rachel - powiedziała. - Do tego jeszcze śmierć Dot... Przeszłaś istną gehennę! Czułam, że coś jest na rzeczy. Moja mama zachowywała się tak samo, kiedy tata odszedł, chodziła jak żywy trup! Całymi dniami spała, gadała tylko do psów...

- Możemy porozmawiać o czymś innym? - zapytała Rachel, próbując nadać głosowi opanowany ton. - To... to jest... niezbyt interesujące.

- Jasne! - Megan cmoknęła na Klejnota i znów ruszyły przed siebie. Na skraju zagajnika pojawiły się wesole żółte strzałki z informacją turystyczną; znajdowały się na obrzeżach parku miejskiego. Minęły jednego czy dwóch innych spacerowiczów, którzy posłali im porozumiewawcze uśmiechy, a psy obwąchały sobie zadki. - O czym chcesz rozmawiać? O psiarni?

- Czemu nie? - odpowiedziała Rachel. Podejrzewała, że tego tematu nie uniknie. - Opowiedz mi o psach.

Żywiołowa opowieść Megan towarzyszyła im przez całą drogę przez las, aż do parku w centrum miasteczka, gdzie starsi ludzie siedzieli parami na ławkach, a na klombach zólcili się żonkile.

Rachel usiłowała nie patrzeć na tych pierwszych; w Londynie był to niecodzienny widok. Tymczasem tutaj byli

oni jak podpórki na książki, mimo podeszłego wieku wciąż trzymali się za ręce.

- ...banku? Rachel, słuchasz mnie? Pytałam, czy chcesz wstąpić do banku?

Rachel ponownie skupiła uwagę na Megan, która przystanęła obok z dziwnym urządzeniem do rzucania piłki w ręce. Wyglądało jak wielki plastikowy język.

- Jeśli potrzebujesz pół godzinki, ja zajmę się chłopakami - dodała. - Mamy tu tylko dwie główne ulice; spodnie powinnaś znaleźć w bocznych uliczkach obok ratusza, są tam ze dwa nowe butiki. - Wyciągnęła rękę po smycze. - Klejnot, siadaj i czekaj.

Owczarek spojrział na Rachel, po czym grzecznie usiadł przy nodze Megan.

- Każ mu zaczekać - dorzuciła. - To pomoże wam się zbliżyć.

- Myślisz, że on w ogóle zwraca na mnie uwagę? - spytała Rachel. - Przecież nie czytał testamentu, skąd ma wiedzieć, że należy do mnie? Odkąd tu jestem, wcale się nim nie zajmuję. Włóczy się po domu i nic więcej.

Twarz Megan złagodniała.

- On cierpi, Rachel. Stracił jedyną właścicielkę, a nie jest już pierwszej młodości. Ma siedem lat, czyli jakby miał... coś koło pięćdziesiątki. Był przy niej, kiedy umarła; przyleciał tu, żeby mi powiedzieć, zupełnie jak Lassie. Biedaczek. Rachel posmutniała i poczuła się niezręcznie.

- Ja mu jej nie zastąpię.

- Psom wystarczy spacer i trochę czułości - upierała się Megan. - Oraz dźwięk twojego głosu. No dalej. Każ mu zostać.

Rachel spojrzała niepewnie na owczarka, który nastroszył włochate uszy i zamiótł ogonem ziemię, o mało nie przewracając mniejszego kolegi.

- Zostań - powiedziała bez przekonania.

- Pokaż mu, gdzie ma siedzieć. Rachel wskazała na stopy Megan. - Zostań tutaj.

Klejnot energiczniej machnął ogonem i oparł głowę na łapach, dalej wpatrzony w jej twarz. Czekał, aż się uśmiechnie.

Był taki wdzięczny za okazaną mu uwagę, tak usilnie chciał się przypodobać. Coś drgnęło w odrętwiałym sercu Rachel. Był spragniony jej uwagi. Jej aprobaty. Chciał należeć do kogoś i być kochanym.

Pozostałe psy rozpięzchły się dookoła po trawie, podekscytowane wolnością, i Rachel podjęła decyzję: od dziś bierze się do szukania im domów, tak jak radził George. Nie chodziło tylko o pieniądze; smutne psiaki potrzebowały ludzi, którzy dadzą im miłość. Jeśli to przez nią miałyby utknąć w schronisku, poczucie winy chyba nie da jej żyć.

Potem może sprzeda dom i psiarnię z czystym sumieniem. I woli Dot chyba stanie się zadość.

- Grzeczny piesek! - powiedziała do Klejnota. - Grzeczny piesek!

- Widzisz! Grzeczny piesek! I grzeczna dziewczynka! - dodała Megan i postukała w zegarek. - Zobaczysz, jeszcze trochę i będziesz je tresować! Do zobaczenia o jedenastej? Tak? Jazda!

Rzuciła pierwszą, przeżutą piłkę tenisową na trawnik i Rachel nie była pewna, czy ostatnie słowo skierowane było do niej, czy do psów, które pognały w ślad za ulubioną zabawką.

Kiedy chłopcy pakowali się w poniedziałkowy ranek do szkoły, szczęśliwie będąc poza zasięgiem słuchu, Zoe przełknęła łyk wrzącej kawy, aby nadać głosowi chrapliwy ton, i zadzwoniła z kuchni do zakładu. Lepiej, żeby nie słyszeli, jak łże do słuchawki, mimo że czyniła to w słusznej sprawie.

Czekając na połączenie, siedziała ze wzrokiem utkwionym w prowizoryczne legowisko z kartonu, w którym Toffi właśnie ucinał sobie dopiero drugą drzemkę w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu wyczerpujących godzin, które kosztowały ją niemało zdrowia i nerwów.

Przynajmniej miała nadzieję, że śpi. Możliwe, że tylko przymknął oczy, obmyślając kolejne dzieło zniszczenia. Trudno powiedzieć, kto był najbardziej podekscytowany - Toffi, Leo czy Spencer, we trójkę tworzyli bowiem istne tornado. Salon wyglądał, jakby przeszedł po nim huragan, i wszędzie wałały się strzępy papierowych ręczników, pamiątki po licznych „wypadkach”, które musiała wycierać od chwili jego przybycia.

Któż mógłby zgadnąć, że mały piesek może mieć taki pojemny pęcherz?

- Cześć, Hannah! - wychrypiała, kiedy w słuchawce zabrzmiał głos kierowniczkini. - Tu Zoe, chyba dzisiaj nie dam rady przyjść. Miałam koszmarny weekend, od dwóch dni nie zmrużyłam oka...

Toffi poruszył się w kartonie, otworzył jedno oko i na widok Zoe pisnął ze szczęścia. Przerazona patrzyła, jak wbija zęby w krawędź „posłania”.

- Faktycznie masz okropny głos, Zoe - odpowiedziała Hannah. W tle rozbrzmiewały odgłosy porannej krzątaczki, huczało radio. - Mam zapisać twoje klientki na inny dzień?

- A mogłabyś? To na pewno tylko infekcja, ale nie chcę nikogo pozarażać. - Zoe sięgnęła po puszkę z ciastkami, śledząc ruchy psa i łowiąc jednym uchem odgłosy z góry. Chłopcy na wyścigi szorowali zęby, żeby jak najszybciej dorwać szczeniaka w swoje ręce. - Jutro rano dam ci znać, jak się czuję. To na razie, pa. - I trzasnęła słuchawką, zanim wypowiedziane zdziwionym głosem życzenia powrotu do zdrowia zdołały wybrzmieć do końca.

W lśniących drzwiach piekarnika dostrzegła odbicie swojej skruszonej twarzy i poczuła się fatalnie.

Od lat nie była na chorobowym; biegała do pracy w ferworze rozvodu i ząbkowania, w deszczu i śnieżycy. Są mi winni parę dni, usprawiedliwiała się w duchu, ale wciąż gryzło ją sumienie.

Na dodatek była wykończona. Ząbkowanie i dziecięce koszmary to jedno, ale całonocne wycie to już zupełnie inna sprawa. Wychyliła się na korytarz.

- Spencer! Co wy tam robicie? Szybciej, spóźnimy się! Na dźwięk jej podniesionego głosu Toffi znów zaczął piszczeć i Zoe dostała gęziej skórki.

Spojrzała na niego i zaskomlił.

Wiedziała, co to znaczy, i niewiele myśląc, porwała pieska z podłogi, błyskawicznie przesadziła kuchnię i wystawiła go za próg. Większość strumienia i tak poleciała na nią. Następnie podeszła do zlewu i po raz setny umyła ręce.

- Grzeczny piesek - oznajmiła stanowczo, kiedy Toffi obwąchiwał schodek. - Tak ładnie zrobił siusiu.

Nauczyła się tego w ciągu dziesięciu minut, jakie zdążyła poświęcić na sprawdzenie tematu w Internecie. Wyprowadzać psa co godzina, chwalić, gdy załatwi potrzebę, i używać jakiegoś mało kłopotliwego zwrotu, który kojarzyć mu się będzie z tą czynnością. Na razie Toffi załatwiał się, ilekroć ktoś wrzasnął: „Ach, na miłość boską, tylko nie tu!”.

Zoe i Toffi wymienili podejrzliwe spojrzenia.

- I gdzie ja cię zostawię? Muszę jechać po zakupy, bo twój głupi pan oczywiście nie dał ci niczego - powiedziała. Ile czasu szczeniak może w ogóle spędzić sam?

Łoskot na schodach zapowiedział rychłe przybycie chłopców. Zoe usłyszała, jak Leo krzyczy: „Toffi! Toffi!”, na co piesek mało nie oszalał ze szczęścia. Podniosła go, żeby nie wpadł im pod nogi.

- Musimy zapisać cię na tresurę - powiedziała do wilgotnego noska. - I twoich braci też. Założę się, że wyszłoby to im na dobre.

Umilkła, kiedy chłopcy wpadli do kuchni, rozczochrani i roztaczający wokół zapach pasty do zębów. W przypadku Leo większość pasty znajdowała się na brodzie, ale Zoe doceniła jego dobre chęci.

- Toooooffffffiiii! - pisnął Spencer, porywając psa, który zawisł z tylnymi łapami w powietrzu i odsłoniętym pulchnym brzuszkiem. - Możemy zabrać go do szkoły, mamó? Proszę, proszę!

- Tak! - przyłączył się Leo, usiłując wyrwać pieska bratu, który podniósł go wysoko do góry i Leo mógł dosięgnąć tylko ruchliwego ogona. - Chcę pokazać go pani Barratt!

- Nie możecie zabrać psa do szkoły. - Zoe wyciągnęła rękę i podtrzymała psi zadek. Toffi nie zwrócił na to uwagi, bez reszty pochłonięty lizaniem twarzy Spencera. - Podtrzymaj mu nogi, Spencer, bo zrobisz mu krzywdę! Poczekaj na was w domu.

- Ale prooooszę! - Spencer oderwał wzrok od szczeniaka i utkwiał w matce nieruchome spojrzenie, które tak bardzo przypominało jej zaaferowanego Davida. - Tata mówił, że fajnie byłoby pokazać go w klasie. Moglibyśmy zrobić pogadankę o pieskach.

- I opowiedzieć o sprzątaniu i karmieniu?

- Tak - odparł Spencer. - No chyba.

Zoe aż wzdrygnęła się na jego ton; był bezczelny, prawie wyzywający. Spencer zawsze był aniołkiem, nawet po urodzeniu braciszka, który pochłoniął znaczną część jej uwagi, jednakże ostatnio, odkąd zaczęli spędzać weekendy z Davidem, coraz częściej pokazywał rogi, jakby sprawdzał, na ile matka mu pozwoli.

- Hej! - zawołała. - Dosyć tego. Pies to nie tylko zabawa. Czy ty w ogóle masz pojęcie, jaki on będzie duży? I że codziennie będzie musiał się wybiegać? Czy tata ci o tym powiedział?

- Słyszałem w nocy, jak płacze - wtrącił Leo. - Chyba powinien spać u mnie.

- Jest samotny - oznajmił Spencer z miną znawcy. - Tęskni za mamą. Może powinniśmy dokupić drugiego? - dodał, jakby właśnie na to wpadł. - Żeby dotrzymał mu towarzystwa?

- Tak! - wykrzyknął Leo. - Dwa pieski! Toffi i... Lizak!

- O nie! - Zoe wzięła się pod boki, co nadawało jej bardziej stanowczy wygląd, nawet gdy nie czuła się stanowcza. Jej buty nadal zalatywały psim moczem. - Jeszcze nie zdecydowałam, czy Toffi z nami zostanie. To tylko... - Boże, ale z niej mięczak - ...tylko próba.

- Ale mammo! - Chłopcy podnieśli wrzask i Zoe omal nie straciła swej bohaterkiej pewności siebie w obliczu dwu błagalnych twarzyczek, o czekoladowych oczach i kłapniętych uszach szczeniaka nie wspominając. Toffi wyglądał jak żywcem wyjęty z książki dla dzieci.

Dwa uparciuchy i szczenię przeciwko znękaney, sfrustrowanej matce - trudno nazwać to uczciwą rozgrywką.

Zoe kurczowo trzymała się swojej pozycji. A co z argumentami, które przemawiały dotąd przeciwko posiadaniu

psa, szepnął głosik w jej głowie. Co się z nimi stało? Brak czasu? Bałagan? Praca na pełen etat?

Jakby czytając w jej myślach - nie zdziwiłaby się wcale, gdyby tak było - Spencer w mgnieniu oka przeistoczył się ze zbuntowanego siedmiolatka we wzór sumienności.

- Będę zajmował się nim cały wieczór - obiecał. - Posprzątam mu legowisko i w ogóle. Proszę, mamó! Ja cię tak bardzo proszę!

Zadzwoił budzik, który Zoe nastawiała co rano przed wyjściem do szkoły.

- Musimy iść - oznajmiła przerażona, że będzie ostatnią matką przy bramie. Znowu. Nie ma rady, Toffi musi zostać przez godzinę w zamkniętej kuchni. Ile szkody może narobić? Wszystkie gniazda były jeszcze zabezpieczone przed dziećmi. - Odłóż pieska do legowiska, proszę. Nie, Leo, nie podnoś go. Musi zdrzemnąć się po śniadaniu. Buty założone? Kurtki? Wzięłaś trampki na gimnastykę, Spencer?

Spencer podreptał po tornister, ale Leo dalej klęczał przy legowisku, całując psa i szepcząc mu coś do aksamitnego ucha.

- Idziemy, Leo. - Zoe w popłochu rozejrzała się za kluczami. - Już jesteśmy spóźnieni.

- Taki jestem szczęśliwy, mamusiu - oznajmił.

- Dlaczego, skarbie?

- Bo mamy psa! - Okrągła twarz Leo wyrażała czysty zachwyty. - Tata mówił, że każesz nam go oddać, ale nie kazałaś, tak się cieszę! Pozwolisz mu zostać, prawda?

O Boże, pomyślała Zoe. Nawet Leo wie, jaki ze mnie mięczak. A nie ma nawet sześciu lat.

Wysadziła chłopców przy szkole i pojechała czym prędzej - na wysokości salonu kurcząc się za kierownicą - do wielkiego sklepu zoologicznego na obrzeżach miasta, snując po drodze w myślach mrozące krew w żyłach wizje zniszczeń

dokonywanych przez pozostawione samopas szczenię. Klapki i pilota już miała z głowy.

Zaparkowała samochód i po raz dziesiąty od powrotu chłopców spróbowała połączyć się z Davidem, ale nie odebrał. Nawet jej to nie zdziwiło; ostatnimi czasy często bywał na „zebraniach”. Zawsze tak się zachowywał, ale Zoe zaczynała podejrzewać, że po prostu zmienił numer.

Znieruchomiała, czując w brzuchu pierwsze ukłucie paniki. Czas leci. Od czego by tu zacząć? Do kogo zwrócić się o pomoc? Nikt z jej znajomych nie miał psa, zresztą tak naprawdę nie chodziło o psy, tylko o nią, Davida i chłopców.

Wzięła trzy głębokie wdechy, żeby stłumić narastającą histerię. Ostatnio zdarzało jej się to coraz częściej, zwłaszcza odkąd przestała traktować zachowanie Davida jako chwilowy wybryk i musiała przejść nad nim do porządku dziennego. Zachowywanie zimnej krwi przy chłopcach też sprawiało jej coraz większą trudność. Ale nie miała innego wyjścia. Musi sprawiać wrażenie, że nad wszystkim panuje, tak jak kiedyś.

Opuściła lusterko i spojrzała na siebie, jakby patrzyła na przyjaciółkę.

- Kup tylko to, co w tej chwili niezbędne - zakomunikowała swemu zatroskanemu odbiciu. - Wystarczy parę drobiazgów. Potem zadzwonisz do Davida, powiesz mu, że nie dajesz rady i...

Nie dokończyła. Muszę przestać do siebie gadać, pomyślała. Szeroko rozstawione brązowe oczy w lustrze straciły błędny wyraz i spojrzały na nią z czymś na kształt współczucia. Zarówno ona, jak i osoba w lustrze wiedziały doskonale, że nie będzie żadnego „i”.

Chłopcy marzyli o psie. Byłoby niesprawiedliwie znów pozbawiać ich tej radości. Jeśli każe Davidowi go zabrać, wyjdzie na wiedźmę. Nie było rady.

Zaraz po wejściu do sklepu uwagę Zoe zwróciło czasopismo z „niezawodnym poradnikiem dla właścicieli szczenięcia”: był to pierwszy rzetelny zbiór informacji, z jakim miała do czynienia od chwili, gdy Toffi zjawił się w domu, toteż wrzuciła do koszyka wszystko z zawartej w nim listy. Obroża i smycz, karma dla szczeniąt, koszyk, poduszka do koszyka, kratka do nauki czystości, gryzaki, zabawki oraz przytulania, żeby nocą nie było mu smutno.

Piętnaście minut później stała przy kasie i patrzyła ze zgrozą na rachunek. A jeszcze nawet nie byli u weterynarza! Przy takich kosztach dzieci to pryszcz, pomyślała, zastanawiając się, czy aby na pewno Toffi potrzebuje śpiworka. Uświadomiła sobie z przykrością, że jednak musi zadzwonić do Davida i upomnieć się o dodatkową kwotę na pokrycie wszystkich potrzeb. O ile zdoła go złapać.

Przypomniała sobie, jak rozdzierająco wyglądał Toffi, gdy obudziwszy się bladym świtem, zastała go z głową na swoim ramieniu; sapał jej do ucha, wtulony w nią całym ciałem, jak gdyby była jego zaginioną mamą. Leżeli razem na sofie, po tym jak zeszła w nocy na dół zwabiona jego żalnym zawodzeniem. Był tak mięciutki i bezbronny, że wybaczyła mu plamę na dywanie.

Owszem, jest słodki, pomyślała, wciskając rachunek do torby i popychając wózek w kierunku wyjścia. Przecież da się wytresować labradora, prawda? Są przewodnikami, opiekują się niepełnosprawnymi. Wystarczy tylko trochę dyscypliny.

Włączyło jej się przypomnienie w komórce. Godzina prawie minęła.

- O, ma pani szczeniaka? - zagadnęła młoda Australijka przy tablicy ogłoszeń. Trzymała na smyczy pięć albo i sześć psów, które zachowywały się bardzo grzecznie mimo tylu atrakcji w zasięgu wzroku.

Zoe spojrzała na swoje zakupy.

- W zasadzie to chomik. Z ambicjami.

Dziewczyna parsknęła śmiechem, a towarzysząca jej wysoka kobieta skończyła przypinać ogłoszenie. Widniało na nim zdjęcie białego - rudego baseta z rozdzierającym wyrazem pomarszczonego pyska. Widok chwyciłby za serce, gdyby nie mikołajowa czapka, którą miał na głowie.

- „Czy w twojej lodówce jest dla mnie miejsce?” - przeczytała mimowolnie Zoe. - Hm. Czy nie powinno być aby, „czy jest miejsce przy twoim kominku”?

- Nie, Bertie woli lodówkę. Jego nowi opiekunowie będą musieli zamykać ją na kłódkę. - Australijka wciąż uśmiechała się życzliwie. - Ale dam głowę, że za kilka parówek nauczyłaby go pani każdej sztuczki, wcale nie jest głupi! Basety nie mają sobie równych, umiejają obchodzić się z dziećmi, są spokojne... czy pani piesek nie szuka kolegi?

Zoe roześmiała się trochę histerycznie.

- W życiu! Mam go dopiero jeden dzień i już nie daję rady.

- To cudownie! Jaka to rasa? Ile ma? - Dziewczyna sprawiała wrażenie szczerze zaciekawionej.

- Toffi to mały labrador. Prawdę mówiąc, nie wiem, ile ma - wyznała Zoe. - Dostaliśmy go w prezencie.

Tamte wymieniły spojrzenia i blondynka jakby z irytacją zmarszczyła brwi.

Zoe raz jeszcze spojrzała na ogłoszenie i zrozumiała, że ma przed sobą pracownice schroniska z Rosehill - Rachel i Megan, sądząc po numerach. Slogan „Pies zasługuje na przyszłość - to nie prezent” widniał nawet na dole kartki.

- Nie, nie! - zapewniła pospiesznie. - To nie ja go dostałam, mąż... były mąż podarował go dzieciom. Nie miałam o niczym pojęcia, ale wszyscy ubóstwiamy Toffiego, po prostu nie sądziłam, że nie będę mogła ruszyć się z domu...

Ucichła. Wyglądało na to, że tylko się pogrążyła. Nie mogła oderwać wzroku od ogłoszenia. Moi pierwsi właściciele kupili mnie pod choinkę, ale szybko znudzili się mną i zostawili własnemu losowi, przeczytała. Mam wiele do zaoferowania w zamian za spacer, jedzenie i najlepszą sofę w domu, toteż liczę, że gdzieś znajdzie się miejsce dla małego, uhm, dużego pieska. Pozdrawiam, Bertie.

- Zajmę się nim jak należy - usłyszała własne słowa.

- Po to tu jestem i wykupiłam pół sklepu!

- Naturalnie - wtrąciła ciemnowłosa kobieta. Wyglądała na energiczną i w rękę trzymała plik kolejnych ogłoszeń.

- Po prostu Megan naoglądała się sporo takich świątecznych piesków. Jestem pewna, że z panią będzie inaczej. Bo wie pani - dodała - staramy się znaleźć naszym podopiecznym nowych właścicieli, żeby mieć więcej miejsca na płatny hotel dla psów. Prawda, Megan?

- Zdecydowanie. - Megan westchnęła, po czym rzuciła Zoe przyjazne, ale stanowcze spojrzenie. - Sęk w tym, że szczeniakowi potrzeba nie tyle gadżetów, ile ciągłej uwagi. Był już szczepiony? Ma pani numer do hodowcy, żeby zapytać o wiek i czy dostał odpowiednie zastrzyki?

- Yyy... zastrzyki?

Megan zrobiła zmartwioną minę.

- Chyba nie zostawiła go pani samego?

- Yyy... na chwilę? - Zoe przenosiła wzrok z jednej na drugą, odnotowując po drodze dezaprobatę Megan i fantastyczną torebkę Rachel. - Jest w kuchni, nic sobie nie zrobi... widzicie, jestem samotną matką, musiałam go zostawić, żeby tu przyjechać. No bo co mam zrobić z psem? Zatrudnić opiekunkę?

- Tak - odparła Megan.

- Pani żartuje, prawda? - spytała Zoe z nadzieją.

- A dziecko zostawiłaby pani samo? Czy pani zdaje sobie sprawę, jakie on ma ostre zęby? Może przegryźć nimi drzwi, kable...

Zrozumiała, że David zrzucił na nią koszmarną odpowiedzialność, i panika wezbrała w niej jak woda w kipiącym czajniku.

- O Jezu - jęknęła.

- Zobacz, ma kratkę - mitygowała Rachel. - I książkę o psach.

I zabawki. Daj spokój, Megan, bądź optymistką. Przecież mały pies nie wznieci pożaru.

- Prowadzicie zajęcia z tresury? - zapytała Zoe cichym głosem. - Dla właścicieli?

Twarz Megan złagodniała.

- Owszem, prowadzimy. Niech pani przyjdzie w sobotę, to omówimy podstawy. Podam pani nazwisko weterynarza, żeby założył małemu książeczkę. - Poszperała w torbie w poszukiwaniu długopisu. - Dasz mi broszurę, Rachel? George Fenwick, ma przychodnię niedaleko straży pożarnej. Toffi musi dostać zastrzyki i mikrochipa.

- A jeśli ma pani ochotę dołączyć do naszych spacerowiczów i pomóc w zbieraniu funduszy na schronisko, bardzo proszę! - uzupełniła Rachel, korzystając z okazji. - Dodatkowa pomoc zawsze się przyda. Pieniądze również. Można też zostawić psa na parę dni, mamy na to świetne warunki.

Zoe wzięła broszurę i wsunęła ją do torby z zakupami. Czowała, że przylepi ją na lodówce, obok telefonu.

- Chyba dobrze poszło - oznajmiła Megan, prowadząc psy na ścieżkę za centrum handlowym. - Zaliczyłyśmy supermarkety, posterunek i oba sklepy zoologiczne. Jeszcze jeden sklep i gotowe. Oto całe Longhampton w pigułce!

- Grunt, że docieramy do wszystkich potencjalnych nowych właścicieli - skwitowała Rachel. Jej trzódka była mniej zdyscyplinowana, chociaż Klejnot dwoił się i troił, aby zagonić mniejsze psy do szeregu. - Jak to powiedział George? Do końca miesiąca mamy spławić dziesięć psów, które nie przynoszą żadnych dochodów, i zastąpić je dziesięcioma za pieniądze, żeby się z nim rozliczyć?

George ujął to bez ogródek, przy herbacie w kuchni Dot. Rachel uświadomiła sobie wówczas, że nie tylko ona ma nóż na gardle: pieniądze Dot - a co za tym idzie, schroniska - rozeszły się błyskawicznie. Nawet gdyby Rachel postanowiła wszystko sprzedać, formalności zabiorą dużo czasu, a przecież psy trzeba nakarmić, a pracownikom, zwłaszcza George'owi, wypłacić zaległą pensję.

Wyzywająco patrzył na nią ponad stołem, jakby czekał, aż wypisze czek i załatwi sprawę. Nie powiedziała mu, że nie ma w tej sytuacji wielkiego wyboru: bez pracy i dawnego życia nie chodziło jedynie o „uszanowanie woli Dot”. To było teraz jej życie, jej praca. Dopóki nie wymyśli czegoś innego.

- Można tak z grubsza powiedzieć. George nie owija w bawełnę. - Megan zajrzała do plastikowej koszulki z ogłoszeniami. - O, najlepsze zostawiłyśmy na koniec. Chester. Tylko popatrz na tę smutną mordkę! Pacjentom w przychodni zabraknie chusteczek. A propos, te plakaty są super. Naprawdę umiesz dobierać słowa.

Rachel nie powiedziała Megan, że przez ostatnie pół roku harowała w pocie czoła nad kosztowną kampanią nowej internetowej strony muzycznej; dzisiaj to było jak sen.

- Dzięki - odpowiedziała z bladym uśmiechem. - Szczerze mówiąc, sama uroniłam nad nimi łezkę. Czyli chyba działają.

Przygotowane ubiegłego wieczoru na kuchennym stole plakaty nie były może kolorowe, ale skuteczne: na górze widniał odręczny napis „poszukiwany”, poniżej umieszczono

zdjęcia psów oraz krótkie odezwy w ich imieniu, częściowo zaczerpnięte z tabliczek Dot. Rachel wykorzystwała każdą bezwstydną branżową sztuczkę, byle tylko poruszyć sumienia mieszkańców Longhampton.

- Będziemy mieli stronę internetową? - wypytywała dalej podekscytowana Megan.

- Nie wierzę, że jeszcze jej nie macie - odparła Rachel. - Znajdę kogoś, kto zrobi to za grosze. Dzięki temu więcej ludzi dowie się o hotelu.

- Wiesz co, że też ci się chce, po tym co przeszłaś - zaczęła Megan, ale zakłopotana Rachel weszła jej w słowo.

- Na razie jeszcze nic nie zrobiłam. Dokąd teraz? - zapytała, spuszcżając Klejnota ze smyczy, aby rzucić mu piłkę w nagrodę za grzeczne zachowanie.

- Do przychodni - oznajmiła Megan. - Wieszalam już tam ogłoszenia, raz w miesiącu mamy w recepcji stoisko z ciastkami.

Doktor Carthy, który kieruje przychodnią, to wielki miłośnik psów. Zawsze powtarzał Dot, że ma dzwonić do niego, kiedy ktoś przywiezie starego ogara. Teraz ma dwa, kiedyś sześć. Jeden spał nawet w kącie gabinetu!

- O rany - powiedziała Rachel. Klejnot rzucił jej piłkę pod nogi; podniosła ją i rzuciła ponownie.

Zaczynała ją boleć prawa ręka, ale co tam; niesłabnący zachwył owczarka rekompensował to z nawiązką. Pewnie nie umiała nawiązać z nim kontaktu tak jak Dot, ale pragnęła choć w nikłym stopniu wynagrodzić mu noce spędzane cierpliwie przy drzwiach, kiedy nasłuchiwał jej niespokojnego oddechu, żeby nie czuła się samotna w tym nowym życiu, które spadło na nią jak grom z jasnego nieba.

Przychodnia mieściła się w nowoczesnym budynku z podjazdami dla niepełnosprawnych, wielkimi oknami oraz betonowymi donicami z czerwonym geranium na każdej

płaskiej powierzchni. Podchodząc bliżej, Rachel i Megan ujrzały smukłą dziewczynę w białym fartuchu, która prowadziła po rampie starszą panią na wózku, pochylając się nad nią jak kwoka.

Albo żuraw, sprecyzowała w myślach Rachel, zdawała się bowiem składać z długich ramion i opalonych nóg.

- Och, proszę spojrzeć na te śliczne pieski! - zawołała wesoło, odrzucając do tyłu długi jasny kucyk. - Miała pani takiego jacka russella, prawda, Ido?

- Tak, zanim przeniosłam się do domu opieki. - Starsza pani wyciągnęła rękę do Bonhama, teriera na krótkich nóżkach, który ciągnął Rachel przez całą drogę. Cofnął się, podkulając ogon. - Cześć, mały.

Rachel poczuła się niezręcznie, jak matka niesfornego dziecka w supermarkecie.

- Bonham - upomniała. - Bądź grzeczny. Przepraszam, jest trochę marudny.

- Nie szkodzi, po prostu musi mnie obwąchać - odrzekła starsza pani, opuszczając sękatą dłoń. I rzeczywiście, Bonham drobnymi kroczkami przydreptał do wózka i pozwolił podrapać się za uchem. - O, widzi pani. Grzeczny piesek.

Widok jej rozanielonej twarzy sprawił, że Rachel poczuła ucisk w gardle. Przestań, skarciła się w duchu. Zaraz zaczniesz się rozczulać na widok torebki na kupkę.

- Ze mną nigdy tak nie robi - przyznała.

- Ma się ten dryg - odpowiedziała wesoło starsza pani.

- Prawda, Bonham?

- Może chce go pani zatrzymać? - zażartowała Rachel.

- Właśnie szuka domu.

Kobieta westchnęła ze smutkiem.

- Och, chciałabym.

- Wiesz co, Megan - wtrąciła recepcjonistka, Lauren, sądząc po plakietce - może zaczniecie przyprowadzać psy,

żeby bawiły się z naszymi podopiecznymi? Pensjonariusze byliby wniebowzięci, prawda, Ido?

- O! - Megan sięgnęła do torby i wyjęła plakat. - Dobrze, że o tym wspomniałaś. Tak się składa, że mamy plan.

- Czekaście - powiedziała Lauren, kiedy do rampy podjechał ford fiesta. - Jest pani transport, Ido. Pomogę pani Harris wsiąść do samochodu. Bardzo mi przykro, Ido, ale musi pani pożegnać się z Bonhamem. - Zwinnym ruchem wstawiła wózek na podnośnik i odczekała, aż starsza pani znajdzie się w samochodzie. Usta jej się nie zamykały. Rachel stłumiła pokusę, żeby wepchnąć teriera na siedzenie obok Idy: Bonham z pewnością dałby się porwać.

- Lauren pracuje w recepcji - mruknęła pod nosem Megan. - Wie wszystko, co i jak. To właśnie ona sprzedaje nasze ciastka i rozdaje broszury.

- A nie chce psa? - odszepnęła Rachel.

- Lauren! - Zza drzwi wychynęła głowa młodego mężczyzny; sądząc po stetoskopie zawieszonym na szyi, był to lekarz, natomiast rozwiane brązowe włosy i zatroskana twarz wskazywały na jakiś problem. - Lauren, czy mogłabyś tu przyjść i zerknąć na komputer?

Lauren wyprostowała się i przewróciła oczami.

- Pewnie myślicie, że lekarze umieją radzić sobie z prostym oprogramowaniem, prawda? Ale gdzie tam! Zaraz przyjdę! - odkrzyknęła.

- To doktor Harper - szepnęła Megan. - Pamiętasz, co mówiłam o starszych mężczyznach? Cóż, doktor Harper jest wyjątkiem. Znaczący, dla mnie jest starszy, ale dla ciebie chyba nie. - Poróżowiała. - Wybacz, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

- Nic nie szkodzi - odszepnęła Rachel, ale zaraz oprzytomniała. - Nic nie szkodzi - powtórzyła normalnym głosem. - I tak wolę starszych. Zaklepuję Teda.

- W czym mogę pomóc miłym paniom? - zapytała Lauren, ruszając w ich stronę. Kucyk zatańczył na boki. - I ich ślicznym pieskom? - dodała i pochyliła się, żeby podrapać psy za uchem.

- Szukamy domów - odpowiedziała Rachel. - Próbujemy znaleźć nowych właścicieli dla tych tutaj, i jeszcze pięciu innych. Cześć, jestem Rachel. - Owinęła smycze wokół nadgarstka i wyciągnęła rękę. - Siostrzenica Dot Mossop.

- Oczywiście... od razu poznałam po nosie - stwierdziła Lauren. Z szerokim uśmiechem ucisnęła dłoń Rachel. - Wypisz wymaluj. Zawsze mówiliśmy, że w młodości musiała być niczego sobie. Może nie klasyczna piękność, ale było na czym oko zawiesić. Uhm, nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało, przepraszam...

Rachel uznała, że albo za długo siedziała w branży, albo wszyscy w Longhampton cierpią na zatrważający brak taktu.

- Lauren! - Lekarz w drzwiach przybrał błagalny ton. - W poczekalni mam czworo oczekujących i nie mogę dostać się do rejestru wizyt! - Zniżył głos. - Do tego nie wiem, kim są dwoje z nich. Pomocy.

Lauren znów przewróciła wielkimi oczami.

- Oto wasz pierwszy kandydat... Proszę za mną. Doktorze Harper! - W jednej chwili przesadziła chodnik długimi nogami i znalazła się w środku. - Czy nie wspomniał mi pan niedawno, że powinniśmy zachęcać ludzi do większej aktywności?

- Hm... tak? - Bill przeniósł wzrok na Megan i puścił oko.

- Cześć, Megan. Miło cię widzieć.

Megan uśmiechnęła się nieśmiało, co było zupełnie do niej niepodobne. Odwróciwszy wzrok, przesunęła swoją gromadkę z dala od automatycznych drzwi.

- No bo widzi pan... - Lauren odwróciła się i spojrzała na Rachel. - Rachel szuka nowych domów dla podopiecznych

Dot, a przecież sam pan mówił, że powinien sobie sprawić psa. Żeby zmotywować się do joggingu.

- Sama wiesz, jaki jestem zajęty, Lauren - zaczął Bill, ale Lauren tylko machnęła ręką.

- Bez przesady, życie towarzyskie nie zabiera panu tyle czasu! Mógłby pan przyprowadzać go do pracy, doktor Carthy nie miałby nic przeciwko temu, a w porze obiadu chodziłby pan na spacer, jako żywy przykład aktywnego i higienicznego trybu życia. Moglibyśmy nawet założyć klub obiadowy, przyłączyłabym się na pewno.

- Lauren... - Przystojna twarz Billa przybrała desperacki wyraz, jakby próba powstrzymania rozpędzonej recepcjonistki spełzła na niczym.

- Dam panu plakat do powieszenia. - Rachel wykorzystała okazję i wręczyła mu ostatnie ogłoszenie. Widniało na nim zdjęcie Chestera, uroczego spaniela o długich brązowych uszach i nogach nakrapianych cętkami.

- Oooo! „Nazywam się Chester” - przeczytała Lauren na użytek garstki słuchaczy, którzy zgromadzili się w recepcji. - „Moi właściciele przenieśli się do mieszkania i nie mieli dla mnie miejsca, dlatego zostawili mnie na ulicy, przywiązanego do słupa. Nie wiem, dokąd poszli, ale mam nadzieję, że znajdzie się ktoś, kto nie odrzuci mojej bezwarunkowej miłości. Z przyjemnością będę zabierał was na spacer, pomogę wam rzucać piłkę, a nocą ogrzeję kolana, jeśli wpuścicie mnie na kanapę. Zadzwońcie, proszę, do Megan lub Rachel, a one wszystko wam o mnie opowiedzą”.

Spojrzała na Rachel ze zgrozą.

- Przywiązali go do słupa?

- Na to wygląda.

Lauren otworzyła usta.

- To straszne. - Ponownie zwróciła się do lekarza i natarła na niego z jeszcze większym impetem niż poprzednio. - Byłby

dla pana idealny, doktorze Harper. Już widzę, jak idzie pan przez park, szal powiewa za panem, a wierny pies Chester drecze u boku. - Urwała, by zaraz dodać: - To wprost wymarzona okazja, żeby kogoś poznać. Ileż to naczytaliśmy się o ludziach, którzy poznali swoją drugą połówkę, kiedy ich psy w parku rzuciły się sobie do gardła. Nie żeby miał pan jakiegokolwiek braki w tej sferze - uzupełniła znacząco.

- Wybaczenie Lauren - rzucił przeprasząco Bill. - Ogląda za dużo filmów z Hugh Grantem.

- Po co oglądać filmy, tutaj mam lepsze kino, ot co! - Lauren zgrabnie wyrwała mu plakat. - Powieszę go tu, żeby wszyscy widzieli. Obok Marszu Życia. - Podeszła do tablicy ogłoszeń, zdjęła stare ulotki i umieściła Chestera na samym środku, kierując na niego żółte strzałki.

- Tak. Świetnie. A teraz możesz zerknąć na komputer? - spytał błagalnie Bill, przeczesując palcami włosy.

- Naturalnie! - Lauren wyminęła stolik z gazetami oraz dreczące dzieci i wślizgnęła się za biurko. - Ojej, kliknął pan niewłaściwe okno... i zamówił nową dostawę środków czyszczących.

Bill otworzył usta, żeby zaprotestować, ale zaraz rozłożył bezradnie ręce i popatrzył na Rachel.

- Co mogę powiedzieć? Życ mi nie da, ale to prawda, owszem, myślałem o psie.

- To cudownie! Rozumiem, że niebawem zobaczymy się w schronisku? - spytała Rachel, dla odmiany czując się jak profesjonalistka, a nie amatorka ze smyczą. - Jeżeli myśli pan o tym poważnie. Proszę wpaść, porozmawiamy. My nie gryziemy.

- Nasze psy też nie - wtrąciła Megan nieco piskliwie.

- Jutro ma dyżur pół dnia - zawołała Lauren zza biurka. - Przepraszam, doktorze Harper, ale sam pan wie, jak to jest. Ktoś musi za pana zaplanować.

Przewrócił oczami, na co Lauren podniosła ręce jak pies stojący na dwu łapach i zrobiła smutną minkę.

- Biedny, mały Chesterek. Mógłby siedzieć ze mną za biurkiem - powiedziała. - Pilnowałby moich ciastek, bo Diane ciągle je podżera.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegło ciche prychnięcie oburzenia.

- Zadzwoń i się umówimy. - Wyciągnął rękę; uścisk miał mocny i suchy. Wymienili spojrzenia. Wiedziała, że jest przystojny, ale nie wywarł na niej większego wrażenia. Odnotowała na marginesie, że żaden z tutejszych mężczyzn nie ubierał się tak ładnie jak Oliver. - A teraz muszę was przeprosić, ale czeka na mnie dwoje niezidentyfikowanych pacjentów.

- Na razie! - rzuciła Megan zachrypniętym głosem. Rachel uśmiechnęła się i skinęła mu głową.

- Do zobaczenia.

Psy wierciły się na swoich miejscach, mamrocząc jak znudzone dzieci - oprócz Klejnota, który siedział w swojej zwykłej pozycji, z długim nosem na białych łapach.

- Czas wracać do domu - zakomunikowała Rachel. - Idziemy, Megan.

- Będę pokazywać wszystkim wasz plakat - obiecała Lauren z promiennym uśmiechem, zawrotnie szybko wystukując coś na klawiaturze komputera. - Szukanie ochotników to nasza specjalność. Mamy posłuch, że ho, ho.

Mrugnęła okiem, a kiedy Rachel ruszyła do drzwi, słońce wyjrzało zza chmur i złociste żonkile rozświetliły cały klomb.

Natalie robiła trzy rzeczy naraz, co opanowała do perfekcji jako szefowa swojego zespołu. Była to jej zdaniem umiejętność, którą każda przyszła matka powinna zdobyć.

Poprawiała makijaż w kosmicznej toalecie położonego na piątym piętrze centrum konferencyjnego, jednocześnie ćwicząc w myślach, co powie Selinie o nowej kampanii organicznych ciasteczek, i zerkając na telefon, na wypadek gdyby zadzwonił ktoś z działu promocji z danymi, o które prosiła.

Wiedziała, że zabieranie telefonu do łazienki to dziwny zwyczaj, ale robili tak wszyscy z marketingu. Każdy ze strachu wołał dmuchać na zimne. Po kuchni krążyły pogłoski - za sprawą Andrei, kierowniczkii biura, która miała uszy jak radar i biurko w pobliżu szefowej - że idzie „restrukturyzacja”. Natalie miała dość oleju w głowie, aby wiedzieć, co za tym stoi: zwolnienia.

Nałożyła błyszczki i sprawdziła, czy nie został na zębach. Dowodziła świetnym zespołem i wspomniano o niej na trzech ostatnich zebraniach, ale to o niczym nie świadczy, Natalie dobrze o tym wiedziała. Nadzorowała produkcję większości artykułów organicznych ich własnego pomysłu, ale parę miesięcy temu GreenPea wykupiła mniejszą firmę z przedsiębiorczym dyrektorem marketingu, który współpracował kiedyś z amerykańską WholeFoods. Z tego, co słyszała od Andrei, Jason nie zamierzał zabawić długo na drugim piętrze.

Makijaż nie budził zastrzeżeń, toteż Natalie przystąpiła do czynności numer cztery. Upewniwszy się, że jest sama, weszła do toalety położonej najdalej od drzwi i poszperała w torbie w poszukiwaniu testu na owulację.

W kwestii fizjologii próby zajścia w ciążę odzierały człowieka z wiktoriańskiej skromności: ostatnimi czasy

dumała nad swoimi wydzielinami zdecydowanie częściej, niż wypadało. Zerwała plastikowe opakowanie i wycelowała w białą część, zastanawiając się mgliście, w którym to dokładnie momencie owego żmudnego procesu postradała resztki godności.

Odłożyła test i czekała na pojawienie się kresek. W sumie nawet nie musiała go robić: za sprawą obsesyjnego mierzenia temperatury wiedziała dokładnie, kiedy „wybuchnie jajo”, jak mawiał Johnny, jednakże widok dwu kresek sprawiał jej cichą przyjemność. W teście na owulację zawsze były dwie kreski, inaczej niż w ciążyowym. Na tym ostatnim niezmiennie widywała tylko jedną.

Z jednym wyjątkiem. Pewnego niedzielnego ranka, trzy miesiące po tym, jak zaczęli próbować, wymknęła się z łóżka i zrobiła test, chociaż było o wiele, wiele za wcześnie, aby mieć pewność. Kiedy myła zęby, żeby zapełnić jakoś te nieznośne dwie minuty oczekiwania, ku swemu zdumieniu ujrzała na teście dwie różowe kreski. Nogi ugięły się pod nią i krew zadudniła w uszach. Udało się! Zrobili dzidziusia!

Popędziła na dół, żeby pokazać Johnny'emu, ale zdążył już wyjść po niedzielną gazetę. Drżącymi palcami wybrała jego numer, z ćwiczonymi wielokrotnie formułkami na końcu języka: „Cześć, tatusiu!”, a może „Czy to longhamptoński ojciec roku?”. Nie mogła się zdecydować.

Telefon dzwonił i dzwonił, a Natalie z niedowierzaniem patrzyła na test - po czym nagle, ni stąd, ni zowąd, pierwsza kreska zaczęła blednąć, aż wreszcie znikła zupełnie. Jak kamfora! Ot, błąd chemiczny, żaden tam dzidzius.

Rozłączyła się, zanim Johnny zdążył odebrać, i zdruzgotana usiadła z rozmachem na kuchennej podłodze. Oczywiście, że było za wcześnie na test. Oczywiście, że takie rzeczy się zdarzają. Oczywiście, że dopiero zaczęli. Ale mimo to... Nie powiedziała Johnny'emu, kiedy pogwizdując, wrócił

do domu; usłyszałaby tylko to, o czym sama dobrze wiedziała. Sytuacja nie powtórzyła się nigdy więcej.

W tym miesiącu będzie inaczej, pomyślała, wpatrując się w dwie różowe kreski, niezbity dowód na owulację. W tym miesiącu musi się udać, nawet statystyki to potwierdzają. Kreski musiały mieć identyczny odcień; świadczyłoby to, że jest płodna. Są identyczne, czy ta po lewej trochę ciemniejsza? Natalie uniosła test do światła, żeby lepiej widzieć, i podskoczyła na dźwięk otwieranych drzwi.

- ...zwołać zebranie, aby to omówić, Kim. Sprawę trzeba dokładnie przemyśleć, zanim spuszczę na ludzi taką bombę.

O Boże. Natalie struchlała. Selina. Nosila zestaw słuchawkowy, toteż mogła nadawać bez użycia rąk, w każdych warunkach. Nawet w toalecie.

- Serio? Jesteś pewna? - Poleciała woda z kranu i Natalie nie dosłyszała. - Aha. Aha.

Co: aha? Natalie wyteżyła słuch.

- Cóż, nie będzie to łatwa decyzja, Kim. Mam nadzieję, że nikt nie chce podjąć jej za mnie... Tak, rozumiem, że kierownictwo jest w trudnej sytuacji, wszyscy możemy powiedzieć to samo, ale moim zdaniem...

Serce zabiło Natalie szybciej w piersi, lecz w chwili, gdy Selina miała rozwinąć wątek, jej własny telefon rozdzwonił się na cały regulator. Natalie rzuciła się, żeby go wyłączyć, ale wpadł głęboko do torby, gdy wyciągała test, i ewidentnie przepadł bez śladu.

Selina, ma się rozumieć, ucichła.

Cholera, spanikowała Natalie, gorączkowo wyławiając komórkę spod stosu chusteczek. Dzwonił Johnny, a gdy się rozłączył, łazienkę wypełniła niezręczna cisza.

- Pogadamy później - powiedziała znacząco Selina. - Teraz nie mogę.

Natalie zrozumiała, że nie ma wyjścia, dlatego spuściła wodę i z przesadną nonszalancją otworzyła drzwi, nie patrząc nawet na przełożoną.

To nie moja wina, że szefowa postanowiła omawiać drażliwe kwestie w toalecie, pomyślała, co bynajmniej nie poprawiło jej nastroju; nie przestała również dociekać, dlaczego opanowana zwykle Selina miała, jak by to ująć, nerwowy głos. Widziała kątem oka, że Selina wpatruje się w nią z dziwną miną, i wyprostowała się ze zdziwieniem.

Wytarła ręce, nie wiedząc, jak się zachować. Na szczęście Selina oszczędziła jej dalszych rozterek.

- Nie słyszałaś tego - warknęła.

- Nie słyszałam czego? - spytała z kamienną twarzą Natalie.

Po powrocie do gabinetu zadzwoniła do Johnny'ego. Sądząc po dzikiej wrzawie w tle, właśnie dyżurował na boisku.

- Cześć, piękna! - powiedział. - Co powiesz na wieczór spędzony w towarzystwie mężczyzny z psem?

- Kogo? - Natalie postukała długopisem w podbródek.

Dyskretne wybadanie Andrei utwierdziło ją w przekonaniu, że nikt nic nie wie, co dodatkowo wzmogło jej niepokój. Ale głos Johnny'ego miał na nią kojący wpływ; mówił rzeczowym, nauczycielskim tonem i człowiek zaczynał wierzyć, że przy odrobinie wysiłku i sumienności wszystko się ułoży.

- Mężczyzny z psem. Bill chce adoptować psa ze schroniska i prosił, żebyśmy mu doradzili.

- Ale to ty miałaś psa, ja nie. - Natalie zsunęła buty pod biurkiem i rozprostowała palce. Była to jedna z zalet narożnego gabinetu z oknem. - Ja miałam tylko królika, w dodatku dwadzieścia lat temu.

- Wiem, ale Bill ceni sobie twoją kobiecą intuicję. Ja mam mu doradzić psa, a ty naprowadzić na to, co mu pasuje. Wiesz, jaki on jest.

- Owszem. Wiem, jaki on jest - odrzekła Natalie. - Lubi, żeby go utwierdzać w decyzji. Najlepiej kilka razy.

- O której możesz się wyrwać? Do piątej dasz radę? Natalie spojrzała na swoją skrzynkę odbiorczą; wystarczyło pół godziny nieobecności i znowu pękała w szwach. Do tego przez całe popołudnie miała spotkania i musiała sklecić sprawozdanie na temat tego, czy organiczne kruche ciasto „sprawdzi się na rynku wegetariańskim”. Johnny jakby czytał jej w myślach.

- Daj spokój, Nat, cały zeszły tydzień harowałaś do późna. Selina nie może dać ci dyspensy?

- Właśnie w tym sęk. - Natalie ściszyła głos. - Coś mi się zdaje, że ci bez dyspensy są na celowniku. To nieodpowiednia pora, żeby się urywać.

- Ale, Nat, pomyślałem sobie, że moglibyśmy rzucić okiem na tego psa, zjeść kolację, a potem, wiesz, znaleźć trochę czasu dla siebie.

Oboje wiedzieli, co to znaczy. Przynajmniej raz nie muszę wychodzić z inicjatywą, pomyślała Natalie. Przynajmniej wie. I mu zależy.

- Postaram się - odpowiedziała. - Słuchaj, ktoś próbuje się dodzwonić, spotkamy się na miejscu. Jakoś po piątej, dobrze?

- Jakoś po piątej - powtórzył Johnny i zniżył głos, żeby uczniowie nie dosłyszeli jego aksamitnego barytonu. - Ponieważ Bill Harper i jego psia dziewczyna nie zmarnują naszej szansy, tak?

- Tak - odrzekła Natalie uszczęśliwiona.

- Wciąż nie uważam, że to ja mam prowadzić rozmowę - oznajmiła Rachel, popychając kwestionariusz w stronę Megan.

- A czemuż by nie? Kiedyś musisz zacząć. - Megan odsunęła go z powrotem. - Poza tym to nie takie trudne. Masz tu wszystkie pytania, zaznaczasz tylko „tak” lub „nie”. Ot, cała filozofia.

Rachel utkwiała wzrok w kartce, próbując nie myśleć o tym, jak powie Megan, że zamierza zwinąć się stąd, zanim pozna tajniki „kojarzenia par”. Miała za sobą kiepskie popołudnie. Masa psów, masa szczekania, George Fenwick, który suszył jej głowę o pchły, a do tego smutny wniosek, że na Topshop jest stanowczo za stara.

- Łatwo ci mówić - jęknęła. - Czy nie chodzi o odpowiedni wybór? O tę szczyptę magii, dzięki której człowiek i pies żyją odtąd długo i szczęśliwie? Ja nie dam rady.

- Rany, miejże to już za sobą. Wystarczy więcej niż jedno „nie” i zobaczy figę, nie psa. - Megan spojrzała na nią sponad wielkiego kubka herbaty. Herbatę pił tu każdy, w ilościach hurtowych. - Freda odwaliła już za ciebie brudną robotę; wiemy, że doktor ma odpowiednie warunki i nie jest uczulony na psa.

- Nie wydaje mi się, aby zagładanie ludziom do domów było dla Fredy brudną robotą - stwierdziła Rachel, przeglądając wyczerpujący, żeby nie powiedzieć wścibski raport na temat „wystawnie urządzonego i bardzo przytulnego!” salonu Billa Harpera oraz „prześlicznego ogrodu, mniej więcej takiej wielkości jak nasz, ale nie tak uporządkowanego”.

- Hm. Nieważne. Ma duży, ogrodzony teren i jest bezdzietny, to najważniejsze. Pogadaj z nim i już! - zachęcała Megan. - Poznałaś wszystkie nasze psy, z większością byłaś na spacerze. Wiesz, jakiego właściciela potrzebuje każdy z nich, jakby same ci o tym powiedziały.

- Tak? - Rachel z powątpiewaniem zmarszczyła nos.

Widmo nadprzyrodzonej intuicji Dot wisiało nad schroniskiem jak fatum. Ludzie oczekiwali, że dostaną wymarzonego psa, i choć doświadczona Megan zapewne sprostałaby wyzwaniu, Rachel absolutnie nie czuła się ku temu na siłach.

Z Klejnotem połączyło ją coś na kształt zażyłości, zrodzonej pewnie z posępnej natury obojga, lecz co do pozostałych psów miała pewne obawy. Na pewno nie zaczęła z nimi rozmawiać ani nie łudziła się, że one rozmawiają z nią.

- Po prostu wyobraź ich sobie razem w parku - podsunęła Megan. - Zastanów się, czy do siebie pasują, no wiesz.

- Nie - odparła Rachel. - Nie wiem.

Ktoś zadzwonił do drzwi i obie podskoczyły. Był to staroświecki kuchenny dzwonek, który było słychać nawet poza domem.

- Jak w zegarku. To dobry znak. Bardzo cenimy sobie punktualność u nowych właścicieli - powiedziała Megan i wstała, żeby otworzyć.

Rachel ponownie utkwiała wzrok w formularzu, usiłując zapamiętać pytania, tak aby „przesłuchanie” odbyło się naturalnie. Grunt to mieć jednego psa z głowy, powiedziała sobie, i dodatkowy boks do wynajęcia.

Na górze widniało napisane wytłuszczonym drukiem ostrzeżenie:

Jesteśmy jedynym głosem psów! Nie obrażajcie się, jeśli sprawiamy wrażenie natrętnych albo kręcimy nosem - po prostu chcemy dla nich jak najlepiej. Niektórzy z naszych podopiecznych zostali dotkliwie skrzywdzeni przez człowieka, a mimo to gotowi są ufać i obdarzać miłością; pragniemy oszczędzić im kolejnych rozczarowań.

Ścisnęło ją w gardle na wspomnienie żarliwego, pomarszczonego pyska Bertiego i nerwowego dreptania Chestera, ilekroć ktoś przechodził obok i nie był to jego

dawny pan, który przyjechał zabrać go do domu. Żebym ich tylko nie zawiodła, pomyślała i aż podniosła brwi, dziwiąc się samej sobie.

- Prosimy, prosimy - usłyszała głos Megan.

W ślad za doktorem Harperem weszło dwoje trzydziestolatków, którzy z zaciekawieniem rozglądali się dokoła. Mężczyzna z przejęciem zacierał ręce, ale kobieta była bardziej powściągliwa, jakby lada chwila miało dopaść ją stado śliniących się psów.

- Czego się napijecie, kawy herbaty? - wypytywała Megan.

- To jest Rachel, od tej chwili wszystko w jej rękach!

- Świetnie. Poproszę herbatę z dwiema kostkami cukru. Wyszło mi w gardle. Cześć, jestem Johnny Hodge - powiedział wysoki mężczyzna, podając jej rękę. Skóra wokół jego życzliwych, brązowych oczu zmarszczyła się w uśmiechu.

- A to moja żona Natalie.

- Cześć, Natalie. - Rachel zauważyła, że Natalie też ma na sobie niepraktyczne ubranie i natychmiast ogarnęło ją współczucie dla czarnej ołówkowej spódnicy i dopasowanego żakietu.

- Siadaj tutaj - dodała, wyciągając krzesło. - Mniejsze ryzyko, że obleziesz. Tak, wiem. Co dwa dni używam całą rolkę do czyszczenia odzieży.

- A więc na czym to polega? - Doktor Bill rozglądał się wokół. - Ja, uhm, myślałem, że będą tu jakieś psy...?

- Że niby co, jak w randce w ciemno? - zażartował Johnny.

- Bill chciałby poznać ambitnego psa, do trzech lat, z poczuciem humoru.

- Wolimy, żeby ludzie nie widzieli psów przed rozmową - wyjaśniła Megan. - Niektórzy reagują wówczas zbyt

emocjonalnie, a dla psów to też duży stres. Stają na głowie, żeby zwrócić na siebie uwagę odwiedzających. Masz konkretne oczekiwania, możemy o tym porozmawiać?

- Och, bardzo konkretne, prawda Bill? - Johnny zwrócił się do przyjaciela. - Dlatego jeszcze się nie ożenił!

- Johnny... - Natalie zmarszczyła brwi.

- Po prostu chciałbym wiedzieć, w co się pakuję. - Bill łypnął na Johnny'ego z ukosa. - Nie jestem zbyt wybredny: byleby się słuchał, nie liniał za bardzo i żebym mógł zabierać go do przychodni. No i żeby miał osobowość.

- Mówimy o psie czy o dziewczynie? - spytała Rachel.

- Jednym i drugim - wtrącił Johnny, a Bill poróżowiał.

- Świetnie! Wobec tego pora na pytania. - Rachel spojrzała na kartkę. - Zaczniemy od tego, ile razy może pan z nim wychodzić.

Po dwudziestu pięciu minutach Rachel ustaliła, że Bill pokona z psem około półtora kilometra do pracy i z powrotem, a w porze obiadu wyskoczą do parku; że życzy sobie coś „do kolan”, najchętniej czarnego; że jego matka miała kiedyś zwawego lakeland teriera i Bill zdecydowanie nie lubi tej rasy; że Johnny kocha psy i chętnie przygarnąłby labradora, pointera, spaniela lub po prostu „jakiegoś cudaka”, a Natalie miała nadzieję, że pies trochę Billa „rozrusza”.

- A więc... - Johnny klepnął się w kolano i spojrzał na przyjaciela. - Czy teraz idziesz za kotarę i przyprowadzasz kandydatkę numer jeden?

- Tak jest! - Megan wstała. - Jeśli macie ochotę na ciastka, proszę się częstować. Teraz Rachel i ja zamienimy dwa słowa, przyprowadzimy jednego lub dwa psy, żebyście mogli pobawić się i bliżej poznać, a potem zobaczymy. Idziemy, Rachel.

Rachel podniosła wzrok znad formularza.

- Słucham?

- Potrzebuję twojej rady. - Uśmiechnięta Megan pociągnęła ją za rękaw. - Państwo wybaczą!

Na korytarzu Rachel odwróciła się, żeby zaproponować, lecz Megan nieustępliwie pchnęła ją w stronę psiarni.

- No dobrze - oznajmiła. - A teraz do dzieła. Idź tam z kwestionariuszem i znajdź Billowi psa.

Rachel stanęła jak wryta.

- O nie! Nie bądź śmieszna.

- No idź, zobaczysz, że dasz radę.

- Nie dam! Ty się znasz, nie ja! I znasz Billa! - Rachel zamachała rękami. - To nie zabawa, Megan. Ja nic nie wiem o psach, to nie moja broszka! Nie mam... drygu. Megan ścisnęła jej rękę.

- Dryg nie ma tu nic do rzeczy. To wyłącznie kwestia logiki. Idziesz, czytasz tabliczki, które Dot powiesiła na drzwiach i... - zamilkła, unosząc brew. - Wsłuchaj się, co mają ci do powiedzenia. Nie, nie! Zanim coś powiesz... ja wcale nie zwariowałam. Niech... No dobrze, może i zwariowałam. Ale miej oczy i uszy otwarte. Usłyszysz to... w środku.

Rachel spojrzała na nią jak na wariatkę, lecz Megan ani myślała odpuścić.

- No idź. Powiem ci, jeśli dasz ciała. - Rzuciła Rachel przyjazne spojrzenie. - Wiem, że nie lubisz psów, Rachel. Nie musisz mi tego powtarzać.

Rachel przygryzła górną wargę i minęła ciężkie drzwi. Natychmiast przywitało ją zdawkowe poszczekiwanie, dźwięki płynące z radia przybrały na sile, a w nozdrza uderzył ją zapach psiej sierści i suchej karmy.

- To tylko ja! - zawołała bez zastanowienia. - Spokojnie, chłopcy, nie ma powodu do nerwów.

Ruszyła z wolna kamiennym przejściem między boksami, siląc się na obojętność wobec machających ogonów i utkwionych w niej pełnych nadziei spojrzeń. Skupiła się na

chudym lekarzu: kto mógłby do niego pasować, kto byłby wymarzoną towarzyszką? Minęła dwie siostry rasy collie - do ułożenia, ale zbyt energiczne, by wysiedzieć w koszyku. Stafiki, które nadal szczekały jak szalone na widok każdego, kto przejawiał ochotę do zabawy. Był tam również Chester, spaniel, którego Bill widział na plakacie, ale ten kipiał niespożytą energią i skakał jak piłka, co nie sprawdziłoby się w przychodni.

No i oczywiście Bertie. Rachel spojrzała z uśmiechem w jego rozszalone oczy i zmarszczony w nadziei długi pysk.

- Nie przyniosłam nic do żarcia, więc możesz sobie darować - powiedziała głośno, ale przyjaźnie. Bertie był rozkoszny, lecz nie nadawał się dla Billa.

Przystanąła, sama nie wiedząc dlaczego, przed boksem Lulu, pudlicy. Tego popołudnia Megan poddała Lulu prowizorycznym postrzyżynom, mamrocząc coś na temat „gadania” George'a, żeby nie robiła „nic głupiego”, i choć usunęła tylko kołtuny, Lulu przypominała bardziej owieczkę niż psa.

Lulu byłaby idealna, odezwał się głos w głowie Rachel, zanim nawet zdążyła pomyśleć. Bill chce mądrego psa, który da się wytresować - a przecież według podręcznika „Psy dla opornych” były to właśnie pudle. W dodatku Lulu nie będzie gubić włosów po całej przychodni, jest pogodna i szybko się uczy.

Lulu utkwiała w niej błyszczące oczy, a jej ogon, który w wyniku zabiegów Megan przybrał niemalże kształt pompona, po raz pierwszy zakołysał się na boki.

Ale Bill wspomniał o dużym psie, przypomniawszy sobie Rachel. Męskim psie.

Lulu i żaden inny.

Stała nieruchomo, a psy na nowo podniosły wrzawę, zaciekawione jej obecnością. Usłyszała chrobot pazurów i coś

ciepłego otarło się o jej nogi. Nachyliła się z roztargnieniem i podrapała Klejnota za uchem. Jego aprobata znaczyła bez mała tyle samo co błogosławieństwo Dot.

Lulu i koniec.

- Co ty na to, Klejnot? - zapytała owczarka, który skierował głowę do drzwi. - Bill i Lulu?

Gadasz do psa, upomniała się w duchu. To już nawet nie jest grząski grunt, tylko wpadłaś po uszy.

Odsunęła rygiel w drzwiach i Lulu wydreptała na zewnątrz, zaciekawiona, co się dzieje. Nadal brakowało jej animuszu, lecz po strzyżeniu odzyskała jakby część pewności siebie. Na pewno wyglądała na większą niż wówczas, gdy Rachel ujrzała ją po raz pierwszy, przy czym wynikało to raczej z jej osobowości niż z regularnego karmienia.

- Cześć, Lulu - powiedziała Rachel, przypinając jej smycz.

- Koniecznie musisz kogoś poznać.

A gdy wychodzili we trójkę, ona, Klejnot i Lulu, starała się nie patrzeć na inne psy.

Megan stała przy drzwiach, trajkocząc do słuchawki.

- Jasne, rano przyślę kogoś, żeby zobaczył dom - powiedziała. - Około jedenastej? Świetnie. Gdzie widziała pani plakat? Na poczcie? Och, fantastycznie. - Spojrzała na Rachel, unosząc kciuk, po czym jej spojrzenie powędrowało na Lulu i uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Tak, odezwę się. Do zobaczenia!

Odłożyła słuchawkę i uklękła.

- Hej, Lulu! - Pudlica trąciła nosem jej wyciągniętą dłoń i Megan podrapała ją za czarnym, kędzierzawym uchem.

- Cieszysz się z nowej fryzury, co? Wyglądasz bosko!

Rachel przygryzła wargi.

- Myślisz, że dobrze wybrałam?

- Cóż, jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić. - Megan zerwała się z posadzki i ruszyła z powrotem do biura.

Bill i Johnny żartowali przy stole, a Natalie sprawdzała pod oknem wiadomości w komórce, ale gdy Rachel weszła do środka z Lulu na smyczy, wszystkie oczy zwróciły się w jej stronę, a następnie przeniosły na suczkę, która zawahała się w progu na widok trzech obcych twarzy.

- Czy to pudel? - zapytał Johnny i wybuchnął śmiechem. - Stary, twój idealny pies to pudel!

- Nie śmieć się - powiedziała od razu Natalie. - Ranisz jej uczucia. - Popatrzyła na Rachel. - To dziewczynka, prawda?

Rachel skinęła głową; ujęło ją, że Natalie, niby taka ułożona i poprawna w służbowym mundurku, przede wszystkim wzięła pod uwagę uczucia psa. Próbowwała przypomnieć sobie mądrości wyczytane w książkach Dot.

- Lulu jest dosyć dużym pudlem miniaturowym. Występują one w trzech rozmiarach, średni, miniatura i toy; sądzę, że ona reprezentuje drugi typ. Możliwe, że jej ojciec był standardowej wielkości.

- Pewnie wydaje się wam kudłata - wtrąciła Megan. - Ogoliłam jej takie kołtuny, że nie macie pojęcia, nosa nie było jej widać. Biedna Lulu miała ciężkie życie, zanim do nas trafiła.

- Czy pudle nie powinny mieć pomponów? - spytał Johnny, mierząc psa krytycznym spojrzeniem. - Ten ma dredy. Bardziej przypomina Slasha z Guns N' Roses niż pudła!

- Nie bądź głupi. Przecież nie są takie z natury, tylko ludzie je strzygą - oznajmiła Natalie. - To tak jakbyś powiedział, że faceci rodzą się z wąsami.

Przyklękła ostrożnie w wąskiej spódnicy. Lulu zrobiła parę kroków w jej stronę i opuściwszy ogon, powąchała wyciągnięte palce.

- Witaj, mała damo - powiedziała Natalie. - Ale masz bystre oczka! Mądra z ciebie dziewczynka, tak? No ba!

Rachel spojrzała z zazdrością na jej wypielęgnowane różowe paznokcie, pierścionek zaręczynowy i obrączkę.

- Lulu Ignie do ludzi, chociaż tyle przeszła - rzuciła Megan.

- Chyba nadawałaby się do przychodni, co?

- Jeszcze jak - odrzekł Bill. - Nie mogę mieć agresywnego psa. Ale czy ja wiem... - Podrapał się w podbródek. - Pudel. Nigdy nie sądziłem, że pudel to mój typ.

- Cześć! - mówiła cicho Natalie, gładząc długie ucho wierzchem palca. - Czy nie jesteś śliczna? Na podłogę, Bill. Budzisz postrach wśród dziewcząt normalnej wielkości, a co ma powiedzieć taka kruszynka?

Bill niezdarnie podciągnął nogawki i kucnął, wyciągając dłoń. Lulu natychmiast zostawiła Natalie i podbiegła do niego truchcikiem, kokieteryjnie unosząc głowę, żeby ją poklepał.

- Witaj - powiedział.

Lulu utkwiała w nim roziskrzony wzrok i wpackowała mu nos do ręki. Zdziwiony mało nie stracił równowagi, ale zaraz ją odzyskał i z uśmiechem pogłaskał psa. Lulu była wniebowzięta.

- A to flirciara - roześmiała się Megan.

- Okej, czyli to pies numer jeden. Będą następne? - spytał Johnny.

- Nie wiem, czy jest taka konieczność - stwierdziła Natalie. - Tylko na nich popatrz. Przecież to miłość od pierwszego wejrzenia.

Lulu oparła się przednimi łapkami o nogę Billa i obwąchiwała mu kołnierz, co znosił mężnie, usiłując zbytnio nie cofać głowy. Próbował zachować powagę i na wargach błądził mu krzywy uśmieszek. Poklepywał pudlicę, a ona zachłannie wciągała w nozdrza jego zapach.

- Miejże odrobinę godności, Lulu! - śmiała się Megan. - W życiu nie widziałam, żeby tak się zachowywała, naprawdę! Taka była cichutka!

- Bill? - rzucił pytająco Johnny. - Chcesz zobaczyć inne psy?

Bill nie odpowiedział.

- Myślę... - zaczęła Rachel, ale reszta zdania zginęła w jazgocie dobiegającym z psiarni. Brzmiało to tak, jakby pies Baskerville'ów ocknął się z głębokiego snu dręczony nie tylko migreną, ale i potwornym bólem żołądka.

- A to co znowu? - zdumiał się Johnny. Wsadził palec do ucha i nim powiercił.

Wycie zabrzmiało raz jeszcze, przeciągłe „aruuuu”, któremu zawtórowały inne, cichsze i mniej basowe.

- A, to tylko Bertie - wyjaśniła Megan, odrywając się od ściany. - Pewnie myśli, że odchodzi tu bez niego jakaś uczta.

- Bertie? Jaki znowu Bertie? Dudni jak armata. - Johnny odzyskał rezon. - Musi być ogromny.

- Nie taki znowu ogromny - odpowiedziała Rachel. - Ale sądząc po tym, ile potrafi zjeść, pojemność jego żołądka musi być zatrważająca.

- Możemy jego też obejrzeć?

- Chyba nie musimy. - Rachel zwróciła się do Billa, który siedział na krześle z zadomowioną Lulu na kolanach.

- Przeprowadzę go - powiedziała Megan z półuśmiechem. - Ku przestrodze, dobrze? Zaraz odechce im się dalszego oglądania.

Usłyszeli ich, zanim jeszcze weszli do środka.

- Stój, stój, do nogi! - krzyczała Megan i Rachel oczami wyobraźni zobaczyła ją uwieszoną na smyczy. Megan postawiła sobie za punkt honoru nauczyć Bertiego chodzenia przy nodze, lecz wystarczyło, aby w pobliżu coś zaśmierdziało, a wszystkie nauki szły w las, i tyle go widziała.

Bertie wpadł do biura jak rozpędzona kula armatnia, potykając się o własne nogi, węsząc jak oszalały i ciągnąc za sobą biedną Megan. Zamarł na chwilę, aby potoczyć wzrokiem po zgromadzonych, po czym ruszył z nosem przy podłodze niczym odkurzacz, z gorącym postanowieniem wytropienia jakichś pyszności.

- O matko, jest cudowny! - jęknęła Natalie, z zachwytem klaszcząc w ręce. - Spójrzcie tylko na tę mordkę! I krótkie nóżki!

Lulu zaszczyciła kolegę wyniosłym spojrzeniem z wysokości kolan Billa, po czym ponownie skupiła uwagę na swym nowym bohaterze.

- Ile on ma? I skąd się tu wziął? - wypytywała gorączkowo Natalie. Odgarnęła włosy i nachyliła się, żeby pogłaskać Bertiego za aksamitnym uchem. - Hej! Cześć, wielkouchy! Jak się masz?

Ku przerażeniu Rachel Bertie w odpowiedzi wpakował do eleganckiej torebki Natalie najpierw nos, a następnie całą głowę. Ale Natalie ze śmiechem wyciągnęła go za obrozę.

- Nic tam nie znajdziesz, chyba że potrafisz odwijać dropsy!

- Potrafi - zapewniła Megan. - Parówki i czekoladowe wafelki też.

- Och, Jon, spójrz tylko na te piękne oczka! - Natalie prawie zanurzyła twarz w sierści Bertiego. - Jakim cudem się tu znalazł?

Megan rzuciła Rachel przelotne spojrzenie.

- To smutna historia. Nie będę wam opowiadać, bo zaraz zechcecie go zabrać do domu, a przecież nie po to tu przyjechaliście, prawda?

Natalie zerknęła na Johnny'ego, który dalej siedział przy stole. Spoglądał na pociesznego psa z uśmiechem, ale coś w twarzy żony sprawiło, że posmutniał.

- Nie, nie po to - odpowiedział. Mówił do Megan, ale Rachel odniosła wrażenie, że kieruje te słowa raczej do Natalie. - Oboje pracujemy na pełen etat, więc nie możemy sobie na to pozwolić. Widzicie, jestem nauczycielem, a Natalie pracuje w marketingu.

- Potrzebuje ciągłej uwagi? - spytała Natalie. - Nie moglibyśmy po prostu wpadać na lunch?

Megan potrząsnęła głową.

- Niestety. Bertie to ogar, one nie znoszą samotności. Wyłby przez cały dzień, poza tym nie przywykł do siedzenia w domu i potrzebna mu porządna tresura. Stały porządek dnia. - Podniosła brwi. - I pewnie dlatego tu trafił, bo dawni właściciele mieli dla niego za mało czasu.

- Ach tak. - Natalie zrobiła zmartwioną minę. - Bardzo możliwe.

- To również dla waszego dobra. - Rachel próbowała ją jakoś pocieszyć. - On byłby nieszczęśliwy, a wy mielibyście na pieńku z sąsiadami.

- A w domu piekło - dodała rzeczowo Megan. - Zaślinione ściany, wszystko w strzępach.

- Myślałem, że szukacie im nowych domów! - Johnny żartował, ale w jego głosie pobrzmiwało lekkie napięcie.

- Owszem! - Rachel przeniosła wzrok na żywy dowód skuteczności ich starań. - Rozumiem, że wszystko postanowione?

Bill oderwał spojrzenie od Lulu, która zwinęła mu się w kłębek na kolanach, przysłuchując się rozmowie.

- Tak, na to wygląda. Chyba nie mam wyboru!

- Idziemy, Bertie, dość tych czułości - rozkazała Megan, odrywając łapy baseta od kolan Natalie. - Marsz do koszar!

Bertie patrzył przeraźliwie na Natalie, a gdy Megan pociągnęła go do drzwi, zaparł się wszystkimi czterema

łapami o podłogę i musiała go wlec. Z gardła wyrwało mu się żalosne skomlenie.

- Jakby płakał! - Natalie załamał się głos. - Nie chce wracać do schroniska!

- Nie dajcie się zwieść - wtrąciła Rachel. - Bertie to stary komediant. Nikt go nie dręczy ani nie głodzi, ma ogrzewany boks, zabawki, ciepłe legowisko...

- Ale to nie to samo co prawdziwy dom, prawda? - powiedziała Natalie ze wzruszeniem.

- No dobrze! - Johnny klepnął się rękami w kolana. - Rozumiem, że Lulu jedzie z Billem, tak?

- Jutro - oznajmiła stanowczo Megan. - Musisz to przemyśleć. Upewnić się, czy naprawdę tego chcesz.

Gdy jechali do domu, Natalie siedziała ze zgaszoną miną, a Johnny, o dziwo, podzielał jej nastrój.

Prawie się nie odzywali, dopóki nie zaparkowała przed domem i nie wyjęła kluczyków ze stacyjki. Johnny nie wyskoczył z samochodu i nie popędził nastawić czajnika, jak to miał w zwyczaju. Siedział, gryząc paznokiec, jak zawsze, gdy rozmyślał o jakiejś drażliwej kwestii.

- Myślisz o tym psie? - spytał wreszcie, przerywając milczenie.

- Tak - odpowiedziała Natalie.

- Ja też. Ale na pewno znajdą mu dobry dom. Megan mówiła, że rasowe psy często trafiają do hodowców, prawda? Ktoś po niego przyjedzie.

- A jeśli nie? - Zapatrzyła się na ceglany garaż i łzy napłynęły jej do oczu. Widziała przed sobą rzędy ufnych pysków i machających ogonów, wszystkie jednakowo spragnione miłości. Że też akurat dziś musieli włóczyć się po schroniskach, pomyślała ze złością, próbując opanować wzburzone emocje.

- Nie możemy mieć psa, Nat - powiedział Johnny. - Przecież wiesz. Nie mamy na to czasu.

- A na dziecko mamy czas? - Natalie wiedziała, że plecie bez sensu. - Jakoś będę musiała go znaleźć!

- Dobrze wiesz, że to nie to samo - uciął Johnny i otworzył drzwi, delikatnie dając do zrozumienia, że uważa rozmowę za zakończoną. - Pójdę zaparzyć herbatę, dobrze? - dodał pojednawczo.

Wiedziała, że miał rację, ale poszła za nim jak na ścięcie.

Po trzech wyczerpujących nerwowo dniach z Toffim, podczas których prawie nie ruszała się z domu w obawie, że wpadnie na kogoś z pracy, Zoe nauczyła się mieć oczy dookoła głowy. Szczeniak dalej sikał gdzie popadnie, niemniej jednak Zoe poczęła obmyślać chytry plan, w myśl którego Marion, właścicielka salonu, miałaby przystać na jego obecność w zakładzie. Trwało to do czasu, aż otrzymała telefon od swojego adwokata, i cała jej krucha pewność siebie ponownie legła w gruzach.

Allen Howard miał dla niej wiadomość na temat zaległych alimentów Davida, która kazała jej zapomnieć o wszystkim, łącznie z kałużami na podłodze.

- Przepraszam, czy mógłbyś powtórzyć? - poprosiła, opadając na kuchenne krzesło. Kolana odmówiły jej posłuszeństwa. - Myślałam, że zgodził się na jednorazową spłatę... za alimenty, których nie dostałam w lecie?

- Wniósł o ponowne rozpatrzenie jego dochodów w świetle recesji. To niedorzeczne, wiem. - Allen Howard sprawiał wrażenie zakłopotanego. - Ale ma do tego prawo.

Zoe przycisnęła rękę do czoła, usiłując nie myśleć o kwocie uzbieranej na kartach kredytowych na poczet wpłaty od Davida. Słuchała cierpliwego głosu Allena i chciało jej się płakać. Mówił zupełnie jak jej ojciec. W każdym razie na pewno jej ojciec mówiłby tak samo, gdyby musiał uczestniczyć w tym cyrku. Po części była zadowolona, że nie uczestniczy.

Czuła się przeraźliwie osamotniona. Kiedy to stała się dorosłym, który musi znać odpowiedzi na wszystkie pytania? Będąc z Davidem, mogła przynajmniej poprosić kogoś o radę; była to jedna z niewielu rzeczy, których jej brakowało. Nic dziwnego, że gada do czteromiesięcznego labradora.

- Jak to możliwe? Dlaczego on to robi? - Starym zwyczajem chwyciła kosmyk włosów i zakręciła go na palcu.
- Co drugi weekend zabiera ich na kosztowne wycieczki, kupuje nowe samochody!

Allen westchnął.

- Pytasz niewłaściwą osobę, Zoe. Zdziwiłabyś się, do czego niektórzy się posuwają. Rozwód to paskudna sprawa.

Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta, pomyślała z goryczą. Prawnicy.

Jej uwagę zwrócił Toffi, który z niewinną miną wyłonił się zza krzesła. Usilnie coś przeżuwał, a to nigdy nie wróżyło nic dobrego.

Allen dalej perorował do słuchawki; był nie tylko cierpliwy, ale i zatroskany.

- Wiem, że wolisz załatwiać sprawy po dobroci, Zoe, ale tym razem naprawdę nie ma miejsca na sentymenty. Proponuję, żebyś przyszła i...

- Poczekaj, Allen. - Zoe nachyliła się i złapała psa, który chyłkiem usiłował przemknąć obok. Przyciskając brodą słuchawkę, posadziła go sobie na kolanach - z godziny na godzinę robił się coraz większy - po czym wpakowała mu palec do pyska i wydobyła stamtąd należący do Leo okazały klocek lego.

Toffi rzucił jej rozżalone spojrzenie i z braku laku zatopił zęby w palcu, pozostawiając na nich czerwone wgłębienia. Zoe przygryzła wargę, żeby nie krzyknąć z bólu.

- ...może cię puścić z torbami - ciągnął Allen. - I szczerze powiedziawszy, niepokoją mnie poczynania jego adwokata. Tak między nami: czy ta Jennifer to poważna sprawa?

Zoe spojrzała na klocek, który mało nie zadusił Toffiego, potem na piekące, pogryzione palce, a następnie przeniosła wzrok na swoje odbicie w szybce kredensu. Bez makijażu, rozczochrana, we wczorajszym T - shircie i z workami pod

oczami, jakich nie widziała od czasów, gdy jej babcia okupowała w Barrow salon bingo.

W obecności chłopców, w krzyżowym ogniu niezmordowanych pytań, między przepierką a gotowaniem obiadu umiała zostawić pewne rzeczy za sobą. Lecz bez krzepiącego zgiełku dokoła do głosu dochodziła szara rzeczywistość.

David nie wróci. Jestem samotną matką, a mam dopiero trzydzieści lat. Pozwalam mu na wszystko, bo nie mam siły się odgryzać. A teraz jeszcze Jennifer zostanie nową panią Graham, pomyślała.

Przycisnęła wolną rękę do ust, żeby stłumić falę mdłości i paniki. Postawiła szczeniaka na podłodze, uszczęśliwiony pognał przed siebie, szczekając bez opamiętania, nieświadomy jej położenia.

- Uhm... wybaczyć, nie dosłyszałam pytania.

- Słuchaj, a może zajrzysz do kancelarii? - zaproponował

Allen. - Na przykład zaraz... wypadło mi jedno spotkanie. Wskakuj do samochodu i spokojnie to omówimy. Wiem, że to dla ciebie duży szok.

- Kiedy nie mogę zostawić psa! - krzyknęła odruchowo, z paniką w głosie. Potrwałoby to dłużej niż podręcznikowe czterdzieści minut, które Toffi mógł zostać sam bez wyjścia na dwór.

- Że co? - nie zrozumiał Allen.

Nie, opamiętała się Zoe, co za bzdura. Przecież nie mogę być więźniem swojego psa.

- Okej, zaraz będę. - Nadludzkim wysiłkiem zebrała się w sobie i rozejrzała za szczotką do włosów oraz smyczą i obrozą Toffiego. Nie mam wyjścia, pomyślała przez łzy bezsilności. Muszę wziąć się w garść, dla dobra chłopców. Choćby bolało jak nie wiem co.

Nałożyła obrożę opierającemu się psu i spojrzała na swą sporych rozmiarów torebkę rzuconą na kuchenny stół. W razie potrzeby może wyłożyć ją reklamówką.

- Pora wyruszyć w wielki świat - oznajmiła, na co szczeniak zamerdał ogonem.

Jak się okazało, był to jeden z jej gorszych pomysłów.

Rachel zapakowała podopiecznych do boksów i skierowała się do kuchni Dot, snując cudowną wizję parującej kawy na rozgrzewkę, gdy nagle z biura doleciał jakiś hałas, i tym razem nie były to psy.

- Pani mnie wcale nie słucha! - wykrzyknął zrozpaczony kobiecy głos. - Przecież mówię pani, że nie daję rady! Nie daję rady, i już!

Rachel usłyszała zdumiewająco ostrą odpowiedź Megan i przyspieszyła kroku, zapominając o smyczach, które miała odwiesić na miejsce.

Kobieta ze sklepu zoologicznego stała przy biurku, przyciskając do siebie żółtego labradora. Szczeniak piszczał, a ona płakała, usiłując wcisnąć go Megan.

Rachel wyteżyła pamięć. Za nic nie mogła przypomnieć sobie jej imienia. Może wcale go nie podała?

Próbowała dociec, w czym rzecz, ale zgiełk był taki, że nie rozumiała ani słowa. Megan siła się na spokój, ale tamta histeryzowała, co zaniepokoiło pozostałe psy. W powietrzu unosiła się gryząca woń moczu... i nie tylko.

Klejnot siedział w swoim koszu z przekrzywioną głową, jakby oglądał „EastEndersów”.

- Błagam panią - powtarzała raz po raz kobieta. - Muszę wracać do pracy, chłopcy mnie potrzebują. Musicie go wziąć. Tutaj będzie mu lepiej.

- Grunt to spokój - odpowiadała Megan, bez większego powodzenia zresztą. - Niech pani się uspokoi...

Rachel postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce, byle tylko się uciszyły.

- Co się stało? - zapytała życzliwie. - W czym mogę pomóc? Czy to szczeniak, o którym pani nam opowiadała w sklepie zoologicznym?

- Proszę, musicie go wziąć - wypaliła Zoe, zanim Megan zdążyła się odezwać. - To kochany piesek i zasługuje na dobry dom, ale ja nie mogę mu go zapewnić. To znaczy, bardzo się starałam, ale nie mogę dłużej siedzieć w domu, żeby go pilnować. Wiem, że nie powinien zostawać sam. - Z jej twarzy biła czysta rozpacz. - Nie patrzcie tak, naprawdę czuję się fatalnie. I sama nie wiem, co powiem chłopcom, kiedy wrócą ze szkoły.

Megan spojrzała niepewnie na Rachel, która ujrzała oczami wyobraźni, jak w opustoszałym boksie Lulu z dnia na dzień pojawia się nowy lokator. I z mocą potrząsnęła głową, mówiąc bezgłośnie „Nie!”.

- Proponuję oddać go byłemu mężowi, niech zwróci go hodowcy - oznajmiła pospiesznie, sięgając po garść broszur. - Moim zdaniem tak należałoby zrobić, prawda, Megan? Czy nie tak właśnie postępuje się w takich przypadkach?

- Kiedy ja nawet nie wiem, skąd go wziął - załkała Zoe. - I nie ufam Davidowi... nie dba o własne dzieci, a co dopiero o psa! Byłam przed chwilą u adwokata i... - Głos jej się załamał. - Przepraszam, ale to jakiś koszmar.

- Oczywiście, że go weźmiemy... - zaczęła Megan, ale Rachel wpadła jej w słowo.

- Megan, bądź tak miła i nastaw wodę, dobrze? Przemarzałam na kość. - Roztarła ręce i zwróciła się do kobiety, która bezsilnie opadła na krzesło, wciąż przyciskając do siebie labradora. Z przejęcia nie zauważyła nawet mokrej plamy na swoim płaszczu, ale Rachel wręcz przeciwnie. Plamy były zresztą dosłownie wszędzie. Psie pieluchy byłyby

całkiem niegłupim pomysłem, stwierdziła. - Napijesz się herbaty? - zaproponowała jowialnie. - Postawi cię na nogi.

Megan rzuciła Rachel ostrzegawcze spojrzenie, lecz widząc jej nieustępliwą minę, z ociąganiem poszła do kuchni.

Rachel usiadła obok Zoe i uścisnęła na powitanie psią łapę. Szczeniak nie odrywał od niej ufego spojrzenia brązowych oczu. Nie ma pojęcia, co go czeka, pomyślała. Myśli, że jest na spacerze. Oblizął nerwowo nos różowym językiem. Tylko się nie rozczulaj, upomniała się w duchu.

- Cześć, Toffi. Ale z ciebie przystojniak! - powiedziała, drapiąc go za uchem.

- Chcesz go potrzymać? Proszę! - zaproponowała Zoe i Rachel ani się obejrzała, jak siedziała z labradorem na kolanach.

Przytrzymała go odruchowo, żeby nie spadł, i klapnął na siedzenie, z łapami w górze.

Sama słodycz, pomyślała, kiedy Toffi zaczął obwąchiwać jej ubranie i skórę. Następnie żywo zainteresował się jej palcem i musiała siłą rozewrzeć mu szczęki, usiłując nie krzywić się przy tym z bólu.

- Obgryza wszystko? - rzuciła domyślnie.

- Cały czas. - Zoe pociągnęła nosem. - Niczego nie oszczędza. Wiem, że robi to niechcący, ale żyję w strachu, że pod moją nieobecność przegryzie kabel i dzieci po powrocie zastaną go nieżywego w... - Straciła oddech i założyła kosmyk za ucho, bezskutecznie próbując nadać głosowi pozory opanowania. - Przepraszam. Właśnie odbyłam bardzo niemiłą rozmowę. Mój były to kawał drania.

- Wszystkie szczeniaki gryzą - oznajmiła rzeczowo Rachel. Chciała sprawiać wrażenie, że wie, co mówi, a nie dopiero o tym przeczytała, co by się akurat zgadzało. Lata w branży nauczyły ją, że grunt to niezachwiana pewność siebie, bez względu na zakres posiadanych informacji. - Daj mu coś

do gryzienia, i już. Gryzak albo maskotkę. Wpakuj go do kojca, i tyle. Nauczmy cię, co i jak...

- Ale ja nie mam na to czasu! - jęknęła Zoe. - Muszę wracać do pracy, żeby wykarmić dzieci! - Spojrzała żałośnie na psa, który z lubością przeżuwał palce Rachel. - On zasługuje na więcej, niż możemy mu dać. Trzeba mu znaleźć nowy dom, zanim na dobre się do nas przyzwyczai.

Rachel mężnie zniosła ból i skupiła się na tym, aby uchronić psiarnię przed nowym podopiecznym.

- A nie mogłabyś zaglądać do domu w przerwie na lunch? Albo wynająć kogoś, kto by go wyprowadzał na spacer? - podsunęła. - Na przykład sąsiada? A może jeździłby z tobą do pracy? Jeden z nowych właścicieli też tak robi, a jest lekarzem...

Zoe była o krok od załamania nerwowego.

- Chyba żartujesz! Wiem, że wygląda słodko, ale to mały niszczyciel! W trzy dni zdemolował mi dom, choć bałagan mamy zawsze i bez tego.

Rachel zmarszczyła brwi.

- Dlaczego twój były kupił psa, skoro wie, że pracujesz?

- Bo on wcale nie myśli! - Zoe ukryła twarz w dłoniach.

- Spencer zawsze marzył o psie: łatwo spełnić zachciankę, niech ktoś inny odwali brudną robotę. Cały David! Chciał mieć rodzinę, miał nas. Umyślił sobie skok w bok, bzyknął koleżankę z pracy. Chciał nas obie, ale przynajmniej odkrył, że nie może... - Z gardła wyrwał jej się szloch i uniosła rękę do ust, mocno zaciskając powieki.

Na wzmiankę o skoku w bok Rachel ruszyło sumienie, ale zaraz się opamiętała. Zaczynasz od zera, pomyślała. Od zera, bez tajemnic, Olivera i poczucia winy.

- Kiepska sprawa - powiedziała i poklepała Zoe po ręce.

- Współczuję. Nie chciałam cię dołować.

- Przepraszam. - Zoe pospiesznie wytarła oczy. - Boże, co za wstyd. Musiałam zabrać Toffiego do adwokata; nasikał na jakiś kabel czy coś i zrobił spięcie, cały system im siadł. - W jej okrągłych brązowych oczach błysnęło coś figlarnie. - Kiedy indziej pewnie śmiałabym się z tego do rozpuku, ale...

Urwała zakłopotana, gdy Megan otworzyła drzwi nogą i z rozmachem postawiła na biurku trzy filiżanki.

- Proszę bardzo, herbata dla nas i przysmak dla kawalera - oznajmiła. - A teraz słuchajcie, mam pomysł. - Spojrzała na Zoe z krzepiącym uśmiechem. - Chyba możemy pójść na kompromis.

Rachel łypnęła na nią podejrzliwie.

- Zamieniam się w słuch - powiedziała Zoe, sięgając po filiżankę.

- Jeśli przyjmujemy Toffiego, w mgnieniu oka znajdzie nowy dom - podjęła surowo Megan. - Mówię poważnie. Ludzie zabijają się o szczeniaki, a gdy raz podejmiesz decyzję, nie ma odwrotu. Jestem pewna, że tak naprawdę wcale tego nie chcesz. Ale rozumiem twoją sytuację i uważam, że to bardzo odpowiedzialne z twojej strony nie chcieć zostawiać go samego. A czy wzięłaś pod uwagę opiekę dzienną?

Ilekroć robiła przerwę na oddech, Zoe i Rachel usiłowały coś wtrącić, ale nie dopuszczała ich do głosu. Wreszcie Rachel nie wytrzymała.

- Jaką opiekę?

- Dzienną - powtórzyła Megan, jakby to rozumiało się samo przez się. - Coś w rodzaju żłobka albo przedszkola, tylko że dla psów. Zostawiasz go w drodze do pracy, my chodzimy z nim na spacer i uczymy go dobrych manier, a ty przychodzisz w drodze powrotnej i resztę dnia spędzacie i uczycie się już razem.

- Serio? - Zoe poweselała. - Tak byłoby idealnie.

- Czyżby? - Rachel spojrzała na Megan spod oka. - Nie wiedziałam, że Dot prowa...

- To względnie nowy pomysł. - Megan zajęła się kruszeniem kolejnego przysmaku dla Toffiego. - No wiecie, w fazie prób. Żeby sprawdzić, czy się przyjmnie. I wygląda na to, że tak!

Zoe przenosiła wzrok to z jednej, to z drugiej.

- Czyli mogłabym...?

- Tak - zapewniła Megan, dokładnie w chwili gdy Rachel zapytała:

- Megan, czy mogę cię prosić na słówko?

- Na temat? - Megan zatrzepotała rzęsami.

- Yyy, herbaty - odpowiedziała Rachel. - Pokażę ci, jak masz dla mnie zaparzać. Przepraszamy na chwilę, Zoe.

Wypchnęła Megan na korytarz i przyparła do ściany. Słyszając chrobot pazurów, domyśliła się, że Klejnot poczłapał za nimi, jakby należał do drużyny.

- Co ty, u licha, wyprawiasz? - zapytała ściszym tonem.

- Jaka znowu opieka dzienna?

- Przecież to genialny pomysł! - upierała się Megan. - Wpadłoby trochę grosza! Słuchaj, to nic wielkiego: szczeniaków w tym wieku nie trzeba wyprowadzać, mógłby siedzieć z Fredą w biurze albo z tobą.

- Uhm - warknęła Rachel. - Zasika cały dom!

- E tam, szybko go nauczymy, to labrador. Labradory to mądre bestie. Tylko trzeba je krótko trzymać.

Rachel westchnęła. Wiedziała już, że dalsza argumentacja nie ma sensu.

- Może dzięki temu unikniemy nowego lokatora - przyznała.

- No i mogłaby nam zapłacić. Pytanie tylko, czy ma z czego?

Megan stanęła z założonymi rękami.

- Nie wiem, czy się na tym znasz, Rachel, ale możesz mi wierzyć, że rasowego labradora nie kupuje się na straganie. Jeśli ten dwulicowy bałwan wywalił kilkaset funtów na szczeniaka, wysupła też na opiekę.

- Skąd wiesz o dwulicowym bałwanie?

- Dobra, podsłuchiwałam, tak? - Megan zrobiła minę niewiniątka. - Zoe martwi się reakcją dzieci; to dobry człowiek, znam się na tym. - Wzruszyła ramionami i warkocze jej podskoczyły.

- To spadło na nią jak grom z jasnego nieba, bądźmy fair. Każdy na początku traci głowę, podobnie jak matka po porodzie.

Rachel spojrzała na zlew ze stertą metalowych psich misek przygotowanych do podwieczorku. Przerazające, do jakiego stopnia wrosła w tutejszy rytm dnia.

- Niech ci będzie. W porządku. Chodźmy do niej i porozmawiajmy.

- Dzięki! - zawołała Megan. - Jestem ci bardzo wdzięczna!

- Za co? Przecież to twój genialny pomysł. - Rachel posłała jej niechętny uśmiech. - Słuchaj, możesz się tym zająć, jeśli chcesz. Nie powiem George'owi, że chcesz przemyścić tu więcej psów.

- Boże, tylko nie to! - I gdy ruszyły z powrotem w stronę biura, dodała basem: - „Musisz być stanowcza, Megan! Byłabyś stanowcza, gdyby obsikał ci nogę, tak? Przemyśl to sobie!”

- Niezły akcent jak na Australijkę - zauważyła Rachel.

- Dosyć się nasłuchiwałam - skrzywiła się Megan. - Zwłaszcza tego „przemyśl to sobie!”.

Kiedy Zoe i Toffi poszli do domu, parę kolejnych filiżanek herbaty później Rachel doszła do wniosku, że Megan

minęła się z powołaniem, zdecydowanie miała bowiem żyłkę do interesów.

W zamian za tydzień opieki dziennej nad psem namówiła Zoe, aby zapłaciła im za dwa dni gotówką (którą Megan schowała do kieszeni). W ramach pozostałej kwoty Zoe miała raz w miesiącu strzyc je obie za darmo, a do tego służyć pomocą w „doborze koloru”. Do tego w soboty będzie pomagać w schronisku i zapozna Megan z tajnikami stosowania szamponu.

I wilk był syty, i owca cała. Rachel w pracy uciekała się do gorszych chwytów, żeby naprawiono jej komputer.

- Zrobiła interes stulecia - oznajmiła Megan, gdy zaczęły rozkładać karmę do misek.

- Nieprawda. Nie masz pojęcia, ile kosztuje utrzymanie takiej fryzury. - Rachel musiała podnieść głos, żeby przekrzyczeć wyczekujące ujadanie. - Nie daj się zwieść jej prostotą.

- A te siwe nitki to pasemka?

- Milcz, pyskata. - Rachel szturchnęła Megan łokciem. - W kwestiach mody słucham tylko pana Fenwicka.

- W takim razie musisz zostać, żeby wyjść na swoje - oświadczyła Megan. - Myślisz, że jak długo? Co najmniej dwa miesiące? - Minę miała niewinną, ale Rachel wyczuła w jej słowach cień wścibstwa. Była to niewątpliwie robota Fredy.

- Tak mi się zdaje - westchnęła. - Jest tyle do zrobienia. Oj było. Dopiero niedawno zadzwoniła do agenta z prośbą o wycenę nieruchomości, na otwarcie czekał też list od Dot, w którym roiło się zapewne od kolejnych denerwujących wytycznych. I jeszcze te kredensy. Dot nie podzielała upodobania siostry do corocznej inwentaryzacji i wietrzenia.

Potem oczywiście przyjdzie pora na prawdziwe decyzje. Sprzedać, zostać...? Wrócić do Londynu czy może o nim zapomnieć? Zacząć od początku... tylko gdzie?

W świetle tego wszystkiego sprzątanie trzeszczących kredensów Dot stanowiło całkiem znośną alternatywę. Pytanie tylko, ile można sprzątać jeden dom?

Kiepski dzień Natalie zaczął się cudzą radosną nowiną. Ledwie zdążyła otworzyć oczy, zadzwoniła matka Johnny'ego z informacją, że jego siostra Becky spodziewa się trzeciego dziecka.

Bywały chwile, gdy Natalie uważała się za swoistą boginię

plodności, dla wszystkich dookoła z wyłączeniem jej samej. Gdziekolwiek się pojawiła, dzieci wyrastały w ślad za nią jak grzyby po deszczu.

- Znów zostanę babcią! - jazgotała do słuchawki Sheila, zapewne po czwartej już kawie tego ranka. - Powiedziałam Becky, że ma być dziewczynka, no bo co ja zrobię z tymi stosami dziewczęcych ubranek! Miałabym już dwie wnuczki, czyż to nie wspaniałe? Termin w pierwsze urodziny Jacoba! Jeszcze tylko państwo Hodge, powiedziałam do mojego Michaela, niech tylko oni się uwiną, a wszyscy będziemy kupować wózki!

Na widok miny Natalie Johnny połapał się w sytuacji i wyrwał jej słuchawkę, ale było już za późno. Wiedziała, że w ramach rekompensaty za swój brak entuzjazmu przyjdzie jej zakupić dwa razy większy bukiet na dowód, że podziela radość Becky i Steve'a. Kolejna siostrzenica lub siostrzeniec, kolejne cholerne chrzciny, na których będzie musiała wysłuchiwać, żeby „brali się do roboty” i że „niedługo wasza kolej”.

Poszła zaparzyć kawę w lśniącym, nowoczesnym ekspresie, lecz mimowolnie przysłuchiwała się rozmowie. Nauczona niemiłym doświadczeniem bez trudu odgadywała jej treść. Była to rozmowa, którą Johnny toczył z matką nad wyraz często - a nawet nie tyle rozmowa, ile kurtuazyjna partia szachów.

- Tak... oczywiście, że wszystko w porządku... to nie najlepsza pora, żeby o tym mówić, mammo!... naturalnie, że nie... w pracy ma urwanie głowy, oboje mamy... dopiero dostała awans, to nie byłby... daj spokój, przecież wiesz, że to nieprawda...

Natalie skurczyła się w sobie. Co się dzieje z Natalie, brzmiało zapewne pytanie Sheili. Zadawali je wszyscy, chyba że właśnie wypytywali dowcipnie, czy ona i Johnny nie zapomnieli jeszcze, jak uprawia się seks. To ci dopiero dylemat - czy lepiej stwarzać pozory samolubnej karierowiczki, czy może oziębłej przeciwniczki spółkowania?

Zebrało jej się na płacz, ale spojrzała na swoje odbicie, szykowne w nowym kostiumie, i przypomniała mu, że przecież liczy się nie tylko macica. W ciągu ostatniego roku samodzielnie działała w pracy więcej niż ktokolwiek inny z jej działu. W dodatku bez chodzenia po trupach i wazeliniarstwa. Oto prawdziwy powód do dumy, nieprawdaż? Czy praca i utrzymywanie rodziny już się nie liczą? I to ma być feminizm?

- Słuchaj, mammo, przekaż Becky nasze gratulacje i powiedz, że zadzwonię do niej wieczorem po powrocie ze szkoły...

Głos zabrzmiał wyraźniej i Johnny stanął w progu. Natalie przełknęła łyżę i zdobyła się na bohaterski, acz niezbyt przekonujący uśmiech.

- Dobrze. - Johnny minął kuchnię, znacząco przewracając oczami. - Tak, to wspaniale. Czyli widzimy się w weekend, tak? Nat też przesyła pozdrowienia. Pa, mammo. Pa.

- Kawy? - zapytała nieco zbyt piskliwie Natalie, podając mu kubek. - Bez kofeiny.

Johnny spoglądał na nią przez chwilę, po czym bez słowa odebrał jej kubek i odstawił na szafkę.

Odwzajemniła spojrzenie, mężnie powstrzymując łyżę.

- Naprawdę się cieszę - zaczęła, ale Johnny nie dopuścił jej do głosu i wyciągnął ręce, żeby mogła ukryć twarz na jego ramieniu.

- Chodź tutaj. - Zakleszczył ją w uścisku, tak że prawie nie mogła oddychać. Stali, kołysząc się z lekka, w pięknie urządzonej korytarzu, i nie odzywali się dłuższą chwilę.

- Kocham cię - szepnął, zanurzając twarz w jej świeżo wysuszone włosy. - Tak mi przykro. To niesprawiedliwe, wiem. Ale przyjdzie nasza kolej, obiecuję.

Natalie nie odpowiedziała, wyczuła bowiem w jego głosie niecodzienną powagę, która przyniosła jej większą otuchę niż jakiegokolwiek słowa pociechy. Przeciwności losu, które doprowadzały ją do czarnej rozpacz, nie robiły na nim większego wrażenia: należał do grona pocziwców wierzących, że wszystko w końcu się ułoży. Jakoś nie podzielała jego optymizmu.

Ale tego ranka wyczuł jej smutek; zbliżyło ich to, jakby dryfowali w jednej szalupie. Nieważne, jak bardzo próbowali bądź marzyli o tym, żeby mieć dziecko - nie mieli na to wpływu.

- Dosyć - powiedziała, odsuwając się po chwili. - Muszę lecieć. Selina coś knuje. Dziś o siódmej dostałam mejla z prośbą o poufne spotkanie.

Przytrzymał ją na odległość ramienia i obrzucił badawczym spojrzeniem. Jego chłopięca twarz wyrażała zdziwienie.

- Wszystko gra?

- Może to awans? - ciągnęła pogodnie Natalie. - Albo przeniesienie?

Jeśli nie mogę mieć rodziny, pomyślała, w pracy dam z siebie wszystko. Niestraszna mi restrukturyzacja. Johnny uśmiechnął się markotnie.

- Zwolnienie?

Natalie patrzyła na szefową, nic z tego nie rozumiejąc. Nie tak wyobrażała sobie przebieg rozmowy. A już na pewno nie jej początek.

Selina niezobowiązująco kiwnęła głową; Natalie często widywała u niej ten gest w kontaktach z nowymi klientami, którzy odchodzili z kwitkiem, do końca pewni swego.

- Niestety, tak. Ale spójrz na to w innym świetle: otrzymujesz sutą odprawę, a przy twoich kontaktach i referencjach... - Przesadnie wzruszyła ramionami, jakby w gruncie rzeczy jej zazdrościła. - Wielu z naszych pracowników może o tym tylko pomarzyć, Natalie.

- Czy wolno spytać... - Natalie przełknęła ślinę, bo serce podeszło jej do gardła. - Czy wolno spytać, dlaczego właśnie ja? Przecież na koniec roku miałam świetne wyniki. Osiągnęłam wszystkie wyznaczone cele i sądziłam...

Selina uniosła dłoń, jakby chciała im obu oszczędzić zakłopotania.

- Chyba nie muszę ci przypominać, że mamy kryzys. Te cięcia naprawdę wiele nas kosztowały. Musieliśmy rozważyć wiele czynników: długość kontraktu, sytuacja finansowa, staż. Pozostaje również kwestia urlopu macierzyńskiego. - Selina zawiesiła głos. - Trudno, żebyśmy zwolnili Fionę w połowie urlopu macierzyńskiego... włóczyłaby nas po sądach!

- Ale ja to co innego, tak? - zapytała Natalie z niedowierzaniem. - Bo co? Bo nie mam nikogo na utrzymaniu?

- Bo, mówiąc między nami, od razu znajdziesz zatrudnienie. - Selina rozłożyła ręce, jakby ofiarowywała Natalie świetlaną przyszłość. - To niewielka branża; jestem pewna, że niedługo się zobaczymy. A tymczasem korzystaj z życia! Odpocznij! Potraktuj to jako nieplanowaną dziekanę. Masz zaległy urlop, pamiętasz? W weekend możesz być na Malediwach!

I tyle. Cała jej błyskotliwa kariera, począwszy od ukończonych z wyróżnieniem studiów aż do teraz, podsumowana pięciominutową „rozmową”.

Natalie poczuła mdłości i tym razem wcale nie złożyła tego na karb ciąży.

Nie od razu zadzwoniła do Johnny'ego. Powiedziałyby jej tylko, że to opatrność i łut szczęścia pod pozorem końca świata, Natalie zaś - która nie wierzyła w szczęście, tylko w ciężką harówkę - przytłoczona poczuciem krzywdy wołała przez kilka godzin przetrwać to w samotności. Dlatego wsiadła do samochodu i pojechała do parku, gdzie usiadła na ławce i zapatrzyła się na Longhampton w środku dnia, na co dotąd nigdy nie miała okazji. Starsi ludzie, dzieci zajadające chipsy w czasie przerwy śniadaniowej, no i - ma się rozumieć - watahy mamusiek, oblegające alejki niczym roje brzęczących pszczół.

Te mamuski były dla niej jak gwóźdź do trumny. Dlaczego zamartwiała się, żeby tylko dobrze utrafić z urlopem macierzyńskim, skoro należało martwić się o pracę?

Może Johnny miał rację, pomyślała, dręcząc się widokiem dwójki maluchów pędzących w kierunku fontanny. Może to faktycznie zrządenie losu, które każe jej zwolnić tempo i odetchnąć pełną piersią przez pięć miesięcy płatnego „urlopu”. Każdy jej to powtarza. Jeśli akurat nie każe jej pić soku grejpfrutowego, kupić zwierzaka, jechać na wakacje, pić syropu, uprawiać seksu codziennie, uprawiać seksu co drugi dzień...

O nie, pomyślała. To „oddychanie pełną piersią” to najgorsze, co może ją spotkać. I to pod każdym możliwym względem. Nie ma nic bardziej stresującego niż życie na łasce fazy lutealnej.

Zresztą Natalie niespecjalnie umiała „się odprężyć” i najbardziej kochała w mężu między innymi to, że na

wakacjach, zamiast smażyć się na plaży, wolał aktywnie spędzać czas i włóczyć się z nią po zamkach i targowiskach.

Pytania kłębiły się w głowie i stygła zakupiona na wynos herbata. Co robić? Stanąć na głowie, żeby znaleźć nową pracę, harować w pocie czoła przez kolejny rok, żeby zapracować na urlop macierzyński i zacząć od nowa u progu trzydziestych piątych urodzin? Czy może zacisnąć zęby, zrobić badania i rozwiązać ewentualny problem, dopóki czas jej sprzyja? Na ile oboje faktycznie chcą mieć dzieci? Na tyle, aby postawić wszystko na jedną kartę, jeśli jedno z nich okaże się bezpłodne?

Natalie zadrżała, chociaż słońce grzało jak rzadko kiedy. Małżeństwo, kariera, dom, przyjaciele - to dla niej coś oczywistego. A teraz nagle niczego nie mogła być już pewna. Wystarczyły słowa jednej osoby, żeby wszystko skończyło się ot tak, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Zobaczyła, że na końcu parku, na ścieżce prowadzącej z lasu pojawia się gromadka psów. Pomimo odrętwienia rozpoznała ich opiekunkę: była to Rachel ze schroniska.

Czy to aby nie Bertie wlecze się na szarym końcu? Często myślała o nim, odkąd Bill pojechał po Lulu, zastanawiając się, czy trafił do odpowiedniego domu, zamiast pod opiekę kolejnego bezmyślnego, okrutnego człowieka.

Serce pękało jej na myśl, że siedzi i wyje bądź niespokojnie przemierza klatkę w oczekiwaniu na powrót właściciela, wierny na przekór wszystkiemu. Gotów obdarzać bezwarunkową miłością.

Może właśnie to powinna zrobić, zamiast siedzieć i płakać nad własną niemocą. Poświęcić bezpańskiemu zwierzęciu trochę swojego czasu i uczucia. Johnny chciał mieć psa, widziała to jak na dłoni. Jediną przeszkodą była jej praca, przeszkodą, która straciła rację bytu. Skoro nie mogła dać mu dziecka, może pies im to trochę wynagrodzi.

Wyobraziła sobie Bertiego między nimi na sofie i podjęła decyzję. Zielona kurtka Rachel zniknęła między drzewami - za daleko, żeby ją dogonić, poza tym Natalie nie chciała sprawiać wrażenia, że działa pod wpływem emocji. Była to jej decyzja, dzięki której wszystko się zmieni.

Wytarła rozmazany tusz i sięgnęła po telefon.

Idąc pod górkę, w połowie drogi do domu, Rachel uzmysłowiła sobie coś zadziwiającego: otóż codzienne zmagania z psami zaczynały jej sprawiać przyjemność.

Już prawie umiała trzymać je w szyku i nauczyła się rozpoznawać znajome punkty po drodze - poletko leśnych dzwonek, odcinek w połowie trasy, gdzie wyboisty szlak przechodził w równą ścieżkę parku miejskiego, widoczny w oddali ratusz i iglicę kościoła.

Megan widocznie też była zdania, że Rachel robi postępy, gdyż tego ranka powierzyła jej Bertiego, który (Rachel dla pewności obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że dzielnie maszeruje naprzód, zamiast kolejny raz węszyć przy żywopłocie) sprawował się nie najgorzej, być może za sprawą Klejnoty, który pilnował szyku - a nawet Rachel wiedziała, że każdy pies ulegał sile autorytetu owczarka.

Zdołała też na migi skłonić sprzedawczynię w kawiarni, aby przyniosła jej kubek kawy na wynos, dzięki czemu mogła uzupełnić zapas kofeiny na drogę powrotną. Podwójne espresso dało jej mglisty posmak Londynu i wzmogło tęsknotę za domem, ale tylko trochę.

Zaczerpnęła w płuca świeżego powietrza i przymknęła oczy w słońcu, dając się prowadzić przed siebie.

- To się może udać, nie, Klejnot? - powiedziała głośno i prawie bez cienia zakłopotania.

Po powrocie do schroniska, kiedy każdy pies znalazł się w swojej zagrodzie, zastała w kuchni istny komitet powitalny.

Megan rozmawiała przez telefon z potencjalnym nowym opiekunem i notowała coś w zeszycie, a Freda zakreślała kółkiem nekrologi w lokalnej gazecie.

Nie zabrakło też George'a Fenwicka, który popijał herbatę i pałaszował keks podarowany przez jedną z ochotniczek, a dwoje nieśmiałych nastolatków stało nad koszem, gdzie Toffi Zoe Graham sumiennie darł na strzępy trzy kartonowe rolki po papierze toaletowym.

Widok George'a opartego swobodnie o blat, z zakasanyimi rękawami pomimo niskiej temperatury na zewnątrz, wzbudził w Rachel coś na kształt dreszczyku emocji. George był niczym powiew mroźnego powietrza; wyglądał tak, jakby przed chwilą mocował się z bykiem, zoperował konia bądź też odprawił inne weterynaryjne hokus - pokus, na którym Rachel nie znała się ni w ząb.

- Oho - powiedział, kiedy weszła do środka. - Nasza modnisia.

- Nie masz przypadkiem nic do roboty? - rzuciła od niechcienia, odwieszając smycze. Potraktowała to jako komplement; jak widać, pewna spódnica Marca Jacobsa zapadła komuś głęboko w pamięć.

- A mam - przyznał. - Wpadłem tylko zajrzeć do kilku twoich podopiecznych i sprawdzić, jak wam idą adopcje.

- Na razie dobrze - odparła Rachel. Szukała w jego twarzy oznak sarkazmu i dostrzegła w niej denerwującą mieszankę rozbawienia oraz czegoś, co nie do końca umiała określić.

- Lulu zamieszkała u doktora Harpera, jak zapewne Megan nie omieszkała ci powiedzieć...

- ...a Chester miał paru gości - uzupełniła Megan, odkładając słuchawkę. - Miłe małżeństwo z Hartley i pewna pani z Rosehill. Od rana urywa się telefon, prawda, Fredo? Odkąd wyszłaś, nie miałyśmy chwili spokoju!

- To przez te ogłoszenia, Rachel. Widziałam jedno w bibliotece, kochana - dodała Freda. - Wprost chwyta za serce. Panie z kółka ogrodniczego tonęły we łzach.

- I dobrze - stwierdził George. - Wcisnąć im te przerośnięte teriery i zaraz przysłać do mnie na szczepienie.

- George!

- George jest biznesmenem, Fredo - oznajmiła Rachel, potrząsając głową. - Jego altruizm to tylko pozory.

- Ucieszycie się pewnie, że mamy też amatorów na Bertiego - uzupełniła Megan. - Trzeba sprawdzić, jakie mają warunki; kto chce jechać?

- Jacyś znajomi? - zainteresowała się Freda.

- Małżeństwo, które przyjechało z doktorem Billem. - Megan notowała szczegóły. - Dzwoniła żona... wydawała się bardzo przejęta. Natalie. Proszę - dodała Megan, podając Fredzie kartkę z adresem. - Mieszkają na nowym osiedlu obok kanału. Dasz radę dziś wieczorem?

- Nie mogę - westchnęła Freda. - Co za pech, dzisiaj mam kręgle. Chętnie zajrzałabym do jednego z tych domów, są prześliczne. Pierwsza klasa.

- Rachel, a ty?

- Co?

- Rozejrzałabyś się po domu, sprawdziła, czy mają ogrodzenie, zabezpieczoną furtkę i takie tam - bagatelizowała Megan. - Dam ci listę. Pomyśl, jaka to szansa dla Bertiego! Odkąd tu trafił, marzy o nowym domu.

- Tak, bardzo się cieszę - odpowiedziała Rachel. - Ta dziewczyna przypadła mu do gustu, jakby ją skądś znał. Chyba między nimi zaiskrzyło.

Freda pogroziła jej palcem.

- Widzisz? A nie mówiliśmy, że masz dryg?

- O nie, Fredo - wtrącił George. - Rachel to bezwzględna bizneswoman; chce opróżnić schronisko i urządzić w nim

płatny hotel dla psów. Czy wspomniała ci o swoim nowym planie? Adoptuj psa, drugiego dostaniesz gratis? Jak w Tesco, tylko psy mniejsze. Ted zgodził się już na dwóch następców Pippina.

Freda osłupiała, nastroszyła się, po czym trzepnęła George'a w ramię.

- Żarty się ciebie trzymają! Nie zrobiłyby nic takiego, a już na pewno nie w tajemnicy. Och, ależ ty jesteś wredny.

George mrugnął do Rachel, która stłumiła uśmiech i z dezaprobatą zmarszczyła brwi.

- Ciekawa teoria z ust kogoś, kto wykonuje dwie kastracje w cenie jednej.

- Kiedy naprawdę powinniście pomyśleć o psie, Fredo - rzuciła pojednawczo Megan. - Wyjdzie wam to na zdrowie, obojgu. Pomoże zwolnić tempo.

- Żaden pies nie zastąpi nam Pippina - oświadczyła Freda.

- Czy opowiadałam ci, Rachel, jak...

Telefon zabrzączał Rachel w kieszeni i aż się wzdrygnęła. Matka.

Val i Oliver dzwoniли codziennie, przy czym ten ostatni chyba dał za wygraną i zajął się naprawianiem swojego małżeństwa, ale z Val nie było tak łatwo. Rachel z góry знаła przebieg rozmowy: jak wygląda sprawa testamentu i czy udało się zlokalizować srebrne szczotki oraz albumy Ackera Bilcka, za którymi Rachel nie miała nawet czasu się rozejrzeć.

- Przepraszam na chwilę - powiedziała, porywając z pojemnika na chleb nietkniętą dotąd teczkę z dokumentami od prawnika. - Muszę odebrać.

Gdy znalazła się przy schodach, rozmowa w kuchni rozgorzała na nowo przy wtórze gromkiego śmiechu George'a. Wolą się nie zastanawiać, kto jest obiektem ich żartów.

- Co słysząc, mamó? - rzuciła do słuchawki. Czowała, że powinna zadzwonić wcześniej, ale perspektywa kolejnych

ekscytujących wieści z siostrzanego przedszkola budziła w niej umiarkowany entuzjazm.

- Wszystko w porządku, Rachel. - Val mówiła jakby trochę nieswoim głosem. - A co u ciebie? Jak tam porządki?

- Nie bardzo. Mam tyle roboty w schronisku. - Rachel minęła podest i skierowała się w stronę położonej od frontu sypialni Dot. - Słuchaj, zaraz poszukam tych szczotek, dobrze? Ale na razie nie mogę nic oddać, póki nie dopełnię wszystkich formalności z testamentem i nie zapłacę pierwszej raty podatku. To może potrwać jakieś pół roku.

Rzuciła teczkę na łóżko i zaczęła szukać listu pozostawionego przez Dot. Val na pewno o niego zapyta. Rachel zapomniała o nim na śmierć w przekonaniu, że zawierał jedynie wytyczne na temat psów. Żeby Klejnot pomagał dobierać psy do nowych właścicieli i tym podobne. Spod stosu rachunków i papierów wyłoniła się koperta i Rachel wcisnęła telefon pod brodę, żeby ją rozpieczętować.

Napisany odręcznie list był krótki i nie zawierał żadnych wytycznych.

No pięknie, pomyślała Rachel, ale w słuchawce ponownie rozległ się głos matki.

- Ja nie tylko w tej sprawie, Rachel! Mów, jak sobie radzisz. Mam przyjechać i ci pomóc?

- Nie, poradzę sobie, mamo. Jak myślisz, gdzie mogą być te szczotki? Używała ich czy raczej trzymała w szafie?

Dotąd ograniczała się tylko do zaglądania przez próg; jakoś nie wypadało szperać w cudzych rzeczach, kiedy pasta do zębów nie zdążyła jeszcze wyschnąć w tubce. Toaletka wyglądała tak, jak Dot ją zostawiła, ze szminkami w złotych etui i chusteczkami porozrzucanymi na blacie, a na drzwiach wisiały rzeczy z pralni w worku. Dwie tweedowe spódnice i marynarka.

Pokój pachniał starszą panią, uznała Rachel, rozglądając się wokół. Wytworną i elegancką, niepodobną do niedołącznych staruszek z domu opieki, które Val wozila na zakupy. Pokój Dot pachniał wełnianą odzieżą, staroświeckimi perfumami i puderniczką z lusterkiem.

Otworzyła najbliższą leżącą pomadkę, spodziewając się ujrzeć cukierkowy róż: była karminowa.

- Na pewno kładła je na toaletce - oznajmiła Val. - Należały do mojej babki, to pamiątka rodzinna. Do naszej babki - uściśliła.

- Tu ich nie ma - stwierdziła Rachel. - Tylko jakieś drobiazgi i zdjęcia. - Podniosła największe, w srebrnej ramce, i przyjrzała mu się z zainteresowaniem. Fotografie na dole przedstawiały Dot w podeszłym wieku, otoczoną psami i trochę zaniedbaną. Tymczasem tu była młoda i wyglądała zabójczo w satynowej sukience, wsparta na ramieniu przystojnego mężczyzny w eleganckim garniturze.

Bardzo przystojnego mężczyzny.

Rachel ze zdziwieniem zmarszczyła brwi. Czy to na pewno Dot? Kobieta na zdjęciu była istną pięknoscią; ciemnowłosa i śniada stanowiła ucieleśnienie ówczesnych trendów i nie bała się podkreślać olśniewającej urody sztucznymi rzęsami i wysokim upięciem smolistych włosów.

Mężczyzna też był niczego sobie: zmysłowe usta, gęste włosy, łobuzerski błysk w oku. Pełen dumy zerkał z ukosa na Dot - nie bez powodu, uznała Rachel. Miał minę, jakby Dot wyskoczyła przed chwilą z przezabawną i absolutnie błyskotliwą uwagą.

- Co to za facet na zdjęciu, mamó? - zapytała. - Myślałam, że Dot nigdy nie miała nikogo na poważnie.

- Od kogo to słyszałaś? - spytała Val wymijająco.

- Od ciebie? - Ramka była ciężka, z czystego srebra. Powstała chyba na specjalne zamówienie, u nie byle jakiego jubilera.

- Cóż... na pewno nic takiego nie mówiłam.

Widok ciężkich powiek Dot, jakże podobnych do jej własnych, przyprawił Rachel o dreszcz. Nagle doznała olśnienia. Kobieta na portrecie w pokoju gościnnym to jej ciotka. Nie poznała jej, gdyż na jedynym zdjęciu, na którym widziała ją za młodu, z chrztu Amelii, Dot miała na sobie odlotowy pomarańczowy kombinezon ze spodniami, którego matka nie mogła jej darować aż po dziś dzień.

W rodzinnym albumie widniała luka - Dot pojawiała się jako dziecko w skarpetkach do kostki obok Val, następnie jako koścista studentka, by wreszcie zaistnieć w tle paru fotografii ze ślubów i pogrzebów, siwowłosa i wyraźnie skrepowana.

Oto Dorothy, której brakowało - Dorothy, która (jak się okazuje) nie zawsze nosiła tylko tweed. Dot będąca obiektem westchnień mężczyzny, przy którym Oliver odpadał w przedbiegach.

- Boże, mamó - powiedziała Rachel. - Dlaczego nic mi o tym nie mówiłaś?

- Ponieważ to nie był mój ulubiony temat - ucięła Val. - I sama nie wiem, czy teraz mam ochotę o tym rozmawiać.

Chyba nic gorszego nie mogła powiedzieć.

- Nie masz wyjścia - oznajmiła Rachel.

Wymijający ton matki uświadomił Rachel, że za częstymi telefonami Val kryła się nie tylko troska o zaradność córki.

Czyżby obawiała się, że na jaw wyjdzie jakiś rodzinny sekret? Zdecydowanie coś było na rzeczy.

- Daj spokój, mamó - powiedziała Rachel. - To dla mnie grom z jasnego nieba. Zawsze myślałam, że Dot żyła jak w klasztorze, z psami za całe towarzystwo.

- Nie twierdziłam, że nigdy nie miała chłopaka... mówiłam tylko, że była zbyt wybredna, żeby się ustatkować.

- Hm, ten tutaj nie wygląda mi na złą partię - zauważyła Rachel, patrząc uważniej na zdjęcie. - Co to za jeden? To była... nie wiem, połowa lat sześćdziesiątych? Wygląda, jakby zdjęcie zrobiono w hotelowym barze.

Po drugiej stronie linii zapadła cisza.

- To pewnie Felix - oznajmiła wreszcie Val. - Wysoki, z kręconymi włosami? Trochę dandysowaty?

- Chyba tak. Ten garnitur na oko kosztował fortunę.

- Uhm. Nazywał się Felix Henderson. - Kolejna chwila cisza. - On i Dot byli... Cóż, nie mam zamiaru udawać, że wiem, o co tam poszło. Świata za sobą nie widzieli, a potem wszystko nagle się zawaliło. Koniec końców, wolałam nie zadawać żadnych pytań. Dot uważała, że mam staroświeckie podejście do małżeństwa, no ale ja wyszłam za mąż w wieku dwudziestu jeden lat.

Rachel główkowała zawzięcie, oceniając sytuację przez pryzmat własnych pogmatwanych związków. Czyżby to miała na myśli Dot, mówiąc o „skomplikowanych” mężczyznach? Czyżby Felix miał żonę? Czy Dot z nim pracowała? Rachel nie była nawet pewna, jaki miała zawód. Na temat jej londyńskiego życia Val zawsze milczała jak grób.

- Ale byli ze sobą na poważnie?

- No, spotykali się ładnych parę lat, jeździli razem na wakacje i tak dalej. Ale nie skłonił jej do ślubu, biedny Felix. Popełniła życiowy błąd, rzucając takiego mężczyznę, jeśli chcesz znać moje zdanie.

- Może nie zależało jej na obrączce - rzuciła odruchowo Rachel. Dot na zdjęciu nosiła wystarczającą ilość pierścionków.

- Może wolała samotne życie.

- Chciałaś powiedzieć, samolubne życie - burknęła z irytacją Val. - Cała Dot. Zawsze wiedziała lepiej.

- Dlaczego nie pamiętam tego Feliksa? - Rachel obróciła zdjęcie do światła. - Przystojniak z niego. Zresztą oboje są piękni.

Pasowali do siebie jak ulał... Dot wyglądała jak modelka.

- Nie zdążyłaś go poznać, zerwali, kiedy byłaś bardzo mała. W sumie nie miałam okazji bliżej go poznać, Dot nie zabierała go na rodzinne uroczystości. Twierdziła, że jest zbyt zajęty.

- Znaczące milczenie mówiło samo za siebie.

- Co robił? - spytała Rachel.

- Prowadził jakieś interesy. Poznała go chyba, pracując w City jako sekretarka.

- Ale widziałaś go? - Ciekawość Rachel sięgnęła zenitu.

- Jaki był?

- Tylko raz. Chrzest Amelii był ku temu jedyną okazją. W ciągu ośmiu lat, dasz wiarę? Zupełnie jakby nas unikał.

Unikanie rodzinnych zjazdów było w oczach Val grzechem śmiertelnym; Rachel wiedziała coś na ten temat. Oczywiście nie mogła wytłumaczyć matce, iż rzadkie chwile spędzane z Oliverem były na wagę złota i należało czerpać z nich pełnymi garściami, choćby kosztem cudzych uroczystości. Tym bardziej że Rachel za nimi nie przepadała.

Coś drgnęło w jej pamięci i zmarszczyła brwi, usiłując przypomnieć sobie podsłuchane dawno strzępy rozmów.

- Czy coś... stało się na chrzcie Amelii, mamó?

Cisza.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

Rachel przewróciła oczami. Czyli na pewno. Val umiała zamiatać pod dywan jak mało kto. Jeśli nie chciała o czymś rozmawiać, sprawa traciła rację bytu.

Rachel z kolei obdarzona była wyobraźnią, jakiej brakowało matce i siostrze, a do tego wiedziała co nieco o pokrętej naturze zakazanych związków. I zakotłowało jej się w głowie.

Felix był przystojny. Czyżby w grę wchodziła siostrzana zawiść? Tata też był niczego sobie, ale najciekawszą formą wieczornej rozrywki były dla niego kręgle i nasiadówka w barze. Tymczasem Felix... o, Felix był atrakcją sam w sobie. Jak Oliver. Błyskotliwy i pewny siebie. Oto mężczyzna, dla którego w deszczową noc w ciągu dziesięciu sekund siedzisz w taksówce, by po minucie wylądować w jego łóżku.

- Jak się poznali? - drążyła. - Przestań, mamó... nie mogę uwierzyć, że nigdy mi o nim nie wspomniałaś! Miałam Dot za samotną starą pannę!

- Cóż, gdyby za niego wyszła, nie musiałyby nią być! Ale nie znam żadnych szczegółów. - Val wykręcała się jak mogła.

- Zmarłych lepiej zostawić w spokoju, Rachel. To nie była nasza sprawa. I nie jest.

- Mamó, mieszkam w jej domu! I tak się wszystkiego dowiem, kiedy już przekopię się przez te osiem milionów szuflad!

W słuchawce zabrzmiało niechętnie westchnienie.

- Podobno zrobił jakiś przekręt - powiedziała Val. - Mieszkał w wielkim domu w Chelsea, podczas gdy ona zajmowała jakieś liche mieszkanie. Wywodził się z bogatej

rodziny albo dużo zarobił; miał wytwornych przyjaciół i rozbijał się drogim samochodem, który następnie podarował Dot, kiedy już się nim znudził. Pamiętam, że twój tata nie mógł jej tego darować...

Rachel z wolna przeszła przez pokój i przyjrzała się pozostałym fotografiom, stłoczonym na mahoniowej komódce jak na ołtarzyku: Dot na przystani, w wielkich okularach i rybaczkach, Dot i Felix na eleganckim przyjęciu, Felix oparty o jaguara, w rozpiętej pod szyją obcisłej koszuli i szerokim uśmiechem na twarzy, jakby właśnie ktoś wziął go za Toma Jonesa, a on nie miał nic przeciwko temu.

Nic dziwnego, że tata był zazdrosny, sam tłukł się przecież jakimś zdechlakiem, pomyślała. I wrzeszczał na Amelię, żeby mu nie pobrudziła tapicerki.

- Ale zerwali, tak? Nie powiedziała ci dlaczego? Prawie usłyszała, jak matka zaciska usta.

- Nie rozmawialiśmy na takie tematy.

Rachel stanęła pod oknem wychodzącym na wąski, zwirowy podjazd prowadzący w stronę Longhampton, z wieżą i iglicą widocznymi w oddali oraz pastwiskami pełnymi owiec. Jakież to inne od londyńskiego życia, w którym Dot czuła się przecież jak ryba w wodzie. Zdjęcia na dole i zdjęcia w sypialni mogły przedstawiać dwie zupełnie różne kobiety, dwa odmienne życiorysy.

- I nigdy o nic nie pytałaś? - Rachel nie mogła pojąć matczynej obojętności.

Lecz bez względu na swoje poczucie sprawiedliwości Val nie pozostała jej dłużna.

- A czy ty i Amelia rozmawiacie o prywatnych sprawach? Czy pytała cię na przykład, dlaczego rozstałaś się z tym miłym Paulem? On był naprawdę miły, Rachel. Mieliśmy nadzieję, że...

- Nigdy nie łączyło nas nic poważnego - zaczęła Rachel i urwała. Paul, niezwykle miły znajomy koleżanki, prawnik, stanowił próbę wymuszenia na Oliverze... no właśnie, nie była nawet pewna, co też chciała dzięki temu osiągnąć. W każdym razie próba spęzła na niczym. Nie pasowali do siebie, Oliver dobrze o tym wiedział. Wróciła do niego, zanim miły prawnik zdążył się na dobre zaangażować.

Oliver. Boże, zmuszał ją do zachowań, z których naprawdę nie była dumna.

Na komódce, na koronkowym bieżniku, stało wypłowiałe zdjęcie, którego nigdy dotąd nie widziała, ale domyślała się, kiedy zostało zrobione: przedstawiało ją samą, mniej więcej dwuletnią, w objęciach Dot, na chrzcie Amelii. Dot miała na sobie modny pomarańczowy kombinezon i opaskę na głowie pod kolor, a Rachel ogrodniczki. Uśmiechały się do siebie z zachwytem, wydatny nos i jego miniaturowa kopia.

Obie mamy zdecydowane nosy, pomyślała Rachel, nie bez pewnej melancholii. Ja pewnie też skończę siwa jak gołąb. W domu pełnym psów, bez faceta, podczas gdy moja siostra będzie urządzać rodzinne obiady i bombardować wszystkich kartkami na urodziny i Boże Narodzenie.

Ciarki przeszły jej po plecach. Historia lubi się powtarzać. Dot namieszała z facetem, a ona poszła za jej przykładem. Może miały to po prostu we krwi. Podobnie jak samotniczą naturę.

- Amelia uważa... - zaczęła Val, ale Rachel wpadła jej w słowo.

- To wcale nie znaczy, że jej nie kocham - burknęła. - Po prostu żyjemy... żyjemy zupełnie inaczej. Ona ma Grace i Jacka, i myśli, że jestem... zresztą nieważne. Nigdy nie wiem, co mam powiedzieć. To, że jesteś czyjąś siostrą, wcale nie znaczy, że musicie się dogadywać.

Na linii ponownie zapadła cisza, ale tym razem inna od pozostałych. Rachel chyba dosłyszała westchnienie.

- No właśnie.

Zastygła przed wielkim łóżem, zastanawiając się mimowolnie, czy Felix tulił w nim kiedyś Dot do nagiej piersi. I znów przeszedł ją dreszcz.

- A sprawdzałaś w szafie? - zapytała Val tonem, który nieodmiennie oznaczał zmianę tematu. - Tak sobie myślę, że powinnaś rozejrzeć się za biżuterią, którą dostawała od Feliksa. Mogłabyś wybrać coś ładnego dla Grace.

- Przecież nie mogę nic wysłać przed uwierzytelnieniem testamentu.

- Ale możesz sprawdzić, prawda?

Rachel otworzyła niedużą garderobę Dot, spodziewając się zapachu naftaliny i starych futer, po czym zamrugła za zdumieniem na widok szmaragdowych i wiśniowych barw. Suknie i bolerka z brokatu i satyny zaśniły w głębi, upchnięte wśród ciemnych wełnianych kostiumów jak klejnoty w szkatułce. Eleganckie pudła na kapelusze oraz buty wymoszczone bibułą stały w równym szeregu, a jedną stronę zajmowały szuflady pełne rękawiczek i wieczorowych szali.

Srebrna szczotka i lusterko prababki leżały sobie na samej górze, porzucone niedbale na pudełku z drogiego sklepu z bielizną.

- I co, masz? - zapytała Val, wyraźnie pełna żalu, że nie może wziąć sprawy w swoje ręce.

Rachel uśmiechnęła się pod nosem. Mama spodziewała się pewnie, że Dot zostawi je na toaletce, jak na sumienną starą pannę przystało, pomyślała, czując do ciotki jeszcze większą sympatię. Ciekawe, czy Amelia nie wolałaby raczej tego, co jest w pudełku.

- Mam - odpowiedziała. - Powiedz tacie, że po południu poszukam płyt. - Wyjęła z szafy srebrną suknię, która

zaszeleściła jej w rękach niczym wężowa skóra. Nadal pachniała Shalimarem.

Dot, pomyślała Rachel. Coś ty narozrabiała, zanim ukryłaś się tutaj? Perspektywa porządków wydała się nagle całkiem nęcąca.

- Grzeczna dziewczynka - oznajmiła dziarsko Val prawie swoim normalnym głosem. - Wzięłaś wolne? Chyba nikt nie robi z tego problemu, w takich okolicznościach...

- Uhm. - Felix musiał zabierać Dot w wytworne miejsca, pomyślała, gładząc miękkie aksamity i szeleszczące jedwabie. Może nawet w te same, do których ona chodziła z Oliverem.

- Słuchaj, mam, oddzwonię później, dobrze? Muszę kończyć - dodała, obiecując sobie w duchu, że następnym razem powie Val o swojej rezygnacji.

Następnie usiadła na łóżku i przeczytała list Dot od początku do końca.

Kochana Rachel, pisała Dot.

Skoro czytasz ten list, na pewno mnie już nie ma, widziałaś się z prawnikiem i bierzesz się do sprzątnięcia mojego domu. Biedactwo! Musisz wiedzieć, że wybrałam Ciebie, ponieważ jesteś jedynym członkiem naszej rodziny, który moim zdaniem zna się na tajemnicach.

W trakcie przetrząsania śmieci, które nagromadziłam w ciągu czterdziestu lat, napotkasz rzeczy bardzo dla mnie cenne - a także tajemnice, których strzegłam od lat. Nie tylko moje własne. To, co z nimi zrobisz, zależy tylko od Ciebie, podobnie jak decyzja o przyszłości domu i schroniska.

Oto pierwszy sekret. Zaoszczędziłam co nieco na podatek - uprzedzam, że będzie niemały. Ale w maselnicy w lodówce znajdziesz naszyjnik, którego nigdy nie nosiłam. Załóż go kilka razy, aby wszyscy myśleli, że należy do Ciebie, a potem - jeśli zajdzie potrzeba - sprzedaj. Mam przeczucie, że

Twój "skomplikowany" związek również pociągnął za sobą niejedną błyskotkę.

A oto drugi sekret. Twoja matka i ja przed laty przestałyśmy ze sobą rozmawiać i ona myśli, że to jej wina.

Nieprawda. Wina leżała po mojej stronie, jak przekonasz się wkrótce, sprzątając dom. Jeżeli znajdziesz sposób, aby jej to wyjaśnić, będę Ci wdzięczna po wsze czasy. Sama zrobiłabym to dawno temu, ale złożyłam obietnicę, której nie mogłam złamać. Może Tobie uda się to naprawić.

Mam nadzieję, że znajdziesz tu wszystko, co będzie Ci potrzebne. Ja znalazłam. Liczę też, że w chwili, gdy czytasz te słowa, jesteś spokojniejsza niż w czasie naszego ostatniego spotkania. Gdy wszystko inne zawiedzie, radziłabym - o ile moje rady są cokolwiek warte - iść na spacer z psem. Nawet jeśli nie znajdziesz odpowiedzi na swoje pytania, uszczęśliwisz przy okazji drugą istotę, a to w ostatecznym rozrachunku liczy się najbardziej.

Ucałowania, Dorothy

PS Proszę, zaopiekuj się Klejnotem. Mogłam na nim polegać.

Rachel siedziała jak zaklęta, poruszona do głębi nieoczekiwaną wymową listu. Czuła, jakby młodsza Dot, nie starsza pani, którą wydawało jej się, że zna, siedziała na wyciągnięcie ręki, mrugając konspiracyjnie. Tajemnice? Gdzie? I niby jak ma je znaleźć, a do tego rozpoznać, jak gdyby były srebrną szczotką po prababce?

Coś zachrobotło w progu i zza drzwi wyłonił się długi nos owczarka oraz cała reszta jego widmowego ciała. Nie patrząc jej w oczy, chyłkiem przemknął przez pokój i przycupnął obok.

Wyrwana z zamyślenia poczuła się osaczona: nigdzie nie mogła się bez niego ruszyć, łaził za nią nawet do łazienki, jak dwuletnie dziecko. Ani chwili spokoju.

- I czego znowu chcesz? - burknęła i na wspomnienie dopisku Dot ogarnęły ją wyrzuty sumienia. - Głodny jesteś? Siku? Partyjka sudoku? A może pomożesz mi to rozgryźć?

Klejnot podniósł głowę, ale nawet nic pisnął. Rachel cmoknęła, po czym wstała i ruszyła w stronę schodów. Poczłapał za nią.

Na dole stwierdziła z ulgą, że posiedzenie przeniosło się do psiarni. W kuchni nie było żywej duszy, toteż bez przeszkód zanurkowała w lodówce i wydobyła maselnickę, zastawioną licznymi słoikami z miejscowym dżemem.

Spojrzała na nią z powątpiewaniem. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej skłaniała się ku przypuszczeniu, że Dot cierpiała na wczesne stadium alzheimera. Naszyjniki w maselnickach? No przepraszam bardzo.

Spodiewając się ujrzeć w środku kawałek zjełczanego masła, uniosła pokrywkę i aż otworzyła ze zdumienia usta.

W maselnicze, upchnięta niedbale niczym stary rupieć, widniała przepyszna brylantowa kolia wysadzana szafirami wielkości paznokcia na jej małym palcu. Oszołomiona Rachel przysiadła na piętach i uniosła ją do okna. Na brudnej podłodze zatańczyły kolorowe zajaczki. Czuła się nieswojo, dotykając zaniedbaną dłońią czegoś tak pięknego, a gdy przyłożyła kolie do szyi, lodowaty dotyk zmrożonych klejnotów na skórze wprost zaparł jej dech w piersi.

Przejrzała się w drzwiach piekarnika, odgarniając włosy dla większego efektu. Miała na sobie tysiące funtów w drogich kamieniach. Niemożliwe, aby ktoś, kto znał ją albo Olivera, uwierzył, że stanowiły jej własność. Była minimalistką, a jego podarunki nie pozostawiały po sobie większego śladu: kwiaty, kolacje, gotówka, żeby „zrobiła sobie prezent”. Tutaj miała do czynienia z darem na wskroś romantycznym, naszyjnikiem, który miał przystroić kogoś

równie cennego, ofiarowanym przez człowieka hojnego lub bardzo zakochanego.

Rachel nie była skora do nostalgii, ale po raz pierwszy w życiu wyrzucała sobie egoizm. Dlaczego nie znalazła dla ciotki więcej czasu? Tamten sylwester stanowiłby ku temu wymarzony punkt wyjścia. Dlaczego tak skwapliwie kupiła wersję o starej, niekochanej męczennicy, choć powinna była przejrzeć ją na wylot i posłyszeć w niej echo dawnego konfliktu?

Dot była jak z innej bajki, mieszkały tak daleko od siebie; sprawiała wrażenie książkowej bohaterki, otoczona psami i ubrana w opowieści Val. Dopiero teraz zaczynała budzić się do życia i Rachel dostrzegła w niej cień samej siebie. Tyle że czas na rozmowę minął bezpowrotnie.

- Cholera - powiedziała, na co Klejnot jak na komendę wślizgnął się do kuchni i usiadł obok kołka ze smyczą.

Johnny odgadłby, że coś się stało, nawet bez pięciu nieodebranych połączeń w komórce. Teraz jednak, gdy skręcił w ich ulicę i ruszył w stronę domu, jego uwagę przykuł samochód Nat zaparkowany na podjeździe.

Zdziwiony zerknął na zegarek. Natalie rzadko wracała przed siódmą. Żartowali nawet nieraz między sobą, że gdy rzucała w przedpokoju torbę z laptopem, było już dobrze po wieczornym dzienniku, a Johnny czekał w kuchni z herbatą.

Przyspieszył kroku. Chociaż dzwoniła parę razy, kiedy miał wyłączony telefon, nie zostawiła wiadomości, co budziło w nim pewną nadzieję. Może chodziło o wieczór. Według jego mglistych kalkulacji (opartych o terminy rozgrywek miejscowej ligi piłkarskiej) zbliżała się godzina zero: może Nat wróciła wcześniej do domu, aby raz jeszcze powitać go w progu w beżowym prochowcu i bieliźnie z ubiegłorocznej rocznicy ślubu?

Było to jedno z najmiłszych wspomnień ostatnich miesięcy.

Johnny z uśmiechem połuźnił krawat i przerzucił przez ramię torbę z klasówkami. Nie zdziwiłby się wcale, gdyby Nat potrafiła określić czas owulacji z dokładnością co do godziny. Ubiegłego lata nauczyła się podstaw fińskiego, zanim on zapamiętał nazwę ich hotelu.

Nacisnął klawiskę: frontowe drzwi były otwarte i dolatywał zza nich szum odkurzacza.

Odkurzacza? To było do Natalie niepodobne. Johnny zmarszczył brwi. Może jego matka nie wytrzymała wreszcie i włamała się do nich, żeby zrobić wiosenne porządki, które jej zdaniem odkładali w nieskończoność. Może telefony Nat były wołaniem o pomoc.

- Nat? Czy to ty? - Położył torbę przy drzwiach i zdjął gruby płaszcz.

Odkurzacze ucichł i Natalie stanęła w progu salonu. Miała roziskrzony wzrok i jeszcze nie zdążyła się przebrać, ale była na bosaka, a naelektryzowane włosy tworzyły wokół jej głowy blond aureolę.

- Sprzątasz? - zapytał wstrząśnięty. - Przecież pani Landon była wczoraj, prawda?

- Była. Ale odkurzyłam jeszcze raz. - Nadepnęła na przycisk do zwijania kabla i przewód śmignął w głąb odkurzacza, podskakując niebezpiecznie blisko jej smukłej kostki. - Parter gotowy, jeszcze tylko...

- Czeka! Czeka! - Johnny chwycił ją za ramiona. - Dobrze się czujesz? Wyglądasz... - Popatrzył na nią, sam nie wiedząc, co powiedzieć. Jeśli miał być szczery, sprawiała wrażenie trochę wkurzonej. Miała szkliste oczy i rozpaloną twarz. - Wyglądasz, jakbyś miała gorączkę.

Natalie przygryzła wargę i otarła czoło wierzchem dłoni.

- Chcesz usiąść? - spytał Johnny, zachodząc w głowę, czy chodzi o poranne wieści o jego siostrze. - Chyba powinnaś. Chodź, zrobię ci herbatę.

Zrozumiał, że mówi do niej jak do uciekinierki ze szpitala dla obłąkanych, ale Natalie nie zaprotestowała, gdy zaciągnął ją do kuchni i posadził przy stole.

Zauważył porozrzucone na blacie dokumenty; leżały wśród różnych środków czystości, które pierwszy raz widział na oczy. Sprzątanie nie było jego żywiołem, nie było też żywiołem Natalie, stąd cotygodniowe wizyty pani Landon. Nastawił wodę; instynkt podpowiadał mu, żeby otworzyć wino, ale wino było na cenzurowanym, przynajmniej do czasu gdy Natalie dostawała okres.

- Johnny, mam dla ciebie dobrą i złą wiadomość - oznajmiła. - Którą chcesz usłyszeć najpierw?

- Uhm, dobrą?

Oczy zalśniły jej z podniecenia.

- Pamiętasz te śliczne psy, które widzieliśmy w schronisku?

- Tak - odpowiedział ostrożnie.

- Zawsze chciałeś mieć psa, prawda?

Johnny nie rozumiał, do czego to wszystko zmierza.

- Owszem, ale ustaliliśmy przecież, że nie możemy go mieć, dopóki oboje pracujemy na pełen etat, prawda? - Obrzucił ją badawczym spojrzeniem. - Prawda?

- No wiem, wiem. Ale wszystko się zmienia i tak myślałam sobie o Bertiem, tym pięknym basecie, i zadzwoniłam do Rachel, właścicielki schroniska (pamiętasz?), żeby zajrzała do nas dziś wieczorem... dlatego sprzątałam... i rzuciła okiem na dom, a może jutro wzięlibyśmy go na spacer, na próbę, i zobaczyli, jak będzie! - Uśmiechnęła się do niego nad stołem i chociaż minę miała rozradowaną, Johnny poczuł niebezpieczny ucisk w żołądku.

Coś tu nie grało. Nie był pewien, co to takiego - ani czy kiedykolwiek będzie mu dane nadażyć za tokiem myślenia własnej żony - ale coś się zdecydowanie nie zgadzało.

- Nat - zagał. - Jak to: wszystko się zmienia? Jaka jest ta zła wiadomość?

- Dzwoniłam do Billa i pójdzie z nami. Jutro bierze Lulu do domu - paplała Natalie, zbierając dokumenty i postukując nimi o blat. - Podobno nie musimy nic kupować, mają smycze i...

Woda zagotowała się w czajniku, ale Johnny nie zwrócił na to uwagi. Powoli obszedł stół i usiadł obok żony, nie odrywając oczu od jej spojrzenia. Sięgnął po papiery i zerknął na znajome logo - była to jej umowa o pracę.

Chociaż nie - nie umowa, tylko oficjalne powiadomienie... o odprawie?

- Nat? - Popatrzył na nią i obłąkańczy uśmiech Natalie jakby zbladł. - Mów, jaka jest ta zła wiadomość. Proszę.

Przygryzła wargę.

- Zwolnili mnie. W ramach cięć budżetowych łączą dwa działy. Dostanę pięciomiesięczną wypłatę i tyle referencji, ile dusza zapragnie. Że o wolnym czasie na spacerzy nie wspomnę.

- Zamrugwała powiekami. - Postanowiłam, że zrobię z tego dobry użytek. Potraktuję to jako dziekanę.

Johnny oniemiał. Nie był pewien, co chciałby usłyszeć - nie takiej reakcji spodziewał się po kobiecie, która traktowała każdy awans niczym odznaczenie wagi państwowej.

- No tak - powiedział wreszcie. - Jakie dali ci wypowiedzenie?

- Obyło się bez wypowiedzenia. Mam trzy tygodnie zaległego urlopu z zeszłego roku; pytali, czy chciałabym je wykorzystać i odejść od razu.

- Od razu? - Nic z tego nie rozumiał. - Chcesz powiedzieć... że w poniedziałek nie idziesz do pracy? Tak?

Kiwnęła głową..

- Ja i połowa dnia. Przynajmniej zapłacą mi za urlop. No i nie muszę organizować przyjęcia pożegnalnego, czyli nie jest źle, co?

Johnny szczerze żałował, że nie rozumie zawilości kobiecego umysłu. Natalie sprawiała wrażenie trochę niepoczytalnej... ale przecież chodziło nie tylko o pracę. Może poranny telefon matki też zrobił swoje? Ale to bez sensu - przecież dwa takie ciosy jednego dnia wystarczyły, żeby człowiek utonął w depresji, prawda?

- Aha - odpowiedział, wstając i grając na zwłokę. - Ale czy nie powinnaś być bardziej... zdenerwowana? Oczywiście nie chcę, żebyś się denerwowała, ale...

- Johnny. - Natalie wyciągnęła ręce i znów musiał usiąść. - Denerwowałam się całe popołudnie. Mam tego powyżej uszu. Dostyc uzalania się nad sobą. Nie chcę tracić więcej czasu na coś, czego nie mogę zmienić. Od tej chwili chcę skupić się na nas. Na tym, na co mam wpływ.

Johnny popatrzył na żonę. Była taka drobna i zdeterminowana, jak mała dziewczynka w służbowym mundurku, że zapragnął ją uszczęśliwić za wszelką cenę.

- Wszystko będzie dobrze, Nat. Chcesz adoptować psa, świetnie! Zróbmy to! Weekendy w parku, tresura, co tylko chcesz! Fantastycznie!

Natalie spuściła wzrok, zbierając się w sobie przed kolejnym wyznaniem.

- Mówiąc o tym, na co mamy wpływ, miałam na myśli... Chodźmy do lekarza, Johnny, i zróbmy te badania. Wiem, że nie masz na to ochoty, ale chyba powinniśmy. Żeby nie czekać beczynn timer i nie łudzić się nadzieją.

- Badania? - Johnny wzdrygnął się na myśl o poczekalniach, próbkach i Natalie, nakręconej jeszcze bardziej niż obecnie. - A nie możemy po prostu... sam nie wiem... łykać więcej żelaza?

- Muszę wiedzieć - upierała się Natalie. Położyła ręce na stole i spojrzała na swoje palce, obrączkę i połyskujące pierścionki.

- Co miesiąc próbuję robić wszystko jak należy i na przekór logice żyję nadzieją. Ale chyba mi nie wychodzi. Nie wychodzi, i już. I tak w kółko.

Kiedy podniosła głowę, Johnny zobaczył rozmazany tusz i zrozumiał, że płakała. Zawstydził się swojej krótkowzroczności.

- Ja po prostu muszę wiedzieć dlaczego - dodała cichym głosem. - Muszę wiedzieć, co mi dolega.

Serce podskoczyło mu w piersi. Ale z niego szczęściarz. Naprawdę wygrał od życia los na loterii. Nie prosił o wiele - żona, praca, dom z garażem, piwo z Billem od czasu do czasu - i miał to wszystko na wyciągnięcie ręki. Dziecko stanowiłoby tylko miły dodatek, ale nie miał serca jej tego powiedzieć, nie gdy siedziała obok bliska płaczu. Tylko jej chciał, nikogo więcej.

- Jasne - usłyszał własny głos. - Umów się na wizytę.

Spojrzała na niego z wdzięcznością, a on poczuł się jak ostatni drań. Ileż to dla niej znaczyło! Chwyciła go za ręce i oplotła je smukłymi palcami.

- Dziękuję.

- Ale pod jednym warunkiem. - Johnny uścisnął mocniej jej dłoń, czując na skórze chłodny dotyk obrączki. - Bez względu na wyniki nadal mamy siebie, tak? I możemy być szczęśliwi tylko we dwójkę? Nie staniemy się jedną z tych par, które idą na proszoną kolację i rozmawiają o... - ciarki przeszły go na samą myśl - ...próbkach spermy i czymś takim?

- Oczywiście, że nie! - Oczy Natalie zalśniły łzami, a może czymś jeszcze. Determinacją. - Nie bądź niemądry. Ten przymusowy urlop... to dla nas dobra okazja, żeby spróbować.

W tej samej chwili Johnny doznał jednego z rzadkich przyprawów olśnienia i zrozumiał, że choć oboje mówią to samo, Natalie wybiega myślą dwa lub trzy kroki naprzód. Niepokoił się, cóż to może oznaczać.

Ktoś zadzwonił do drzwi i Natalie zerwała się jak oparzona.

- To na pewno Rachel ze schroniska. Myślisz, że powinnam zostać w kostiumie? - Zmarszczyła nos. - Nie pomyśli sobie, że jestem za mało wyluzowana? Czekać, lecę się przebrać.

Ty ją wpuść i oprowadź po domu. Zrób herbatę czy coś.

Wybiegła z kuchni i usłyszał, jak pędzi bosą na górę.

Oszołomiony odprowadził ją wzrokiem. Z jednej skrajności w drugą, jak to w ogóle możliwe? I od kiedy to porządek liczy się bardziej niż utrata pracy? Potrząsając głową, wyszedł do przedpokoju i otworzył drzwi.

Rachel Fielding stała na progu ze swoim notesem; Johnny uznał, że w codziennym ubraniu wygląda młodziej, niż kiedy się poznali. Ciemne włosy miała zmierzwione i ubrana była w dżinsy, wysokie buty oraz błyszczącą kurtkę w stylu lat sześćdziesiątych. Prawie nie miała makijażu, nie licząc ust pociągniętych matową czerwoną szminką.

Johnny od razu poczuł się nieswojo. Nie przywykł do takich kobiet. Rachel emanowała londyńskim blaskiem, po części za sprawą fryzury (którą on sam uważał za dziwną, w przeciwieństwie do zachwyconej Natalie) oraz widocznej gołym okiem niezachwianej pewności siebie. Nosila wysadzaną - zapewne modnymi - ćwiekami wielką torbę, w której bez trudu upchnęłaby niemowlę. Johnny nie znał się na modzie.

- Cześć - powiedziała, unosząc dłoń z granatowymi paznokciami. Wyglądały na świeżo pomalowane. - Przyszłam sprawdzić, czy jesteście przygotowani na trąbę powietrzną.

- Zapraszam. - Johnny usunął się na bok, żeby ją wpuścić. Zastanawiał się, o co w ogóle chodzi z tą oceną. I jakie przyjmuje się kryteria. - Powinniśmy zamontować klapkę w drzwiach? - zapytał.

- Nie! To znaczy, tak mi się wydaje. Nie rób takiej zmartwionej miny - dodała. - To naprawdę nic wielkiego, muszę tylko rzucić okiem na dom.

- Powiedz to mojej żonie - odparł Johnny. - Przed chwilą szalała tu z odkurzaczem.

Rachel rzuciła mu współczujące spojrzenie.

- Serio? To dopiero początek. Owczarek Dot gubi tyle włosów, że po trzech dniach mogłabym wypchać nimi kanapę. Co my tu mamy? - Pokazała mu listę. Pytanie numer trzy brzmiało: "Czy w domu są białe dywany?".

Johnny podniósł brwi.

- O co chodzi z tymi dywanami? Rachel skrzywiła kpiąco czerwone usta.

- Megan twierdzi, że wielbiciele białych dywanów i wymuskanych wnętrz powinni hodować złote rybki.

- Co za ulga. - Johnny odetchnął. - Bo między nami mówiąc, my niezupełnie...

- Niezupełnie co? - Natalie zbiegła ze schodów w dżinsach i czerwonym podkoszulku, który pamiętał jeszcze czasy studiów. - Witaj, Rachel! Dzięki za szybki odzew!

- To ja dziękuję w imieniu Bertiego. Sami wiecie, jak nam zależy. - Rachel z uśmiechem rozejrzała się po pokoju i zaznaczyła coś na karcie. - To nie potrwa długo, nie chcę popsuć wam piątkowego wieczoru.

- Och, żaden problem, nigdzie się nie wybieramy - zapewniła Natalie, chyłkiem ścigając ze stolika szklany bibelot.

Johnny zająrzył Rachel przez ramię, ale Natalie rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Napijesz się kawy, Rachel? - zaproponowała słodkim głosem. - A może kieliszek wina?

- Chętnie! - Rachel poszła za nią do kuchni, nie przestając się rozglądać. - Bądźcie wyrozumiali, to mój pierwszy raz. Zastępuję Fredę. Dam głowę, że Bertie będzie zachwycony. Ja byłabym na pewno. Macie ogródek? Przepraszam, ale muszę sprawdzić, czy jest ogrodzenie. Ach, jaka prześliczna kuchnia!

Natalie o mało nie pękła z dumy.

- Bardzo proszę. Johnny, pokaż Rachel ogródek, a ja zaparzę kawę.

Johnny udał, że saltuje, po czym wskazał ręką kuchenne drzwi i zapalił światło na zewnątrz.

- Pani przodem.

Rachel obeszła klomby, skrobiąc coś na kartce. Johnny maszerował za nią z latarką, zachodząc w głowę, jakim cudem obcasy nie grzęzną jej w mokrej trawie, ale ograniczył się do uprzejmego wypytywania o spacer i tresurę.

Kiedy wrócili do środka, Natalie czekała na nich z trzema doskonałymi cappuccino z pianką oprószoną czekoladą. Były to istne dzieła sztuki.

- O rany! - Rachel z zachwytem wypła łyk. - To najlepsza kawa, jaką piłam tu od chwili przyjazdu.

- Koniecznie zajrzyj do kawiarni w mieście - odpowiedziała Natalie, jak zwykle gotowa służyć informacją. - Może nie wygląda zachęcająco, ale w środku jest bardzo przyjemnie. Przeszli na produkty organiczne.

- Innymi słowy, podnieśli ceny o piętnaście procent i podają ci imię krowy, z której wydoili mleko do twojej kawy -

wtrącił Johnny. - Pakują ciastka do papierowych torebek, a autorem przepisów jest babcia Zuzia.

Rachel uśmiechnęła się z rozbawieniem, co nadało jej swojski wygląd dziewczyny z klubu książki.

- No tak, ale sęk w tym, że psy nie mają tam wstępu. A ja zawsze wlokę ze sobą co najmniej cztery. - Cierpiętniczo mrugnęła do Natalie. - Megan powinna dopisać w ogłoszeniu, że czworonogi pomagają zaoszczędzić fortunę: człowiek nie może wchodzić do sklepów! Siedzi w domu albo jest przywiązany do smyczy!

- Mnie pasuje! - stwierdziła Natalie. - Od poniedziałku biorę dziekanę.

Rachel przeniosła wzrok z jednego na drugie i postukała długopisem o wargę.

- Nie chcę być wścibska, ale nie wiecie przypadkiem, ile to potrwa? Pół roku, sześć tygodni czy...

- Na pewno nie krócej niż pół roku - oświadczyła zdecydowanie Natalie. - Mam w planie kilka projektów, nad którymi chciałabym popracować.

Rachel podsunęła im kartkę zapisaną dużym pismem Megan.

- Nie bierzcie tego do siebie, ale Megan proponuje, aby Bertie zamieszkał u was tymczasowo, skoro nie możecie zająć się nim w pełnym wymiarze godzin. To też nam bardzo pomoże - uzupełniła pośpiesznie. - On nie znosi schroniska, a pobyt u kogoś w domu zwiększy jego szanse na stałą adopcję. Macie coś przeciwko temu?

- Ależ skąd. - Natalie kipiała entuzjazmem. - Grunt to dać mu dom, choćby na jakiś czas.

Johnny zerknął na nią z powątpiewaniem.

- Ale wiesz, że to nie będzie łatwe, Nat. Rozstać się z nim, kiedy ktoś...

- Jak przyjdzie co do czego, damy radę.

Rachel uśmiechnęła się z ulgą.

- Będzie nam go brakowało, ale on naprawdę wymaga ciągłej uwagi. I dyscypliny. Innymi słowy, żadnego łożenia po stole i wylegiwania się na kanapie - dodała, wskazując na swoje notatki. - Megan mówi, że macie być twardzi, gdyż on nadal rośnie. Żadnych kanap i schodów, zanim nie skończy dwóch lat.

- Ma się rozumieć. A czy istnieje możliwość zatrzymania go na stałe? Jeśli coś się zmieni?

Rachel kiwnęła głową, ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo Johnny pochylił się uważniej nad kartką.

- O co tu chodzi? - spytał, stukając palcem w podkreślone zdanie. - „Zapytaj o dzieci”?

- Ach, to. Wybaczcie. - Rachel przysunęła notes z powrotem i poczerwieniła pod warstwą pudru. - Muszę o to zapytać, chociaż moim zdaniem to szczyt chamstwa i naprawdę macie prawo być wkurzeni. Ale Megan się uparła. - Westchnęła. - Czy w ciągu najbliższego roku macie zamiar mieć dziecko?

Johnny i Natalie popatrzyli po sobie.

- To znaczy - podjęła Rachel, nieświadoma tej wymiany spojrzeń - Natalie, jesteś trochę młodsza ode mnie, ale czasem ludzie czują się upoważnieni do wypytywania, czy kobieta odkłada ciężę na później, czy raczej stawia na karierę zawodową. Nie pytaliby, czy jest wierząca, prawda? Ani ile waży? - Przewróciła oczami i Natalie odpowiedziała jej tym samym.

Nat walczyła ze sobą, nie chcąc skłamać.

- Chodzi o to... - zaczęła.

- Napijcie się jeszcze kawy? - spytał Johnny.

- Ja poproszę - powiedziała Natalie. - Dla mnie bezkofeinowa. Chociaż co tam, dzisiaj zaszaleję: niech będzie z kofeiną. - Podsunęła mu swoją filiżankę i ponownie zwróciła

się do Rachel. - Rozumiem, że nie masz dzieci? Rachel potrząsnęła głową.

- Nie - odpowiedziała. - Nie mam. Naprawdę, nie chcę się wtrącać w wasze życie, pytam tylko, ponieważ zdaniem Megan to dla psa stresująca sytuacja, a i tak na początku nie będzie łatwo.

- Hm, no tak - przyznała Natalie. - I nie chcesz mieć? Och, siedź cicho, pomyślał Johnny, ale Rachel wyglądała na niewzruszoną.

- Czasami - przyznała po chwili. - Ale szybko mi przechodzi. Pracuję w public relations, dużo podróżuję, często z dnia na dzień. Lubię swoją niezależność, jestem panią własnego losu. - Skrzywiła się na pół żartobliwie. - Muszę przyznać, że dopiero teraz zrozumiałam, jaka byłaby to katorga. Klejnota mogę przynajmniej zostawić z Megan. I sprzątam jego kupę tylko dwa razy dziennie.

Natalie roześmiała się swoim gardłowym śmiechem. Johnny uświadomił sobie, że nie śmiała się tak od miesiący.

- Ale wy myślicie o dziecku? - zapytała Rachel domyślnie.

- Owszem - wtrącił, zanim Natalie zdążyła odpowiedzieć. Chciał jej uzmysłować, że podchodzi do tematu poważnie. Bez względu na to, co też Rachel naskrobie w swoich notatkach.

- Ale oczywiście zostaje nam co najmniej dziewięć miesięcy - dodał. - Zatem chyba to żadna przeszkoda, prawda?

- Jasne, że nie. To wspaniale - powiedziała Rachel. - Powodzenia!

Pochyliła się nad kartką, ale minę miała nieprzeniknioną.

Za to mina Natalie mówiła sama za siebie. I wyrażała niczym niezmaconą radość.

Widząc to, Johnny odetchnął głęboko i też uśmiechnął się uszczęśliwiony.

Na drugim końcu miasta, na osiedlu domków w pobliżu kanału, Zoe patrzyła ze złością na nowy samochód Davida i zachodziła w głowę, po co mu napęd na cztery koła i kolos, przy którym jej polo wyglądało jak mrówka.

David zjawił się punktualnie o ósmej po chłopców, ich nowego, czekającego przyjaciela oraz całą masę drobiazgów niezbędnych na weekend z psem. Drobiazgi wypełniły bagażnik szpanerskiego samochodu, lecz David nie tracił humoru i przysłuchiwał się chłopcom, którzy zasypywali go opowieściami o kolegach i szkole, ale przede wszystkim o psie.

Toffi też siedział z tyłu, jazgocząc zza szyby i - Zoe skrycie na to liczyła - chyłkiem obsikując tapicerkę. Lubił siusiać w nowych miejscach. Megan ze schroniska wspomniała, że biura też nie oszczędził, ale ponoć nauka czystości szła mu coraz lepiej. Odkąd tam bywał, przestał przynajmniej obsikiwać ludzi. No i poznał znaczenie słowa „nie”.

Trenowały we trzy, razem z Rachel. Na zmianę mówiły „nie!”, unosząc przy tym rękę jak policjant, aż nawet Zoe nauczyła się przywoływać labradora do porządku. W dziesięciopunktowej skali Megan „nie” Zoe zasługiwało na mocną czwórkę.

- Grunt to stanowczość - oznajmiła, kiedy Zoe aż się wzdrygnęła, zdumiona obcym brzmieniem własnego głosu. - Musisz wyznaczyć granice. I być konsekwentna! On tego potrzebuje.

Ale z konsekwencją Zoe zawsze była na bakier. Wzięła głęboki oddech i postanowiła przeciwyczyć to z Davidem.

- Potrzebuję pieniędzy na opiekę dla psa - wymamrotała, uśmiechając się dla niepoznaki na użytek synów.

- Na opiekę? Dla psa? Zadzwoń do mojego adwokata. -
Było to ostatnio ulubione powiedzonko Davida oprócz
„Trzymajmy się zasad”.

Zoe zachwiała się w swoim postanowieniu. Nie była już
taka pewna swego, zwłaszcza odkąd chłopcy snuli przy niej
plany fantastycznej wycieczki z tatusiem. Przez zacięzioną
szybę podchwyciła niespokojne spojrzenie Spencera i
przypomniała sobie, że ma pełne prawo oczekiwać od Davida
odpowiedzialności.

Przypomniała sobie wskazówki Megan i spróbowała
nadać głosowi stanowczy ton.

- Jest mały, nie można zostawiać go na cały dzień,
przecież wiesz, że pracuję na pełen etat. Zakładam, że wiesz,
skoro właśnie obniżyłeś o połowę alimenty.

David odwrócił się do niej z pobłażliwym uśmiechem i
położył jej rękę na ramieniu; był to gest, który miał kiedyś
dodawać otuchy. Krzepiący gest, który teraz nie znaczył nic.

- Nie bądź śmieszna, Zoe, przecież to pies! Nie możesz
poprosić sąsiadki, żeby miała na niego oko? Dajże spokój -
dodał. - Każdemu jest ciężko. Ja swoje wybuliłem, nie masz
pojęcia, ile coś takiego kosztuje!

- Toffi to nie żadne „coś” - burknęła Zoe. - Tylko pies.

David uśmiechnął się kątem ust.

- No właśnie - odpowiedział. - Tylko pies.

Zoe próbowała wziąć przykład z Rachel, która udzielała
jej rad.

- Dogadałam się ze schroniskiem i zajmą się nim za pół
ceny, ale musisz się dołożyć. Nie mogę brać na to z
alimentów, chyba że twoim zdaniem zamiast dzieci powinnam
karmić szczeniaka.

Sięgnął do kieszeni i zanim się zorientowała, wyjął portfel
i wcisnął jej do ręki sto funtów.

- Proszę. Tego chciałaś?

- Nie o to cho... - zaczęła, ale on otworzył samochód i zasiadł za kierownicą nowiutkiego samochodu, gotów wyruszyć z chłopcami na weekend pełen atrakcji.

- Jak tam? - zawołał do tyłu. - Gotowi na wyprawę do Alton Towers?

Nagle uderzyła ją straszna myśl.

- Czeka! - Załomotała w szybę i David opuścił ją ze złością. Z podkręconego na cały regulator radia płynęła muzyka. Zbyt głośna i zbyt młodzieżowa.

- Co znowu?

- Kto zajmie się psem, kiedy wy będziecie dobrze się bawić? - spytała bez tchu.

David rzucił jej piorunujące spojrzenie.

- Jak to, kto się nim zajmie? Zabierzemy go ze sobą i zostawimy w samochodzie, w kontenerku. Przeżyje. Będziemy tam tylko, sam nie wiem, może do trzeciej...

- Co ty pleciesz?! Przecież trzeba z nim wychodzić przynajmniej raz na godzinę. - Przed oczami stanęła jej straszna wizja oszalałego psa, przegrzanego, załęcznionego i samotnego w kałuży własnych sików w głupim bagażniku Davida, albo, co gorsza, wleczonego na smyczy w tłumie obcych ludzi.

David popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Przecież to pies, Zoe, na miłość boską!

- No właśnie! A nie zabawka! Przykro mi, ale Toffi zostaje w domu - oznajmiła z całą stanowczością. - Że też wcześniej na to nie wpadłam. Otwieraj bagażnik.

Co ty wyprawiasz, zgromiła się w duchu. Przecież miałaś mieć spokojny weekend.

- Co? Nie bądź...

- Otwieraj ten cholerny bagażnik! - wrzasnęła. David zacisnął zęby i odwrócił się do dzieci.

- Przepraszam, chłopaki, ale mama nie pozwala zabrać psa. Toffi nie może z nami jechać.

Z tylnego siedzenia napłynął rozzalony jęk zawodu.

- Maaaaamooooo!

Zoe stwierdziła, że nie ustąpi.

- Przykro mi, Spencer, ale tam jest dla niego za głośno. Poczekaj na was w domu. - Z wysiłkiem podniosła ciężką klapę i sięgnęła po kontener.

Zza siatki wyjrzały na nią czekoladowe ślepia i serce Zoe zalała fala ulgi. Nie skaże go na dwudniową udrękę. Siedziałyby we własnych odchodach, narobił szkód i wredna Jennifer miałaby za swoje, ale Zoe nie mogła się na to zdobyć, nawet w imię nauczki, jaką dałaby Davidowi.

Spencer z całej siły kopnął w fotel Davida.

- To niesprawiedliwe!

- Spencer! Nie kop siedzenia! Zostaną ślady! - warknął David, po czym zreflektował się i dodał: - Proszę, stary.

To nic w porównaniu z tym, co narobiłby hiperaktywny szczeniak, pomyślała Zoe.

Pomaszerowała do okna kierowcy, nie poznając samej siebie.

- Jak przywiozą do domu choćby plastikową kaczkę, to pożałujesz! - syknęła, po czym dodała głośniejszym głosem: - Pa, kochani! Słuchajcie tatusia!

Spencer siedział nadąsany, ale Leo pomachał jej pulchną rączką tuż za szybą, żeby widziała.

- Opiekuj się pieskiem, mamusiu! - zawołał.

Zoe odmachnęła mu ze ściśniętym sercem, siląc się na uśmiech. Potem David wcisnął gaz i tyle ich widziała.

Drżąc, podniosła klatkę z psem na wysokość oczu.

- A więc, mój mały? - powiedziała. - Tylko ty i ja. Masz jakieś plany na weekend?

Toffi polizał ją w nos i szczerknął na znak, że chce siku.
Zawsze to jakiś postęp, pomyślała.

- Miejże litość, Megan - błagała Rachel. - W normalnych warunkach o tej porze jeszcze śpię, a ty mi każesz myśleć. - Jej spojrzenie padło na harmonogram. - I organizować.

Był sobotni ranek i po raz pierwszy miała uczestniczyć w cotygodniowym rytuale spaceru z udziałem ochotników. Megan obudziła ją kubkiem herbaty, a Klejnot bezceremonialnie zerwał z niej kołdrę.

Pocieszała się tym, że przynajmniej zarzucił zwyczaj porannego lizania jej po twarzy.

- Świetnie ci idzie! - zawołała Megan; jak na osobę, która od dwóch godzin jest na nogach i zdążyła już sprzątnąć psiarnię, tryskała nieprzyzwoicie wprost dobrym humorem. - Co powiesz na robienie kanapek?

Poprowadziła Rachel do kredensu, gdzie czekały już dwa bochenki chleba, parę opakowań boczku oraz keczup. Rachel uszczupliła swoje skromne oszczędności, aby uzupełnić zapasy, zapłacić Megan i uregulować kilka pilniejszych rachunków; pozostałe nie budziły wątpliwości, że formalności związane z testamentem trzeba załatwić jak najszybciej.

W każdym razie sporządziła nową listę. Na popołudnie zaplanowała sobie spis inwentarza.

- Usmaż boczek, wstaw do ciepłego piekarnika, a kiedy wrócą ochotnicy, zrób kanapki. I tak w kółko. Zwykle przychodzi jakieś dziesięć osób - wyjaśniła Megan. - Twoja kampania plakatuwa zdziałała istne cuda.

- Uprzedzam, że nie umiem gotować. - Rachel ostrożnie postawiła na kuchence ciężką starą patelnię. - Wolę jeść na mieście.

- Halo, halo! Przyszłam za wcześnie?

Zoe Graham stała w drzwiach z labradorem pod pachą. Na widok owczarka w koszyku piesek zaczął się wiercić, żeby go postawiła, i rzucił się witać starszego kolegę.

- Tylko mi nie mów, że chcesz go zostawić, błagam cię! - jęknęła Rachel.

Zoe potrząsnęła głową. Spod wełnianej, niebieskiej czapki sterczały rudawe loki.

- Nie, mój były zabrał dzieci na weekend. W domu zrobiło się pustawo, a Freda tyle razy mówiła o ochotnikach, więc...

- Teatralnie uniosła brwi i ręce. - No to jestem! Powinniście wywiesić ogłoszenia w kancelariach. Weekendowe samotne matki łączcie się!

- Wspomniałaś byłemu, tak? - zapytała Rachel. - O pieniądzach na dzienną opiekę?

- I powiedziałaś „nie!” - dorzuciła z policyjnym gestem Megan. - Jemu i psu?

Zoe spochmurniała.

- Poniekąd. Powiedziałam, że nie może brać psa i zostawiać go w samochodzie. Obiecuję, że postawię na swoim, niech tylko wróca. David dał mi trochę gotówki, o proszę, więc zapłacę z góry.

- Świetnie! - Rachel chwyciła banknoty, zanim Megan zdążyła wyciągnąć rękę. Będzie na żywność. Jej oszczędności topniały w oczach. - Przyjmijmy, że to opłata za pierwszy miesiąc, w ramach promocji dla nowych klientów. Przyniosę rachunek.

- Dobry początek - pochwaliła Megan. - To znaczy, nie mówię o pieniądzach, tylko pokazaniu mu, gdzie raki zimują. Żeby ci nie wchodził na głowę.

- Mam zmieniać stare nawyki? - westchnęła Zoe. - Ten tutaj też wchodzi mi na głowę.

- Psy są inne - odrzekła Megan, patrząc pobłaźliwie, jak Toffi wspina się na niewzruszonego owczarka i tarmosi go za uszy.

Rachel schowała pieniądze do tylnej kieszeni spodni.

- Megan, może niech Zoe idzie na spacer, a ja w tym czasie nauczę się robić kanapki, dobrze? - Spojrzała niepewnie na boczek. - Tylko nie spieszcie się z powrotem, dobrze?

W innej części Longhampton Natalie i Johnny siedzieli w samochodzie, patrząc, jak Bill wychodzi z domu w nowej roli.

Natalie nie była obiektywna, ale jej zdaniem wyglądał jak z okładki. Piękne rysy, modny płaszcz oraz wełniana czapka. No i dodatek w postaci czarnego pudła.

Przy czym, sądząc po dumnej minie Lulu, chyba to nie ona była dodatkiem.

- Tylko taki przystojniak jak Bill może mieć pudła - stwierdził Johnny.

- Wygląda bosko. - Natalie pomachała do przyjaciela, aby zwrócić jego uwagę. - W parku nie będzie mógł opędzić się od wielbicielek. Mężczyzna z psem to coś, za czym kobiety szaleją najbardziej.

- Powtórzysz to, kiedy wyjdę z Bertiem? - Johnny rzucił jej figlarne spojrzenie i trąciła go w bok.

- Nie odstąpię cię ani na krok. Będziemy chodzić razem. - Natalie usiadła wygodniej, gotowa do drogi. - Niech Bill koniecznie porozmawia z tą miłą Megan.

- Słucham? Aha, już rozumiem... Uknęłaś chytry plan, a ten spacer to tylko przykrywka, tak?

- Przecież jedziemy do Bertiego - zauważyła Natalie. - Ale pomyślałam sobie, że Megan jest bardzo w jego typie.

- To znaczy?

Bill stał przy drzwiach, szukając kluczy. Chyba ich nie zabrał, gdyż pomachał do przyjaciół i przywiązawszy Lulu do klamki, wrócił do domu. Suczka usiadła cierpliwie na wycieracze i czekała.

- To znaczy, że wydaje się poukładana - podjęła Natalie. - Bez bagażu, ma rękę do psów i poczucie humoru, dużo podróżowała...

- Skąd ty to wszystko wiesz? Tylko raz ją widziałas! - Johnny wytrzeszczył oczy.

- Ucięłyśmy sobie miłą pogawędkę, kiedy zadzwoniłam w sprawie Bertiego. Zresztą to się czuje. - Natalie uśmiechnęła się na widok Billa, który wyszedł z domu w innym płaszczu i z drugą smyczą w dłoni. - Moim zdaniem mają duże szanse. Trzeba im tylko wskazać właściwą drogę. Drogę do stabilizacji.

- Wskazujesz mu ją od trzech lat - zauważył przytomnie Johnny. - Ale sama wiesz, jaki z niego perfekcyjny... Cześć, Bill!

- Cześć, Natalie! Cześć, Johnny! - Bill podniósł psa i włożył go sobie pod pachę.

- Cześć, Lulu! - zaświergotała Natalie.

- Cześć, ciociu Nata...! - zaczął piskliwie Bill, lecz na widok znaczącego spojrzenia kolegi urwał w pół słowa.

Johnny wysiadł, żeby wpuścić go na tylne siedzenie.

- O, tam masz haczyk, do którego możesz ją przypiąć - powiedziała Natalie, wskazując palcem. - Tak, właśnie ten.

- To dla Bertiego. Wszystko przygotowała - poinformował Johnny. - Jedziemy prosto ze sklepu zoologicznego. Wczorajsze siedem godzin w Internecie to za mało; mamy wszystkie gadżety, łącznie z takim pstryczkiem, dzięki któremu Nat stanie się psią behawiorystką stulecia.

Bill podniósł brwi.

- Jak szaleć, to na całego.

- A żebyś wiedział - westchnął Johnny. - To za mało powiedziane. Wsiadaj, a opowie ci więcej, niż kiedykolwiek chciałeś się dowiedzieć.

Megan przydzieliła Zoe Bertiego i labradora Melasę; Toffi miał osiągnąć kiedyś podobne rozmiary. Przykazała jej, że ma być stanowcza i pamiętać o „nie!”, i uzbroiła w garść smakowitych łapówek na wszelki wypadek, a następnie

wysłała w plener z mapką wręczaną wszystkim spacerowiczom.

Przez całą drogę ze wzgórza i na obrzeżach parku Zoe czuła się jak chodząca reklama szamponu do włosów, uśmiechając się na prawo i lewo do innych właścicieli psów, którzy tłumnie wylegli na dwór, korzystając z ładnej pogody. Psy sprawiały wrażenie nieprzytomnych ze szczęścia, a ona dzieliła ich entuzjazm. Uświadomiła sobie z przerażeniem, iż było to pierwsze odstępstwo od rutyny, którego dopuściła się od urodzenia chłopców. Pierwsze, ale całkiem przyjemne.

Przyjemne? Ba, czuła się jak na wakacjach - w pojedynkę. Było jej lekko na duszy i miała ochotę zatańczyć ze szczęścia. W dodatku psy zdawały się liczyć z jej zdaniem i dotrzymywały jej kroku, oglądając się czasem, jakby sprawdzały, czy za nimi nadąża.

Jednakże z chwilą kiedy w drodze powrotnej znaleźli się na bardziej zarośniętym obszarze parku, Bertie i jego nos zwietrzyli trop i baset wystrzelił jak z procy, jednym pociągnięciem rozwijając całą smycz.

- Wolniej! - wrzasnęła na próżno Zoe. Smycz rozwinęła się na całą długość i szarpnięcie omal nie wyrwało jej ręki ze stawu. Zoe przyspieszyła kroku, aby nie udusić Bertiego, który gnał przed siebie tak szybko, że uszy powiewały mu po bokach głowy niczym chorągwie. - Wolniej! Do nogi! Do nogi!

Co się krzyczy w takich wypadkach, myślała gorączkowo. Stój? Do nogi? Zostań?

Wszystko na nic. Bertie włókł ją z determinacją przez błonia w stronę grupy ludzi - oraz ich psa.

Musiała prawie biec. Spojrzała na Melasę, która truchtała obok, jak zwykle nienagannie, posłuszna mimo tak zadziwiającego i zgoła nieoczekiwanego obrotu sprawy.

- Wybacz - jęknęła Zoe bez tchu, ale labradorka nie sprawiała wrażenia szczególnie strapionej.

Zoe poczuła, że coś wibruje jej w kieszeni: dzwonił telefon. Poczucie wolności prysło jak bańka mydlana i mózg skwapliwie podsunął jej przerażające sceny wypadków w wesołym miasteczku, karamboli oraz wymiotującego Leo.

Spojrzała w stronę, w którą pędził Bertie: była to w miarę gładka polana bez żadnych krzewów i zarośli, w które można by zaryć nosem, toteż Zoe postanowiła zaryzykować. Przełożyła smycz do drugiej ręki i - wciąż biegnąc - sięgnęła do kieszeni po telefon. Wyślizgnął jej się z palców. Usiłując go złapać, zahaczyła stopą o kopiec kreta i straciwszy równowagę, runęła jak długa na mokrą trawę i metalową osłonę studzienki, którą dostrzegła dopiero w ostatniej chwili.

Wyciągnęła ręce przed siebie, ale było już za późno, by zamortyzować upadek. Smycze i telefon wyleciały jej z rąk i z impetem huknęła czołem w studzienkę. Gwiazdy zatańczyły jej przed oczami; usłyszała radosne szczekanie i Bertie pogalopował przed siebie jeszcze szybciej. Wszystko docierało do niej jak przez mgłę.

- Au! - jęknęła bliska płaczu, czując w ustach metaliczny smak krwi w miejscu, gdzie przygryzła wargę. Wiedziała, że zaraz poczuje piekący ból na czole i obtartych dłoniach. W takich chwilach przeważnie odwracała uwagę chłopców, żeby niczego nie zauważyli.

Telefon zadzwonił jeszcze dwa razy poza zasięgiem wzroku, a potem ucichł.

Próbowała usiąść, ale świat wirował jej przed oczami. Psy! Gdzie się podziały?

Podniosła głowę i zobaczyła, jak zachwycony Bertie obskakuje troje ludzi z psem; ruszyli w jej stronę, a towarzysząca im pudlica zbywała umizgi baseta niczym wyniosła kobieta, która za nic w świecie nie chce dać się

poderwać. Tymczasem Melasa troskliwie stała nad Zoe, niepewnie machając ogonem i śliniąc się obficie.

- Bertie! - krzyknęła Zoe, dźwigając się z ziemi, jednakże ból w rękach, nodze i barku dał o sobie znać i kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Przymknęła oczy i ostrożnie uniosła dłoń; czapka sfrunęła jej z głowy, a na czole widniał okazały guz.

- Wszystko w porządku? - zawołał jeden z mężczyzn. - Proszę się nie ruszać, jest z nami lekarz.

- Złapiecie psa? - odkrzyknęła z nadzieją. - Proszę!

- Trzymam go! - odpowiedziała kobieta.

Odgłos kroków przybrał na sile i usłyszała zdyszane oddechy. Jeden z nich nie należał do Melasy.

- To musiało boleć - przyznał czyjś wesóły głos. - Czy jest pani w ukrytej kamerze?

Zoe otworzyła oczy i ujrzała nad sobą mężczyznę. On też miał wełnianą czapkę wciśniętą na uszy, a do oczu wpadały mu ciemne kosmyki. Ale nawet czerwony z zimna nos nie psuł wrażenia, jakie wywarł na niej dwudniowy zarost i zabójcze rzęsy nieznajomego.

Że też zawsze musisz poznać przystojniaka akurat w chwili, gdy zrobiłaś z siebie kosmiczną idiotkę, pomyślała półprzytomnie.

- Hm, nie znam się na tym, ale chyba rozdarła pani spodnie - dodał. - Proszę się podnieść, ale ostrożnie.

Zoe jęknęła wewnątrz, a następnie na głos, gdy do otartych rąk wróciło czucie.

Mężczyzna spoważniał, po czym ze znawstwem przykucnął obok i ująwszy Zoe pod brodę, zajrzał jej głęboko w oczy. Zakłopotana próbowała odwrócić wzrok.

- Nie, nie, prosiłbym jednak, żeby pani na mnie spojrzała - zaoponował. - Proszę się nie obawiać, jestem lekarzem.

- O, na pewno. - Zdobyła się na blady uśmiech. - Czyha pan w parku na Bogu ducha winne niezdary, a potem je hipnotyzuje, tak?

- Ależ skąd. - Oczy ma boskie, uznała w duchu Zoe, jak Toffi w dobry dzień: wielkie i brązowe, od których serce topniało niczym wosk. Zastanawiała się mimochodem, czy ma rozszerzone źrenice; według miesięczników dla nastolatek świadczyło to o zainteresowaniu drugą osobą. - Nie w taką pogodę. Chyba nie ma pani wstrząśnienia mózgu. Nie straciła pani przytomności?

- Nie.

- To dobrze. Ale wieczorem będzie się pani gęsto tłumaczyć chłopakowi z tej śliwy na czole.

- Całe szczęście, że nie mam chłopaka, prawda? - odrzekła bez zastanowienia.

Uśmiechnął się, nie puszczając jej podbródka. Dlaczego, och, dlaczego wyszłaś bez makijażu, załkała w duchu. Trzeba było chociaż rzęsy pomalować!

- Czuje się pani na siłach, żeby wstać? - zapytał, sprawdzając, czy nie doznała innych urazów. Zoe z przykrością stwierdziła, że jest cała i zdrowa.

- Najbardziej boli mnie ta dziura w spodniach. To moje ulubione.

Dźwigając się na nogi, zobaczyła pozostałych, którzy zbliżali się do nich z własnym psem, czarnym pudlem, Melasą na smyczy oraz Bertiem, który skakał jak piłka wokół kobiety, bez trudu sięgając jej aż do biodra.

- Proszę się o mnie oprzeć - polecił mężczyzna, dla pewności obejmując ją ramieniem. - O tak, niech pani chwyci mnie w pasie.

- Cześć, jestem Zoe. - Zoe podała mu wolną rękę; od czasów Davida jeszcze nie znalazła się tak blisko mężczyzny. Pachniał świeżym praniem oraz wełnianym płaszczem i

podtrzymywał ją bez najmniejszego wysiłku, jak gdyby nie ważyła.

- Och, przepraszam. Mam na imię Bill - odparł. - Bill Harper - dodał. - Czy poznaliśmy się w przychodni? Kompletnie nie mam pamięci do imion.

- Nie. Pamiętałabym. Witaj, Bill - powiedziała i ostrożnie uścisnęli sobie ręce. Nie miała wątpliwości, że dla nich obojga był to jedynie pretekst, żeby się dotknąć, i nagle zrobiło jej się trochę za ciepło.

Pierwszy napotkany facet i tracisz głowę, upomniała się w duchu. A jeszcze przed dziesięcioma sekundami panikowałaś, że twoje dzieci wiszą na diabelskim młynie głową w dół!

- Mój telefon... - oprzytomniała. Oboje nachylili się w tej samej chwili, po czym stuknęli się głowami i Zoe jęknęła.

- Ma pani ciągoty samobójcze? - zapytał, rozcierając czoło przez wełnianą czapkę.

- Bynajmniej - odpowiedziała. - Sama nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Wszystko w porządku? - Jasnowłosa kobieta podeszła z psami, a następnie przekazała smycze swemu towarzyszowi, aby schylić się po telefon. - Johnny, możesz potrzymać? Czy to pani telefon? Nic pani sobie nie złamała?

- To był widok - uzupełnił drugi mężczyzna, Johnny. - Bertie ma za co przepraszać.

- Znacie go? - Zoe ze zdziwieniem przenosiła wzrok to na kobietę, to na jej towarzysza. Zachowanie Bertiego wyraźnie wskazywało na to, że widzą się nie pierwszy raz.

- W zasadzie to idiemy, żeby go zabrać na spacer. - Kobieta podrapała baseta za uchem. - Mamy nadzieję, że niedługo z nami zamieszka. Natalie i Johnny. Miło nam cię poznać.

- Lulu też jest ze schroniska - wyjaśnił Bill. - Ona i Bertie pewnie mają sobie dużo do powiedzenia. Rany, ale sobie

załatwiłaś rękę. Musiałaś trafić na szkło czy coś takiego. -
Sięgnął do kieszeni i wyjął czerwoną chustkę. - Przyciśnij do
rany, dobrze? I trzymaj rękę nad głową.

- Żeby powstrzymać krwawienie?

- Nie, żeby mnie bez przerwy nie trącać. - Bill uśmiechnął
się i Zoe odruchowo odpowiedziała mu tym samym. Miała
poważne podejrzenia, że był to dość głupawy uśmiech.

- Wracamy do schroniska? - zaproponowała Natalie. -
Zaparkowaliśmy tutaj, żeby Lulu trochę się przeszła i nie
pomyślała sobie, że przyjechaliśmy ją oddać!

- To twój labrador? - zapytał Bill, gdy Zoe wzięła od
Johnny'ego smycz z Melasą i skierowali się w stronę ścieżki.

- Nie, mój jest mniejszy. Ktoś zrobił mi dość
nieoczekiwany prezent - odpowiedziała. - Pracuję na pełen
etat, więc większość dnia spędza z Megan. Na razie nie
wychodzi na dłużej niż kwadrans.

- Na kwadrans? - Bill pokiwał głową. - Dużo pracy z
takim szczeniakiem, co?

- Dużo pracy? - Wolną ręką złapała się za głowę. - To
płacz i zgrzytanie zębów! Śpię na sofie, żeby nocą
wypuszczać go dwa razy na siku. Sama nie wiem, kto tu kogo
ćwiczy. - Odciągnęła Melasę od kuszącego śmietnika i
wzdrygnęła się, czując ostry ból w czole.

- Jak tam głowa? Gorzej? - Spojrzał na przyjaciół, którzy
wyprzedzili ich, ponieważ Bertie stracił cierpliwość i znowu
ruszył z kopyta.

- Nic mi nie będzie. Chcesz ich dogonić? - zapytała
pospiesznie. - Mną się nie przejmuj.

- Ależ skąd, to żaden problem. Niech się integrują z
Bertiem. Niech im uświadomi, co ich czeka. - Pokazał w
uśmiechu równe białe zęby. - Pozwolę sobie zauważyć, że
powinnaś się położyć i odpocząć przez parę godzin.

- Przecież dopiero się poznaliśmy! - zaproponowała bez namysłu.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Odprowadzę cię do schroniska - podjął. - Tam na pewno będziesz mogła odpocząć. Okład z lodu też się znajdzie. Spieszysz się gdzieś?

- Nie - odpowiedziała. Perspektywa samotnego weekendu nie cieszyła już tak jak przedtem. - Na razie nie.

- To dobrze - odpowiedział Bill.

Nastąpiła krótka chwila milczenia, podczas której Zoe uświadomiła sobie, że flirtuje, i to przy aktywnym udziale drugiej strony. Raju. Czyli jeszcze nie zapomniała, jak to się robi! I ktoś miał ochotę robić to z nią!

- Powoli. - Bill oparł lekko dłoń w zagłębieniu jej pleców.

- Nie musimy się spieszyć.

Ruszyli pod górkę z Lulu drepczącą obok i Zoe rozkoszowała się niecodziennym poczuciem, że jest pod czyjąś troskliwą opieką.

- Poszło jak z płatka - oznajmiła Natalie; ostrożnie wycofała samochód z parkingu, żeby nie przestraszyć nowego pasażera, który siedział przypięty do tylnego siedzenia jak konik w zaprzęgu.

- Jeśli masz na myśli to, że twoja wiedza zrobiła na wszystkich piorunujące wrażenie, jestem skłonny przyznać ci rację - odparł Johnny. - Rachel też się co nieco nauczyła.

Natalie spojrzała na męża.

- Po prostu wolę mieć pewność, że mamy dla Bertiego wszystko, co trzeba. Przecież nie chcemy go zawieść.

- I nie zawiedziemy. - Johnny delikatnie uściskał jej kolano. - Będiesz dla niego świetną opiekunką. Świata za tobą nie widzi. Prawda? - Odwrócił się na fotelu i Bertie polizał mu palce.

- Uważaj, Jon, żeby nie zwymiotował - upomniała, zerkając we wsteczne lusterko. Bertie nie dał się tak łatwo namówić na wejście do samochodu; przekonała go dopiero kiełbaska, którą Megan ukryła na siedzeniu.

Siedział z potępieńczą miną w swojej uprzęży, jakby szykował się do skoku ze spadochronem. Natalie przypomniała sobie, że podobnie wyglądał po powrocie ze spaceru oraz kradnąc kanapkę z bekonem; taki miał wyraz pyska, i już.

- Widziałem, że na przyszły weekend też nas umówiłaś - podjął Johnny. - Chodzi o kanapki czy raczej chcesz dopilnować, że Bill i Lulu też się zjawią?

- Po trosze jedno i drugie. - Natalie zawróciła, kryjąc uśmieшек.

- Co jak co, ale ten plan idzie chyba po twojej myśli - zauważył Johnny. - Człowiek plus pies zdecydowanie równa się romans.

- Myślisz, że się dogadują?

- Sądząc po tym, jak trajkotali w kuchni? No ba. Nigdy nie widziałem Billa tak ożywionego.

Sobotni ochotnicy sprawiali wrażenie bardzo sympatycznych - czyli ich troje oraz Zoe, którą spotkali w parku, kilkoro miłych staruszków i jeden czy dwoje nastolatków, znanych Johnny'emu ze szkoły. Rachel Fielding, w dzinsach i boskim kaszmirowym sweterku, robiła stosy kanapek, a Megan odgrywała rolę skarbnicy wiedzy na temat postępowania ze szczeniętami. Wszyscy mówili jeden przez drugiego, służąc sobie nawzajem radą, głównie w kwestii usuwania włosów z filtra pralki. Fajnie było, pomyślała Natalie. Jak w klubie, ale bez cienia rywalizacji, która tak bardzo przeszkadzała jej w klubie książki.

Natalie obserwowała Billa, który dość długo rozmawiał z Megan, głównie o strzyżeniu pudli.

- Mam nadzieję - uzupełniła. - Bardzo ją lubię, jest taka miła i ma poczucie humoru.

- Uhm - potwierdził Johnny. - Trochę pechowa, ale w końcu Bill jest lekarzem, więc może dobrze się składa.

- Słucham?

- Zoe. Widziałaś, jak o mało nie przewróciła się o Bertiego, kiedy czekał przy drzwiach? Na szczęście Bill dopilnował, żeby znów nie nabiła sobie guza.

- Nie mówiłam o Zoe - zawołała Natalie, wstrząśnięta.

- Miałam na myśli Megan. To Megan jest dla niego wymarzoną partią.

- A co ty chcesz od Zoe? - Johnny zrobił minę z cyklu „o co tym babom chodzi?”. - Jest młoda, ładna i ma prześlicznego szczeniaka! Jak tu jej nie kochać?

Utknęli w korku, zaczął siąpić deszcz. Natalie włączyła wycieraczki. Hm, do czego by się tu przyczepić? Nie miała Zoe absolutnie nic do zarzucenia. Po prostu jakoś nie widziała jej u boku kogoś tak wybrednego jak Bill.

- Czy ja wiem? - odpowiedziała w końcu. - Bill ma takie sprecyzowane wymagania...

- Ale jakoś do tej pory jest sam, tak? - zauważył Johnny.

- Zakochał się w pudlu, chociaż przyjechał po spaniela, prawda? - dodał. - I spójrz, jak się wszystko pięknie ułożyło.

- To prawda.

- My zaś wcale nie przyjechaliśmy po psa, a teraz mamy w domu całą baterię misek. Człowiek nigdy nie wie, co dla niego dobre, póki tego nie zobaczy. I koniec końców zawsze wychodzi na prostą.

Natalie spoglądała przez mokrą szybę, rozmyślając o psach, które zostały w schronisku i czekają, aż same trafią na tę jedyną, wybraną osobę. Johnny zawsze wierzył, że wszystko się ułoży, gdyż nigdy nie brał pod uwagę innej możliwości.

- A czasem po prostu ma szczęście - wyszeptał. Poczwała na ręce jego dłoń i przyszło jej do głowy, że najwyższy czas, aby zaczęła myśleć podobnie.

W środę Megan poprosiła o wolny wieczór - pierwszy od ponad dwóch miesięcy.

- Masz coś przeciwko temu? - spytała przy śniadaniu.

- Zwykle mam trzy wolne wieczory w tygodniu, ale po tym, co się stało... sama wiesz. - Przeprasząco uniosła ręce. - Wskoczę tylko do miasta z koleżankami, to impreza urodzinowa. W razie czego będę niedaleko.

Rachel czuła, że nie wypada odmówić, zwłaszcza że tego ranka Megan zdążyła już „odgruzować” psiarnię - no i nadal czekała na mały spadek po Dot, którego nie otrzyma, dopóki Rachel nie dopełni formalności związanych z uwierzytelnieniem testamentu. Co zamierzała uczynić jeszcze dziś. Bezwzględnie.

- Jasne! Nie ma sprawy - odpowiedziała, przerzucając poranną pocztę w poszukiwaniu utrapionych rachunków. - Dam sobie radę. Zobaczysz.

- Świetnie. Wypełniłaś podanie o licencję?

- Tak - skłamała Rachel. Obiecała sobie solennie, że też upora się z tym jeszcze dziś. Czuła, że zapowiada się pracowity dzień.

Sięgnęła po kolejną grzanekę z leżącej przed nią wielkiej sterty - dawno przestała się przejmować węglowodanami - i otworzyła katalog domu aukcyjnego Christie's, którego Dot była prenumeratorką.

- Podaż mi konfitury, Megan? - dodała.

- Wypełniłaś podanie o licencję?

Rachel podniosła wzrok znad lśniącej kartki z opisem drogich eksponatów na sprzedaż i zobaczyła, że Megan trzyma lepki słoik miejscowych konfitur poza zasięgiem jej ręki.

- Tresujesz mnie? - spytała Rachel. - Co ja jestem, pies?

- Pytam, czy wypełniłaś podanie - powtórzyła Megan. - Urzędnicy na początku przymkną oko, ale potem narobią rabanu o prowadzenie schroniska bez licencji. - Pomachała słoikiem. - To zabierze ci dwie minuty.

Rachel zachowała swoje myśli dla siebie: miała nadzieję czmychnąć z Longhampton i powrócić do świata bez siwych włosów i sadła, zanim urzędnicy rozpatrzą podanie o nową licencję. Dręczyły ją jednak złe przeczucia co do znalezienia nowej pracy, po tym jak Oliver zapewne puścił w świat opowieść o jej „nieprofesjonalnym” zachowaniu. Do tego dochodziła jeszcze niewesoła sytuacja w branży: w obliczu szalejącej recesji wiele agencji PR musiało po prostu zwinąć interes.

Megan świdrowała ją nieustępliwym spojrzeniem.

- To nie znaczy, że musisz zostać. Po prostu ułatwi nam życie, zanim wyjedziesz.

Rachel zmartwiała. Co tu jest grane? Znały się od niedawna, a Megan już zdążyła przejrzeć ją na wylot. Albo na wzór chlebobawczyni czytała w myślach, albo też po wyjeździe z Londynu Rachel stała się do bólu przewidywalna.

- Tak. Tak, zaraz to zrobię. Czy teraz dostanę dzem?

- Grzeczna dziewczynka! - Megan uśmiechnęła się jeszcze szerzej i podała jej słoik.

Kiedy Rachel otworzyła drzwi psiarni z kartką od Megan w ręku, w radiu leciało właśnie słuchowisko.

- Dobry wieczór wszystkim - powiedziała, ściągając buty i wkładając ustawione przy drzwiach kalosze. Mówienie do psów przychodziło jej naturalnie, ale wciąż brzydziła się trochę mieszaniny sierści, odchodów i lizolu, którą należało uprzątnąć pod koniec dnia.

Powitało ją kilka szczeknięć, ale niedużo - psy były senne po kolacji i większość leżała na swoich posłaniach z głowami

przewieszonymi przez krawędź, jakby z uwagą śledziły dialog w radiu.

Klejnot wślizgnął się za nią i patrzył, jak przypina do tablicy listę z wytycznymi od Megan. Nie była specjalnie długa:

Wymień wodę do picia, zamieć boksy (nie podchodź z miotłą do stafików na końcu; chyba mają złe skojarzenia), odkaż, gdzie trzeba, sprawdź koce i przed wyjściem zmień stację na Radio Three albo Classic FM.

Rachel naciągnęła gumowe rękawiczki i otworzyła siatkę najbliższego boksu, żeby wypuścić pierwszego psa - Chestera, postrzelonego spaniela - po czym ostrożnie weszła do środka i sięgnęła po miskę z wodą.

Ku jej zdziwieniu Chester nie zerwał się, jak to miał w zwyczaju, tylko dalej leżał na posłaniu, patrząc przed siebie pustym wzrokiem, ze smutno zwieszonymi nakrapianymi uszami.

- Hej, Chester! - zagadnęła Rachel, wylewając nieświeżą wodę. - Dobrze się czujesz?

Poszła do kuchni, żeby wypłukać i napełnić miskę. Kiedy wróciła, spaniel dalej tkwił w tej samej pozycji, a Klejnot stał nad nim, obwąchując go jak pielęgniarzka. Chester nie reagował.

Rachel spojrzała na owczarka, czując w piersi pierwsze ukłucie niepokoju.

- Co mu jest?

Klejnot wyszedł z boksu i usiadł w korytarzyku. Stafiki na końcu szczekaniem domagały się uwagi, ale spaniel był głuchy na wszystko.

- Ciii! - Pogroziła im palcem, słuchając ze zgrozą, jak Chester wydaje z siebie głuchy pomruk.

Megan wyszła na jak długo? Na parę godzin? A ona już traci grunt pod nogami. Szybko się uczyła i wyczytała co

nieco z materiałów w biurze Dot, ale o psiej pierwszej pomocy nie miała pojęcia. Widok ożywionego zwykle Chestera nie pozostawiał wątpliwości, że dzieje się coś niedobrego.

Pociągnęła nosem. Coś w pobliżu okropnie śmierdziało; rozejrzawszy się, spostrzegła żółtą kałużę rzadkich odchodów w kącie. Chester próbował odczołgać się jak najdalej od legowiska, ale najwyraźniej nie wytrzymał w połowie drogi.

- O Jezu - powiedziała, mimowolnie cofając się o krok. Wprawdzie nie miała na sobie najlepszych spodni, ale najgorszych też nie. W życiu nie dopierze z nich toksycznej psiej kupy.

Czy był poważnie chory? Mógł pozarażać pozostałe psy? A co będzie, jeśli zdechnie? Czy wszyscy będą obwiniać Rachel?

Wyszła z boks, pospiesznie zamykając za sobą siatkę, po czym zerknęła na psa kątem oka. Odpowiedział jej pustym spojrzeniem i resztkami sił machnął ogonem. Był to rozdzierający widok.

Nagle, w przebłysku świadomości, zrozumiała, co musiała czuć Dot, i odraza minęła jak ręką odjął. To ona musiała pomóc Chesterowi - był zdany wyłącznie na nią. Polegał na niej, po tym jak ukochani właściciele wyrzucili go na bruk - nie zasługiwała na taki kredyt zaufania.

Zdarła rękawiczki, wróciła do boks i pogłaskała go po miękkich uszach, kucając obok, kiedy próbował polizać jej rękę. Na kosmatych tylnych łapach widniały zaschnięte żółte zacieki, ale Rachel machnęła ręką na spodnie.

- Nie wiem, co się dzieje, Chester - wyszeptała w irracjonalnej obawie, że pozostałe psy usłyszą jej słowa. - Ale znajdę kogoś, kto będzie wiedział, dobrze?

Wstała, drżącymi rękami zamknęła siatkę i pospieszyła do biura, nie chcąc niepokoić psów. Na bezprzewodowym telefonie przy drzwiach widniało kilka opcji szybkiego

wybierania i Rachel zawahała się pomiędzy „komórką Megan” a „komórką George'a”.

Nie chciała psuć Megan wieczoru, lecz jeśli Chester jest chory, Megan i tak dzwoniłaby do George'a, więc...

Bez namysłu wcisnęła drugi numer. Odebrał po dwóch sygnałach.

- Co się dzieje, Rachel? - zapytał. - Pylek na spódnicy? Liczba psów ci się nie zgadza?

- Nie, chodzi o Chestera - odparła, zbyt przejęta, żeby odbić piłeczkę. - Chyba jest chory. Ma biegunkę i się nie rusza. - Wróciła do boksu, w którym Chester leżał tak, jak go zostawiła. - Leży, jakby miał zdechnąć.

- Spokojnie, tylko nie panikuj. - Od razu zmienił ton. - Wymiotował? Ma gorączkę?

- Nie wiem - odpowiedziała Rachel. Czowała się bezsilna i przerażona. - Co mam robić? Czy to moja wina?

- Nie. To znaczy, nie wydaje mi się. To pewnie nic poważnego, ale na wszelki wypadek wpadnę i rzucę okiem. Uważaj na niego, sprawdź, czy ma świeżą wodę. Zaraz będę. - Rozłączył się, a Rachel stanęła na miękkich nogach. W życiu nie czuła się tak bezużyteczna i przestraszona. Skąd u George'a taki spokój?

Chwyciła z szafki czysty koc i otuliła Chestera. Cały dygotał, ale czując jej obecność, z wdzięcznością machnął ogonem i serce stopniało jej w piersi.

- Zaraz przyjedzie George - rzuciła kojącym tonem. - Muszę jeszcze posprzątać, ale cały czas będę w pobliżu, dobrze? Błagam, tylko nie umieraj, zanim się zjawi!

Chester raz jeszcze machnął ogonem, słabiej niż przedtem. Teraz już nawet stafiki siedziały cicho jak myszki.

Przez następny kwadrans Rachel wymieniała wodę, czyściła klatki i trzepała legowiska, jakby od tego zależało jej życie. Ani na chwilę nie spuszczała przy tym oka z Chestera, który leżał apatycznie na swoim posłaniu, nawet na nią nie patrząc. Pozostałe psy ucichły, jak gdyby czuły, że coś się święci, a gdy słuchowisko dobiegło końca, na progu zamajaczyła barczysta sylwetka George'a.

Rachel nigdy nie ucieszyła się tak na jego widok.

- Szybko ci poszło! - zawołała, otrzepując ręce i spiesząc do drzwi.

- Powiedzmy, że przejeżdżałem w pobliżu. - George otwierał torbę. - Gdzie nasz pacjent?

- Tutaj. - Otworzyła boks i patrzyła z niepokojem, jak George klęka obok legowiska. - Wyzdrowieje?

- Jezu, Chester, coś ty zeżarł? Pokaż, stary, co my tu mamy

- mruknął; jego słowa podziałały kojąco również na Rachel.

- Niech zgadnę, dorwałś zdechłego zająca? A może znów plądrowałś śmietniki?

Rachel obserwowała jego szybkie, pewne ruchy. Widok był krzepiący, a zarazem - jak stwierdziła ze zdziwieniem - wręcz pociągający: dotykał psa zdecydowanie, a przy tym z niezaprzeczalną czułością. Wreszcie podniósł się z posadzki.

- Jak myślisz, co mu dolega? - spytała z lękiem. - Inne się zarażą?

- Nie sądzę. - George wtarł w dłonie żel antybakteryjny.

- Podejrzewam, że zjadł coś na dzisiejszym spacerze. Ale warto go obserwować, na wszelki wypadek. Możemy go przenieść do klatki w biurze, będziesz zaglądać do niego od czasu do czasu.

- Jesteś pewien, że to nie jest zaraźliwe? - Rachel miała oczy jak spodki z przejęcia i nie posiadała się ze szczęścia, że George choć raz nie nabija się z jej braku doświadczenia.

- W zasadzie tak. Tak to już bywa z tymi przybłędami z ulicy, żrą co popadnie. Nie jest tak źle, jak na to wygląda, krwi nie zauważyłem. Dam mu coś na odwodnienie, a przez najbliższe dni niech je tylko ryż i kurczaka. - George jednym ruchem podniósł legowisko i przestawił je na bok. - Ale tę kałużę musimy posprzątać. Wynosiłaś już wiadra? Pomogę ci.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, i George popatrzył na nią z uśmiechem.

- Ejże, nie rób takiej przerażonej miny - rzucił, poklepując ją po ramieniu. - To naprawdę nic wielkiego.

Uśmiech sprawił, że jego zacięta twarz przybrała znajomy, życzliwy wyraz. Rachel zrozumiała, skąd się wzięła pogłoska o podobieństwie do Daniela Craiga, krążąca wśród żeńskiej populacji Longhampton.

- Bardziej martwię się o ciebie - podjął. - Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha! Bardziej martwią cię brudne spodnie czy Chester?

- Chester - wyznała szczerze. - Naprawdę... strachu się najadłam. - Przycisnęła rękę do piersi, śmiejąc się z własnej paniki. - Myślałam, że to moja wina.

- I ty nie lubisz psów? - prychnął z rozbawieniem. - I myślisz, że ktoś ci uwierzy? Ptaszki ćwierkają, że bierzesz Klejnota na spacer, nawet gdy nie ma takiej potrzeby.

- A ty skąd o tym wiesz? - zapytała. - Co to za dziura, że kogoś obchodzi, kto jak często wychodzi z psem?

George rozłożył ręce, po czym odwrócił się, żeby odkręcić wąż.

- Ot, strzelam! Sam dobrze wiem, że nie ma nic lepszego na smutki niż długi spacer z przyjacielem. - Nie widziała jego twarzy, gdyż polewał posadzkę, ale głos miał jak gdyby nigdy

nic. - Psy to niezrównani słuchacze. Nigdy nie próbują udzielać rad, w przeciwieństwie do ludzi. Rachel stała z otwartymi ustami.

- Możesz dopisać to do swoich ogłoszeń. - Podniósł rękę i nakreślił w powietrzu niewidzialny nagłówek. - Adoptuj psa, zaoszczędzisz na terapii. To lepsze niż bezużyteczny facet.

Uderz w stół, a nożyce się odezwą. Rachel zastygła z miską w dłoni. Czyżby Megan coś chlapnęła? O rzuceniu pracy? O... aż ją ciarki przeszły... Oliverze?

Muszę wyprowadzić ją z błędu, pomyślała, czując, jak wymarzona czysta karta bezpowrotnie wymyka jej się z rąk. Zacisnęła usta. Nie jestem już dawną Rachel, upomniała się w duchu. Jestem tylko zwykłą samotną trzydziestokilkulatką, która zaczyna od początku.

Ów początek zaś oznaczał zwrot ku mężczyznom bez zobowiązań. A jednym z nich był zdecydowanie George Fenwick.

- Albo bezużyteczna kobieta - odparowała, unosząc brew.

- Megan mówi, że masz pusty fotel przy kominku. Czy poznałeś już moją boską przyjaciółkę, czekoladową Melasę?

- W rzeczy samej. Poznałem, wysterylizowałem i wysłałem na dietę. Niezła laska, ale nie w moim typie.

- A jaki jest twój typ?

Znieruchomiał z miską należącą do terierów w rękach.

- Coś z charakterem. Labradory są słodkie, ale trochę... pasywne. Wolę bardziej niezależne typy. Żeby nie powiedzieć, przewrotne.

- W takim razie przedstawiam panu nasze zręдлиwe teriery.

- Rachel zamaszystym gestem wskazała hałaśliwą zgraję, niczym gospodyni programu telewizyjnego. - Do wyboru, do koloru, przewrotne co do jednego.

Oboje stali teraz, dzierżąc miski; Rachel stwierdziła, że termostat przeskoczył chyba na tryb nocny, bo zrobiło jej się trochę za ciepło.

- Nie powiedziałem, że lubię zrządy - zaproponował George.

- Grunt to iskra. - Po czym dodał ze sztuczną powagą: - I niezłe biodra.

Oho, znów Daniel Craig. Chyba że to oświetlenie płata figle, pomyślała.

- Innymi słowy, dysplazja nie wchodzi w grę - uzupełnił.

- To zmora mojego życia. - Ponownie przeniósł uwagę na Chestera i bez wysiłku podniósł go z podłogi wraz z legowiskiem.

- Przenieśmy kolegę w jakieś ustronne miejsce i napijmy się czegoś. To postawi cię na nogi.

Dochodziła ósma i Rachel stwierdziła, że wypada zaproponować George'owi coś do jedzenia, a gdy bezceremonialnie odsunął ją od szafki, żeby mu „zrobiła miejsce”, chętnie stanęła z boku i otworzywszy butelkę wina, obserwowała go z podziwem.

Krażył po kuchni, emanując identyczną pewnością siebie jak wcześniej przy Chesterze, który leżał teraz zwinięty w kłębek w sąsiednim pomieszczeniu. George siekał czosnek, dolewał do garnka wino, dosypywał sól - i wypytywał. A to czy dom jej się podoba? A to czy była z Klejnotem na tresurze? Czy Freda opowiadała jej, jak to Pippin uratował kiedyś Tedowi życie, przynosząc mu do sypialni tabletki na serce, których zapomniał zażyć? I czy w to wierzy?

Rachel popijała wino, pozwalając, by rozmowa toczyła się naturalnie, coraz bardziej swobodna i bezpośrednia. George uważnie słuchał odpowiedzi, często doprawiając je drugim albo i trzecim pytaniem. Czasem nie owijał w bawełnę, ale nie miała nic przeciwko temu; spotkała na swojej drodze mnóstwo

powściągliwych osób, które zasłaniały się pytaniami, żeby nie zdradzać nic o sobie, ale nie George. Chętnie opowiadał o pracy w Longhampton i rozśmieszał ją opowieściami o miejscowych oraz ich ulubieńcach - przy czym, jak zauważyła, taktownie unikał podawania nazwisk.

Każdą kpinę („wiedziałem, że chodzisz do restauracji, po tym jak próbowałaś zważyć spaghetti”) równoważył łagodniejszym pytaniem, chociaż czasem zadawał je szorstkim tonem.

- Jak ci idzie sprzątanie domu? - zapytał, stawiając przed nią kopiasty talerz makaronu. Pachniał przepysznie. - Praca w psiarni to jedno, ale konieczność przekopania się przez życie ciotki to nie byle co. Zwłaszcza w pojedynkę.

- Szkoda, że nikt mnie nie uprzedził. - Rachel sięgnęła po widelec, przykazując sobie w duchu, aby zjeść tylko połowę porcji. - Zdawałam sobie sprawę, że niewiele o niej wiedziałam, ale zastanawiam się teraz, ilu z nas znało ją naprawdę. Rozumiesz, co mam na myśli?

- W pewnym sensie. Ty tu jesteś specjalistką od dobierania słów.

- O nie, ja jestem specjalistką od zonglowania informacjami i tworzenia najlepszych - sprostowała. - W każdym razie teraz rozumiem, po co ludzie mają dzieci. Mówisz im, że mają podzielić się po połowie i pozwalasz im rozebrać dom na części pierwsze. Jak mawiała moja mama, jedno kroi, drugie wybiera. Tak byłoby najszybciej. Gdyby Dot zostawiła połowę mojej siostrze Amelii, na drugi dzień zjechałaby tu z ciężarówkami i ekipą telewizyjną z programu „Skarby na strychu”. George parsknął śmiechem.

- Lepsze rozwiązanie nie przychodzi mi do głowy. - Podniósł wzrok znad talerza i z nagłą powagą popatrzył na nią z ukosa. - Gdybyś potrzebowała pomocy, dasz znać? Nie tylko przy noszeniu kartonów.

- Tak. - Bardzo ją to ujęło.

- A propos, jak u ciebie w tym temacie? - spytał jak gdyby nigdy nic. - Dzieci? Chłopak? Partner... czy jak to teraz zwał w Londynie.

- Nie - odpowiedziała. - Żadnych dzieci.

Oliver postawił sprawę jasno: w czasie jego „kadencji” dzieci nie wchodziły w grę. Oświadczył, że wyszedł z pieluch, chociaż jego trzeci potomek - Jansen, co za głupie imię - pojawił się rok po tym, jak rzekomo przestał sypiać z Kath w jednym pokoju. Oczywiście awantura była nieziemską. Powinna wtedy odejść: miała trzydzieści cztery lata i mnóstwo czasu przed sobą.

Na samo wspomnienie zastygła z kieliszkiem w dłoni, co odczytał jako zachętę i dolał jej wina.

- Ani dzieci, ani psy, co?

- O. Dziękuję. Nie, lubię dzieci, które można oddać prawowitemu właścicielowi. - Sprawnie nawinęła spaghetti na widelec. - Zawsze powtarzam, że mój zegar biologiczny musi być cyfrowy, bo nigdy nie słyszałam tykania.

Była to niezła odpowiedź; wymyśliła ją na użytek matki. I zgodna z prawdą, na tyle, na ile miała ochotę to analizować. Ośmielona tak osobistym pytaniem nie pozostała mu dłużna.

- A ty?

George potrząsnął głową.

- Ponoć do tego człowiek najpierw musi mieć żonę? Pracuję osiemdziesiąt godzin tygodniowo; nie wypada mieć psa, a co dopiero rodzinę. Ale wiedziałem, w co się pakuję, idąc na studia weterynaryjne, więc jeśli nie poznam kogoś z branży... - Wzruszył ramionami. - Chyba dlatego weterynarze mają gosposie.

Odniosła wrażenie, że jego odpowiedź jest równie wyćwiczona jak jej własna, ale chyba mówił szczerze.

- Prowadzę społeczny tryb życia - podjął. - To pewnie trochę samolubne, ale...

- Tobie odpowiada. Wiem. - Doskonale wiedziała, o czym mowa. - Ludzie dają ci do zrozumienia, że powinieneś się wstydzić swojej bezdzietnej, pracowitej egzystencji. Mam tak cały czas. A gdy próbujesz wyjaśnić, że to bardzo miłe uczucie pozyskać ważnego klienta, jechać do Wenecji na spontaniczny weekend albo... - Szukała w myślach weterynaryjnego odpowiednika - ...albo uratować chorego żrebaka, słyszysz współczujące: „No tak, to dlatego że nie masz dzieci, szukasz sobie jakiegoś zamiennika”. - Wypiła duży łyk wina. - Chwila, wolnego. Przepraszam, ale to żaden zamiennik. Żyję tak, bo tego chcę.

- Uhm. - Twarz George'a zdradzała rozbawienie. - Tę Wenecję mogłaś sobie darować. Widziałaś kanał w Longhampton? Bardzo malowniczy.

- Musisz mi pokazać.

- Z przyjemnością. - Wzniósł kieliszek. - Gondolierów nie obiecuję, ale mogę ci kupić rozek.

- Jesteśmy umówieni. - Uśmiechnęła się i musiała odwrócić wzrok, gdy odpowiedział jej tym samym. Ten błysk w oku był nie do zniesienia.

Zerknęła na niego, ogarniając spojrzeniem kpiący półuśmiezek i ostentacyjnie niemodną koszulę w kratę. Za sprawą wina i swobodnej rozmowy czuła się rozluźniona, a zarazem dziwnie skrępowana.

George wskazał widelcem na talerz.

- Smakuje ci? Minęło trochę czasu, odkąd ostatnio gotowałem dla dwojga.

Usta zapiekły ją pod jego spojrzeniem i nagle się zawstydziła - swojej miny, ubrania, wyglądu. Dawno nie czuła nic podobnego. George nie był przystojny, nie tak jak Oliver, ale miała przy nim poczucie, jakby znali się od lat.

- Od kiedy gotujesz tylko dla siebie? - spytała od niechcienia.

- Hm. - George udał, że się namyśla. - Od lat.

- W życiu bym nie powiedziała. Palce lizać.

- Bardzo mi miło. Rozumiem, że jesteś raczej z tych, które zabiera się do restauracji, niż dla których się gotuje, tak?

- Mój były nie gotował - odpowiedziała. - I owszem, wolę jeść na mieście, co zapewne widać po moim talencie kucharskim.

- Ten były to coś poważnego? - George mówił lekkim tonem, ale Rachel wiedziała, że oboje krążą wokół tematów bardzo dla obojga interesujących, chociaż żadne z nich się do tego nie przyzna.

- Dosyć - odpowiedziała. - Kolega z pracy. Rozstaliśmy się parę tygodni temu.

- Uhm. - Usiłował zrobić współczującą minę, ale jego twarz wyrażała coś jeszcze. - Bardzo mi przykro.

- Niepotrzebnie - ucięła. - To do niczego nie prowadziło. Powinnam była to zrobić dawno temu, ale...

- Mężczyźni potrafią być do bani - skwitował George i pociągnął z kieliszka, zanim rozszyfrowała jego minę.

Szukała w myślach jakiejś dowcipnej, a zarazem sugerującej flirt odpowiedzi, gdy naraz zadzwonił telefon.

- Wybacz - powiedziała, odsuwając krzesło. - Muszę odebrać.

Głos w słuchawce ginął na tle barowej wrzawy.

- Cześć, Rachel, tu Megan. Co słychać?

- Cześć, Megan. Wszystko w porządku. To znaczy, prawie. Chester miał niestrawność i napędził mi stracha, ale chyba już po krzyku. George jest tutaj.

- Serio? - Zdaniem Rachel Megan sprawiała wrażenie nieco zbyt zaskoczonych. - To super! Słuchaj, nie dam rady dzisiaj wrócić: Jules trochę przeholowała i obiecałam, że z nią

zostanę. Poradzisz sobie? Spróbuję wrócić z samego rana, więc nie musisz martwić się o...

- Sugerujesz, że nie dam rady? - spytała Rachel. George wstał od stołu i pokazał na słuchawkę. - Mogę? Cześć, Megan. Słuchaj, ucieszysz się na wieść, że Rachel odpicowała psiarnię nie gorzej od ciebie. Tak, wszędzie. Na wysoki połysk. - Spojrzał na Rachel; kabel był krótki, toteż stali blisko siebie i poczuła bijące od niego ciepło.

Jak by to było podejść jeszcze bliżej, pomyślała z dreszczem. Ciekawe, jak jego ciało wygląda pod ubraniem. Na pewno jest umięśnione, jest taki silny, ale czy owłosione? Gładkie? Złociste?

Otrząsnęła się, a George rzucił jej zagadkowe spojrzenie.

- Poradzi sobie. Jeszcze coś? Nie? Super. Dobranoc, Megan. - Odłożył słuchawkę, ale przez chwilę nie ruszał się z miejsca. Rachel też stała jak wrośnięta w podłogę.

- No i? - powiedział cicho i Rachel zamarła w oczekiwaniu, co dalej. Oliver zasunąłby teraz jakimś uwodzicielskim tekstem. Albo bez pardonu rzucił się do całowania.

Ale George powiedział tylko:

- Rozumiem, że nici z deseru?

Wymienili spojrzenia i wyraz jego oczu sprawił, że Rachel mimowolnie cofnęła się o krok, czując się jak spłoszona osiemnastolatka.

- Nici - odpowiedziała nieswoim głosem. - Ale znajdziemy pewnie jakąś whisky.

George przechylił głowę na bok, jakby głęboko się nad czymś zastanawiał.

- Chcesz powiedzieć, że idziemy na całość? - Po czym dotarł do niego sens tych słów i poczerwieniał. - W sensie alkoholowym, ja nie...

Jego zakłopotanie było rozczulające, lecz aluzja do tamtej, bardziej drażliwej kwestii zelektryzowała oboje i zawisła między nimi jak pytanie.

Uświadomiła sobie, że ma straszną ochotę go pocałować, i aż jej dech zaparło. On nie zrobi pierwszego kroku, przyzwoitość mu na to nie pozwalała. Ale Rachel wypłała dość wina, aby machnąć ręką na konwenanse; stwierdziła, że podnosi rękę i obrysowuje palcem mocny zarys jego szczęki. Granatowy paznokieć raził dziwnie na tle zarośniętego podbródka.

Tymczasem on stał i patrzył, nie oponował, ale i nie pomagał, dopóki nie przyciągnęła go delikatnie i musnęła ustami jego usta, zaskoczona miękkością ciepłych warg. Dwie, trzy sekundy wahania, w czasie których Rachel czuła się zawieszona w powietrzu, po czym silne ramię oplotło jej talię, a druga ręka zanurkowała we włosach, usta się rozchyliły i poczuła smak wina na jego wargach, smak wina i czegoś jeszcze, co przyprawiło ją o zawrót głowy.

Kuchnia zawirowała jej przed oczami, nie tyle z nadmiaru wina, ile z emocji; uczucie to przeszło ją na wskroś, ścisnęło w żołądku. Niewiele myśląc, oplotła dłońmi jego kark i wtuliła się w niego całym ciałem.

George oderwał się na chwilę, całując jej nos, powieki.

- Nie zrozum mnie źle - szepnął. Musnął ustami jej policzek. - To jest... - Przywarł wargami do jej szyi i nie dokończył. - Ale jesteś pewna...?

Rachel objęła go mocniej i pocałowała w usta, nie pozostawiając wątpliwości co do tego, czego chce.

A potem on zrobił coś, czego się nie spodziewała. Jednym ruchem porwał ją z podłogi i zaniósł do salonu, na wielką aksamitną sofę Dot.

Tymczasem po drugiej stronie miasta Johnny całował Natalie w szyję i oplatając ją ramionami, chyłkiem usiłował

wsunąć rękę pod T - shirt, który zakładała do łóżka. Miała go od czasów szkoły; był cienki jak papier i seksowny na swój niewinny sposób. Johnny lubił go bardziej niż nowe koronkowe cuda, które dawały mu poczucie, że uprawia seks w witrynie sklepu z bielizną.

Natalie zeszywniała pod jego dotykiem i Johnny uśmiechnął się z zadowoleniem: wiedział, że trafił w magiczne miejsce na karku, które otwierało furtkę kolejnym, bardziej namiętnym doznaniom.

Zachęcony jej reakcją podwoił wysiłki, ale tym razem odepchnęła jego rękę i uniosła głowę z poduszki.

- Co? - zapytał zbity z tropu.

- Słyszałeś? - syknęła.

- Co niby miałem słyszeć? - Wytężywszy słuch, usłyszał dźwięk, do którego zdążył się już przyzwyczaić: przeciągły, żaloszny jęk przypominający raczej przedśmiertelne rżenie anizeli psi przejaw frustracji. - A, to.

- I co się wściekasz? - Przewróciła się na bok i leżeli twarzami do siebie, wciąż tak rozkosznie blisko pod ciepłą kołdrą.

- On płacze.

Spojrzał na kuszący zarys piersi pod cienkim podkoszulkiem i położył Natalie rękę na biodrze, gotów kuć żelazo, póki gorące. Spontaniczny seks należał ostatnio do rzadkości.

- Wiem, że płacze, Nat. - Przesunął dłoń w zagłębienie talii. - On doskonale wie, co robi. Nie możesz bez przerwy do niego schodzić. Przecież Megan uprzedzała, że będzie tak robił. Wypróbuj nas.

Leżeli prawie nos w nos, nasłuchując koszmarnego zawodzenia, które przetaczało się echem po domu. Głos dobiegał jak z wnętrza studni.

- To nie jest zwykłe wycie - zauważyła szeptem Natalie.

- Może go coś boli? Myślisz, że mógł się o coś skaleczyć?
- Wydaje dokładnie takie same dźwięki jak wczoraj. I przedwczoraj.

- Serio? Och! Wypuszczałeś go, zanim przyszedłeś na górę? Może chce siusiu.

Johnny jęknął i przewrócił się na plecy. - A ja?

- Co: ty? Ty nie musisz pytać o pozwolenie, żeby się wysikać. Droga wolna.

- Nat. - Pociągnął ją za rękę, żeby znalazła się tuż nad nim, a następnie ścisnął oburącz jej pośladki, czemu zwykle nie mogła się oprzeć. Na pewno czuła, jaki jest pobudzony. - Nie myśl o psie. Co wyczytałaś w Internecie? Im więcej seksu uprawiasz, tym większe szanse na...

- Owulację miałam dawno temu - odpowiedziała Natalie z krzywym uśmiechem. - Musiałbyś mieć ołowiane plemniki, żeby mnie teraz zapłodnić.

Johnny drgnął.

- Może wcale nie chcę cię zapłodnić. Może po prostu chcę się kochać.

Bertie na dole prawie zajadłował z rozpaczy. Zabrzmiało to wręcz upiornie.

- Przepraszam, ale dłużej tego nie wytrzymam. - Natalie wyrwała się z jego uścisku, odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka. - Idę na dół, zanim sąsiedzi zadzwonią po straż miejską.

Johnny patrzył z rezygnacją, jak rozgląda się za szlafrokiem. W bladym świetle elektronicznego zegara błysnęły długie, smukłe nogi.

Jak to tak? Po owulacji, a więc nic z tego? Zrobiło mu się przykro. Nawet jeśli żartowała - a miał nadzieję, że tak - kalendarz w głowie tłumił wszelkie spontaniczne odruchy.

Opadł z powrotem na łóżko. Dziki seks przez pół miesiąca, a potem nic? Pies odstawiający cyrki, żeby z nimi spać, miał przekreślić ich współzycie?

Podskoczył, kiedy Natalie nachyliła się nad nim i pocałowała go w nos.

- Żadnych dąsów - powiedziała. - Zaraz wracam. Pomyśl tylko: nic nie przygotowuje nas lepiej na bezsenne noce z dzieckiem.

- Jeśli będziemy mieli dziecko - mruknął, ale dopiero gdy Natalie wyszła z pokoju.

Natalie zbiegła na dół w kapciach, świadoma, że łamie wszystkie zasady, ulegając presji Bertiego, choć jednocześnie wmawiała sobie, że przecież nie sposób oprzeć się atawistycznej sile przekonywania o tak długowiecznej tradycji.

Natura ma swoje prawa. Poza tym pies jeszcze się nie zdomowił i w swym krótkim życiu dużo przeszedł. Musi minąć sporo czasu, zanim zrozumie, że nie będą następnymi, którzy zostawią go samemu sobie.

Otworzyła kuchnię; wycie ustało w jednej chwili i baset wpadł w jej rozpostarte ramiona niczym kula armatnia, zawzięcie wymachując ogonem.

Jak być obojętnym wobec takiej miłości, pomyślała Natalie, tuląc mocno jego ciepłe, pomarszczone ciało.

- Cześć, Bertie! - wymruczała mu w kark, kiedy pies obwąchiwał ją radośnie. Jego sierść wydzielala intensywny herbatnikowy zapach, do którego nie zdążyła się jeszcze przyzwyczaić. Megan uprzedzała, że „ogary śmierdzą”, i wykąpała go przed wyjazdem, lecz mimo odświeżaczy powietrza w każdym pomieszczeniu od razu wiedziała, gdzie znajdował się w danej chwili.

Lecz wcale jej to nie przeszkadzało. Wybaczyłaby Bertiemu wszystko, kiedy spoglądał na nią jak teraz, pełen uwielbienia i wdzięczności za dom, jej uwagę i nowy początek.

Nie pozostawała mu dłużna. Teraz czuła przynajmniej, że jej instynkt macierzyński ma gdzieś ujście, że poświęca się dla innej istoty.

- Ty niedobry psie! Zobacz, co zrobiłeś z łóżeczkiem! - Rozsierdzony samotnością Bertie wywlókł z pośłania poduszkę i zaciągnął ją pod drzwi. Natalie schyliła się, żeby ją podnieść, a gdy się odwróciła, Bertiego już nie było.

Rozejrzała się ze zdziwieniem, po czym usłyszała charakterystyczny chrobot na parkiecie. Wybiegła z kuchni i ujrzała tylko biały czubek psiego ogona znikający na górze.

Niewiele myśląc, popędziła za nim. Nie powinien wchodzić na górę - mógł nadwerężyć sobie kręgosłup. O ich pozycji jako przewodników stada nie wspominając.

- Nat, czy to...? O rany! A niech to wszyscy diabli! Pewnie Bertie wparował na łóżko, pomyślała z mimowolnym rozbawieniem. Jak widać, pałakowate nóżki umożliwiały zarówno podkradanie jedzenia z kuchennych blatów, jak i zwinny skok na wysoki materac.

Stając w progu, ujrzała, jak Bertie mości się na białej kołdrze, spoglądając na nią pełnym uwielbienia, acz wciąż rozdzierającym wzrokiem. Nadal nie mogła przywyknąć do widoku jego smutnego pyska. Nawet gdy, tak jak w tej chwili, osiągał dokładnie to, co sobie postanowił.

- Pozwoliłaś mu wejść na górę! - Spod psa dobiegł stłumiony głos Johnny'ego. - A podobno nie wolno do tego dopuścić! Czy nie była to jedna z twoich żelaznych zasad?

- No wiem. - Popatrzyła karcąco na psa, który odpowiedział jej markotnym spojrzeniem. - Uszkodzisz sobie plecy, Bertie. Możesz spać i zrobić sobie krzywdę.

Bertie nie odpowiedział.

Wślizgnęła się do łóżka, ale zanim zdążyła przysunąć się do Johnny'ego, pies legł między nimi. Głowę oparł na

poduszce i tkwił w środku jak zagłówek, z uszami rozrzuconymi na boki.

Niezbyt to higieniczne, pomyślała Natalie, ale nie miała serca go przesunąć. W końcu nie miał dotąd poduszki, musiał się nacieszyć.

- Tylko ten jeden raz - zapowiedziała surowo. - Od jutra śpisz w kuchni.

- A dziś będzie chrapał nam w twarz.

- Nie będzie - stwierdziła Natalie, na co Bertie wyciągnął łapę i pacnął ją w czoło. Odsunęła się trochę. - A przynajmniej nie głośniej niż ty.

- Łatwo ci mówić. Ty nie musisz się wcześniej zrywać. Jesteś panią swojego czasu. - Johnny podciągnął się wyżej, aby spojrzeć na nią ponad głową psa. Włosy miał zmierzwione, a minę na swój sposób niemal równie rozdzierającą jak Bertie.

- W takim razie chyba nie chcesz tracić więcej czasu, nasłuchując jego zawodzenia?

- Nie - odparł Johnny i przewrócił się z powrotem na plecy, wyszarpując kołdrę spod psa. - Ale drugiego złodzieja kołdry nie zdzierzę.

Na co Bertie tylko sapnął z zadowoleniem.

Zoe też słuchała psiego posapywania, ale nie spała.

Nie mogła zasnąć, toteż siedziała w szlafroku na kanapie o godzinie wpół do trzeciej nad ranem, z kubkiem wystygłej kawy w rękach, i patrzyła, jak Toffi śpi spokojnie w swoim koszyku przy kominku. Miała wielką ochotę wziąć go na kolana, ale starała się przestrzegać zasad ustalonych przez Megan.

Granice, powtarzała. Dzieci i szczenięta potrzebują granic. Zoe żałowała, że natura poskapiła jej w tym względzie konsekwencji. W obu przypadkach byłaby jak znalazł.

Przynajmniej zasnął. Jakież to typowe, iż w rzadkich chwilach spokoju, kiedy Toffi nie gryzł, nie niszczył bądź sikał bez opamiętania, natłok myśli i dylematów nie pozwalał jej ani na chwilę zmrużyć oka. A powodów do rozmyślań jej nie brakowało.

Bill. Nie mogła się od niego uwolnić. To idiotyczne, stracić głowę dla kogoś, kogo się dopiero poznało, ale nie odstępował jej przez całe popołudnie - w ramach opieki nad poszkodowaną oczywiście. Oboje gadali jak nakręceni, wymieniali spojrzenia i snuli niezobowiązujące plany przyszłego spotkania, spaceru z psami, może lunchu. Zoe pragnęła cieszyć się tym dreszczem, zapowiedzią czegoś być może nowego, ale nie potrafiła.

Uświadomiła sobie po wyjściu ze schroniska, że ani razu nie wspomniała o synach. Czy powinna od razu dać jasno do zrozumienia, że jest rozwódką z dwójką dzieci? Ale czy nie wyszłaby w ten sposób na desperatkę?

Jednak im dłużej o tym myślała, tym bardziej dochodziła do wniosku, że teraz wyjdzie na to, iż celowo zataiła tę informację. A zdradziecki głosik w głowie przypominał natrętnie, jak to miło było być przez chwilę tylko Zoe. Nie czyjaś mamą albo byłą. Tylko sobą, po raz pierwszy od lat.

Odsunęła tę myśl i wyjęła spod poduszki telefon, który ukryła tam przed samą sobą.

Była to komórka Spencera, łapówka, którą David wręczył przed wyjściem, pomimo jej protestów, że chłopiec jest na to za mały. Nie mogąc się dłużej opanować, wcisnęła przyciski i na wyświetlaczu pojawiły się zdjęcia z wycieczki do Alton Towers, hojnego prezentu od tatusia. Serce bolało na sam widok, lecz jakby tego było mało, nie zabrakło na nich również Jennifer, przymilnie uśmiechniętej w tle.

Miała koszmarne pasemka. Zoe stwierdziła na pierwszy rzut oka, że wyglądają na drogą fuszerkę.

Nie patrz, na próżno upomniała się w duchu. To było jak rozdrapywanie rany. Wiedząc o istnieniu zdjęć, nie mogła się powstrzymać. Leo wyglądał jakby nigdy nic, lecz na twarzy Spencera widniał znajomy cień, jak zawsze gdy próbował stanąć na wysokości zadania, ale dziecięca bezradność okazywała się silniejsza.

Zmusiła się, by wyłączyć telefon. David zrobił te zdjęcia na jej użytek. Cwany drań uwiecznił całą trójkę, by pokazać Zoe jej miejsce w szeregu.

Podniosła rękę do ust i zdusiła szloch.

Już nie kochała Davida. Nie chciała z nim być; niech sobie weźmie Jennifer i jej obrzydliwe pasemka, proszę bardzo. Ale nie chciała stracić synów, bo nie ucieka się do takich chwytów jak on.

Nie mogła ich przekupić. Nie miała na to pieniędzy. Mogła ich tylko kochać, ale czy ta miłość przetrzyma weekendy poza domem i pieski na zawołanie?

Toffi drgnął, zaniepokojony hałasem, i podniósł głowę ponad plastikową krawędź legowiska. Słodki i rozespany mrużył oczy w mętym świetle żarówki.

Po cichu wstała, podniosła go z legowiska i wróciła na kanapę, gdzie położyli się obok siebie. Ułożył głowę w zagłębieniu jej szyi i dmuchnął rozkosznie do ucha.

- Czasem myślę, że jesteś jedyną nieskomplikowaną rzeczą w moim życiu - szepnęła. - Tylko ty jeden rozumiesz znaczenie słowa „nie”. Nawet jeśli czasem nie zwracasz na mnie uwagi.

Polizał ją w ucho. I od razu poczuła się lepiej.

Następnego ranka o wpół do ósmej Megan jak zwykle zapukała do drzwi z herbatą, ale tym razem Rachel nie zerwała się niczym skowronek. Coś przygwoździło ją do poduszki i bynajmniej nie był to Klejnot.

Miewała w życiu gorszego kaca, ale w ustach jej zaschło i wołała unikać wszelkich gwałtownych ruchów. Coś ostatnio traciła formę. Lecz pomimo kiepskiego samopoczucia czuła, że rozpięra ją radość, trochę jak w urodzinowy poranek. I z czego tu się, u licha, tak cieszyć?

Nie otwierając oczu, dokonała w myślach pospiesznego bilansu.

Oliver, nieaktualny. Praca, nieaktualna. Testament załatwiony wprawdzie, ale w każdej chwili mogła dostać gigantyczny podatek do zapłacenia. Schronisko, chory pies. George...

Otworzyła szeroko oczy i dobry humor opuścił ją w jednej chwili.

George. Ubiegły wieczór. Boska, obiecująca randka zwieńczona jej pijackim wyskokiem. Jak nastolatka, która nagle poczuła się dorosła.

Ignorując ostrzegawczy ucisk w piersi, usiadła na łóżku i rozejrzała się po pokoju. Ani śladu George'a, a jej wczorajsza koszula i džinsy leżały na krześle przy drzwiach. Stwierdziła, że ma na sobie stary podkoszulek do jogi, który rzuciła tam parę dni temu.

Powoli zaczęły wracać wspomnienia. Swobodna wymiana zdań. Poczucie, że zna George'a od zawsze. Cudowna, oszałamiająca chwila, kiedy go pocałowała, i dotyk jego ręki w pasie, gdy odwzajemnił pocałunek.

A potem mgła. Rachel nie była bardzo pijana, ale sprawy potoczyły się tak szybko...

Gorliwie wysiliła pamięć. Nie ma mowy o mgłę, musi sobie przypomnieć.

Zaniósł ją na górę, dreszcz przeszył ją na samo wspomnienie. A gdy zdjęła mu kraciastą koszulę, przypuszczenia co do jego budowy okazały się słuszne co do joty. Jak na faceta, który podobno od lat nie miał dziewczyny, dotykał tak, że traciła głowę. Ale nie pamiętała wszystkiego. Na przykład tego, w którym momencie zasnęła.

O Boże. Zasłoniła twarz. Ostatni raz zrobiła coś takiego na studiach. Ale kompromitująca wpadka.

Rozległo się ponowne pukanie do drzwi.

- Rachel? Herbata? - Megan najwyraźniej tryskała humorem.

- Wrzuciłam dwie kostki cukru. Na wszelki wypadek!

Dot na portrecie wyglądała, jakby zaraz miała szelmowsko mrugnąć okiem. O której wyszedł George? Czy Megan go widziała?

- A może wolisz multiwitaminę? - ciągnęła życzliwie Megan. Muszę wstać, zanim pomyśli, jaka ze mnie wstrętna pijaczka, pomyślała Rachel, po czym nadludzkiem wysiłkiem zwlokła się z łóżka, porywając po drodze kaszmirowy szlafrok.

O mało nie potknęła się przy tym o owczarka leżącego na swoim zwykłym miejscu przy drzwiach.

Przewróciło jej się w żołądku.

- No bomba - powiedziała na głos. - Tylko mi nie mów, że byłeś tu cały czas. To byłoby... dziwne.

Otworzyła drzwi i Megan podała jej kubek. Ona dla odmiany wyglądała kwitnąco: miała na sobie podobny, tyle że czysty podkoszulek, wystrzępione szorty i uggsy. Jak widać, noc spędzona u koleżanki nie wpłynęła na jej poranną wydajność w najmniejszym stopniu.

- Dzieńdoberek! - zawołała. - Chyba miałaś udany wieczór!

Rachel nerwowo przeczesła palcami włosy; wiszące na korytarzu lustro w dębowej ramie nie pozostawiało wątpliwości, że sterczą na wszystkie strony. Czy Megan czegoś się domyślała?

- W sensie?

- Garnki! W zlewie! Kuchnia wygląda, jakby przeszedł po niej huragan. Nie wiedziałam, że taka z ciebie kucharka.

- To nie ja. George został na kolację, ale odmówił zjedzenia tego, co przygotowuję - wyjaśniła Rachel, uprzedzając jakiegokolwiek aluzje. - Wypiliśmy drinka.

- Super! - Megan wyczekująco uniosła brew. Cisza.

- I co? - nie wytrzymała Megan.

Łupało ją w głowie, lecz pomimo zakłopotania Rachel dalej czuła się jak w świąteczny poranek. Zdradził ją leciutki uśmieszek w kącikach ust, chociaż usiłowała nadać głosowi obojętny ton.

- I nic. Ucieliśmy sobie pogawędkę. On... - Jest boski. - ...jest całkiem do rzeczy.

- Chcesz powiedzieć, że nie działał ci na nerwy? - upewniła się Megan. - A niech to. Słuchaj, idę zrobić ci kanapkę. - Ruszyła w stronę schodów. - Freda jest na dole, masz jej doradzić londyńskie przedstawienie na urodziny Teda. Tylko bez golizny, z łaski swojej. To mu szkodzi na serce.

Zbiegła z Klejnotem po schodach, a Rachel oparła się z kubkiem o framugę. Jeszcze raz spojrzała w lustro i po raz pierwszy od dawna zobaczyła w nim rozczochraną, ale szczęśliwą kobietę.

Zanim Rachel zeszła na dół, ubrana i nieco odświeżona, Freda zdążyła już pozmywać wszystkie naczynia i przystąpiła

do polerowania kieliszków. Rachel zerknęła na rząd umytych garnków, czując, że ta przysługa będzie ją drogo kosztować.

Megan mieszała ryż z kurczakiem dla Chestera, który z ożywieniem węszył po kuchni. Czując, co się święci, rzuciła Rachel przepraszający uśmiech.

- Miałaś udany wieczór? - zapytała Freda od niechcienia, odwieszając wilgotną ścierkę.

- Bardzo, dziękuję - odpowiedziała Rachel. - O, świeża herbata?

- Podobno zajrzał do ciebie George Fenwick? - drażyła Freda, jak gdyby nigdy nic.

- Uhm. Tak. Coś dolegało Chesterowi. Ale chyba dziś czuje się lepiej, prawda, Megan?

- Och, o niebo lepiej! I...

- Doszły mnie słuchy, że George zajmował się nie tylko Chesterem. - Freda nie wytrzymała. - Bardzo się cieszę, kochana!

- Ja nic nie mówiłam! - zaproponowała Megan, kiedy Rachel jęknęła. - Sama zgadła. Po garnkach. Bez urazy, ale chińską zupkę gotujesz w jednym.

- No i? - Freda uniosła wyskubane brwi.

Rachel zasłoniła się kubkiem, nic mogąc powstrzymać uśmiechu. Wszyscy patrzyli na nią wyczekująco: Freda, Megan, Chester, nawet Klejnot.

- Nic wielkiego. George przygotował kolację i został, bo zrobiło się późno.

Freda klasnęła w ręce.

- To cudownie! Och, zasługujesz na porządnego mężczyznę, moja droga, po tym, co przeszłaś!

Rachel chciała zaproponować, że śmierć Dot przecież nie była dla niej takim ciosem, ale zobaczyła, jak Megan ucisza Fredę, i zrozumiała, że prawda o jej „toksycznym” związku

dotarła do niepowołanych uszu. I radość z ich życzliwej reakcji nieco przygasła. Ładny mi nowy początek.

- Nie gniewaj się na Megan, jesteś tu wśród przyjaciół, Rachel. Dobrze, że odeszłaś - dodała Freda, chociaż obie miały bardzo niewesołe miny. - Zawsze mówiłam naszej Lynne, że nie znajdzie księcia z bajki, żyjąc ze świniopasem. Naturalnie, kiedy jeszcze tu była.

Rachel spojrzała na jej serdeczną, pomarszczoną twarz i poczuła się podle. Od tej chwili, postanowiła sobie solennie, żadnych kłamstw. Oprócz tego jednego.

- Spędziliśmy miły wieczór, George zyskuje przy bliższym poznaniu - wyznała. - Ale jeszcze za wcześnie, żeby cokolwiek rokować. Zjedliśmy kolację, i już.

- Myślę, że do siebie pasujecie - oznajmiła Freda. - Jesteś jedyną osobą, jaką znam, która nie pozostaje mu dłużna. I jedyną, której na to pozwala. - Mrugnęła. - Bądź tak miła i zdradź nam szczegóły, skarbie, bo z George'a i tak nic nie wyciągniemy.

Megan ze zgrozą wciągnęła powietrze, a Rachel na niby zganiła ją spojrzeniem. Zadziwiające, jakie to miłe uczucie móc swobodnie rozmawiać o wieczorze spędzonym z mężczyzną, zamiast udawać, że nic takiego nie miało miejsca, jak robiła w przeszłości.

Nie była w swojej kuchni, lecz, o dziwo, zaczynała czuć się jak w domu.

Ból głowy ustępował i szczegóły minionego wieczoru stawały jej przed oczami jak żywe. Bez względu na wykonywaną czynność Rachel zamierała w pół kroku lub słowa, owładnięta mieszaniną zgrozy i zadowolenia. Czowała się jak nastolatka, ale i tak co rusz zerkała na komórkę, żeby sprawdzić, czy nie dzwonił.

Nie dzwonił. Musi być zajęty, mówiła sobie. A nawet jeśli nie jest zajęty, nie należy do mężczyzn, którzy po kolacji

zaraz przybiegają z kwiatami. Skoro już o tym mowa, argumentowała dalej, raczej nie sprawiał też wrażenia amatora jednorazowych wyskoków - wprawdzie nie znała go zbyt dobrze, ale to jedno akurat nie budziło w niej wątpliwości.

Wreszcie postanowiła sama wziąć byka za rogi i ustalić, na czym stanęli. Przecież nie mogą udawać, że nic między nimi nie zaszło; to dopiero byłoby krępujące, zwłaszcza w towarzystwie Megan i co najmniej dwóch psów. Sama myśl o tym przyprawiła ją o gęsią skórę.

I tak zaraz po lunchu pojechała do jego kliniki. Traf chciał, że ubłocony land rover George'a nadjechał na pełnym gazie dokładnie w tym samym momencie.

Wzięła głęboki oddech i z uśmiechem przyklepionym do ust wyskoczyła z samochodu.

- Cześć! - powiedziała. - Masz chwilkę?

Spojrzał przyjaźnie, ale widać było, że ma się na baczności.

- Owszem. Dobrze trafiłaś - odparł trochę sztywno. - Wpadłem tylko po narzędzia, mam dziś urwanie głowy. Owcze dramaty.

Ruszyli żwirową ścieżką w stronę wejścia i przytrzymał jej drzwi. Poczekalnię urządzone w nowoczesnym stylu i obwieszono plakatami reklamującymi środki na pchły; Rachel odnotowała też z radością całą tablicę ze skserowanymi przez Megan ogłoszeniami ze schroniska.

Grupka oczekujących ze swoimi pupilami powitała George'a uśmiechem. Dość oficjalnie zaprosił Rachel do gabinetu, gdzie otworzył szafkę i zaczął przerzucać jakieś papiery.

- Pozwolisz? - spytał. - Za dziesięć minut znów muszę lecieć.

- Jasne. - Nagie zrozumiała, że nie bardzo wie, co powiedzieć. Czuła się jak przed laty, kiedy rano musiała

spojrzeć w oczy chłopakowi, z którym całowała się dzień wcześniej na dyskotece.

George odwrócił się w jej stronę i zobaczyła, że jest równie skrępowany.

- No więc o czym chciałaś pogadać? Czy może martwisz się, że zwiększyłem stawkę za wizyty? - Mówił lekkim tonem, ale mniej swobodnie niż zwykle.

- Słuchaj, chciałam się z tobą zobaczyć, bo... - Rachel oblała się pąsem; bardzo chciała zachować się jak dorosła kobieta, ale jej nie wyszło. - Bo takich spraw lepiej nie załatwiać przez telefon.

George uniósł brew i coś ścisnęło ją w żołądku. Położyła dłoń na oparciu krzesła.

- Przyszłam podziękować za wczorajszą kolację. Spędziłam naprawdę cudowny wieczór, ale trochę się upiłam, jak zapewne zauważyłeś i... uhm, chciałam tylko powiedzieć, że ja nigdy...

W jakiś sposób dać do zrozumienia, że nie sypia z facetami na pierwszej randce, żeby nie wyjść przy tym na cnotkę? Miała prawie czterdzieści lat, ale - nie wiadomo dlaczego - jego opinia była dla niej nie bez znaczenia. Bez względu na dalszy rozwój wypadków tym razem wolała rozegrać wszystko jak należy.

George zlitował się nad jej męką i przewrócił oczami, co upodobniło go do dawnego George'a.

- Nie musisz się tłumaczyć - odparł. - Ja w zasadzie też nie.

- O, aha. Świetnie!

- Świetnie. - Popatrzył na nią i napięcie znów zawisło w powietrzu. - Dobra odpowiedź?

- Tak. Bezwzględnie. - Zebrała się w sobie przed kolejnym pytaniem. - Czy my...

- Owszem. George skinął głową. - Może wyparłaś to z pamięci, ale prawie spadłaś z łóżka w poszukiwaniu torebki, a potem kazałaś mi użyć mokrej chusteczki z baru sushi, twierdząc, że to prezerwatywa.

Rachel zamarła, a następnie parsknęła śmiechem. To nie było zabawne, ale wyraz powagi na twarzy George'a sprawił, że nie wytrzymała.

- Serio?

- Serio. - Westchnął. - Chyba oboje mamy w tej dziedzinie pewne braki, bo się nie popisaliśmy. Tak to już jest, kiedy dochodzi do starcia entuzjazmu z doświadczeniem.

- No tak, entuzjazmu nam nie zabrakło. - W głowie się nie mieściło, że przeżywają to jak para zakłopotanych nastolatków.

Spoglądali na siebie przez chwilę i Rachel zastanawiała się, co dalej. Jak na prowincjonalnego weterynarza o rzekomo niewielkim doświadczeniu z kobietami George radził sobie z sytuacją o niebo lepiej niż ona.

- Ale skoro już mamy to z głowy - podjął - czy możemy cofnąć się o dziesięć kroków i zjeść razem kolację, na przykład w najbliższy weekend? Widzisz, jestem staroświecki. Obawiam się, że jeszcze kilka kroków naprzód i będę musiał się oświadczyć.

Rachel zrozumiała, że nie takiej reakcji oczekiwała; opanowanie George'a kompletnie zbiło ją z pantafelku. Żadnych wykrętów, żadnego wynajdywania pretekstów, aby więcej się nie spotykać. Poczula, że odzyskuje grunt pod nogami.

- Tak! - odpowiedziała. - Tak, byłoby wspaniale. Ale może dla odmiany teraz ja coś ugotuję?

- Nie, dzięki - oznajmił George. - Bez urazy, ale nie. Chyba oboje wiemy już, że byłoby to niewskazane. Co powiesz na sobotę? Masz jakieś plany? - Urwał. - Czy może

jako dwoje starzejących się singli na wygwizdowie nie musimy owijać w bawełnę?

- Bynajmniej - stwierdziła Rachel. - Mój kajecik jest pusty. Jestem zdesperowana i przyjdę na kolację. - I uśmiechnęła się, ponieważ było jasne, że na przekór przekomarzaniu oboje nie mogą się doczekać soboty.

Wybiła druga, a Natalie nie zrobiła jeszcze nic ze swojej listy, dzięki Bertiemu i jego upartym, dziecinnym próbom zwrócenia na siebie uwagi.

Jeśli takie są dzieci, pomyślała, zdejmując jego łapę ze swojej nogi, przestała być pewna, czy ciąża to faktycznie taki dobry pomysł.

Siedzenie w domu też okazało się trudniejsze, niż przypuszczała. Rozpoczęła dzień jak zwykle o siódmej, ale zamiast wskoczyć w kostium i wyjść do pracy, musiała wstać, wypuścić Bertiego i dostosować się do jego harmonogramu, co w dużej mierze polegało na sterczeniu przez kwadrans na zewnątrz w oczekiwaniu, aż zrobi swoje.

Johnny wyszedł do szkoły o ósmej i teraz siedziała z Bertiem w gabinecie na dole, od rana tocząc z nim wojnę nerwów. Była twarda i bardzo skupiona na swoim zadaniu, ale ciężko pisać na komputerze z żadnym uwagi basetem uwieszonym jej prawego ramienia.

- Na dół! - powiedziała zalecanym w podręcznikach kategoriowym tonem, ale Bertie nie ruszył się ze swego posterunku przy biurku i w odpowiedzi machnął głową, żeby trącić nosem jej nos. Uchyliła się w ostatniej chwili, co bynajmniej go nie stropiło, i przysunął się jeszcze bliżej.

Stojąc na tylnych łapach, sięgał na biurka, kuchenne blaty oraz inne powierzchnie, na których znajdowała się żywność, niczym ruchoma, psia drabina.

- Bardzo ładnie, ale na dół - powtórzyła jeszcze bardziej stanowczo, wskazując na podłogę. - Na dół!

Ponownie machnął głową, tym razem dosięgając celu. Nos bolał ją jeszcze od ostatniego razu, kiedy to Johnny ryknął śmiechem, tym samym włączając sztuczkę do stałego repertuaru Bertiego.

- Au! Nie wolno! Niegrzeczny pies! - Zepchnęła go na podłogę, żeby zasłonić nos; czuła, że lada chwila zacznie krwawić.

Bertie opadł na cztery łapy i popatrzył na nią ze smutkiem. Wiedziała, czego chce: miała usiąść z nim na podłodze, żeby wlaź jej na kolana i ułożył się do snu. Zastanawiała się czasem, kto tu kogo tresuje.

- Bertie, to, że jestem w domu, nie oznacza, że nie mam nic do roboty. Jak mam zaktualizować CV, jeśli nie dajesz mi spokoju? - zapytała przez uniesione ręce.

Na razie udało jej się wziąć prysznic, bardzo szybki zresztą, podczas gdy Bertie zajął się na chwilę nową zabawką. W przeciwnym razie wydawał z siebie upiorne odgłosy i dreptał po łazience z miną wyrażającą czarną rozpacz.

Oprócz zalecanego godzinnego spaceru, który w istocie trwał blisko dwie godziny, jeśli wliczyć w to bezowocne próby ściągnięcia Bertiego z kanapy, Natalie spędziła pierwsze dni swego nowego życia przykuta do domu, gdyż nie była pewna, czy może zostawiać psa samego. Johnny myślał, że siedzą na kanapie, oglądając telewizję i pysznie się bawiąc, lecz prawdę powiedziawszy, czuła się trochę ubezwłasnowolniona. Nie żeby dała to odczuć któremuś z nich.

- Mamusia nie może się bez przerwy tobą zajmować - oznajmiła psu.

Bertie wydał z siebie głębinowy, melancholijny jęk i serce stopniało jej niczym wosk. Jak może być taka małostkowa. Miał dotąd tak mało uwagi; to jasne, iż woli się upewnić, że i ona go nie zostawi.

- No dobrze, pójdziemy na spacer, tak? - Natalie zostawiła CV i sięgnęła po swoją listę. Jej „urlop”, jak nazywała go w myślach, wzbudził w niej gorące pragnienie, by nie tracić ani sekundy; jej celem było zajść w ciążę, wytresować Bertiego i wrzucić na luz.

Spacer też się liczył, czyli mogła mieć spokojne sumienie.

W weekend Natalie i Johnny przejrzeni razem plan miasta i ustalili parę urozmaiconych tras na codzienne przebieżki Bertiego, wszystkie kończące się w parku miejskim, gdzie mógł wyhasać się i pobiegać za piłką.

A przynajmniej taki był zamysł. Natalie wyczytała, że przy odrobinie zacięcia i cierpliwości baseta można nauczyć aportować, ale dotychczas rzucała piłkę dwanaście razy i tyleż samo musiała się po nią fatygować. Już zaczynała czuć się jak kretyńka, gdy naraz Bertie wykazał pewne ożywienie i pognął w stronę drzew na skraju parku.

Natalie chwyciła rozwijającą się smycz i osłoniła oczy przed słońcem. Zachowanie Bertiego nie miało z nią nic wspólnego, po prostu zauważył Rachel ze schroniska, nadchodzącą z czterema psami różnych rozmiarów i maści.

Natalie pomachała ręką i Rachel podeszła bliżej, a za nią Bertie, który obskakiwał psy, jakby nie widział ich od lat.

- Cześć! Proszę, co za spotkanie! - zażartowała Rachel, z pewnym trudem przekładając smycze do drugiej ręki. - Widzę, że dołączyłaś do sekty spacerowiczów?

- Chyba to samo czują matki dzieci w wieku szkolnym - odpowiedziała Natalie. - Dzień w dzień ta sama bajka, szalu można dostać.

- Tak, ale będąc mamą, można przynajmniej wyskoczyć na kawę! - Rachel wypuściła przezutą piłkę tenisową z plastikowej wyrzutni i wszystkie psy, ku zdumieniu Natalie, nie wyłączając Bertiego, puściły się w ślad za nią. - Próbowowałaś wejść gdziekolwiek z taką czeredą? Istny obłęd.

W Londynie piłam cztery espresso dziennie, a teraz nie mogę nawet wejść do kawiarni. Hej, Lucy! Oddawaj piłkę! Ale już!

Lucy, cętkowany stafik, podbiegła z piłką w potężnych szczękach razem z pozostałymi psami i Rachel rzuciła piłkę ponownie.

- Wiesz, czego nam trzeba? Kawiarni przyjaznej dla psów - oznajmiła Natalie, widząc oczami wyobraźni zarys genialnego planu. - Z wnękami i barierkami, żeby parkować psy, tak jak mamy parkują swoje wózki, oczywiście wewnątrz, żeby nikt ich nie zwędził.

- I przysmaki dla psów do każdej kawy oraz miski z wodą na różnej wysokości.

- I plac zabaw, żeby zostawić psa na pół godzinki z koleżanką i pobiec na zakupy - ciągnęła Natalie, myśląc o badaniu krwi, które koniecznie musi zrobić w przychodni. - Bertie jest bardzo czysty. O wiele czystszy niż połowa dzieciaków, jakie widuję w kawiarniach.

- Niezły pomysł - uśmiechnęła się Rachel. - Powinnaś o tym pomyśleć.

- Może założymy spółkę z pięćdziesięcioprocentowym zyskiem dla schroniska? - Natalie rzuciła piłkę. - Wiesz, mogłabyś sprzedawać kanapki z bekonem. Johnny twierdzi, że płaciłby za nie trzy funty. Podobno warto iść na długi spacer, żeby je dostać.

- Serio? Nie żartuj - powiedziała Rachel. - Muszę rozejrzeć się za jakąś dotacją. Ciotka nie miała głowy do interesów, a nie masz pojęcia, ile te gamonie jedzą. Jakby chciały napchać się na zapas. - Ponownie rzuciła piłkę. - Muszę przyznać, że kompletnie się na tym nie znam, ale muszę coś wymyślić, inaczej trzeba będzie zamknąć schronisko.

- Hm, jeśli potrzebujesz pomysłów, mam sporo doświadczenia w zakresie marketingu oraz mnóstwo wolnego

czasu. Jeśli tylko pozwolisz mi przychodzić z psem. - Natalie nie mogła się powstrzymać. Rachel budziła jej sympatię, nie tylko dlatego że miała czterdziestkę na karku, była bezdzietna i sprawiała wrażenie zadowolonej z życia.

Przestań, powiedziała sobie w duchu. To nikogo nie określa. A poza tym badanie krwi to dobry punkt wyjścia. Natalie spojrzała w zadumie na Bertiego, który zaczepiał niewzruszoną Melasę. Wykluczone, żeby mogła zostawić go w poczekalni.

- Myślisz, że kiedyś będzie można go zostawić? To znaczy, w domu?

- Zdaniem Megan nigdy nie będzie z tego powodu zadowolony, ale kto wie? - Rachel spojrzała na nią uważniej. - A co, daje ci się we znaki? Rozmyśliłaś się?

- Nie! O nie, wcale! - zaprzeczyła pospiesznie Natalie. - Po prostu muszę iść do przychodni na badanie krwi, a potem załatwić coś w mieście, i nie mogę zostawić go samego, dopóki Johnny nie wróci z pracy. - Przygryzła wargę. - Muszę zrobić to badanie dziś lub jutro.

- Nic poważnego, mam nadzieję? - zapytała z niepokojem Rachel.

- Nie, po prostu... - Zawahała się, lecz słowa popłynęły same. - Johnny i ja staramy się o dziecko, jak wspomnieliśmy, kiedy u nas byłeś, ale nie idzie nam tak gładko, jak byśmy chcieli. Dlatego muszę zbadać poziom hormonów i sprawdzić, czy w ogóle mam owulację. Najlepiej dziś.

- Och, o Jezu, no tak - mruknęła ze współczuciem Rachel, po czym dodała: - Słuchaj, będę tu jeszcze jakieś czterdzieści minut, porzucam piłkę, pospacerujemy... może chcesz go zostawić? - Wskazała na płaczące się pod nogami psy. - Jeden więcej nie robi różnicy.

- Naprawdę? - Natalie poczuła, jakby sama zerwała się ze smyczy.

- Pewnie. Tylko kup mi ciastko i espresso w drodze powrotnej. - Wyjęła piłkę z zaślinionego pyska Lucy, następnie palcami wpakowała ją do swojej wyrzutni i rzuciła daleko w stronę zagajnika. - W sumie niech to będzie podwójne espresso. I czy mogłabyś wziąć mi ostatni numer „Vogue'a”?

- Nie ma sprawy. Boże, Rachel, ratujesz mi życie! - Natalie zaczepiła smycz Bertiego o haczyk na pasku Rachel i zadzwoniła do Billa, żeby uprzedził pielęgniarkę.

Rachel wróciła do schroniska o czwartej, po ostatniej rundzie spacerów, zamknęła psy w boksach i poszła do kuchni, wesoło nucąc pod nosem.

Mimo beznadziejnego początku dzień okazał się całkiem udany. Świeciło słońce, znajdowała się u progu związku, o którym mogła opowiedzieć światu, jeśli przyjdzie jej na to ochota, psy przychodziły na zawołanie, a Natalie Hodge pomoże jej wymyślić sposób na podreperowanie finansów schroniska.

To ostatnie stanowiło dla niej olbrzymią ulgę. Wstępne oszacowanie wysokości podatku zjeżyło jej włosy na głowie - nigdy nie miała głowy do liczb, ale kwota robiła dość piorunujące wrażenie. „Tajemnice” Dot nie podsunęły odpowiedzi na pytanie, jakim cudem latami wiązała koniec z końcem.

Naturalnie miała naszyjnik, obecnie zdeponowany u starego jubilera w Longhampton do wyceny pod kątem „ubezpieczenia”. Miała nadzieję, że to częściowo rozwiąże problem, ale co dalej?

Znieruchomiała z ręką na drzwiach lodówki. Na wszelki wypadek posprawdzała pozostałe słoiki, ale więcej brylantów nie znalazła. Tak naprawdę szukała jednak czegoś, co tłumaczyłoby istnienie naszyjnika. Czy był to prezent? Od tajemniczego Feliksa? Czy może coś innego?

Zaparzyła kawę, snując romantyczne hipotezy na jego temat. Co rusz powracała myślami do Dot i Feliksa. Podczas sprzątanania nie natrafiła na żaden inny ślad łączącej ich relacji, toteż ubarwiała wydarzenia w oparciu o swoje własne doświadczenia z Oliverem - biurowe wieczory do późna i potajemne kolacje, które następnie przerodziły się w coś więcej.

Przynajmniej Felix nie robił z tego tajemnicy, jeśli sądzić po zachowanych fotografiach, pomyślała z cieniem gorczy w sercu. Lata spędzone z Oliverem nie pozostawiły po sobie żadnej pamiątki, gdyż niszczył wszystkie zdjęcia z iście szpiegowskim zacięciem. Dot miała chociaż dowód swojego romansu na pocieszenie.

Ale to już przeszłość, powiedziała sobie Rachel, kierując się do biura, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Chciał zatrzeć wszystkie ślady, niech mu będzie.

Megan siedziała przy biurku, gryząc długopis i przeglądając notatnik. Freda pełniła popołudniowy dyżur przy telefonie i przed wyjściem zostawiła po sobie mnóstwo nagryzmołonych pospiesznie notatek, które teraz musiały rozszyfrować.

- Cześć! - powiedziała Megan, wskazując na ciasto na stole. - To od Fredy, możesz się poczęstować. Widzę, że spacer był udany?

- Owszem - odparła Rachel. - Melasa coraz chętniej przychodzi na zawołanie. Metoda z gwizdkiem i nagrodą skutkuje, tak jak zapowiadałaś.

- Świetnie. Dobra robota.

- Muszę przyznać, że to całkiem przyjemne uczucie. - Spojrzała jej przez ramię na zapiski Fredy. - Tutaj chyba też sporo się działo. Jest coś do mnie?

- Ty lub Freda musicie obskoczyć dwa domy, są chętni na Dzwonka i Melasę.

- Bomba! - Rachel triumfalnie uniosła rękę, jak cheerleaderka. - Cztery z głowy, zostało jedenaście!

- Były też trzy telefony w sprawie dziennej opieki, czyli kroi się dobry interes. A, i jeszcze prywatny telefon do ciebie.

- Prywatny, do biura? - Rachel zmarszczyła brwi. Matka zadzwoniłaby na komórkę, podobnie jak Oliver. Naraz uderzyła ją przygnębiająca myśl: urząd skarbowy rozpatrzył jej podanie. - Dzwonił ktoś z kancelarii? Coś namieszałam z tym podaniem?

- Nie, na twoją komórkę. Zostawiłaś ją chyba w drugim płaszczu. Dzwoniła osoba o nazwisku... Freda bazgrze jak kura pazurem. - Megan zmrużyła oczy i wbiła wzrok w pogniecioną karteczkę. - ...o nazwisku Kath Wrigley. W sprawie... w sprawie Olivera? Och, Rachel. - Zmartwiona podniosła głowę. - Nie chodzi o twojego byłego, co?

Szlag trafił dobry humor. Ignorując telefony od Olivera, kompletnie nie wzięła pod uwagę jego żony. Czy to nie oczywiste? Jak mogła nie przewidzieć, że Kath będzie chciała się odegrać?

- Tylko tyle napisała? - Rachel zadrżał głos. - Kath w sprawie Olivera?

Megan pokiwała głową, z oczami jak spodki.

- Mówiła, że oddzwoni?

- Nie wiem. Freda wspomniała, że dała jej numer do schroniska, na wypadek gdyby chciała cię złapać na miejscu. - Megan zrobiła skruszoną minę. - Wiesz, nie podawałam jej żadnych imion, mówiąc o twoim, uhm, zerwaniu. Chyba nie skojarzyła. Pewnie myśli, że Oliver to pies.

Rachel przełknęła ślinę. I całe szczęście. Myśl o minie Fredy na wieść o tym, że sympatyzuje z Tą Trzecią, była wręcz niewyobrażalna.

- Słuchaj, mogę oddzwonić i powiedzieć, że cię tu nie ma - podsunęła Megan. - Albo zablokujemy jej telefony?

- Nie - odrzekła Rachel bohatersko. - Jeśli znowu zadzwoni... Niech to będzie część twojej kary, pomyślała, chociaż bała się nie na żarty. Musisz z nią porozmawiać. Wykrzyczy się i da ci spokój. Chociaż tyle możesz zrobić.

Na widok jej zmieszania Megan zmieniła temat.

- A, i dzwonił George. Pytał, czy nie jesteś uczulona na bżanty? - Uśmiechnęła się znacząco. - Rozumiem, że kroi się następna kolacja?

- A jakże. W weekend.

Megan z zachwytem klasnęła w ręce.

- Brawo! Czyli wszystko na dobrej drodze, co? Uśmiech zamarł Rachel na ustach. Owszem, jeśli tylko przeszłość nie wejdzie jej w paradę.

Zoe nie korzystała zwykle z przerwy na lunch i przyjmowała klientów, żeby skończyć wcześniej i nie lecieć po chłopców z wywieszonym językiem. Dziś jednak uprzedziła Hannah, że wychodzi, i pobięła jak na skrzydłach, aby zdążyć do przychodni na pierwszą.

Plan był prosty - zanieśe Billowi parę tulipanów z targowiska w pobliżu salonu, podziękuję za sobotnią przysługę i pójdzie, ale gdy znalazła się w recepcji, z przejęcia język stanął jej kołkiem w ustach i nie mogła się wysłowić.

- Czyli nie ma pani umówionej wizyty? - upewniła się recepcjonistka Lauren, spoglądając na nią wyczekująco. Lulu leżała za jej plecami w koszyku w kącie pomieszczenia, obserwując wszystko oczami jak węgielki. - Przyszła pani do doktora Harpera? Ale nie na wizytę?

- Yyy, no tak - potwierdziła Zoe. - To dla niego. - Wskazała na kwiaty, czując się jak natrętna fanka, po czym zakłopotana spróbowała zatrzeć złe wrażenie. - W sumie mogę zostawić je u pani...

Lauren zdecydowanie pokręciła głową.

- Nie! Nie trzeba, ma ostatniego pacjenta przed przerwą. Proszę usiąść, zaraz przyjdzie. Musi wyprowadzić Lulu na spacer. - Z czułością spojrzała na psa. - Prawda? Idziecie na spacer, tak?

W tej samej chwili Zoe zobaczyła w głębi korytarza postać mężczyzny i sądząc po natychmiastowej reakcji Lulu, która zerwała się na równe nogi, był to Bill we własnej osobie.

Ścisnęło ją w żołądku i prawie pożałowała tego najścia. Jakie to żalosne. Przychodzić z kwiatami? Przecież tylko okazał jej uprzejmość, a ona zaraz myśli sobie nie wiem co.

Ale nim zdążyła zmienić zdanie i wymknąć się cichaczem, Lauren zawołała do Billa:

- Doktorze Harper? Ma pan gościa!

Bill podniósł wzrok i żołądek Zoe wywinął młynka. O matko, jak w „Oстрым дыжурзе”, miał nawet stetoskop na szyi. Pytającym wzrokiem omiótł recepcję; zobaczył ją siedzącą jak pensjonarka i w momencie zdziwienia pojawił się uśmiech.

Tylko nie palnij nic głupiego, przykazała sobie w myślach. I nie wyłączaj mózgu.

Bill wszedł do poczekalni w asyście Lulu i podszedł prosto do Zoe, która zacisnęła usta, aby sprawdzić, czy szminka wciąż znajduje się z grubsza na swoim miejscu, i uśmiechnęła się w nadziei, że nie ma jej na zębach.

- Hej, Lulu, zobacz, kto przyszedł! - powiedział do psa, wskazując głową na Zoe. - Twoja nowa fryzjerka! Widzę, że po guzie prawie nie ma śladu. Przyszłaś na kontrolę?

- Nic mi nie jest! To znaczy, jestem trochę wykończona i w ogóle, ale daję sobie radę! - paplała Zoe. - Cześć, Lulu! Jak się masz? Chciałabyś sobie pobarazkować z pieskami?

Och, stul dziób, pomyślała.

Udała bez reszty pochłoniętą drapaniem Lulu za uszami.

- Właśnie idziemy na mały spacer - dodał Bill. - Chcesz się przyłączyć? Uhm, chyba że masz inne plany.

Zoe spojrzała prosto w jego brązowe oczy. Radość na jej widok mieszała się w nich z zakłopotaniem i wydał jej się jeszcze przystojniejszy.

- Nie, właściwie to przyszłam ci je dać. - Podała mu kwiaty, czerwone z żółtymi smugami, trochę jak jej włosy w tym tygodniu, po sesji z uczennicą. - W dowód wdzięczności za opiekę. Popsułam ci sobotę, ale naprawdę bardzo dziękuję.

Bill wyglądał na szczerze zdumionego.

- Ależ cała przyjemność po mojej stronie. Chyba jeszcze nigdy nie dostałem kwiatów. To miło z twojej strony. Słuchaj, może przejdziemy się do parku i z powrotem? Zobaczymy, jak u ciebie z koordynacją. Chciałaś wkręcić się bez rejestracji, to masz.

- Super - uśmiechnęła się Zoe.

Udaj, że kulejesz, podpowiedział jej wstrętny głosik w głowie.

Poczekala z Lulu, kiedy Bill pobiegł do Shackleya po herbatę, i nie mogła wyzbyć się wrażenia, że została sama na samą z podejrzliwą potencjalną teściową. Lulu obeszła ją dookoła, dyskretnie obwąchując jej nogi, po czym zerknęła spod kędziorków i z kamiennym spokojem zniosła pieszczoty.

- Czujesz Toffiego? - zapytała Zoe, żeby jakoś zagaić. Mówienie do psów przestało budzić jej skrepowanie. Toffi sprawiał wrażenie bardziej komunikatywnego niż Spencer. - Jest młodszy od ciebie. I nie taki szykowny. Polubiłabyś go.

- Kogo? - Bill wręczył jej plastikowy kubek.

- Toffiego. Mojego szczeniaka.

- Wiem, pamiętam. - Chyba faktycznie nie zapomniał, chyba że była to taka lekarska maniera. - Co u niego? Zmasakrował kolejną roślinę?

Zoe ucieszyła się w duchu, że pamięta jej mrożące krew w żyłach opowieści z soboty.

- Niezupełnie. Większy problem mam z dyscypliną - westchnęła. - Megan ze schroniska twierdzi, że brakuje mi siły przebicia. Muszę ćwiczyć słowo „nie”, jakbym mówiła na poważnie. - Wyciągnęła rękę i warknęła „nie!” tak ostro, że przestraszony Bill oblał się herbatą.

- Przepraszam! O matko święta, oparzyłeś się? - Przerazona próbowała wytrzeć go chusteczką.

- Nic się nie stało. - Wyszczrzył zęby. - Od czego mam nieprzemakalną kurtkę? Idziemy? - Ruszyli w stronę parku, z Lulu drepczącą między nimi. - W sobotę znów wybierasz się do schroniska? - zapytał.

- Możliwe. Szczerze mówiąc, Rachel i Megan dały mi zniżkę na dzienną opiekę, więc choć tak mogę im się odwdziżyć.

Zresztą bardzo to lubię. Przy okazji trochę poćwiczę: niedługo będę się zmagać z czterdziestokilowym labradorem.

Odwróciwszy głowę, spostrzegła, że Bill przygląda się jej z zainteresowaniem na twarzy.

- Możemy chodzić razem - zaproponował. - Lulu udzieli Toffiemu paru lekcji wdzięku.

- Bardzo chętnie! Nie wątpię! Będziecie w sobotę?

- Zdecydowanie. - Bill prychnął. - Nawet gdybym nie chciał, nie mam innego wyjścia. Ale chcę - dodał. - Moi przyjaciele, Johnny i Nat, poznałaś ich, zapisali się na poranną zmianę. To nowa obsesja Nat. Odkryła w sobie zamięłowanie do psów. Serio. O niczym innym nie mówi. - Uśmiechnął się pod nosem. - Choć wcale nie jestem lepszy.

- Rządzą naszym życiem - przyznała Zoe. - Dziewczyny w pracy prześcigają się w strasznych opowieściach, jak to już nigdy nie wyjdę z domu, że pies jest kulą u nogi. Ale mnie się to podoba! Zabieram go w różne miejsca, Megan dała mi listę, i poznałam dzięki niemu mnóstwo osób.

- No ba. Zamieniasz się w magnes na każdego, kto miał w okolicy pudła, labradora bądź innego czworonoga. - Pozwolił Lulu iść przodem i przez chwilę podziwiali jej zgrabny kroczek. - Nie uważasz, że dzięki temu łatwiej nawiązać rozmowę? Bądź co bądź masz w końcu jakiś punkt zaczepienia.

Zapadło wymowne milczenie, przerwane przez Zoe kolejnym potokiem słów.

- O tak, i przy okazji odetchniesz świeżym powietrzem! Do czasu incydentu z Bertiem myślałam sobie, jak to przyjemnie iść przed siebie i nie myśleć o niczym! Jakbym po raz pierwszy od tygodnia miała chwilę dla siebie. Nie zgodzisz się? Człowiek od razu zyskuje lepszą perspektywę.

- O tak - potwierdził Bill. - Doskonale wiem, o czym mówisz. Szkoda tylko, że nie można przy okazji wyskoczyć na lunch.

Znajdowali się w parku, przy fontannie z granitowymi syrenami. Lulu usiłowała nie zwracać uwagi na zaczepki dosyć obcesowego teriera, a kiedy Bill przystanął, żeby odpędzić natręta, wymienili spojrzenia i Zoe zrozumiała, że jest przejęty.

- Chodzi o to... - podjął - ...chyba że znasz miejsce, gdzie dwoje właścicieli psów mogłoby... - Poczzerwieniał, usiłując nadać głosowi zdawkowy ton - ...uhm, umówić się po pracy na drinka?

- O. Po pracy? - Zoe ze smutkiem potrząsnęła głową. - Niestety, dni powszednie odpadają.

- No tak, masz Toffiego - przerwał jej Bill, zanim zdążyła coś dodać. - Głupek ze mnie. Lulu mogę zostawić, ale samotny wieczór to dla szczeniaka nic dobrego. - Uśmiechnął się z zakłopotaniem. - Ale w sobotę będziesz?

- Oczywiście - odparła, niewiele myśląc.

Wyrzuty sumienia poczuła dopiero, idąc odebrać chłopców ze szkoły. Echo rozmowy z Billem i perspektywa sobotniego spotkania pomogły jej przetrwać nudne popołudnie spędzone na robieniu pasemek, lecz poczucie winy szybko dało o sobie znać.

Tak się złożyło, że nie powiedziała Billowi o dzieciach. Znowu.

Po powrocie do domu, kiedy robiła podwieczorek dla tychże dzieci, wspomnienie spaceru wydawało się bardzo, ale to bardzo odległe.

- Maaaamooooo!

Znajomy jazgot wyrwał ją z zamyślenia. Wrzask Spencera był tylko nieco głośniejszy od ujadania Toffiego. Chłopiec nie raczył się nawet wychylić zza kanapy.

- Mamo! Toffi zwymiotował na sofę, bo Leo drażnił go moim robocopem! - oznajmił bardziej rozzłoszczony bałaganem niż samym faktem dokuczania psu.

- A Spencer pozwolił Toffiemu nasikać na sofę! Nie wyprowadził go na dwór!

- Leo to mały gnojek!

Zoe aż otworzyła usta z oburzenia. Odstawiła kubek i w jednej chwili znalazła się w salonie.

- Coś ty powiedział? - zapytała, porywając z poduszek brudnego psa. - I co wy wyprawiacie? Kto miał wyprowadzić pieska?

Patrzyła to na jednego syna, to na drugiego, na co obaj zgodnie wlepili wzrok w swoje nogi. Ale stwierdziła, że tym razem nie popuści - nie da sobie wejść na głowę, nie tylko z powodu zasikanych mebli, lecz przede wszystkim psa, który potrzebował jasno określonych zasad.

Wskazała na budzik nad kominkiem oraz stojący obok wykres, wprowadzony za radą Megan, aby wdrożyć chłopców do pomocy.

- To była twoja kolej, Spencer! O piątej miałeś wyjść z psem.

- Oglądałem telewizję. - Wzruszył ramionami, a Zoe zagotowała się ze złości.

- A gdybym tak zamknęła ci łazienkę, żebyś nie mógł skorzystać? - zapytała. - Toffi to jeszcze dziecko. Trzeba go wyprowadzać punktualnie co godzina. Rozmawialiśmy o tym, prawda?

Spencer ponownie wzruszył ramionami i Zoe chwyciła pilot.

- Żadnej telewizji aż do szóstej - oznajmiła, wyłączając telewizor.

Toffi zaczął się wiercić i podciągnęła go wyżej, aby mógł widzieć ponad jej ramieniem. Był ciepłutki i powoli stawał się za ciężki na noszenie.

Chłopcy jęknęli, ale Zoe była niewzruszona.

- Sprawiliście mi wielki zawód - powiedziała kategorycznie. - Myślałam, że umiecie zająć się pieskiem, zamiast traktować go jak zabawkę.

- Idę do siebie - oświadczył Spencer wyzywająco.

- I bardzo dobrze - burknęła, by po chwili zrozumieć, że syn raz jeszcze wystrychnął ją na dudka.

W porównaniu z początkami pobytu w Czterech Dębach, kiedy za sprawą jej odrętwienia czas jakby stawał w miejscu, dni Rachel płynęły obecnie jak szalone.

Wbrew swoim przypuszczeniom nie tęskniła specjalnie za dawnym życiem: za nerwowymi spotkaniami, po których następowały wypełnione pustką wieczory, gdy odliczała czas do upragnionego czwartkowego wieczoru z Oliverem (kiedy chodził „na siłownię”). Przez te podchody i tajemnice jej życie stawało do góry nogami. W sensie zawodowym jej terminarz pękał w szwach, ale samotne wieczory i weekendy dźwięczały ciszą, od której dzwoniło w uszach, toteż zapełniała je jogą, zakupami i czymkolwiek, byle tylko zabić czas.

Teraz jej dzień rozpoczynał się o wpół do ósmej rano kubkiem przyniesionej przez Megan herbaty, a kończył o jedenastej wieczorem, kiedy padała na łóżko, wyczerpana długimi spacerami i rozmowami z nieznanymi o wyższości stafików nad owczarkami collie tudzież odwrotnie. Jej chłonny umysł, zarezerwowany dotąd dla informacji z zakresu londyńskich lokali i wyprzedaży, zapełnił się zbiorem wiedzy o psach i poradami na temat skutecznej tresury. Powoli, ale wytrwale psy torowały sobie drogę do jej początkowo niewzruszonego serca, a gdy piąty podopieczny - Błysk, nieśmiały westie - trafił w ramiona nowych, kochających właścicieli, stwierdziła, że płacze jak bóbr, nie pozostając w tyle za szlochającymi Megan i Fredą.

Z uwagi na ich całodzienne towarzystwo nie miała kiedy myśleć o Oliverze. Na to czas przychodził dopiero wieczorem, Megan rozplýwała się oczywiście nad jej samotnymi spacerami z Klejnotem w celu „umacniania więzi”, ale nie słyszała, jak Rachel złorzeczy na siebie, Olivera, zdradzieckie ludzkie serce, ale przede wszystkim na własną głupotę. W pierwszym tygodniu monologi pełne żalu i wściekłości

pochłaniały jej godzinę. Przed upływem miesiąca poświęcała ostatnie dwadzieścia minut na rozważania o Dot i Feliksie, a także o tym, jak zapłaci rachunek za elektryczność.

Zasadniczym minusem życia w Longhampton był fakt, że matka doskonale wiedziała, gdzie ją znaleźć, i Rachel nie mogła dłużej wymawiać się „spotkaniem”, jak w Londynie, zwłaszcza że Megan i Freda łączyły Val bardzo chętnie.

Rachel siedziała w kuchni z Natalie, głowiąc się nad sposobami pozyskania funduszy dla schroniska, kiedy Val zadzwoniła z pytaniem „co nowego”.

- Nic nowego, mamó - odparła Rachel, przewracając oczami. - Chyba że jesteś zainteresowana sznaucerem.

Natalie odpowiedziała jej podobną miną. Przyszła zaraz po porze karmienia, oczywiście z Bertiem. Albo płonęła chęcią pomocy, albo nie miała nic lepszego do roboty.

- Oczywiście, że nie jestem zainteresowana sznaucerem, Rachel. Co powiedział agent nieruchomości?

Rachel słyszała w tle szum odkurzacza; była ciekawa, czy Val wykonuje kilka czynności jednocześnie, czy może zaprzęła do pracy ojca.

- Powiedział, że dom jest ładny, ale wymaga gruntownego remontu. Wspomniał coś o izolacji fundamentów. - Rachel była rozdarta: z jednej strony marzyła, że dom będzie wart fortunę, tak aby sprzedać go z zyskiem i osiedlić się gdzie indziej, a z drugiej, że nic, żeby uniknąć gigantycznego podatku.

- Co to znaczy?

- Nie mam pojęcia. Posłał wycenę do kancelarii, a ja dostanę pocztą rachunek. Nie, nie wiem kiedy - dodała, uprzedzając kolejne pytanie. - Ale Gerald Flint mówi, że tata może dostać swoje płyty Ackera Bilka. Podobno nie wpłyną na ostateczną wycenę spadku.

- Rachel mówi, że dostaniesz swoje płyty, Ken. - Odkurzacz ucichł. - Co? Tata chce zamienić z tobą słówko, Rachel. Proszę. - Nastąpiła stłumiona wymiana zdań, z której Rachel wyłowiła słowa „porządną kawę”, po czym w słuchawce rozległ się głos ojca.

- Cześć, tato - powiedziała. Miała nadzieję, że nie wspomni o jej rezygnacji. W czasie ostatniej rozmowy Val nie zniosła tego najlepiej. Była wstrząśnięta, zresztą całkiem słusznie, zważywszy, że Rachel porzuciła karierę, „której poświęciła dziesięć lat”, na rzecz prowincjonalnego schroniska.

- Jak się masz, skarbie? Dajesz sobie radę? - zapytał z troską Ken. Rachel miała nadzieję, że nie wyskoczy ze swoim „cokolwiek postanowisz, będziemy z ciebie dumni”, które niezmiennie doprowadzało ją do łez.

- Wszystko w porządku, tato. A co u ciebie? - „Dziękuję”, dodała bezgłośnie pod adresem Natalie, która postawiła przed nią kubek świeżo zaparzonej herbaty. - Bo wiesz, mam trochę roboty...

- Nie zajmę ci dużo czasu - odparł Ken. - Ja tylko... - ściszył głos - ...byłem ciekaw, jak ci idzie porządkowanie spraw Dot.

- Yy, w porządku. - Co to miało znaczyć? - Trochę tego jest, jeśli o to pytasz.

- Miałem na myśli jej... rzeczy osobiste.

- Tato - powiedziała ze znużeniem - jeśli mama ma na oku coś konkretnego i wstydzi się poprosić, powiedz jej, że może przyjechać i sama się rozejrzeć, albo niech mi powie, co to jest, a ja...

- Nie, nie! - Głos Kena brzmiał jak na torturach. - Mówię tylko, że... człowiek napotyka wtedy różne rzeczy. Czasem bardzo osobiste. Na przykład listy. Rozumiesz.

- No, nie bardzo. - Rachel zachodziła w głowę, o co mu chodzi. Czyżby wiedział coś o Feliksie? Na pewno nie; unikał tematu własnego małżeństwa, a co dopiero związków innych ludzi. Raptem doznała olśnienia. - Chodzi o tę kłótnię między mamą a Dot? Chcesz powiedzieć, że był jakiś list?

To miałyby ręce i nogi. Kąśliwy list od matki z zarzutami pod adresem Dot i jej samolubnego postępowania. List, którego żałowała od lat. Val często tak miała.

- Niezupełnie. - Rachel usłyszała w tle głos matki. - Zresztą - dodał głośniejsz Ken - mniejsza z tym. To bez znaczenia. Na pewno. Daję ci mamę. Trzymaj się!

Po drugiej stronie linii dały się słyszeć stłumione protesty; Val chyba straciła ochotę na rozmowę, gdyż zaprzestała dalszego śledztwa, i pożegnały się w ciągu kilku minut.

- Problemy rodzinne? - spytała Natalie.

- A bo ja wiem? - Rachel z rezygnacją wzruszyła ramionami. - Z rodzicami nigdy nic nie wiadomo. Mama i Dot darły koty, no wiesz, jak to z siostrami bywa. Moim zdaniem nic szczególnego. Tymczasem tata robi wielkie tajemnice, jakby chodziło o Bóg wie co.

- Och! - zawołała Natalie. - Intrygujące!

- Nie. Żadne „och”, zapewniam cię. Podejrzewam raczej, że w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym Dot skradła sekretny przepis babci na leguminę i matka nigdy jej tego nie wybaczyła. Albo chłopak Dot założył podkute buty na chrzest mojej siostry i pastor wniósł zażalenie. Dobra, na czym to stanęłyśmy?

- Na dotacji! - oznajmiła Natalie. - Rozmawiałyśmy o tym, że schronisko musi znaleźć sponsorów. - Umieściła w nagłówku wyraz „dotacje” i opatrzyła go zawijasem. - Jeszcze raz przejrzałam twoje rachunki i obliczyłam, że roczny koszt utrzymania jednego psa wynosi tyle. Niedużo, prawda? Sporządziłam listę wszystkich firm, do których można by

uderzyć, a do tego kancelarii prawniczych i biur rachunkowych. Nie zapominajmy też o „Dzienniku Longhampton”. - Zakreśliła kwoty zdecydowanym kółkiem. - I zwykłych mieszkańcach: można postawić puszkę na datki w przychodni, zaangażować szkołę podstawową.

- W zamian za co? - Rachel usiłowała nadażyć za Natalie, ale jej myśli uparcie zostawały w tyle. Mimo krzepiących ośmiu godzin snu w tym tygodniu chodziła jakoś na zwolnionych obrotach, nawet mocna herbata nie pomagała. - Uhm, wybacz, mam pustkę w głowie.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Natalie, spoglądając na nią uważniej.

- Tak, nic mi nie jest. - Potarła oczy. Megan miała katar, pewnie ją zaraziła. - Wiesz co? Moja londyńska odporność na zarazki chyba daje za wygraną. A już myślałam, że ten dzień nigdy nie nadejdzie.

- To pewnie opóźniona reakcja na stres - stwierdziła Natalie. - Masz na karku dom, zerwanie, wszystko naraz. Jesteś bardzo dzielna, naprawdę.

- Och, sama nie wiem. Ale dzięki. - Rachel nie była pewna, czy zasługuje na współczucie, ale słowa i uśmiech Natalie dodały jej otuchy.

Gdyby wiedziała, co z ciebie za jedna, pomyślała. Nawet jeśli teraz żałujesz.

- Aha, no tak, dotacje. - Z wysiłkiem skierowała rozmowę na mniej grząski grunt. - Może wręczalibyśmy sponsorom dyplomy do zawieszenia na ścianie? Na zasadzie naszych ogłoszeń?

- Właśnie! A ty i Megan zabierałybyście psy do szkoły na pogadanki o zwierzętach. A spokojniejsze do domu opieki na popołudniowe głaskanie. Mogłybyśmy zagadać do Lauren z przychodni o terapeutycznej roli psów, żeby wywiesiła plakat o zbawiennym działaniu spacerów.

- Dobrze to obmyśliłaś, co? Natalie skromnie wzruszyła ramionami.

- Ostatnio mam trochę czasu na myślenie. To leniuchowanie nie idzie mi tak gładko, jak zakładałam. Podjęłaś już decyzję na temat hotelu dla psów? Można by połączyć jedno z drugim. Może właśnie tak Dot finansowała schronisko? Dzięki wpływom z hotelu?

Rachel nie była pewna. Z rachunków wynikało, że dochody ze schroniska były mizerne; równie dobrze istniała możliwość, że Dot miała w ogrodzie sekretne drzewo z brylantowymi koliami. Lecz bez względu na to, czy zostanie, czy sprzeda cały majdan, lepiej nie siedzieć z założonymi rękami.

- Tak, to świetny pomysł - oświadczyła. - Zwłaszcza że wreszcie mamy w Czterech Dębach Internet, zaledwie dziesięć lat później niż reszta świata.

Natalie wytrzeszczyła oczy.

- Nie było sieci? Ani strony internetowej?

- Ani strony internetowej. Od przyjazdu jestem na mejlowym detoksie. Ale będą, już od najbliższego weekendu - odrzekła Rachel. - Na szczęście mam paru uczynnych znajomych. Może dzięki temu kilka sierściuchów znajdzie dom.

- I musicie zorganizować drzwi otwarte, żeby wszyscy mogli zobaczyć, co robicie. - Natalie obrysowała „drzwi otwarte” dużą chmurką i dodała strzałki. - Na widok psów rozpląną się tak jak my, a gdy zobaczą czyściutkie boksy, na wyścigi zaczną tu zostawiać psy na wakacje. Dwie pieczenie na jednym ogniu! Masz pomysł na jakieś dodatkowe atrakcje? Jesteś specjalistką od PR - dodała wspaniałomyślnie.

- Malowanie twarzy - odparła Rachel z powagą. - I może pieczenie świniaka. Pamiętam, że moi klienci byli zachwyceni.

Natalie znieruchomiała, po czym dotarło do niej, że Rachel żartuje.

- Och, bardzo zabawne. Myślałam raczej o konkursach, w których każdy może wygrać. Na przykład „Największe Uszy” i „Najsłodsza Mordka”. Można też urządzić konkurs „Jaki pan, taki pies”, żeby Johnny i Bertie też mieli szansę. Sama nie wiem, który z nich częściej koczuje przy lodówce. - Wycelowała w Rachel długopisem. - Mam. Istny wyciskacz łez: zaprośmy wszystkie psy z nowymi właścicielami na spotkanie ze starymi przyjaciółmi!

- Jesteś geniuszem marketingowym, Natalie. - Rachel z aprobatą skinęła głową. - To będzie świetny materiał do gazety.

- Pozostaje tylko wyznaczyć datę.

- Hm. - Rachel zrobiła niepewną minę. - W tym sęk. Dopiero gdy ureguluję sprawy spadkowe: muszę zapłacić gigantyczny podatek, a wtedy oficjalnie wręczą mi klucze. Ale możemy wszystko zaplanować, a gdy dostanę zielone światło, pójdziemy cała naprzód. - Podsunęła Natalie talerz z czekoladowymi ciastkami. - Ale nie chcę cię wykorzystywać. Na pewno masz ważniejsze sprawy niż organizowanie moich przedsięwzięć. - Daj spokój. Nie mów Johnny'emu, ale to dla mnie miła odskocznia - westchnęła Natalie. Przyglądając się bliżej, Rachel zobaczyła cienie pod jej oczami. Nie ulegało wątpliwości, że Natalie coś gryzie.

- Chodzi o Bertiego?

- A skąd! Nie, jest wspaniały. - I dodała po chwili wahania: - Czekamy na wyniki badań. Pamiętasz, jak szłam na pobranie krwi, kiedy pilnowałaś Bertiego? Wspominałam ci pewnie, że staramy się o dziecko; to kolejny etap.

- Ach tak - odparła Rachel. Nie miała na ten temat wiele do powiedzenia. Przez większość życia dokładała wszelkich

starań, żeby nie zająć w ciąży, a przecież wielu miało raczej odwrotny problem. - A, hm, długo się staracie?

- Ponad rok. Ale mam wrażenie, że dłużej. - Natalie ugryzła ciastko. - Wybacz, to nie temat na rozmowę, ale jest o czym myśleć. - Uśmiechnęła się blado. - Przepraszam. Trochę się zagalopowałam.

- Wszystko się ułoży. I wyniki będą dobre. - Rachel próbowała dodać jej otuchy. Natalie, jeszcze przed chwilą kipiąca entuzjazmem, wyglądała jak przekłuty balon. Westchnęła.

- Sama nie wiem. Byliśmy dotąd tacy szczęśliwi. Nie wiem, jak to zniesie, gdybym nie...

Megan obwieściła swoje przybycie potężnym kichnięciem.

- Rachel, przepraszam, jest... - Kichnęła jeszcze raz w wielką białą chusteczkę. - Jest ktoś do ciebie. Weszła od strony schroniska, ale mówi, że chce z tobą porozmawiać.

Natalie zacisnęła usta i Rachel stwierdziła z przykrością, że chwila zażyłości minęła. Odwróciła się z ociąganiem.

- Powiedziała, o co chodzi?

- Nie, ale patrzyła na psy. - Megan uśmiechnęła się, zmarszczyła nos, żeby nie kichnąć, po czym kichnęła jak z armaty. - Chyba Dzwonek jej się spodobał. Wygląda mi na typ west highland teriera.

- To znaczy? - Natalie z zaciekawieniem uniosła brew.

- Och, no wiesz. - Megan wydmuchała nos. - W średnim wieku. Elegancka, wygadana. Jak spod igły.

- Z tych, które lubią mieć psa wielkości swej największej torebki - uzupełniła Rachel. - Z sierścią, która nie zapcha jej drogiego odkurzacza. Nie patrz na mnie jak na jasnowidza, Natalie, człowiek szybko uczy się rozpoznawać typy.

- A ja i Johnny? Wyglądaliśmy na amatorów basetów, tak?

- Nie - wtrąciła Megan. - Myślałam, że wybieriecie Melasę, labradora. Johnny pasuje mi do labradora, a ty...

- Wal śmiało - zachęciła żartobliwie Natalie. - Jakoś to zniosę.

- Okej, pogadajcie sobie, ja wychodzę. - Rachel wstała od stołu i zakręciło jej się w głowie. Podczas najbliższej wyprawy po zakupy koniecznie musi kupić multiwitaminę, zanim na dobre się rozchoruje. - Poczekasz na mnie dziesięć minut, Natalie? To nie potrwa długo.

- Nie ma sprawy. - Natalie rozsiadła się wygodniej, a rozespany Bertie podniósł głowę i łypnął z nadzieją na ciastka.

- Na czym to stanęłyśmy, Megan?

Kiedy Rachel weszła do biura, w odróżnieniu od zwykłych odwiedzających kobieta nie przeglądała broszur ani nie patrzyła na psy. Po prostu stała z założonymi rękami i czekała.

- Rachel? - Zrobiła krok naprzód, mierząc Rachel od góry do dołu.

- Tak, dzień dobry. - Rachel wyciągnęła rękę. - Przepraszam, Megan nie podała pani imienia!

Megan miała rację - typowa amatorka westie. Kobieta miała na sobie stylowe dzinsy o nieco zbyt podwyższonej talii oraz beżowy sweter z zapięciem pod szyją, w identycznym odcieniu jak rozjaśnione włosy.

- Kath. - Ujęła dłoń Rachel i uścisnęła ją niemrawo, a jaskraworóżowe usta wygięły się w pełnym rozbawienia uśmiechu.

- Kath Wrigley. Zabawne. Myślałam, że jesteś młodsza.

Podczas spacerów z Klejnotem, ćwicząc w myślach niezliczone scenariusze rozmowy z żoną Olivera, Rachel ani przez chwilę nie brała pod uwagę takiej wersji.

Wyobrażała sobie Kath w ataku furii, Kath wypominająca z płaczem, że omal nie zrujnowała ich małżeństwa, Kath

triumfalną, która dopięła swego. Rachel zwykle prosiła o wybaczenie, podkreślając z godnością, że kochała Olivera bez względu na swój haniebny postępek.

Nie przypuszczała, że Kath zjawi się we własnej osobie i spojrzy na nią z litością, ale bez agresji, jak na ciekawostkę raczej niż zagrożenie.

- I zawsze sądziłam, że masz jasne włosy - dodała, bardziej do siebie niż do Rachel.

Rachel cofnęła rękę, bezskutecznie usiłując przypomnieć sobie wyćwiczoną kwestię.

- Zawsze? - powtórzyła. - Od kiedy pani o mnie wie?

- Och, od lat. Od lat! Bez urazy, Rachel - dorzuciła - ale po dwudziestu latach małżeństwa nietrudno zgadnąć, że mąż ma romans. Na przykład inaczej pachniał w dni, kiedy się widywaliście. To były czwartki, prawda?

Jej poufałość uderzyła Rachel jak obuchem, otwierając zasklepione rany.

- Wiedziałam nawet, kiedy masz urodziny - ciągnęła Kath. - Dziewiętnastego lipca. Nie był taki sprytny, jak mu się zdawało. Ludzie kochani! Długie weekendy z klientami, którzy mieli wówczas wolne? Koszule, które lubiłaś, wasze sprzeczki, krem, który mu dałaś, a który rzekomo dostał od asystentki...

Rachel czuła, że dłużej tego nie zniesie. W ustach Kath brzmiało to tak banalnie; dziesięcioletni romans z mężczyzną, który należał przecież do nich obu, sprowadzony do garstki nieznaczących szczegółów.

- To dlaczego nic pani nie mówiła?

Kath uniosła brwi w udawanym zdziwieniu.

- A po co miałam coś mówić? Żeby co osiągnąć?

- Nie przeszkadzało pani, że mąż sypia z inną kobietą? Chyba jednak tak, skoro przekabaciła go pani z powrotem. Po co było tak długo zwlekać?

Próbowała zachować zimną krew, ale serce waliło jej jak młot. To było jeszcze gorsze niż samo zerwanie z Oliverem. Teraz czuła się nie tylko odrzucona, ale i poniżona. Była gotowa posypać sobie głowę popiołem, lecz Kath chyba nie czekała na przeprosiny. Uczucia Rachel nie obchodziły jej ani trochę.

- Ja nie zwlekałam. - Kath westchnęła. - O matko. Zastanawiałam się po drodze, czy należysz do tych cynicznych laleczek, które szukają tymczasowego sponsora, czy może do niemądrych romantyczek, które żyją nadzieją na ślub.

- A nie przyszło pani do głowy, że mogłam go naprawdę kochać? - Rachel z trudem panowała nad głosem. - Albo że on mógł kochać mnie?

- Nie. - Kath spojrzała na nią roziskrzonym wzrokiem. Nie ulegało wątpliwości, że nie żałowała sobie kosztownych zabiegów kosmetycznych. - Szczególnie w twoim wieku. Myślałam, że masz na to dość oleju w głowie. Ejże, moja mała! Pracujesz w public relations! Nie wiesz, co to znaczy lać wodę? Żyłysmy z kłamstw Olivera.

Rachel zebrała w sobie resztki godności, na przekór ubłoconym dżinsom i nieumalowanej twarzy. Trudno w takim stanie mierzyć się z żoną kochanka. Byłego kochanka.

- Świetnie. Niech pani będzie - odparła sztywno. - Przepraszam za to, co się stało. Ale to już przeszłość, przecież pani wie. Oliver wrócił do pani z podkulonym ogonem, ja odeszłam z pracy, więc pozwoli pani, że ją pożegnam.

- Kiedy ten gnojek wcale nie wrócił do mnie z podkulonym ogonem - zaproponowała Kath ze zdziwieniem. - Skąd też ci to przyszło do głowy?

Stafiki przekomarzały się hałaśliwie w swoim boksie, ale Rachel nic nie słyszała.

- Ale... jak to? Przecież dlatego odesłałam klucze.

- Ach, nie. Nie, nie. Wykiwał nas obie, Rachel. Oliver i jego kryzys wieku średniego dali nogę z Tarą, instruktorką tenisa. - Kath powoli dobierała słowa. - Wszyscy o tym trąbią, co za bezmyślny idiota. Oczywiście złożyłam już pozew o rozwód, więc nadciąga burza z piorunami. O nie, z tobą nie było tak źle - ciągnęła, a Rachel nie wierzyła własnym uszom. - Nie musiałam cię widywać. Dzięki tobie nie plątał się pod nogami, dostarczałaś mu rozrywki. Tobie zawdzięczam pierwsze po piętnastu latach samotne wakacje, bez Olivera trującego mi nad uchem. Przeciwno tobie nic nie miałam.

Rzuciła to z takim niesmakiem, że Rachel aż się wzdrygnęła. Była tylko lekarstwem na nudę, niczym więcej.

- Przecież nigdy nie wspomniał o żadnej Tarze - szepnęła. Na przekór wszelkiej logice zapragnęła zobaczyć Tarę i usłyszeć jej głos, dowiedzieć się, czy jest lepsza, szczuplejsza i miłsza od niej.

Kath dostrzegła poruszenie Rachel i poklepała ją po ramieniu.

- Nie musisz się wysilać, kotku. Pomyśl tylko, jak wygląda kryzys wieku średniego. Blondynka. Około dwudziestu pięciu lat. Elastyczna, zapewne w każdym tego słowa znaczeniu.

- Ożeni się z nią? - Rachel ledwie dobywała głos z gardła.

- Pytanie brzmi raczej, czy ona wyjdzie za niego. Wątpię. Zwłaszcza gdy zrozumie, jak niewiele zostanie mu po rozwodzie. Fifty - fifty, plus opłaty za szkołę. Ale sam się o to prosił. Mógł zostać z tobą, przeczekać kryzys, przejść na spokojną emeryturę, a tak... - Wzruszyła ramionami. - Przyjechałam, żeby ci je zwrócić.

Podala Rachel klucze. Rachel spojrzała na nie pustym wzrokiem. I zobaczyła własny breloczek od Tiffany'ego, który dostała od Olivera na trzydzieste piąte urodziny. Mały,

srebrny domek, idealny i bezpieczny. Jak ten, do którego wracał Oliver.

- Dzięki, że je odesłałaś. Szkoda, że nie widziałaś, jaką miał minę, kiedy zrozumiał, że się połapałam. Myślał, że się pięknie urządził: ciebie miał z głowy i chciał zaszaleć z panienką za moimi plecami. A tu proszę, dostałam cynk i z planu nici. Uznałam więc, że ty też powinnaś znać prawdę. - Nachyliła się bliżej i Rachel poczuła zapach piątki Chanel. - Nie wiem, czy kiedykolwiek ci powiedział, ale mieszkanie to własność jego, nie agencji. Na twoim miejscu pojechałabym tam i zajęła je przez zasiedzenie, czy coś w tym stylu. Bo gdy spuszczę ze smyczy prawnika, nie będzie co zbierać.

Rachel wpadła do domu, dusząc się od płaczu; łzy pociekły jej strumieniem po twarzy, w gardle wzbierał szloch. Czowała, że jeszcze chwila, a rozbeczy się na całego.

Zrozumiała, jak bardzo oszukiwała samą siebie. Nie płakała nad Oliverem, tylko nad własnym zmarnowanym życiem, na samą myśl o nim miała ochotę zwinąć się w kłębek i umrzeć.

Boże, pomyślała. Natalie czeka w kuchni. Jak ją spławić?

Za późno. Słyszając jej kroki, Natalie stanęła w progu z egzemplarzem dziennika w ręku.

- Przeglądałam gazetę: możemy zamieścić ogłoszenie na całą stronę praktycznie za bezcen - oznajmiła z oczami błyszczącymi z podniecenia. - To byłoby... Rachel? Co się dzieje?

- Czegoś się dowiedziałam - wykrztusiła Rachel.

- Usiądź. - Natalie wprowadziła ją do kuchni i posadziła na krześle. - Boże, zbladłaś jak płótno. Napijesz się herbaty? A może whisky?

Rachel oparła głowę na rękach i ból w jej sercu rozlał się na resztę ciała.

Sytuacja była tak paradoksalna, że aż się niedobrze robiło. Oliver weźmie rozwód. Będzie wolny. Po prostu: zrobi to, żeby być z kimś innym. Z kimś, kogo dopiero poznał! Te wszystkie lata, przez które nie pytała o małżeństwo, łykając jego rzewną bajeczkę o pokrzywdzonych dzieciach - przepadły, rzucone na wiatr!

Już nigdy nie będzie miała trzydziestu lat, nigdy nie odzyska straconego czasu - kiedy mogła nie nosić rajstop i balować całą noc - żeby znaleźć kogoś lepszego. A w tym roku skończy czterdzieści lat.

- Chodzi o twojego byłego? - Natalie nachyliła się nad nią troskliwie. - Megan wspomniała, że masz za sobą przykre doświadczenia...

Rachel przeszło przez myśl, żeby zataić część prawdy i uniknąć kłamstwa, ale stwierdziła, że przecież już po wszystkim. Nie musiała przeproszać Kath ani bić się w pierś, bo Kath się nad nią litowała. Bo tylko ona wyszła z tego z pustymi rękami.

Jedyne, co miała do stracenia, to zażyła atmosfera przy stole, chwila szczerości w rozmowie z Natalie. Czyżby? Przecież przyjaźni nie buduje się na tajemnicach. Zastanawiałaby się tylko, kiedy Natalie pozna jej sekret.

Podniosła głowę, przywołując resztki szacunku do samej siebie.

- To była żona mojego byłego. Przyjechała mi powiedzieć, że zostawił nas obie dla jakiejś lafiryndy.

Zielone oczy Natalie zaszyły mgłą.

- Słucham? Żona?

- Wiem. Nie zasługuję na współczucie, ale... - Kolejna myśl zaparła jej dech. A może ta cała Tara jest w ciąży.

Świadomość skali poniesionych wyrzeczeń zalała ją kolejną falą goryczy. O nie. To byłoby zbyt okrutne. Zbyt niesprawiedliwe.

- Wyrzucić to z siebie - powiedziała Natalie. - No dalej. Rachel odetchnęła.

- Byłam z Oliverem dziesięć lat - zaczęła. - Z krótkimi przerwami. Pracowaliśmy razem i zaczęło się od biurowego romansu, a potem przerodziło w coś więcej. Myślałam, że mnie kocha, ale... - Urwała. Nie mogła się oszukiwać, dłużej tego nie zniesie. Uważała się za taką mądrą i niezależną, a tymczasem wyszła na kompletną idiotkę. - W każdym razie zerwałam z nim, a teraz jego żona przyjechała mi zakomunikować, że biorą rozwód, ponieważ ma romans z inną kobietą. Zdradził nas obie. Byłam... - zadrżała - ...taka głupia.

No proszę. Miała to za sobą. A Natalie nie patrzyła na nią z potępieniem, tylko z przykrością. I współczuciem.

- Ach, Rachel. Nie wiem, co powiedzieć. - Pogłaskała ją po rękę. - Tak bardzo mi przykro.

- Niesłusznie. Nie zasługuję na współczucie.

- Wręcz przeciwnie. Bez względu na okoliczności, kochałaś mężczyznę, a on cię zawiódł. Nie mam zamiaru cię oceniać - dodała Natalie. - Wiem, że w takich sytuacjach trudno o podział na czarne i białe. Ale jesteś piękną, mądrą kobietą i... jeszcze tyle przed tobą. Czy to naprawdę wszystko, na co cię stać? Facet, który mami cię przez dziesięć lat, bo mu tak wygodnie? Nie wierzę, że nie mogłabyś mieć nikogo innego. Rachel pokręciła głową, wstrząsana płaczem.

- Tylko jego kochałam. I nie mów mi, że to oklepany frazes, bo sama wiem.

- Ale już po wszystkim - odparła Natalie. - To już przeszłość. Możesz poznać właściwego mężczyznę, który dla odmiany będzie spełniał twoje zachcianki. - Powiedziała to rzeczowo, jakby przedstawiała kolejny możliwy do zrealizowania projekt. - Longhampton to nie Londyn, ale nie brakuje tu miłych facetów. Pójdziemy razem do pubu. Billa już znasz, to nowy opiekun Lulu, przedstawię ci moje

koleżanki z klubu dyskusyjnego, o ile nie nudzą cię rozmowy o „Przyjaciółach”. Oho, czy ja widzę uśmiech?

Rachel stwierdziła, że owszem. Blady, ale zawsze. Natalie też się uśmiechnęła i uścisnęła jej rękę.

- Mama zawsze mówiła, żeby patrzeć na swoje problemy jak na problemy przyjaciółki i nie znęcać się nad samym sobą. Na przykład gdy zadręczam się, że jeszcze nie zaszłam w ciążę, myślę sobie: przyjaciółce doradziłabyś cierpliwość. Żeby nie traktowała tego jak osobistej porażki, ale jak drobiazg, z którym należy się zmierzyć.

Jej twarz wyrażała szczere zrozumienie.

- Powinnaś zrobić tak samo. Ten cały, jak mu tam, nie był tym jedynym. Minęło wiele czasu, zanim to do ciebie dotarło, ale teraz... - Natalie uniosła pięść. - Teraz jesteś jak te psy. Czekasz, aż zjawi się On i cię wybierze.

Rachel nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

- Dzięki!

- Bardzo ładny pies, ma się rozumieć. Który długo tu miejsca nie zagrzeje. Ba, doszły mnie słuchy, że pewien weterynarz składa nawet domowe wizyty, hm?

Zajrzała jej pod grzywkę i ten dziecienny gest napełnił Rachel bezgraniczną wdzięcznością.

Teraz rozumiała, dlaczego bezpańskie psy tak żałośnie machają ogonami, gdy trafiają do schroniska i ktoś okazuje im trochę serca. Jej notatnik z adresami przypominał książkę telefoniczną, lecz w towarzystwie znajomych zawsze miała się na baczności, żeby nie powiedzieć za dużo. Nawet jej najbliższa przyjaciółka nie знаła całej prawdy - no ale Ali była mężatką i jasno dała do zrozumienia, że woli nie wiedzieć za dużo. I chociaż zazdrościli jej beztroskiego życia, czekali chyba, aż dostanie za swoje.

Tymczasem Natalie, szczęśliwa u boku wspaniałego męża, zdobyła się na zrozumienie wobec Tej Trzeciej i powiedziała,

że to nieważne. Że może zacząć od nowa. I - co najważniejsze
- ona jej w tym pomoże.

- Dziękuję - szepnęła, wyciągając rękę przez stół, żeby
uścisnąć jej dłoń.

- Nie ma za co - odpowiedziała Natalie.

Wyciągnięcie Johnny'ego z łóżka przed dziewiątą w sobotni poranek granoczyło z cudem, ale Bertie okazał się niezawodny, i to punktualnie o siódmej.

- Jak on tu włązi na takich krótkich nóżkach? - zastanawiała się głośno Natalie, opędzając się przed rozradowanym psim językiem.

- Wybija się na twoim batucie. Nie możesz go nauczyć, żeby robił herbatę? - stęknął Johnny spod dwudziestu kilo żywej wagi. - Zamiast spijać resztki z kubków?

- Daj mi szansę... ciebie też nie nauczyłam, żebyś wstawiał je do zlewu, prawda? - odparowała Natalie. Odrzuciła kołdrę, zawijając psa z panem, na co Bertie z zachwytem przymknął oczy i przewrócił się na plecy - Daję ci pięć minut i wychodzimy; musimy zostawić go u Rachel, zanim pojedziemy do przychodni.

- Do przychodni?

Natalie odkręciła prysznic. Jak mógł zapomnieć o czymś tak ważnym?

- Jedziemy po wyniki - odrzekła, bezskutecznie siląc się na obojętny ton. - No wiesz, badań.

- Aha. - Z pokoju dobiegły odgłosy szamotaniny. - Nat, nie róbmy z tego afery...

- Przecież nie robię! Doktor Carthy prosił, żebyśmy przyjechali jak najszybciej. Oboje. - Zdjęła podkoszulek i weszła pod prysznic, żeby Johnny nie dostrzegł jej niepokoju. - Pięć minut, Johnny.

Odpowiedział jej głuchy skowyt spod kołdry.

- Doktor Carthy, pokój numer sześć. Udało mi się was wcisnąć. - Lauren konspiracyjnie puściła oko. - Pewnie coś ważnego. Usiądziecie?

Natalie rozejrzała się po zatłoczonej poczekalni i kolorowych plakatach szkół rodzenia oraz antynikotynowych

grup wsparcia, ale nie mogła przestać myśleć, dlaczego doktor Carthy tak pilnie chciał się spotkać.

A może już jest w ciąży? Może tak wynika z badania krwi, chociaż nic na to nie wskazywało. W czasopiśmie roi się od takich historii. Kobieta zaczyna leczyć się na bezpłodność albo kupuje drogie dzinsy, a tu taka niespodzianka.

Zerknęła z ukosa na Johnny'ego, który przeglądał stary numer magazynu „Top Gear”, jakby czekali na autobus, a nie werdykt w tak istotnej sprawie.

Zastanawiała się, czy pozostali pacjenci domyślają się powodu ich wizyty. Johnny i Natalie Hodge. Nie mogą spłodzić dziecka. Nie uprawiają wystarczająco dużo seksu. Albo nie uprawiają go jak należy. Unikają rozmów o tym, co będzie, jeśli sprawa okaże się poważniejsza, niż myśleli.

Spojrzała na plakat z reklamą szczepionki dla niemowląt i przewróciło jej się w żołądku. Johnny bez przerwy powtarzał, jaką to jest dla Bertiego dobrą „mamą”. A co jeśli instykt opiekuńczy to za mało? Jeśli fizycznie nie sprosta stworzeniu rodziny, jaką wymarzył sobie jej mąż? Jeśli obecność przy porodzie zniechęca mężczyzn do seksu, czy in vitro nie zburzy idealistycznych wizji Natalie Hodge, Supermamy?

Na ekranie pojawił się napis: Johnny Hodge, Natalie Hodge, pokój numer sześć. I strzałka.

- A, to my. - Johnny odłożył czasopismo na stół, nieświadomy jej napięcia. A po drodze nawet uśmiechnął się do Lauren.

Kiedy Johnny wpadł do środka z wesołym „dzień dobry!”, doktor Carthy siedział za biurkiem i bez słowa wskazał im krzesła obok siebie. Natalie usiadła bliżej, żeby Johnny miał miejsce na nogi.

- Witajcie! - powiedział lekarz, przerzucając papiery.

Natalie chodziła do niego od dwunastego roku życia i czuła się niezręcznie. Jakby rozmawiała z tatą o miesięczce.

- Prosiłem, żebyście przyszli, bo mam wyniki badań - zaczął.

- Przecież robiłam tylko badanie krwi - zauważyła Natalie. - Badanie dnia dwudziestego pierwszego, piątego dnia nie robiłam. Chodzi o USG? Przyszło mi do głowy, że to może włókniaki na macicy, czytałam w Internecie...

Urwała zaskoczona jego brakiem reakcji.

- Wiem - rzuciła przeprasząco. - Internet to niebezpieczna rzecz.

Doktor Carthy odkaszlnął.

- Nie, nie, bardzo się cieszę, że tak poważnie traktujesz ten jakże złożony temat. Zdziwiłabyś się, jak mało wiedzą niektórzy o własnych ciałach. Badanie ultrasonograficzne nie wykazało żadnych zwyrodnień, Natalie, żadnych policystycznych jajników, żadnej endometriozy, nic. - Ponownie zajrzał do dokumentów i wyjął jedną kartkę. - Obawiam się jednak, że musimy powtórzyć badanie Johnny'ego.

- Powtórzyć? Ale dlaczego? - Natalie nic z tego nie rozumiała. Poczwała, że Johnny prostuje się na krześle.

- Ponieważ wyniki nie są zadowalające. Oczywiście może się zdarzyć, że to zbieg okoliczności: jedno na dziesięć badań wykazuje odchylenia od normy, a potem okazuje się, że to był fałszywy alarm.

- Odchylenia od normy? - Głos Johnny'ego zabrzmiał jak spod ziemi.

Doktor Carthy popatrzył na nich i Natalie spostrzegła z przerażeniem, że chce mieć to jak najszybciej za sobą.

- Standardowa liczba plemników to około dwudziestu milionów na mililitr. W twoim przypadku wyniosła zdecydowanie mniej. Dla pewności przeprowadzimy kolejne badanie, lecz jeśli wyniki się potwierdzą, mamy do wyboru

kilka opcji. - Otworzył nowe okno w komputerze. - Im szybciej się do tego weźmiemy, tym lepiej.

Natalie słuchała uważnie, ale Johnny jeszcze nie ochłonął.

- To niemożliwe. W życiu nie byłem chory - zaproponował.
- Nie palę, nie piję... prawie. Jestem wygimnastykowany. -
Roześmiał się nerwowo. - Trenuję szkolną drużynę rugby! I jeżdżę na rowerze. Czy o to chodzi? Bo mogę przestać.

Doktor Carthy nie krył współczucia.

- Niski poziom plemników nie zawsze wynika z czynników zewnętrznych, chociaż możesz oczywiście ograniczyć kofeinę i nosić luźniejsze spodnie, a nuż to coś da. Tak. - Spojrzał w notatki. - W grę mogą wchodzić również uwarunkowania genetyczne; zrobimy badanie krwi, żeby wykluczyć przyczyny hormonalne, i dam ci skierowanie do urologa na zbadanie kariotypu. Zapiszę cię na kolejne badanie.

Zaczął wystukiwać coś na komputerze. Johnny rzucił Natalie tak oszołomione spojrzenie, że aż go pożałowała. Po wymazach i testach na chlamydie, które miała już za sobą, знаła to uczucie bezsilności: w maszynie służby zdrowia człowiek zatracił osobowość i stawał się zlepkiem symptomów. Ona zdążyła przywyknąć, Johnny nie. Nic nie powiedział, ale jego mina mówiła sama za siebie.

Chciała go jakoś pocieszyć, lecz kwestię bezpłodności u mężczyzny potraktowała dosyć pobieżnie. Miała taką pewność, że wina leży po jej stronie, że w ogóle nie brała pod uwagę innej możliwości.

- Jak to? - szepnął, jakby ufał jej bardziej niż lekarzowi. Minę miał tak rozdierającą, że Natalie prawie żałowała, że nie wykryto u niej żadnych włókniaków ani niedrożnych jajowodów. Była przygotowana na każdą ewentualność, ale Johnny... jemu było trudniej. Czowała, że ego męża wisi na włosku.

- A może jeszcze chodzi o owulację? - zwróciła się do doktora Carthy'ego. - Przecież nie zrobiłam wszystkich badań.

Lekarz popatrzył znad klawiatury.

- To mało prawdopodobne. Robiłaś test owulacyjny, prawda? Daleko im do doskonałości, ale jeśli wynik był pozytywny, tak jak mówiłaś, raczej niewiele się zmieniło.

Poczuła na sobie spojrzenie Johnny'ego.

- Robiłaś test?

Kiwnęła głową.

- Parę miesięcy temu. Chciałam mieć pewność.

- Zapomniałaś mi powiedzieć. - W jego głosie dał się słyszeć wyrzut. A jeszcze wczoraj był taki wyrozumiały, pomyślała. Jeszcze wczoraj uważał, że wykresy temperatury i zielona herbata to gruba przesada.

- Nie było o czym mówić. Wyszedł pozytywnie, i już. - Przygryzła wargę. Jak mogła wytłumaczyć tę chwilę niepewności, a następnie ogrom ulgi na widok odczytu? A teraz kolejny, że nic jej nie dolega?

- Nic mi nie powiedziałaś.

- Nie chciałam, żebyś myślał, że przesadzam.

Doktor Carthy był lekarzem starej daty, niepodobnym do obecnych lekarzy rodzinnych. Natalie miała wątpliwości, czy zajmuje się terapią małżeńską. Udając, że nie słyszy, wyciągał z szuflady jakieś broszury.

- Nauka cały czas idzie do przodu - oznajmił. - W razie czego zostaje inseminacja, in vitro, DN... decyzja należy do was.

Natalie zamarła.

- Nie wydaje mi się...

- DN? - nie zrozumiał Johnny. - Nie jestem tak zorientowany w temacie jak moja żona.

- Dawca nasienia. To w zasadzie to samo co korzystanie z banku jajeczek. Różnica polega na tym, że bierze się spermę.

Zapadła krępująca cisza.

- Nie, to nie to samo - odpowiedział Johnny. - To zupełnie co innego. - Zerknął na Natalie; upokorzenie miał wypisane na twarzy. - Nie urodzisz dziecka obcego człowieka, Nat. Przepraszam, ale nie dam rady.

- Jeszcze nic nie jest przesądzone, Johnny, nie ma co wyciągać pochopnych wniosków - mitygował doktor Carthy. - Wiele par napotyka różne przeszkody i je pokonuje, a wy jesteście jeszcze bardzo młodzi, prawda? Musicie podejść do tego na luzie i rozważyć każdą opcję. Jedźcie na wakacje, tak zrobiła moja córka. Dwa lata starała się zajść w ciążę, w końcu dała za wygraną i...

- Co, u licha, mają wakacje do jego plemników? - wybuchła Natalie, tracąc cierpliwość.

Doktor Carthy poczerwieniał, i bardzo słusznie.

No właśnie, pomyślała Natalie. Ludzie, którzy nigdy nie mieli takich problemów, uwielbiają bajeczki o wakacjach i wrzuceniu na luz. Nawet cholerni lekarze.

Spojrzała na Johnny'ego, który w otepieniu wyglądał przez okno. Świadomość prawdy dopiero zaczynała do niego docierać.

Na zewnątrz świeciło słońce, ale chłód przeniknął Natalie pomimo płaszcza.

Otworzyła samochód, ale Johnny potrząsnął głową.

- Jeszcze nie chcę tam jechać - powiedział. - Muszę... muszę to sobie uporządkować.

Natalie zrozumiała. Bill wiedział, gdzie byli, i domyślał się pewnie w jakim celu. Oczywiście nie zapyta - byłoby to wbrew zasadom męskiej przyjaźni - ale twarz Johnny'ego zdradzi wszystko.

Ruszyła za nim główną ulicą, obok sklepów z używaną odzieżą i telefonami komórkowymi. Sadził przed siebie wielkimi krokami i Natalie nie mogła za nim nadążyć, a w

końcu przyznała w duchu, że woli oglądać jego szerokie plecy w sztruksowej marynarce niż zmarszczone czoło.

Gdy dotarli do parku, Johnny minął wszystkie ławki i skierował się w stronę ustawionej na uboczu estrady, gdzie jako smarkacze upili się martini podwędzonym z barku matki Billa. Przysiadł z boku i ukrył twarz w dłoniach, zanurzając palce w gęstej, jasnej czuprynie.

Po chwili wahania usiadła obok i oparła mu głowę na ramieniu.

Kiedy wreszcie przemówił, głos łamał mu się ze wzruszenia.

- Bardzo cię przepraszam.

Natalie nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc nie powiedziała nic. Próbowwała wziąć go za rękę, ale jej nie pozwolił.

- Nie. To moja wina. Wszystko zepsułem. Chciałem, żebyśmy mieli rodzinę. Chłopca i dziewczynkę. A tu proszę. Chciałem zobaczyć cię w szpitalu z naszym dzieckiem na rękach, a potem zawieźć was do domu i się wami opiekować. A nie mogę. Nie mogę ci tego dać.

- Możesz. Nie bądź niemądry.

- Nat, to najgorsza rzecz, jaką w życiu słyszałem. - Podniósł głowę i zobaczyła, że ma czerwone oczy. - Dotąd nie zdawałem sobie sprawy, jak mi na tym zależy. A teraz ktoś mi mówi, że może będziesz potrzebować do tego obcego mężczyzny. Czuję się taki... bezużyteczny. Jakby ktoś mnie wykastrował. - Przełknął ślinę. - Zresztą w sumie na jedno wychodzi.

Był tak znękanym, że łyzy zapiekły Natalie pod powiekami.

- Johnny, ty jesteś moją rodziną. Ty... i Bertie! - Próbowwała się uśmiechnąć, ale sama czuła, że wypadło to jakoś bez przekonania.

- Obiecałem, że dam ci wszystko, czego pragniesz - ciągnął zdławionym głosem. - Ale nie mogę.

- Przestań, to tylko jeden test! Poza tym przecież doktor Carthy powiedział, że są jeszcze inne możliwości. Grunt, że mam ciebie; to wszystko, czego potrzebuję. I chcę. Jeśli nie możemy mieć dzieci, to... - zmusiła się, żeby to powiedzieć, bo nie mogła patrzeć na jego rozpacz - ...to co z tego? Mamy siebie. Wielu może o tym tylko pomarzyć.

Czuła, że nie wierzy we własne słowa, i nie mogła sobie tego darować. No bo jak można czegoś pragnąć i udawać, że to bez znaczenia? W ich związku zawsze pozostanie pustka, którą oboje będą chcieli wypełnić.

Ale nie zależało jej na tym bardziej niż na Johnnym. Dlatego przyciągnęła do siebie jego głowę i pozwoliła mu płakać, po raz drugi w ciągu ich całego małżeństwa, i po raz pierwszy na trzeźwo.

Zoe odprowadziła Leo i Spencera na sobotni trening piłki nożnej i zapowiedziała sobie solennie, że oto nadszedł dzień, kiedy wspomni Billowi o dzieciach. Niekoniecznie dlatego że była to szczególnie dobra okazja: po prostu jeśli nie powie mu jak najszybciej, koniec końców wyjdzie na to, że ukrywała to z premedytacją. Poza tym miała już serdecznie dość dylematu, jaka okazja byłaby ku temu najlepsza.

W ciągu minionego tygodnia z dwójki obcych sobie ludzi, którzy umawiają się na spontaniczną kawę, niepostrzeżenie stali się dwojgiem nieznanym, którzy szukają pretekstu do coraz częstszych spotkań. Dźwięk telefonu przyprawiał Zoe o miły dreszcz: coś wisiało w powietrzu, zdecydowanie.

Zaczął się po pierwszym spacerze w porze obiadu, SMS - em od Billa na temat butów, które oglądał w mieście - podobno potrzebował kobiecej rady, co przyjęła z pewnym zdziwieniem: mógł przecież zapytać o zdanie Natalie, z którą był zaprzyjaźniony. Odpisała, bez większej nadziei na ciąg

dalszy, ale wymiana SMS - ów przerodziła się w rozmowę o Toffim, a następnie o Lulu, z luźnym nawiązaniem do soboty i pytaniem, czy we wtorek pójdą razem na lunch.

Poszli. Spacerując z Lulu po parku, zjedli bagietki i tym razem Zoe rozmyślnie skierowała rozmowę na Billa, aby nie gryźć się w język. Temat rodziny nie wypłynął, toteż nie musiała nic mówić. Ale skoro Bill wiedział już, czego Zoe nie lubi jeść (pleśniowego sera i marchewek), a ona wiedziała, że blizna na jego łokciu to pamiątka po upadku ze skutera podczas dziekanki, drobiazg typu pierwsze małżeństwo i dwójka dzieci wymagał choćby zdawkowej wzmianki.

Był to pierwszy symptom świadomych zmian zachodzących w jej życiu, zamiast biernego oczekiwania, co przyniesie los, powiedziała sobie, parkując przed schroniskiem samochód. Stanowcza wobec psa, stanowcza wobec chłopców, stanowcza wobec siebie - co w tym wypadku oznaczało nie chować głowy w piasek, tylko iść naprzód z podniesioną głową.

Jak powiedziała jej przyjaciółka Callie z salonu, której się zwierzyła: jeśli Bill jest w porządku, na pewno zrozumie, nawet jeżeli sam tego nie przeżył. W dodatku ile czasu Zoe zamierza żyć samotnie, aż chłopcy skończą dwadzieścia lat? Trzydzieści? I jaki to dla nich przekaz - że tatuś może mieć nową przyjaciółkę, a mamusia nie? Callie miała odpowiedź na wszystko. No i drugiego męża.

Kiedy Zoe weszła do kuchni z Toffim na smyczy, Rachel właśnie częstowała pierwszą turą kanapek.

- Oho, o wilku mowa! - zawołała. - Ktoś tutaj nie może się ciebie doczekać.

I wskazała na Bertiego, który właśnie usiłował wyżebrać od Fredy kanapkę. Gdyby nie obecność Billa, który wyraźnie ucieszył się na jej widok, Zoe wołała nie wnikać, jaka byłaby jej reakcja.

- Ekstra! - powiedziała, łypiąc spod oka na psa. - Jeszcze nie wróciłam do siebie po ostatnim razie.

- Bill pilnuje go pod nieobecność Natalie i Johnny'ego - wyjaśniła Rachel i podała jej bułkę. - Ale chętnie wyszedłby z Melasą, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Możesz zostawić Toffiego, żebyśmy się nie nudziły. - Schyliła się, żeby pogłaskać psa po aksamitnej główce. - Niedługo twoja kolej, kochany. Jeszcze kilka miesięcy i będziesz wychodził ze starszymi kolegami.

- Idziemy? - Bill zerwał się od stołu, wywijając smyczą.

- Chyba że wolisz najpierw napić się kawy?

- Skąd ta zmiana decyzji, doktorze Harper? - wtrąciła Freda.

- Przecież przed chwilą mówił pan, że poczeka na...

Zerknął nieśmiało na Zoe, która odpowiedziała mu uśmiechem, czując przyjemny trzepot w żołądku. Pierwsze spotkanie po SMS - owym flircie było dla niej sporym przeżyciem. Podciął włosy, a w dzinsach i luźnym swetrze wyglądał trochę inaczej niż w środku tygodnia.

- Nie, skoro Zoe bierze Melasę, lepiej, żebym się przyłączył, na wszelki wypadek. - Puścił oko, a gdy Zoe z lekkim zakłopotaniem spuściła wzrok, zauważyła, że ma na nogach nowe buty, które mu doradziła, i trzepot w żołądku przybrał na sile.

Ruszyli przez sad w stronę parku, Zoe z Bertiem i Melasą, a Bill z Lulu i Dzwonkiem drepczącym obok.

- Ładne buty - zagaiła.

- O, dziękuję. Ktoś mi fachowo doradził - odpowiedział Bill. - Jak ci minął tydzień?

- W porządku. - Odciągnęła Bertiego od porzuconej paczki po chipsach. - Chyba możemy mówić o przełomie: Toffi nie nabrudził przez trzy noce z rzędu! A wczoraj nawet nie musiałam wstawać.

Bill rozpromienił się solidarnie.

- Gratulacje! To wielki krok naprzód.

- Cieszę się, że to mówisz, bo koleżanki w pracy pukają się w czoło. Ich zdaniem to niezdrowy objaw podniecać się tym, że pies przestał na mnie siusiać. Jak tam Lulu?

- Też dobrze, dzięki. Lulu! - Pstryknął palcami, żeby zwrócić uwagę psa. - Lulu, pokaż Zoe nową sztuczkę. Patrz uważnie.

Przystanęli i Bill wyjął z kieszeni małą przekąskę, którą położył na zgrabnym nosie pudlicy.

- Czekaj - uprzedził ostrzegawczym tonem i podniósł rękę. Lulu śledziła jego ruchy. - Już! - zawołał, na co wyrzuciła przekąskę w górę i zjadła ją z ziemi. - Grzeczna dziewczynka! - Bill miał trochę rozczarowaną minę. - Przeważnie łapie ją w locie - szepnął Zoe do ucha. - Ale nie chcę jej zniechęcać.

- I tak super - odpowiedziała Zoe. Oddech Billa przyjemnie połaskotał ją w szyję. - Długo trenowaliście?

- Niedługo. Chyba znała różne sztuczki, bo w ciągu godziny nauczyłem ją siadać i czekać na rozkaz, i innych takich. Teraz przeszliśmy na poziom dla zaawansowanych, prawda, Lulu?

- A może po prostu jesteś dobrym nauczycielem? - stwierdziła Zoe. Dla jego aprobaty też podrzuciłaby przekąskę na nosie. Tak na dobry początek.

- E, przesadzasz. - Wzruszył ramionami i poszli dalej. - Szczerze mówiąc, moje życie towarzyskie kręci się wokół psa. Sama wiesz, jak to jest - dodał, zerkając na nią z ukosa. - Jak to ludzie mówią? Psy to taka kula u nogi!

Jego ton nie pozostawiał wątpliwości, że nie ma nic przeciwko temu, a Zoe doskonale to rozumiała. Sama również słyszała te słowa nieraz, w pracy, od innych spacerowiczów, od wszystkich, łącznie z matkami innych dzieci ze szkoły.

- A dzieci to co? - odrzekła bez zastanowienia. - Moje życie towarzyskie też pozostawiało wiele do życzenia. Odkąd mam Toffiego, poznałam więcej ludzi niż w ciągu ostatnich trzech lat.

Roześmiał się i zrozumiała, że nie wziął tego dosłownie.

- Tak, to chyba dobry wstęp do ojcostwa. Dyscyplina, stały porządek dnia: chyba zacznę rozumieć pobudki Nat i Johnny'ego.

Teraz, pomyślała. Teraz to powiedz. Nie prowadzę życia towarzyskiego, bo mam dwójkę dzieci. Wzięła głęboki oddech.

- Nie zrozum mnie źle - dodał, nim zdążyła otworzyć usta.

- Kiedyś też mało wychodziłem, Johnny i Nat musieli mnie wyciągać, ale teraz naprawdę wolę siedzieć w domu i uczyć Lulu nowych sztuczek. Ona to uwielbia. Zresztą ja też.

- Serio? - Rozbroił ją do reszty. Kiedy patrzył na Lulu, twarz mu się rozjaśniała, chociaż taki facet mógłby przebierać w kobietach jak w ulęgawkach, zamiast spędzać wolny czas z pudlem.

- Tak, serio. - Westchnął. - Pewnie też się nasłuchasz. Doceniam troskę, ale czy nie masz dość, kiedy znajome pary chcą cię na siłę wyswatać? Nie żebym nie chciał kogoś poznać - uzupełnił skwapliwie. - No wiesz, ustatkować się w którymś momencie, ale oni zawsze każą poznać mi a to tą, a to tamtą, która jest podobno w moim typie. A jaki jest mój typ, pytam?

Chyba dotarło do niego, że powiedział zbyt dużo, bo odkaszlnął.

- Skoro mowa o wychodzeniu... mówiłaś, że ciężko ci się wyrwać w środku tygodnia. Rozumiem, mam dokładnie ten sam problem z tą oto damą, ale rozmawiałem z Rachel...

- Zwolnił i prawie się zatrzymali. - Mówiła, że chętnie zabawi się w opiekunkę, więc może poszlibyśmy razem do tej nowej indyjskiej knajpki obok centrum handlowego?

Serce zabiło jej w piersi. Zaprasza ją na kolację. Na randkę! Prawdziwą randkę! Ale zaraz znów odezwały się wyrzuty sumienia. Musi mu powiedzieć, teraz.

- Ja też potrzebuję opiekunki - zauważyła.

Bill skinął głową.

- Pytałem ją o Lulu, ale z pewnością zajmie się i Toffim. - Spojrzał niepewnie. - Przepraszam, czy ja...?

- Auuuuu! - Bertie wydał z siebie potępieńczy skowyt i szarpnął smyczą, mało nie zbijając Zoe z nóg. Powodem jego zachowania okazały się dwie nadchodzące postaci: byli to Natalie i Johnny.

- Puść go! - zaśmiał się Bill, gdy niebezpiecznie zachwiała się na nogach; odpięła smycz i baset pognął ku właścicielom, powiewając uszami.

- Miłość, nie? - rzuciła Zoe, patrząc jak o mało nie przewraca Natalie.

- Na to wygląda - odparł Bill, rzucając jej spojrzenie, które najchętniej zachowałaby na pamiątkę.

Kiedy tamci podeszli bliżej, Zoe zobaczyła, że Natalie sili się na uśmiech, ale co rusz zerka na Johnny'ego, który podążał przed siebie krokiem lunatyka. Twarz miał pustą, jakby prawie ich nie zauważył.

- Cześć, Bill! Cześć, Zoe! - zawołała z wymuszoną wesołością Natalie. - Mam nadzieję, że Bertie nie dał ci się we znaki.

- Ależ skąd, był bardzo grzeczny. Przynajmniej do teraz. On chyba po prostu lubi mnie ciągnąć. Nie myśleliście aby o kupnie sanek? - Zoe podała jej smycz. - Idziecie dalej czy może macie ochotę na śniadanie? Mieliśmy już wracać.

Natalie zerknęła na męża.

- Hm. To może pójdziemy z wami? Johnny chętnie napije się herbaty. Prawda?

Johnny nie odpowiedział.

- Dobrze się czujesz, stary? - zapytał Bill.

- Ta. - Zabrzmiało to bardziej jak chrząknięcie niż odpowiedź.

Natalie zwróciła się do Zoe i pokierowała ją z powrotem na ścieżkę.

- Słuchaj Zoe, czy Rachel opowiadała ci o swoich planach na Drzwi Otwarte? Szuka ochotników. Może zgłosiłabyś się do malowania twarzy? Albo do plecenia warkoczyków?

Zoe wyczuła, że chce zmienić temat i z ulgą wdała się w rozmowę, podczas gdy mężczyźni zostali z tyłu. Natalie co rusz patrzyła przez ramię, a Zoe wyęczała słuch, aby złowić strzępy rozmowy - a właściwie monologu, gdyż Johnny'ego prawie nie było słychać. Usłyszała tylko coś o jakimś „teście”.

Chodzi o test na prawo jazdy? Zaraz, czy Johnny nie jest aby nauczycielem? Może to coś związanego ze szkołą.

Przystanąły na szczycie wzgórza, żeby poczekać na pozostałych. Zoe obiecywała właśnie swój udział w festynie, gdy naraz poczuła na ramieniu dotyk Billa.

- Właśnie o tym rozmawialiśmy, prawda Zoe? Na powiększenie rodziny zawsze jest czas.

- Hm? Słucham? - Ramię zapiekło ją pod płaszczem.

- Jesteśmy za młodzi, żeby grzęznąć w pieluchach. Psy to na razie wystarczające obciążenie, prawda? - Uśmiechnął się z lekką paniką w oczach, prosząc o wsparcie; chciała mu pomóc, ale jego słowa aż ją zmroziły.

No ładnie. Nie tylko nie wiedział, że Zoe ma dzieci, ale na razie sam nie kwapił się do ojcostwa. Nie ma to jak w trzy sekundy pogrzebać obiecujący związek.

Przecież nie chodzi o ciebie, przypomniała sobie z poczuciem winy. Nawet nie powinnaś o tym myśleć, nie gdy Spencer i Leo tęsknią jeszcze za tatą. Co z ciebie za matka?

- Bill, nie trzeba... - zaczęła Natalie, lecz Bill chyba jeszcze nie skończył.

- Ludzie myślą, że od razu trzeba mieć dzieci, to jakiś owczy pęd chyba. Mało macie roboty z Bertiem? Możecie poćwiczyć bezsenne noce, sprzątanie... To w gruncie rzeczy to samo. - Przenosił wzrok z Johnny'ego na Zoe i z powrotem. - Nie?

- Nie! - wybuchła z rozpaczą Natalie. - To nie to samo. Boże, jak na lekarza potrafisz być strasznie gruboskórny, Bill.

Coś ewidentnie było na rzeczy i gdyby nie dotkliwie poczucie rozczarowania, Zoe być może ugryzłaby się w język. Ale instynkt macierzyński wziął górę.

- Ona ma rację: dzieci to nie to samo co psy! - usłyszała własne słowa. - To o wiele, wiele więcej! Owszem, jest z nimi masa roboty i do szalu człowieka doprowadzają, ale to najlepsze, co mi się w życiu przytrafiło, i nie zamieniłabym ich na nic innego na świecie!

Bill zmartwiał.

- Nie wiedziałem, że ty... O Boże, tak strasznie mi przykro.

- Nie ma za co przeproszać. Właściwie to mam dwójkę - odparła Zoe. Słowa płynęły jedno za drugim, jakby w ramach zadośćuczynienia za długie milczenie. - Dwóch chłopców, siedmioletniego Spencera i Leo, który niedawno skończył sześć lat. Nie mówię, że jest łatwo, bo nie jest, zwłaszcza że sama ich wychowuję. Ale są wspaniali i uwielbiam spędzać z nimi czas, chociaż bywają istnym utrapieniem. Trudno wyobrazić sobie większe szczęście.

W ustach jej zaschło i język kleił się do podniebienia. Nagle zobaczyła zrozpaczoną minę Natalie i - o zgrozo! - łyzy

w oczach Johnny'ego. I zrozumiała, że testy nie miały żadnego związku ze szkołą, a jeśli Bill próbował poprawić przyjacielowi humor, jej wybuch tylko pogorszył sprawę.

Miała ochotę zapaść się pod ziemię.

Niepewnie dotknęła ramienia Natalie.

- Przepraszam cię, Natalie. Mam nadzieję, że nie palnęłam nic głupiego. Chy... chyba już pójdę. Macie parę rzeczy do omówienia i... uhm... Przepraszam.

- Zoe, posłuchaj... - zaczął Bill, ale zbyła go kurczowym uśmiechem.

Być może wyszła na idiotkę, ale jedno było pewne: gdyby do niej pasował, nie powiedziałaby nic takiego. Lepiej teraz niż po romantycznej kolacji w indyjskiej knajpce. Niepotrzebne jej takie złudzenia.

Chwyciła mocniej smycz Melasy i skierowała się w stronę schroniska. Odbierze psa, a potem synów. A jeśli zechcą iść do McDonalda, ten jeden raz ustąpi bez wyrzutów sumienia.

W samochodzie Johnny nie rozmawiał z Bertiem, jak to miał w zwyczaju. Nie rozmawiał też z Natalie, chyba że o coś go pytała, a po powrocie do domu wyszedł „na spacer”. Ona i Bertie nie zostali zaproszeni.

Natalie odczekała, aż zniknie jej z oczu, po czym usiadła przy komputerze i zaczęła szukać informacji. Bertie leżał u jej stóp, z nosem wycelowanym w drzwi. Trwali tak przez dwie godziny, dopóki chrobot klucza nie obwieścił powrotu Johnny'ego; wówczas Natalie zatrzasnęła laptop, a Bertie zerwał się na równe nogi.

Natalie przybrała kojący wyraz twarzy, ale Johnny pomaszerował prosto na górę i usłyszeli szum wody napuszczanej do wanny.

Bertie łypnął na Natalie kątem oka, po czym wymknął się z pokoju, żeby podreptać na górę w ślad za panem.

- Nie, Bertie. - Natalie przytrzymała go za obrozę. - Tatusiowi nie wolno teraz przeszkadzać. Jest smutny.

Powiedziawszy to, przygryzła wargę. Nazywali siebie tatusiem i mamusią Bertiego tylko dla żartu - nie byli przecież jedną z tych stukniętych par, które traktują bezdomnego psa jako namiastkę dziecka.

A może jednak? Pora skończyć z tym raz na zawsze.

- Zróbmy kolację! - powiedziała, na co rzekomo nieułożony baset zademonstrował siad, jakiego nie powstydzilby się medalista, i Natalie zrobiło się ciepło na sercu.

Ponure milczenie Johnny'ego trwało przez cały wieczór, aż do poniedziałkowego ranka, kiedy to odzyskał chęć do rozmowy. O wszystkim, tylko nie o testach.

- Słuchaj, pójdę i zrobię jeszcze jeden - oznajmił, unosząc rękę w odpowiedzi na jej ostrożne pytania. - Nie susz mi głowy, Natalie. Nadal próbuję to jakoś ogarnąć.

Natalie zauważyła, że wychodząc, nie patrzył jej w oczy, i choć na pożegnanie wymamrotał tradycyjne „kocham cię”, czuła, że coś się między nimi zmieniło i ta myśl aż ją zmroziła.

- No dobrze, Bertie - powiedziała, kiedy zostali sami z perspektywą długiego dnia przed sobą. - Idziemy na spacer.

Obrali zwykłą trasę wzdłuż kanału, obok kaczek i łabędzi, które Bertie sumiennie obszczał, a następnie do parku, ale Natalie nie spieszyła się do powrotu. Chciała rozładować napięcie spowodowane niecodziennym zachowaniem Johnny'ego.

- Co powiesz na wizytę w schronisku? - spytała, patrząc w tamtą stronę. Wydłużyłaby ich trasę razy dwa, ale po co miała wracać do domu? I - jakby na znak - zobaczyła Megan nadchodzącą z grupką terierów posłusznie drepczących na smyczy. Natalie pomachała, jakby też dopiero co się zjawiała. Widok pogodnej twarzy Megan, która z uśmiechem przywołała ich gestem dłoni, sprawił jej niewymowną ulgę.

Po godzinie spaceru siedziała w ciepłej kuchni w Czterech Dębach, Bertie leżał z Klejnotem na posłaniu obok piecyka i obie z Rachel pracowały nad stroną internetową Psiej Drugiej Szansy.

Czuła się jak w pracy, a zarazem jak w domu - fajnie, pomyślała, sięgając po kolejnego herbatnika.

Przygotowały wzruszające profile labradora Melasy i stafika Lucy - omal nie doprowadzając się przy tym do łez - po czym Rachel zrobiła przerwę na przygotowanie drugiego śniadania.

Natalie zdążyła wypić tylko łyk kawy, kiedy Rachel powstrzymała ją z obrzydzeniem.

- Przepraszam, nie pij tego! Mleko skwaśniało. Natalie powąchała kubek.

- Serio? Nic nie czuję.

- Skwaśniało, na sto procent. Rano mi nie smakowało i otworzyłam drugi kartonik, ale to samo. Smakuje obrzydliwie. Fuj. - Aż się wstrząsnęła. - Chyba mi zaszkodziło. Myślałam, że Megan rozsiewa zarazki, ale to sprawka mleka.

Natalie obrzuciła ją baczny spojrzeniem. Rachel sprawiała wrażenie jeszcze bledszej niż zwykle i wymizerowanej, jakby zarwała noc. Jej słowa wzbudziły w Natalie mimowolnie skojarzenia, z metalicznym posmakiem na czole, powodowanym - o ironio - przyjmowanym co rano kwasem foliowym.

To byłoby niesprawiedliwe. Takie niesprawiedliwe.

- Smakuje metalicznie? - nie wytrzymała.

- Tak! - Rachel wycelowwała w nią długopisem. - Jakby ktoś wrzucił do niego monetę. Czujesz? Co to za mleko?

Może mam paranoję? Powinnam coś powiedzieć?

- A co? - spytała Rachel. - Dlaczego tak patrzysz? Myślisz, że zwariowałam, co?

Natalie potrząsnęła głową.

- Wybacz, że to mówię, ale czy ty aby nie jesteś w ciąży? Rachel wybuchnęła śmiechem.

- Nie! Nigdy w życiu. Dlaczego pytasz? Czy to jeden z symptomów? Mleko smakujące jak drobne?

- Owszem - odparła Natalie, patrząc, jak Rachel traci ochotę do śmiechu. - Spóźnia ci się okres? Piersi nie mieszczą się w staniku? Masz wypryski?

Rachel odruchowo uniosła rękę do brody i Natalie ujrzała ze ściśniętym sercem warstwę najbledszego korektora, jaki w życiu widziała.

Ileż to razy cieszyła się z pryszczka, biorąc go za zwiastun zmian hormonalnych.

- Nie - rzuciła Rachel prawie do siebie. - O... nie.

Natalie bez słowa sięgnęła do torebki i wyjęła z niej zapasowy test ciążowy, który nosiła przy sobie na wypadek chwili słabości.

- Łatwo to sprawdzić.

Widok plastikowej torebki wyrwał Rachel z otępienia.

- Nosisz w torebce testy ciążowe?

- Próbując tak długo jak my, też trzymałabyś je z dala od łazienki - odpowiedziała Natalie. - Ile ci się spóźnia?

Rachel utkwiała w niej wielkie, przerażone oczy. Natalie nigdy nie widziała tak długich rzęs, prawie jak u porcelanowej lalki.

- A bo ja wiem - odparła po chwili ze śmiechem. - Czy to nie straszne? Jakoś nie zwracam na to uwagi. Ale nie, Nat, to niemożliwe. Mam prawie czterdzieści lat, w tym wieku tak łatwo nie zachodzi się w ciążę.

- Czy ja wiem. - Natalie przygryzła wargę, która zadrżała jej niebezpiecznie. - Cherie Blair, Mariella Frostrup, Jerry Hall. Wszystkie rodziły dzieci w późnym wieku.

- Czy ty sprawdzałaś... - Rachel urwała. - Och, Nat, przecież ty masz dopiero trzydziestkę! Na pewno niedługo zajdziesz w ciążę!

- Nie zajdę! - Słowa wyrwały się mimo woli. Komu mogła powiedzieć, żeby się nie nasłuchać? - W sobotę odebraliśmy wyniki. Johnny nie...

Nie mogła. To zbyt osobiste, a mówienie o tym na głos tylko pogorszyło sprawę. Potrzebują pomocy, żeby spłodzić dziecko.

Natalie popatrzyła na test i coś zakłuło ją na wspomnienie tego, ile razy wstrzymywała oddech w oczekiwaniu na tę magiczną kreskę. Tyle miesięcy! Tyle testów, wykresów i straconych nerwów, podczas gdy nigdy nie było na nią choćby najmniejszej szansy, no bo jak? Pieniądze, które strwoniła na testy, chociaż nie było czego sprawdzać.

- Proszę. - Podała go Rachel. - Masz. Już go nie potrzebuję.

- Natalie. - Rachel nie wiedziała, co powiedzieć.

- Proszę. - Natalie próbowała się uśmiechnąć. - I tak się dowiesz. Jakoś to przeżyję, serio. Jeszcze nie jest ze mną aż tak źle. Umiem cieszyć się z innymi.

Rachel otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, po czym zmieniła zdanie i wyszła z kuchni.

Natalie próbowała skupić się na drobiazgach, żeby odsunąć czarne myśli. W radiu leciały „Clocks” Coldplay, a na słonecznym parapecie stał wazon z żonkilami. Bertie spoglądał na nią oczami w czarnych obwódkach, z rudymi brwiami ponad posępnym wzrokiem.

Wyciągnęła do niego rękę, chcąc poczuć pod palcami aksamitną główkę.

Przydreptał bliżej w nadziei, że ma dla niego jakiś smakołyk ze stołu, ale Natalie wyciągnęła do niego otwartą dłoń i wsunął w nią mokry nos, a gdy oparł jej na kolanach ufną głowę, łza spłynęła jej z nosa i kapnęła na jego nos.

- Och, Bertie - szepnęła. - Nasza jedyna pociecho. - Pogłaskała miękkie uszy i kark, zgnębiona niesprawiedliwością losu.

Bertie wykorzystał okazję i władował się wielkimi przednimi łapami na jej kolana, i ten jeden raz nie kazała mu zejść pod pretekstem, że martwi się o jego kręgosłup. Przytuliła go, jak przytuliłaby dziecko, chowając mokre oczy w jego sierść.

Nagle przyszło jej do głowy, że przecież Bertie też musi mieć swój profil na stronie, żeby znalazł się ktoś, kto przygarnie go na zawsze. Będzie musiała wymyślić mu naprawdę fantastyczny opis, tak aby ktoś zabrał go do domu i pokochał jak oni. Nie przypuszczała, że ta myśl sprawi jej tyle bólu, i przytuliła Bertiego jeszcze mocniej.

Trwała tak nieruchomo aż do końca piosenki, po czym surowo kazała mu zejść na podłogę.

- Uszkodzisz sobie kręgosłup, Bertramie - powiedziała. Gdzieś w głębi domu stare rury piskliwie obwieściły spuszczenie wody i po chwili na progu stanęła skruszona Rachel.

- Nie wyszło! - oznajmiła, kierując się w stronę czajnika. Natalie pospiesznie wytarła oczy.

- Jak to nie wyszło? To proste, musisz tylko...

- Wiem, nasikać na test. Chyba nasikałam ze złej strony. - Bezradnie rozłożyła ręce. - Wybacz, Nat, nie przywykłam do kontrolowanego oddawania moczu. Ale jestem pewna, że to fałszywy alarm,.. w moim wieku to raczej menopauza, nie ciąża. Zawsze miałam nieregularne miesiączki, poza tym stres...

- Hm. - Natalie spojrzała na nią uważnie. Coś jej się nie zgadzało, ale wolała tego nie roztrząsać.

- Ale pójdziesz do lekarza? - spytała, nie mając innego wyjścia.

- Słucham? Tak, bezwzględnie. O tak. Herbaty?

- Uhm, nie, dziękuję. - Natalie ponownie skupiła uwagę na monitorze i bezdomnych pensjonariuszach schroniska. - Dobra, to kto następny? Chester? Masz jakieś zdjęcia Chestera?

Po wyjściu Natalie i Bertiego Rachel wciągnęła adidas i wyszła na dwór.

Nie wiedziała nawet, czy Klejnot idzie za nią. Nie wiedziała też, dokąd zmierza, byle tylko przed siebie, bez celu i bezmyślnie. To ostatnie okazało się trudniejsze, niż zakładała, gdyż w głowie kołatała jej jedna, nieprawdopodobna myśl: była w ciąży.

Okłamała Natalie. Test wyszedł jak należy, nie musiała nawet czekać przepisowych trzech minut. Błękitna kreska

wyskoczyła od razu, jakby na dowód jej skończonej ignorancji.

Skłamała po części dlatego, że sama musiała oswoić się z tą myślą, a po drugie nie chciała stawiać biednej Natalie w niezręcznej sytuacji. Bynajmniej nie poprawiło jej to samopoczucia: Natalie bezskutecznie marzyła o dziecku, ta zaś, która od lat nie dopuszczała do siebie myśli o potomstwie, związana z cudzym mężem i głową rodziny, na przekór statystykom zaszła w ciążę, bynajmniej o to nie zabiegając.

Nie żeby przez ostatnie dziesięć lat w ogóle nie myślała o dzieciach. Często zastanawiała się przecież, jakie to uczucie wypowiedzieć słowa, od których miękły nawet najtwardsze serca: „Kochany, spodziewam się dziecka”.

Lecz Oliver, ten kłamliwy drań, jasno dał do zrozumienia, że chce poprzestać na tej rodzinie, którą już ma. „Nie jestem jakimś torysem, który po cichu chciałby mieć dziecko w każdym porcie”, oznajmił, gdy nawiązała dyskretnie do tematu, „więc nie dopuść do sytuacji, gdy będziemy zmuszeni odbyć rozmowę niemiłą dla obu stron”.

Wybór był prosty: romans z Oliverem albo dzieci. Jeśli miała być szczerą, nigdy nie traktowała swego wygodnego życia jako wielkiego poświęcenia, czy to z powodu instynktu samozachowawczego, czy może czegoś innego. Myśl o ewentualnej katastrofie działała odstraszająco.

Pędziła przed siebie, aż ją płuca paliły z wysiłku. To nieprawda. To nie może być prawda.

Jeśli to prawda, czy nie powinna czuć się jakoś inaczej? Nie kłamała, mówiąc, że nie wie, kiedy miała dostać okres; stres w pracy zawsze wybijał ją z rytmu, podobnie jak stres z powodu Olivera. Chociaż ostatnio jej organizm faktycznie zaczął szaleć i uzmysłowiła sobie inne objawy, na przykład mrowienie w obolałych piersiach, które złożyła na karb - prawie roześmiała się na myśl o własnej głupocie - taniego

proszku do prania. No i poranne mdłości, błędnie przypisywane infekcji, którą rzekomo złapała od Megan.

Potknęła się o kopczyk kreta i przystanąła gwałtownie, łapiąc równowagę. Klejnot, który dotąd dyskretnie trzymał się z tyłu, rzucił się sprawdzić, czy nic jej nie jest, i okrążył ją niespokojnie, kiedy schyliła się, by złapać oddech. Serce tłukło jej w piersi i czuła każdą część ciała, oprócz brzucha, który nie zdradzał żadnych niepokojących objawów.

Przed ciałem nic się nie ukryje. Podczas gdy ona stała w miejscu, pojedyncza komórka wewnątrz niej dzieliła się na serce, palce, włosy, niestrudzona w swoich decyzjach.

Ucieczka nic nie zmienia, stwierdziła Rachel. Od tego jednego się nie wywinie. Musi spojrzeć prawdzie w oczy, bo wszystko dzieje się w niej.

Stała prosto i spojrzała nad polami w stronę gęstego zagajnika za Czterema Dębami, usiłując poukładać sobie wszystko w myślach. Sięgnęła pamięcią do na pół zapomnianych lekcji biologii, zawstydzona własną niewiedzą. Kiedy? Jak?

Powiedzmy, że to „jak” mogła sobie darować...

Jedna myśl szczególnie nie dawała jej spokoju. A co, jeśli to dziecko Olivera.

Ich ostatni raz, choć wówczas jeszcze o tym nie wiedziała, zdarzył się tydzień przed znalezieniem paryskich rachunków. Czyli... gorączkowo obliczyła w myślach. Tutaj czas płynął jakby inaczej. Sześć tygodni temu? Ale przecież Oliver tak uważał. Na przekór swoim deklaracjom nie był spontanicznym człowiekiem. Nawet gdy robili to na biurku w jego gabinecie, prezerwatywy miał, o dziwo, zawsze pod ręką.

Ale co, jeśli to naprawdę jego dziecko? Czy mogło to przebić Tarę, instruktorkę tenisa - albo Kath z ich trójką dzieci? Rachel próbowała to sobie wyobrazić, ale nie mogła. Oliver raczej nie byłby wniebowzięty, jego zachowanie nie

pozostawiało co do tego najmniejszych wątpliwości. A Kath? Nie byłaby już taka łaskawa i wspaniałomyślna. I dopilnowałaby na pewno, żeby Rachel nie dostała ani grosza.

Powietrze parzyło ją w płuca, usiadła na trawie. Klejnot wyczekująco przycupnął obok; odruchowo wyciągnęła rękę i oparła na jego karku. Sierść miał szorstką, nie tak miłą w dotyku jak jego bardziej aksamitni koledzy, ale przyjemnie ciepłą. Takiej sierści niestraszne błoto i deszcz; nie był wygłaskanym mieszczuchem, tylko ocalałym rozbitkiem. Wytrwał i Dot zdążyła go uratować.

Pierwsze łzy napłynęły Rachel do oczu.

W głębi serca czuła, że to nie dziecko Olivera, tylko George'a. Żeby było jeszcze śmieszniej. Człowieka, którego prawie nie знаła. Z którym tak się upiła, że zapomniała o środkach bezpieczeństwa - ale czy mama nie ostrzegała jej przed laty, że wystarczą tylko dwie minuty?

Przymknęła oczy i aż ją zemdliło, tym razem z żalu. George był pierwszym obiecującym mężczyzną, jakiego spotkała na swej drodze, od chwili gdy skończyła dwadzieścia jeden lat, i wydawało się, że pasuje do niej jak ulał: zabawny, przyzwoity, uparty jak ona. Co na to powie? Albo rycersko poczuje się do odpowiedzialności, albo na wzór Olivera spanikuje i będzie domagał się usunięcia ciąży. Co byłoby gorsze?

Chłód bijący od ziemi przenikał przez spodnie, a prawda do świadomości. Zmieniła się, owszem, ale kim była tak naprawdę? Nie spodziewała się po sobie takiej reakcji: nie rwała włosów z głowy, nie szukała telefonu najbliższej kliniki aborcyjnej. Jasne, nie skakała z radości, ale i nie próbowała za wszelką cenę pozbyć się rosnącego w niej małego pasożyta. Czuła się jak w zawieszeniu, nie potrafiła określić własnych uczuć.

Czego tak naprawdę chciała? Ile czasu minęło, odkąd zadała sobie to pytanie?

- Klejnot - powiedziała. - I co ja mam robić?

Pies zerwał się z ziemi w oczekiwaniu na polecenie, lecz na widok jej zrozpaczonej twarzy opadł na brzuch, oparł nos na łapach i czekał. Poklepała miejsce obok siebie, na co skwapliwie podpełzł bliżej jak krab, przywierając do niej całym ciałem. Położyła się powoli i spojrzała na chmury dryfujące po błękitnym niebie, czując pod sobą twardą ziemię i krzepiące ciepło Klejnota obok.

Mimo otaczającej ją przestrzeni czuła się jak w pułapce. Odpowiedzialność. Czas płynący nieubłaganie. Zażyłość, która nigdy nie połączy jej z George'em, Longhampton i całym tym staropanieńskim dziedzictwem.

Nikt nie wie o dziecku, oprócz mnie, pomyślała. Nikt nie wie. To jeszcze nawet nie jest dziecko, tylko zlepek komórek. Mogłabym pojechać do Londynu na dwa dni i nikt nawet by nie mrugnął okiem. Mogłabym wcisnąć pauzę, wrócić i byłoby jak dawniej. Chwilę rozważała tę myśl, a obłoki płynęły bez pośpiechu.

Klejnot pomyśli, że go zostawiłam, stwierdziła. Nie mogę go zostawić. I nie mogę go zabrać. Czyli wyjazd nie wchodzi w grę. I tyle. Wyjazd nie wchodzi w grę.

I nic nie byłoby jak dawniej.

Znikąd pojawił się kolejny obrazek: Dot niosąca w kartonie Klejnota i jego braci. Kobieta, która wyrzekła się macierzyństwa na rzecz psów, ale miłość i czułość były w niej aż do końca.

Czy naprawdę to w sobie mam, zastanawiała się Rachel. Może jestem tak samolubna, jak wszyscy myślą. Czy nie powinnam wiedzieć, czego chcę? Czy mama nie płakała ze szczęścia na wieść, że jest ze mną w ciąży? A Amelia, która

ogłosiła nowinę na ślubie jakiejś nieszczęsnej kuzynki, bo „z radości nie mogła się powstrzymać”?

- Co ze mnie za wyrodna matka? - powiedziała głośno, wyciągając rękę. Klejnot oparł na niej głowę, cierpliwy jak zawsze.

W domu Megan robiła jajecznicę dla na wpół zagłodzonej, ciężarnej suki rasy doberman, jak gdyby nic się nie zmieniło.

- Widziałam was w sadzie - powiedziała, kiedy Rachel weszła do środka. - Masz zamiar trochę z nim potrenować?

- Potrenować? - Rachel z przyzwyczajenia zerknęła na komórkę, czy nie dzwonił Oliver. Otrząsnęła się z niesmakiem.

- Tak, byłby świetny. Moglibyście urządzić mały pokaz z okazji Drzwi Otwartych. W szopie są różne słupki i przeszkody, mam je wyciągnąć? Stafikom też przydałoby się wyładować nadmiar energii, a goście mieliby na co popatrzeć. Spojrzałam na notatki Natalie, chyba się nie gniewasz.

Rachel popatrzyła na rozsiane po kuchennym stole kartki zapisane równym pismem Natalie. Miała wrażenie, jakby od tamtej pory minęło sto lat.

Natalie. Na wspomnienie jej markotnej miny, kiedy wyciągała test, coś ścisnęło Rachel w żołądku. To tylko jeden test, pomyślała. Za wcześnie na niezbitą pewność. To pewnie nic. Pewnie coś pomyliłam.

- Jesteś zarejestrowana w przychodni, Megan? - zapytała.
- Do kogo chodzisz?

- Do doktora Carthy'ego. - Megan nie zareagowała na niespodziewaną zmianę tematu. - Z doktorem Harperem wolę znajomość na innej stopie.

- Czy doktor Carthy jest... miły?

Och, zamknij się, Rachel, pomyślała ze złością. Miły? Czyli że nie nawrzeszczy na niezamężną kobietę, która zaszła w ciążę po jednorazowym wyskoku, o to ci chodziło?

- Yy, tak? Ale trochę staroświecki. Są też kobiety, na przykład doktor Powell, świetna babka. Dot skojarzyła ją parę lat temu z uroczym starym spanielem. - Uśmiechnęła się krzepiąco, ale zaraz spoważniała. - Chyba nie jesteś chora, co?

- Nie, nie. Ja tylko... powinnam się zapisać.

- Pewnie - odpowiedziała Megan. - Napijesz się herbaty?

Właśnie miałam nastawić czajnik. Freda zostawiła mnóstwo notatek do przejrzania... i całą masę soczystych ploteczek z kawiarni. Twierdzi, że być może Ted pójdzie wreszcie w tym roku na emeryturę! Masz pojęcie? Myśli, że wysoki cholesterol zmusi go do odejścia od patelni! Koniecznie musimy znaleźć dla niej psa.

Rachel odczuła nagłą potrzebę samotności i zapragnęła znaleźć się tam, gdzie nie będzie musiała udawać, że wszystko jest po staremu. Miała za duży zamęt w głowie, by udawać zainteresowanie cholesterolem Teda Shackleya.

- Słuchaj, nie chcę zostawiać cię z tym całym majdanem, ale naprawdę muszę wziąć się do porządków - powiedziała skruszona. - Polecenie z góry: godzina dziennie, dopóki nie skończę.

- Nie ma sprawy - zapewniła Megan. Dalej mieszała jajka. - Będziesz chciała herbatę, daj znać.

Rachel poszła na górę i stanęła na chwilę przed wielkim lustrem. Zastanawiała się, kiedy dokładnie Dot, którą widziała w lustrze, zmieniła się w siwowłosą matronę ze zdjęć.

Wiedziała, że powinna w pierwszej kolejności zabrać się do dodatkowych pokoi, pełnych, zdaniem Val, wiktoriańskich mebli z domu dziadków - należało je opróżnić i przenieść do jednego pomieszczenia. Ale coś ciągnęło ją do sypialni Dot, pełnej cudownych ubrań i tajemnic. Chciała oglądać pamiątki jej wielkomiejskiego życia, z czasów nim Cztery Dęby pochłonęły ją i wessały na dobre.

Stały tam dwie szafy. Jedna, ta bliżej łóżka, mieściła proste tweedowe spódnice i zwykłą znoszoną odzież, która pamiętała chyba niejednego spacer po okolicznych polach. Rachel przesunęła wieszaki tam i z powrotem w poszukiwaniu ukrytych w głębi tajemniczych kartonów. Nie licząc złotych sandałów od Marksa & Spencera z rachunkiem w środku, szafa nie kryła w sobie nic niezwykłego.

Druga jednak... o, druga stanowiła jej dokładne przeciwieństwo. Rachel z lubością przesunęła palcami po wieszakach. Jakież to wspomnienia kryły? Między futrami lśniła powłóczysta satyna w odcieniach śmiałego oranżu i wiśni, która mogła ujść płazem tylko ciemnookiej piękności o nienagannej figurze.

Rozłożyła wszystkie stroje na łóżku, aż nie było gdzie szpilki wsadzić. Stroje na każdą okazję, na uroczyste kolacje i służbowe rauty. Wełniane kostiumy z ołówkowymi spódnicami i kuse marynarki nasuwające przypuszczenie, że stanowisko Dot w City nie było jednak tak błahe, jak utrzymywała Val. Rachel nurkowała palcami w kieszeniach i torebkach z krokodylej skóry, łowiąc w nich strzępy szalonego londyńskiego życia Dot - bilety autobusowe i rachunki za taksówki do Soho, rachunek z pralni chemicznej za trzy wyjściowe żakiety, lista zakupów, na której figurował szampan i jajka, tabletki na ból głowy, i karneciki z zabawy tanecznej, w tym jeden z sylwestra w Dorchester z 1969 roku.

Wszystkie tańce były zajęte, a przy co drugim widniało imię Feliksa.

A gdzie sekrety, o których Dot wspomniała w liście? Gdzie tajemnicze, niezależne życie, o którym Val wołała nic nie wiedzieć? Czyżby zarobiła dość pieniędzy, żeby na starość poświęcić się psom - może to rozdzieliło ją i Feliksa, jej chorobliwa ambicja?

Rachel bez trudu wyobraziła sobie, jak Val odwraca głowę, gdy Dot próbowała jej powiedzieć o tym, czego dokonała, kogo poznała. Amelia robiła to samo. „Och, też mi życie”, prychnęła w święta na wzmiankę o wielkim przedsięwzięciu Rachel, jakby sukces siostry był jej zdaniem powodem do wstydu. Rozzłościło to Rachel i zabolowało, ale nie dała nic po sobie poznać.

Po zdjęciu wieszaków, kiedy drążek opustoszał jak wyłysiała choinka, Rachel zobaczyła ustawione z tyłu pudełka z butami, niektóre wciąż opatrzone ceną, w funtach, szylingach i pensach.

- Moja krew - westchnęła i przystąpiła do otwierania jednego za drugim. Dot miała długie, wąskie stopy, ale choć Rachel kuliała palce, turkusowe czółenka z kwadratowymi noskami okazały się za małe co najmniej o jeden rozmiar. Zawiedziona opadła na łóżko. Ubrania pasowały jak ulał - zdążyła już przymierzyć brązowo - kremowy blezer Courreges - ale to buty interesowały ją najbardziej.

Były w tak nienagannym stanie, że Rachel wahała się pomiędzy wystawieniem ich na ebayu a podarowaniem muzeum. Niektórych nawet nie wyjęto z bibuły. Rachel odłożyła turkusowe czółenka i przystąpiła do wyciągania kolejnych, aż cały dywan wypełnił się szpilkami, pantoflami i trzewiczkami. Gdzieś tam widniały odręcznie wypisane rachunki, gdzie indziej liściki - pudełko z cudownymi satynowymi szpilkami w kolorze złamanej bieli skrywało wizytówkę. Rachel wyjęła ją i serce podskoczyło jej w piersi: była to wizytówka Feliksa, z numerami do jego biura w St James. Na odwrocie napisano wiecznym piórem: Dla Kopciuszka! X.

Westchnęła. Były cudowne, nie wybrałby ich byle kto. Oto prezent w stylu Olivera; zawsze wiedział bezbłędnie, co

przypadnie jej do gustu, w czym wygląda najlepiej. Lecz widocznie

Feliksowi było obojętne, czy Dot góruje nad nim wzrostem, czy nie.

Ze smutkiem sięgnęła po ostatnie pudełko, po czym zrozumiała, że jest znacznie cięższe od pozostałych, i serce zabiło jej z podniecenia. Zajrzawszy do środka, zobaczyła listy, na wierzchu zaś leżała staroświecka gruba koperta bez adresu.

Listy miłosne! Jakie to romantyczne, pomyślała. Mejle zabiły romantyczność: przecież nie sposób nad nimi wzdychać, nawet gdy człowiek je wydrukuje. Ale cóż takiego kryła gruba koperta? Rachel wyjęła metalowe spinacze i ze środka wypadło ozdobne puzderko.

Cartier. Rachel przełknęła ślinę i wstrzymując oddech, uchyliła wieczko, zachodząc w głowę, jakim cudem Dot zgromadziła w schronisku tyle biżuterii.

Ale w środku nie było naszyjnika, tylko koperta ze złożoną kartką papieru oraz wizytówką od Cartiera ze słowami „dla mojej żony”. Rachel rozpoznała pochyłe pismo z wizytówki Feliksa.

Serce stanęło jej w piersi. Dot wyszła za mąż? Ona i Felix wzięli ślub?

Ostrożnie rozłożyła kartkę, nie bacząc na zapadający zmrok. Był to chyba akt zawarcia małżeństwa, a przynajmniej formularz złożony w urzędzie stanu cywilnego na nazwisko Feliksa Anthony'ego Carlisle'a i Dorothy May Mossop, z datą trzeciego września 1972 roku.

Do ślubu najwyraźniej nie doszło, pod spodem brakowało podpisów. Ale intencje nie pozostawiały wątpliwości: Felix poprosił Dot o rękę.

Rachel próbowała umiejscowić datę w rodzinnym albumie zdjęć. Amelia przyszła na świat w lutym 1972 roku - zapewne było to niedługo po chrzcie i wielkiej kłótni.

W puzderku znajdował się również list zaadresowany do Dorothy i napisany na grubym błękitnym papierze z wytłoczonym londyńskim adresem. Brzmiał następująco:

Kochana D, wiem, proszę, że rozumiem. Proszę o zbyt wiele i czuję, że Twoja decyzja wynika z miłości, a nie egoistycznych pobudek. Jak zawsze. Jeśli jednak zmienisz zdanie, mamy czas. I zawsze będziemy mieli, bo ja nie przestanę czekać i nie porzucę nadziei.

Zachowasz naszyjnik? Jest cenny, ale to nic w porównaniu z tym, co dziś straciłem.

Twój na zawsze, F.

Siedząc po ciemku, Rachel poczuła łzę, która kapnęła jej na ramię. I nie była pewna, czy płacze nad Dot, czy może nad samą sobą.

Od chwili gdy Toffi wpadł z impetem w jej życie, Zoe zaczęła zwracać uwagę na to, ile klientek przychodzi do salonu ze swoimi pieskami. Jedna z nich przynosiła nawet drogi szampon do pasemek, z którego korzystał również jej shih tzu.

Kiedy jedna z uczennic odprowadziła do wyjścia jej ostatnią klientkę, panią Taylor, z jackiem russellem przypiętym do wózka z zakupami, Zoe ukradkiem rozmasowała bolące stopy. Marion, właścicielka salonu, przymykała oko na psy, o ile tylko były „małe, ciche i nie robiły bałaganu”.

Zoe pomyślała o niemrawych postępach Toffiego i z pełnym goryczy westchnieniem zajrzała do zeszytu. Fajnie byłoby przyprowadzić go do pracy, ale pewnie miną lata, nim zawrotna ilość wałków przestanie robić na nim wrażenie.

- Masz klienta - poinformowała Hannah, recepcjonistka. Obsługiwała dwa telefony naraz i zmieniała płytę w odtwarzaczu, wyglądając przy tym na w pełni zadowoloną z życia. - Uwiniesz się raz - dwa. Nie gniewasz się? Pozostałe dziewczyny poszły na lunch albo zwinęły się wcześniej.

- Nie ma sprawy. - Zoe pociągnęła łyk red bulla i wróciła na rześście oświetloną salę. - Co my tu mamy? - zapytała, rozglądając się za grzebieniem. Widziała kątem oka, że to mężczyzna, lubiła facetów w przerwie obiadowej; nigdy nie marudzili ani nie próbowali jej zagadywać i mogła w spokoju zaplanować obiad.

- Przeprosiny?

Zoe mało nie podskoczyła, widząc wpatrzoną w nią w lustrze znajomą twarz.

W czarnej pelerynie na ramionach Bill nie wyglądał może tak pociągająco jak zwykle, ale kolor podkreślał jego ciemne oczy. Były pełne skruchy.

- A potem szybki lunch?

Zoe bawiła się nożyczkami, żeby pokryć zdenerwowanie.

- Nie idę na przerwę, mam dwóch klientów.

- Owszem - potwierdził Bill. - Mnie. Dwa razy. Zapisalem się na coś bardzo skomplikowanego. - Próbował się uśmiechnąć. - Przez pięćdziesiąt pięć minut będę się tłumaczył, a pięć zostaje na włosy. - Przeczesał palcami ciemne kosmyki. - To i tak o cztery więcej, niż im zwykle poświęcam.

Unikała jego wzroku w lustrze.

- Gdzie Lulu? - zapytała. - Mam nadzieję, że nie dbasz o włosy kosztem psa. - Nie dodała, że wizyta jest zbyt długa: gdy widzieli się po raz ostatni, wyglądał jak świeżo od fryzjera.

- Nie, nie. Lauren z nią wyszła. Zwykle nie brakuje chętnych do spacerów. - Umilkł. - Ale tylko ja przesiaduję jak głupi w parku. Gdybym wiedział, że nie masz przerwy, nie łąziłbym tam przez godzinę. Lulu ma tego powyżej uszu. Woli sklepy.

Zoe mimowolnie uniosła wzrok i gdy wymienili spojrzenia, poczuła żal przemieszany z tęsknotą. Był taki cudowny i skory do przeprosin, ale nie mogła tak po prostu zapomnieć tego, co mówił o dzieciach - ani tego, co sama przemilczała. To nie wróżyło dobrze na przyszłość.

- Czyli podcinamy? - rzuciła oficjalnie. - Czy zmieniamy fryzurę?

Bill zawahał się w nadziei, że tylko żartuje, ale była poważna.

- Jestem w twoich rękach, Zoe.

- Świetnie - odpowiedziała drżącym głosem.

Uczennica Manda stawiała się do mycia, ale Zoe pokręciła głową. Chciała zrobić to sama - obecnie rzadko myła klientom włosy, a jeśli już do tego dochodziło, znajoma, mechaniczna

czynność dawała jej czas na obmyślenie fryzury. Dziś jednak przy okazji miała dotykać Billa tak, jak raczej nie dotknie go nigdy więcej.

Posadziła go na krześle, uśmiechając się pod nosem na popłoch, z jakim przyjął obecność dwu starszych pań po bokach, które z uporem omawiały swoje dolegliwości. Następnie nałożyła szampon i delikatnie wmasowała pianę opuszkami palców. Spłukując mu głowę ciepłą wodą, podziwiała jego kształtne uszy, ciesząc się w duchu chwilą bliskości w gwarnym salonie.

Widziała, że jemu też sprawia to przyjemność, rozluźnił bowiem ramiona i oparł się wygodniej. Zoe nie miała sobie równych, jeśli chodzi o masaż głowy, i rozmyślnie przedłużyła ten etap, patrząc, jak z twarzy Billa znika napięcie.

Jaka szkoda, pomyślała. Gdybym tylko coś powiedziała. Albo gdybym powiedziała coś mądrzejszego. Coś mniej wzniosłego niż „jestem mamą i mam swoje zobowiązania”.

Osuszyła mu włosy, a gdy spod ręcznika wyłoniła się głowa w aureoli sterczących kosmyków, na twarzy Billa malowała się determinacja.

- Muszę wyjaśnić to i owo - oznajmił. - Nie powstrzymasz mnie.

Zoe bez słowa przystąpiła do rozczesywania mu włosów.

- Chodzi o to - powiedział do lustra Bill - że Nat i Johnny starają się o dziecko i traf chciał, że właśnie dostali złą wiadomość. Podobno będzie to trudniejsze, niż przypuszczali.

- Naprawdę nie musisz mi tego mówić. - Zoe poczerwieniała. - To nie moja sprawa.

- Ale zasługujesz na wyjaśnienia. Nat wręcz się tego domaga, gdyż postawiłem cię w niezręcznej sytuacji. Zresztą nie tylko ciebie. - Zrobił przerażoną minę i Zoe zyskała pewne

pojęcie o tym, ile musiał się nasłuchać od Nat. - Wiem, że kiepsko mi idzie, dlatego bardzo cię przepraszam.

Zoe podzieliła mu włosy na kilka warstw, zastanawiając się nad cięciem. W sumie nie chciała nic skracać, ale coś musiała, skoro już się umówił.

- W porządku. Masz prawo do swojego zdania. Nie każdy chce mieć dzieci.

- Słuchaj, to nie tak. Chciałbym mieć dzieci, w przyszłości. Są fantastyczne. Ale na swój durny samczy sposób próbowałem podnieść Johnny'ego na duchu. Był załamany. - Rzucił jej błagalne spojrzenie. - Opowiedział mi wszystko dopiero po powrocie do domu. Naprawdę, nie powiedziałbym tego, wiedząc, co... co muszą przejść. - Bill urwał. - Wiedząc o twoich dzieciach, tym bardziej.

Teraz to ona zrobiła zakłopotaną minę.

- To moja wina. Od razu powinnam ci powiedzieć.

- Dlaczego tego nie zrobiłaś?

Przycięła jeden kosmyk, starając się uporządkować bezładne myśli.

- Bo nie chciałam robić z tego afery. Skąd mam wiedzieć, jak powinna się zachować samotna matka na randce. - Zreflektowała się. - To znaczy, nie na randce, ja po prostu... ja nie wiedziałam, czy my...

- Jesteśmy na randce?

- No tak. Bo może najzwyczajniej w świecie wyprowadzałeś psa. Ze mną.

Wymienili w lustrze spojrzenia i aż jej dech zaparło, bo Bill patrzył na nią tak, jakby w salonie nie było nikogo więcej.

- Tak dla ścisłości, nigdy nie umawiałem się z samotną matką - wyznał. - Ale ja nie poznałem samotnej matki. Poznałem ciebie.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Czy możemy uznać, że byliśmy? - zaproponował. - Na randce?

Ręce jej zadrżały i na wszelki wypadek cofnęła nożyczki.

- Na pocieszenie mogę dodać - podjął Bill - że mężczyźni też niechętnie opowiadają o swoich planach względem założenia rodziny. Przychodziłaś sama, tylko z psem, więc zakładałem. .. - Zawiesił głos i Zoe zrozumiała, że oboje są jednakowo zakłopotani.

Pomyślała o Megan i jej radach na temat przejmowania kontroli nad sytuacją. W sytuacjach gdy Toffi umazał się czymś, czym nie powinien, spokojny, władczy ton bywał niezawodny.

Wzięła głęboki oddech. Pora zapomnieć o przeszłości. I ruszyć w nieznane.

- Rozwiodłam się z Davidem, ojcem Leo i Spencera, prawie rok temu - powiedziała. - Bierze ich w co drugi weekend i na święta. Świata za nimi nie widzę i nie umiałabym bez nich żyć, ale miło czasem mieć godzinkę dla siebie. - Umilkła.

- Kiedy się poznaliśmy, po prostu czułam się... sobą. Nie byłam pewna, za kogo mnie bierzesz.

- No cóż, ja jestem Bill, nie mam dzieci ani żadnych znaczących byłych na koncie i niektórzy, czytaj Natalie, są zdania, że w moim wieku to gorsze niż rozwód. Dla ścisłości, mam trzydzieści cztery lata. Mam też maszynę do chleba, ale używałem jej tylko dwa razy.

- No widzisz - odparła Zoe. - A ja mam maszynkę do lodów. I zestaw do czekoladowego fondue.

- Bomba. Skoro mamy to z głowy, czy możemy wrócić do tematu indyjskiej restauracji? Zdaje mi się, że propozycja Rachel jest aktualna. To znaczy, w kwestii Toffiego. - Zawahał się, jakby rzeczywistość powoli zaczynała do niego docierać.

- Rozumiem, że z dziećmi rzecz jest bardziej skomplikowana. Nie chcę, wiesz, niczego komplikować.

Unikała jego wzroku. Zaprasza ją, bo czuje, że nie ma innego wyjścia? Ogarnęły ją wątpliwości i przypomniała sobie, że Bill ma rację: przede wszystkim musi myśleć o dzieciach, a nie randkach z przystojnymi lekarzami.

- Może na razie poprzestańmy na spacerach - oznajmiła, siląc się na pogodny ton. - Tak chyba będzie fair. David afiszuje się ze swoją nową dziewczyną i moim zdaniem chłopcy nie są z tego powodu tak szczęśliwi, jak mu się zdaje.

- Westchnęła. - Zachowanie Spencera przechodzi ludzkie pojęcie. Wie, że wszystko mu się upiecze, bo mnie gryzie sumienie.

- Rozumiem. - Skonstatowała ze smutkiem, że Bill chyba odetchnął z ulgą. - Wiesz, gdzie mnie szukać w porze obiadu. I w sobotnie ranki.

- Przyjdę. Toffi też.

Wymienili niepewne uśmiechy i Zoe skupiła się na strzyżeniu, sprawdzając, czy przycięte kosmyki są równej długości.

- Przynajmniej będziesz wyglądał jak człowiek - stwierdziła, gładząc jego gęste włosy nieco dłużej, niż należało. - Kto cię zwykle strzyże? Mama?

Znów podchwycił jej wzrok i zrozumiała, że też sprawia mu to przyjemność.

Tak trzymaj, przykazała sobie w duchu. Granice. Zasady. Oto, czego ci trzeba. Przyjaźń może się rozwinąć, a z randkami... różnie bywa.

- Zoe?

Hannah stała za nią z telefonem przyciśniętym do piersi. Miała zmartwioną minę, co było zupełnie do niej niepodobne.

- Jakiś problem? - spytała Zoe.

- Telefon do ciebie, ze szkoły... Chodzi o Spencera. On...
- Hannah zerknęła na Billa. - Może przejdziemy na zaplecze?

Zoe natychmiast odłożyła nożyczki i prawie zagoniła ją do ciasnego pomieszczenia, gdzie fryzjerki zwykle piły kawę i wymieniały ploteczki.

Hannah dalej przyciskała telefon do piersi i minę miała nietęgą. Mocno podkreślała oczy na niebiesko - co mogło ujść bezkarnie tylko dwudziestolatce - i wrażenie było niesamowite.

- Musisz po niego jechać. Zdarzył się pewien incydent.
- Boże. - Struchlała Zoe wyrwała jej słuchawkę. - Halo?
- Pani Graham?

- Tak. - Zoe poznała głos pani Barratt, wychowawczyni Spencera. Ostatni raz widziały się pół roku temu na zebraniu, gdzie nasłuchiwała się pochwał pod jego adresem. Nauczycielka miała wtedy weselszy głos. - Jakiś problem? Czy coś się stało?

- Tak. Niestety, w czasie przerwy obiadowej doszło do małej awantury i Spencer jest trochę zdenerwowany. I bardzo niegrzeczny.

Zoe poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

- Jakiej awantury? Nic mu nie jest?

W słuchawce zapadła niepokojąca cisza.

- Nie - odrzekła wreszcie pani Barratt. - Obawiam się jednak, że Callum Harris miał mniej szczęścia. Czy mogłaby pani przyjechać po syna? Chyba najlepiej będzie, jeśli dziś już pojedzie do domu.

- O Boże - jęknęła Zoe. - Zaraz będę.

Nie pamiętała, jak dotarła do szkoły, a potem dobiegła do gabinetu dyrektorki z sekretarką depczącą jej po piętach. Narobiła straszego hałasu swoimi klapkami, a na widok pani Barratt czekającej przed gabinetem serce zamarło jej w piersi.

Pani Barratt zawsze przypominała jej mamę z ilustrowanej książki dla dzieci, miała nawet ręcznie wydziergany sweter i

uśmiech, od którego robiło się ciepło na sercu. Widok jej rozczarowanego spojrzenia był wręcz nie do wytrzymania. Zoe poczuła, jakby ją też wezwano na dywanik, gdyż nie sprawdziła się jako matka.

- Taka złość, to do niego niepodobne - szepnęła z niedowierzaniem nauczycielka, kiedy wchodziły do środka.

Na dźwięk kroków Spencer odwrócił się do drzwi z ulgą na zalanej łzami twarzyczce i Zoe zalała falą matczynej czułości.

Wyglądało na to, że płakał jak bóbr, ale wargę miał wysuniętą, jakby gotów był zaprzeczyć temu w żywe oczy. Rozmowa z panią Kennedy pozwoliła mu ostudzić emocje, które doprowadziły do wspomnianej awantury, i wyglądało na to, że najchętniej rzuciłby się mamie w objęcia.

Zoe odparła tę pokusę i spojrzała na niego z wyrzutem.

- Jest tata? - Spencer zerknął ponad jej ramieniem, jakby spodziewał się ujrzeć tam Davida.

- Nie, tata nie mógł przyjechać - wtrąciła pani Kennedy. Stała za biurkiem, podczas gdy pani Barratt przystanęła niepewnie między Spencerem a drzwiami. Jak srogi puchacz i troskliwa kwoka, pomyślała Zoe.

- Dzwoniliśmy również do niego... nowa sekretarka nie była pewna, kto z państwa ma przydzieloną opiekę - wyjaśniła pani Barratt. - Bardzo przepraszam, mam nadzieję, że to nie problem.

- Ależ skąd - skłamała Zoe. Wolą nie myśleć, co powie David. Kolejny kamyczek do góry pretensji pod jej adresem. - Dzielimy się... opieką.

- Czy tata przyjedzie? - nie ustępował Spencer z nadzieją w głosie.

- Nie wiem - odpowiedziała Zoe. - Cicho.

- Bardzo mi przykro, że wyrwałam panią z pracy, pani Graham - podjęła pani Kennedy. Spojrzała na Spencera z

dezaprobatą i dodała: - Ludzie będą chodzić zarośnięci, bo mamusia musiała po ciebie przyjechać i nie mogła ich ostrzec, Spencerze.

- Gdzieś ich wcisnę - zapewniła Zoe pospiesznie. - Co się stało?

Spencer sflaczał jak przekłuty balonik i utkwiał wzrok w swoich butach. Zoe zauważyła, że mają bardzo zdarte czubki.

- ...yłem Calluma - wymamrotał.

- Nie słyszymy - odparła spokojnie pani Kennedy. - Bądź dużym chłopcem i powiedz prawdę.

Spencer rzucił Zoe rozdzierające spojrzenie. Do złudzenia przypominał Toffiego, gdy przyłapywała go na sikaniu w kuchni: „co ja za to mogę?“, mówiły jego oczy. Zoe musiała przygryźć wargę, żeby go nie objąć.

- Uderzyłem Calluma.

- Dlaczego, kochanie? Potrząsnął głową i znów zapatrzył się w swoje buty.

- Nie chce powiedzieć - oznajmiła pani Barrett. - Pytałam obu. Callum twierdzi, że nic nie mówił, ale myślę, że wręcz przeciwnie, gdyż Spencer przyłożył mu z całej siły. Szczęśliwie obeszło się bez poważnej kontuzji, ale nie możemy tolerować bójek. Bójki są brzydkie i za karę Spencera ominie jutro zabawa.

- Spencer! Nie wolno się bić! - Zoe była wstrząśnięta.

- Nigdy, przenigdy!

- Może pójdziesz z panią Barratt po kurtkę, Spencerze?

- zaproponowała pani Kennedy. - Chciałabym zamienić słówko z twoją mamą.

Nie patrząc na matkę, Spencer zsunął się z krzesła i ujął wyciągniętą dłoń nauczycielki. W drzwiach odwrócił się i spojrzał pani Kennedy prosto w oczy.

- Przepraszam, pani Kennedy - rzucił pospiesznie. - Przepraszam, pani Barratt. Nie chciałem być niegrzeczny.

Zoe poczuła wilgoć pod powiekami.

- Mnie też jest przykro, Spencerze - odrzekła pani Kennedy. - Od jutra zaczniemy od nowa, tak? Tylko przyjdź w dobrym humorze. Grzeczny chłopiec.

Lecz z chwilą gdy znalazł się na korytarzu, spoważniała.

- Zwykle nie wysyłałabym dziecka do domu, ale Spencer miał taki napad, że nawet pani Barratt nie mogła go uspokoić. Kompletnie stracił panowanie. Połamał model, który robił przez cały ranek. Uznałam, że najlepiej będzie, jeśli pójdzie do domu i wyjaśnicie to sobie we dwójkę.

- Naturalnie - odpowiedziała Zoe, zgnębiona i przestraszona nie na żarty. - Bardzo mi przykro z powodu tej bójki, zwykle jest taki spokojny.

Urwała. Rzeczywiście Spencer stał się ostatnio bardziej porywczy, i zdarzyło mu się uderzyć Leo podczas zabawy, ale nigdy na poważnie. Nigdy tak, żeby bolało. Ponownie zwilgotniały jej oczy. Czy to jej wina? Może coś robi nie tak? Może jej wpływ to za mało, bez męskiego autorytetu Davida? Pani Kennedy podała jej paczkę chusteczek.

- Proszę się nie gniewać, pani Graham, ale w przypadku dzieci rozwiedzionych rodziców to dosyć często spotykana reakcja i wynika z chęci zwrócenia na siebie uwagi.

- On ma mnóstwo uwagi! - Zoe R nos. - Poza tym chyba zdążył oswoić się z tą myślą, jego ojciec wyprowadził się ponad rok temu. Zachowujemy się przy dzieciach nienagannie, aby możliwie im to ułatwić.

- Czy... Jeszcze raz proszę o wybaczenie, to państwa osobista sprawa, ale proszę mi wierzyć, takie zachowanie to dla nas nie pierwszozna. - Pani Kennedy mówiła życzliwie, ale starannie dobierała słowa. - Czy w państwa życiu pojawili się nowi partnerzy? Bywa, że w takich wypadkach dzieci przeżywają rozwód na nowo.

Zoe podniosła głowę.

- No tak. Rzeczywiście, był niedawno na wycieczce z tatą i jego nową dziewczyną. Ale nie sprawiał wrażenia szczególnie poruszonego.

- Chyba że ma cichą nadzieję, że państwo do siebie wrócą. Byłoby łatwiej, gdybyśmy umieli czytać dzieciom w myślach, prawda? - Doświadczona dyrektorka znacząco uniosła brwi. - Jestem pewna, że dotrze pani do sedna tego, co się dziś wydarzyło. Spencer musi zrozumieć, że to nie koniec świata, ale problemy warto rozwiązywać za pomocą argumentów, a nie pięści.

- Oczywiście. - Zoe wstała i kolana się pod nią ugięły. Był to definitywny koniec marzeń o przystojnych lekarzach.

Spencer milczał jak grób, dopóki nie wyszli za bramę szkoły, po czym odzyskał głos, kiedy skręcili w stronę drogi do schroniska.

- Dokąd jedziemy, mamusiu? - spytał, gdy stali na światłach przy dworcu.

- Odebrać Toffiego od Rachel.

- Hurra! A pójdziemy do parku? Żeby się pobawił z pieskami?

Zoe odwróciła się w fotelu.

- Nie masz się z czego cieszyć, Spencerze. Pani Barratt odesłała cię do domu, żebyś się uspokoił. Poza tym gniewam się na ciebie za to, że uderzyłeś Calluma. To twój kolega!

Zatrzęsły mu się wargi.

- Już nie.

- Zrobił ci przykrość? Powiedz mi. Usta zacisnęły się w upartą kreskę.

Zoe usiadła prosto za kierownicą i westchnęła z rezygnacją. Obaj chłopcy byli dotąd do rany przyłoż; nie wiedziała, czy czuje się na siłach ich „wychowywać”.

Spencer zaczął kopać w jej fotel, ale pogłośniła radio i udawała, że nie słyszy.

Gdy przyjechali do schroniska, Megan właśnie udzielała Toffiemu jednej z dwuminutowych lekcji powtarzanych w ciągu dnia.

Widok merdającego ogona nappełnił Zoe bezgraniczną wdzięcznością: była to pierwsza nieskomplikowana reakcja, z jaką miała do czynienia od rana. Megan też wyglądała na ucieszoną. No ale Megan była, zdaniem Zoe, takim ludzkim odpowiednikiem labradora, więc trudno się dziwić.

- Cześć wam! - zawołała Megan. - W samą porę. Patrzcie uważnie. Toffi? Toffi? Spencer, puść go na chwilę, dobrze? Toffi, siad!

Podniosła rękę, która mogła, choć nie musiała, zawierać przekąskę, i Toffi posłusznie klapnął na posadzkę.

- Grzeczny piesek! - Megan wytarosiła go czule i dała mu smakołyk.

Zoe zastanawiała się, ile trwało nauczenie Lulu podrzucania jedzenia na nosie i czy labrador też mógłby opanować tę sztuczkę.

- Grzeczny był? - zapytała, patrząc czujnie na igraszki syna ze szczenięciami w kącie pomieszczenia.

- Bardzo, jak zawsze. Freda i ja mogłybyśmy go jeść łyżkami, prawda Fredo?

- Uhm. - Freda siedziała za biurkiem, zapisując wiadomości dla Rachel, ale nie spuszczała oka ze Spencera. Toffi schronił się pod obrotowym stojakiem na ulotki, którym chłopiec kręcił jak młynkiem i broszury fruwały na wszystkie strony.

- Może pokażesz Toffiemu inne pieski? - zaproponowała Zoe w obawie, że stojak zaraz runie na podłogę. - Tylko grzecznie, Spencerze. Bez wkładania palców przez siatkę.

Freda otworzyła usta, pewnie żeby zaprotestować, ale Spencer już kierował się do drzwi. Zoe ruszyła za nim, lecz Megan ją uprzedziła.

- Ja z nim pójdę - oznajmiła. - Ty zostań i napij się kawy. Coś mi się zdaje, że chyba miałaś zły dzień. Idziemy, Spencer. Weźmy Toffiego na smycz, niech się przyzwyczaja. Nie, nie za mocno. O, właśnie tak...

Zoe patrzyła, jak Megan instruuje Spencera w jasny, kategoriyczny sposób, jak wcześniej psa, a następnie wyprowadza go z biura.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły i w pomieszczeniu nastąpiła cisza, Zoe opadła bezsilnie na krzesło.

- Wcześniej dzisiaj - zauważyła Freda. - Wszystko w porządku?

Zoe przygryzła wargę.

- Tak, w porządku.

- Ale kawy się napijesz?

Kiwnęła głową. W jej torebce zadzwonił telefon. To na pewno David.

Wahała się przez moment, po czym przypomniała sobie, że to wszystkiego przez niego, przez tę jego głupią dziewczynę i podlizywanie się chłopcom. Wyszarpnęła telefon z torebki i odebrała, korzystając z chwili wzburzenia.

- Co się dzieje, do cholery? Ponoć mój syn właśnie wyleciał ze szkoły! - David nie bawił się w uprzejmości. - Co się stało? Nic nie chcieli mi powiedzieć.

Zoe zerknęła na Fredę, która taktownie wycofała się do kuchni z brudnymi kubkami.

- Nie gorączkuj się, Davidzie. Nie wyleciał, tylko zwolniłam go z lekcji. Nie chce mi powiedzieć, o co poszło, jeszcze nie ochłonał. Wolę nie pogarszać sprawy.

- Na litość boską, Zoe, chyba za wcześnie na bójki, co? On ma siedem lat! Co będzie dalej? Zacznie wagarować i kraść? Dostałaś opiekę, bo twierdziłaś, że ty zajmiesz się nimi najlepiej, ale coś chyba sobie nie radzisz.

Wyrzała przez okno na sad, w którym Rachel rzucała piłkę terierom. Wydał jej się wręcz idylliczny, z lasem w tle i rzędami jabłoni na pierwszym planie. Rachel zgrabnie wyrzucała piłkę, psy biegały w ślad za nią i aportowały. Jak w zegarku.

- Radzę - odpowiedziała stanowczo. - Ale ty mi nie pomagasz, przedstawiając chłopców tej... - język odmówił jej posłuszeństwa - ...Jennifer tak szybko.

David westchnął z irytacją.

- Szybko? Jak to szybko? Przecież jesteśmy ze sobą od... - Urwał.

- No słucham - zachęciła cierpiętniczo. - Chyba nie dłużej, niż przypuszczam. Masz już rozwód, przyznanie prawdy niczego nie zmienia.

- Nieważne, jak długo - warknął, a Zoe poczuła, jakby coś w niej umarło, choć przecież nic ich już nie łączyło. Popychadło, pomyślała. Wszyscy włożą mi na głowę. - I tak się dowie, że każde z nas żyje swoim życiem - ciągnął David. - Muszą się pogodzić z tym, że nie jesteśmy razem.

- Ale na razie ja mam po tobie sprzątać?

Rachel rzucała dwie piłki jednocześnie, ku wielkiej uciechu terierów. Zoe pożałowała, że nie jest na jej miejscu: też chciałaby być taka światowa, zmysłowa w niekonwencjonalny, telewizyjny sposób, i bez zobowiązań. No i mieć takie świetne nogi. Rachel nikt nie włożył na głowę; robiła, co jej się podoba, i zawsze osiągała swój cel.

Ledwie ta myśl powstała jej w głowie, odsunęła ją ze wstydem.

- Ja się z nikim nie spotykam - uzupełniła, chcąc dobić... tylko kogo? - Ja stawiam chłopców na pierwszym miejscu.

- Chcesz żyć jak zakonnica, twoja sprawa - oznajmił David.

- To nie mój problem. Ale Spencer owszem.

Proszę, jaki wzorowy tatuś. Ciekawe, jak zareagowałby na rachunek od psychologa dziecięcego.

Zoe potarła oczy. Złośliwością nic nie wskóra.

- Dowiem się, o co chodzi, i dam ci znać, co możesz zrobić - odpowiedziała spokojnym głosem, który w przypadku pani Kennedy działał cuda. - A na razie wypożycz sobie książkę z biblioteki i poczytaj o wpływie rozvodu na dzieci. Dla swojej dziewczyny też wypożycz. Byle nie „Królową Śnieżkę”.

- Bardzo śmieszne - burknął David i się rozłączył. Freda wytknęła głowę z kuchni.

- Skończyłaś, kochana? - Przyniosła kawę. - Dałam dwie kostki cukru. Przydadzą ci się.

- Dzięki. - Zoe opadła na krzesło, prawie nie czując parzącego kubka. Psy ujadły jak najęte; miała nadzieję, że Spencer nie przesadził. Tylko tego brakowało, żeby Megan uznała, że ma dosyć Toffiego i Grahamów.

- Z czasem robi się łatwiej, Fredo? - zapytała. - Mam na myśli wychowywanie dzieci.

- Nie - odparła Freda. - Nasza Lynn, kochane dziecko, dała nam ostro popalić. Motory, chłopcy z tatuażami i tym podobne. Potem przeniosła się do Nowej Zelandii, wyszła za mąż i tyle ją widzieliśmy. - Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Ale człowiek musi martwić się o kogoś, choćby z przyzwyczajenia. Dlatego zaczęliśmy pomagać Dorothy. Żeby mieć się czym przejmować.

- I co sadzać na kolanach.

- Żebyś wiedziała! Coś, co kocha bezwarunkowo.

Zoe wypła łyk kawy. Pomiedzy szaleństwem w domu a szaleństwem w pracy schronisko stało się dla niej wręcz oazą spokoju - mimo hałasu w psiarni.

- Ale ciesz się tym, póki możesz - dodała nieoczekiwanie Freda. - Bo zanim się obejrzysz, pójdą w świat, a ty będziesz mówić terierowi, że mamusia go kocha.

Zoe spojrzała na starszą panią i dostrzegła w niej melancholię, której nie dostrzegała zwykle pod maską gadatliwości. Chciała jeszcze o coś zapytać, gdy naraz drzwi otworzyły się gwałtownie i weszła Megan z Toffim na smyczy. Nadąsany Spencer człapał za nią z miną Davida, kiedy jego ulubiona drużyna przegrywa na własnym boisku.

- Spencer - rzuciła ostrzegawczo, ale Megan uniosła rękę. Nie sprawiała wrażenia tak wesołej jak zwykle, lecz sądząc po zaciśniętej szczęce, postanowiła za wszelką cenę nie tracić zimnej krwi.

- Tresura! - oznajmiła kategorycznie. - Oto, czego nam trzeba. Spencer nauczy Toffiego nowej sztuczki, a Toffi nauczy Spencera cierpliwości.

Obaj spojrzeli z powątpiewaniem, ale Megan wyjęła torebkę z przekąskami i podchwyciła wzrok Zoe.

- Przyłączysz się, Zoe? Poznamy znaczenie słowa „zostań”. To może trochę potrwać.

Jeśli Spencer postanowił zwrócić na siebie uwagę, Leo obrał zupełnie odmienną taktykę i bez oporów położył się spać zaraz po kąpieli.

- Jestem grzeczny? - wymamrotał z zamkniętymi oczami, kiedy Zoe otulała go kołdrą.

- Tak, jesteś moim kochanym chłopczykiem - odpowiedziała ze ściśniętym sercem. Gdy całowała go w czoło, już spał - albo wyjątkowo dobrze udawał.

Pozwoliła Spencerowi posiedzieć dodatkowe dziesięć minut, bo „był duży”, ale tak naprawdę chciała spędzić z nim chwilę sam na sam.

Siedzieli przytuleni na sofie, słuchając bajki z kasety, a Toffi spał między nimi, leżąc na kolanach Zoe, ale z łapami na

nodze Spencera. W powietrzu unosił się zapach mydła i psiej sierści, za którym Zoe wprost przepadała. Patrzyła na senną twarz

Spencera, chcąc wyryć w pamięci obraz miękkiego wicherka nad uchem i brzoskwiniową gładkość policzka. Jeszcze trochę, a nie będzie tak się tulił, lecz teraz jest jej małym syneczkiem. Nie mogła pojąć, jakim cudem ten słodki aniołek mógł rzucić się na kogoś z pięściami.

Głaskała go po główce, wciąż rozgrzanej po kąpieli.

- Spence, powiedziałbyś mi, gdybyś był nieszczęśliwy, prawda?

Nawet nie drgnął; zastanawiała się, czy aby nie zasnął.

- Możesz powiedzieć mi wszystko, bo cię kocham - ciągnęła. - Zawsze będę cię kochać. Tatuś też. Nieważne, co się stanie, bo zawsze będziesz dla nas największym skarbem na świecie.

Nie odpowiedział i Zoe odetchnęła z ulgą, że nie musi wyjaśniać tego, co sama nie do końca rozumie, jak ona i David zakochali się w sobie bez pamięci i dzieci pojawiły się niemal od razu, jedno po drugim, jakby dla przypieczętowania tak wielkiej miłości. Jak potem znajdowali w sobie coraz więcej wad, aż wreszcie on wolał przesiadywać w pracy z Jennifer. Ona sama nie mogła tego zrozumieć, a przecież była dorosła.

Jej spojrzenie padło na zdjęcie przedstawiające ich czworo nad jeziorem. Ostatnie wspólne wakacje. Teraz miała poczucie, jakby zdarzyło się to komuś innemu. W innym życiu. Choć nie, dla niej to było to samo życie, tylko David się wyłamał i zaczął od nowa. Wiele ją kosztowało, żeby zostawić to zdjęcie, zamiast wyciąć z niego Davida, jak wrzód.

Może powinnam je schować, przeszło jej przez myśl. Może dlatego Spencer myśli, że tatuś wróci, jeśli dalej będzie taki niegrzeczny.

Spencer oddychał głęboko. Zasypiał, Zoe pochyliła się i przycisnęła wargi do czoła synka, wdychając jego dziecięcy zapach. Najpiękniejszy zapach, jaki mogła sobie wyobrazić.

- Kocham cię, Spencer - szepnęła i mocno zacisnęła powieki, żeby gorące matczyne łzy nie spłynęły mu we włosy.

Minęło kilka dni, zanim Rachel umówiła się na wizytę, ale doktor Carthy potrzebował zaledwie pięciu minut, żeby pozbawić ją złudzeń. Była w piątym tygodniu ciąży.

- Moje gratulacje - powiedział z przelotnym uśmiechem i podał jej plik broszur do przeczytania. Rachel miała poważne podejrzenia, że jej nie zaciekawia.

I tyle, pomyślała, kierując się do słonecznej poczekalni, żeby ochłonać. Słowo stało się ciałem. Umówiła się na kolejną wizytę w przyszłym tygodniu, sumiennie sprawdzając w notesie terminy, po czym jak we śnie zasiadła za kierownicą i wróciła do Czterech Dębów.

Chyba muszę powiedzieć George'owi, pomyślała.

Przez ostatnie tygodnie wypracowali sobie swoisty rozkład tygodnia - w soboty jedli kolację u George'a, gdzie potrawy były wyśmienite, w środy Rachel zostawiała Klejnota Megan i zabierała George'a do kina i na kolację do lokalu w pobliżu Hartley, gdzie jadłospis pozostawiał co nieco do życzenia, ale George mógł sobie pożartować z jej tęsknoty za wielkim miastem. W większość dni wpadał do schroniska „po drodze”, czasem jednak nie zaglądał w ogóle, ale Rachel nie brała sobie tego do serca: ona też potrzebowała trochę przestrzeni. Pasowało to im obojgu.

- Wieść niesie, że George przekupił pomocnika, żeby móc spędzać z tobą środowe wieczory - rzuciła chytrze Megan, kiedy Rachel zjawiła się w sobotę w kuchni, gotowa do wyjścia.

- O, ładnie wyglądasz. Myślałam, że nie wychodzicie.

- Bo nie wychodzimy. - Rachel przeczesła palcami włosy. - To, że George ma kalosze na każdą okazję, wcale nie znaczy, że ja sobie odpuszczę.

Włożyła drogie dżinsy, zakupione przez Internet w chwili słabości, a na podkoszulek narzuciła jeden z odświętnych

zakietów Dot. Ręcznie szyty, z prześliczną lawendową lamówką - gdyby nie ulotna woń Coco, wyglądałby na nienoszony.

- Muszę się pospieszyć. - Rachel gwizdnęła na psa. Na myśl o tym, jak mu to powie, brzuch bolał ją od samego rana. Żadne spotkania jej na to nie przygotowały. Nie miała punktu odniesienia.

Megan uparła się ją trochę podręczyć.

- Według Fredy jesteś pierwszą dziewczyną, którą zabrał do pubu, a wiesz, ile Freda ma lat. Ponoć nigdy się tak nie zachowywał. Freda przebąkuje o kupnie kapelusza! - Megan zreflektowała się na widok jej miny i dodała: - Rzecz jasna, ostudziłam jej zapędy.

Rachel zdobyła się na blady uśmiech.

- Uhm.

- Późno wrócisz? - spytała Megan.

- Nie wiem. Klejnot! Do nogi!

Rozkaz zabrzmiał ostrzej, niż chciała; pies położył uszy po sobie i niepewnie podszedł bliżej.

- Nie strasz go - powiedziała Megan. - Wiem, że urodził się na wsi, ale nie lubi, gdy ktoś na niego krzyczy.

Klejnot podszedł ze spuszczoną głową i Rachel poczuła się jak intruz. Zapragnęła znaleźć się sama w swoim mieszkaniu, w swoim świecie. Samej mi najlepiej, pomyślała, by zaraz zrozumieć, że ten etap w jej życiu skończył się raz na zawsze.

- Nie wrócę późno, Megan. - Zarzuciła torbę na ramię i porwała z szafki butelkę wina. Dla George'a. Na pewno będzie chciał się napić.

- A wracaj, kiedy chcesz - odpowiedziała wesoło Megan.

George udawał, że nie włożył w przygotowania żadnego wysiłku - ponoć dopiero wrócił z owczarni - ale w kuchni unosił się piękny zapach, a na stole stały w dzbanku żółte

tulipany, które na pewno nie pochodziły z jego zapuszczonego ogrodu.

Przez pierwsze dwadzieścia minut rozmowa toczyła się tak swobodnie, że Rachel prawie zapomniała, z czym przyszła. Oprzytomniała dopiero, widząc, jak otwiera wino.

- Dasz się skusić? - George wskazał na butelkę. - Przygotowałem dziczyznę, więc wybrałem shiraz, ale jeśli wolisz coś innego, mów śmiało. - Postawił butelkę na stole obok jej kieliszka i wskazał na dobrze zaopatrzony stojak z winem.

- Moja piwniczka jest do twojej dyspozycji. Ty się lepiej znasz - dodał.

- Napiję się wody, dzięki - odpowiedziała.

- Wody? Dobrze się czujesz? - George udał, że sprawdza jej temperaturę i ciarki przeszły Rachel po plecach. Wiedziała, że on czuje to samo: wciąż byli na etapie „czy mogę?” i spontaniczny dotyk nie wchodził w grę.

Rychło w czas, pomyślała.

- Nie musisz udawać, że nie pijesz - oświadczył żartobliwie.

- Już wiem, jak wyglądasz na rauszu, więc mamy to z głowy.

- Nie, nie piję. Nie mogę... ja... - Rachel przytrzymała się krzesła. Grunt to od czegoś zacząć.

Spojrzała na Klejnotę, który zwinął się w kłębek w koszyku obok pieca. Sprawiał wrażenie zadowolonego z życia i Rachel zrozumiała, że pewnie bywał tu nieraz z Dot. Czuł się u George'a swobodniej niż ona. Pewnie nawet wolałby u niego zamieszkać.

Chęć ucieczki ponownie dała o sobie znać. Że też musiało paść na nią.

- Co? Bierzesz antybiotyki? - Zamieszał sos w garnku.

- Powinienem o czymś wiedzieć?

- George, jestem w ciąży - wypaliła. - Wiem, że to głupie i nieodpowiedzialne z mojej strony. Ale nie musisz nic robić, niczego od ciebie nie oczekuję. Wolałam ci powiedzieć, ale jeśli nie chcesz tego rozgłaszać, nie ma sprawy. I tak wszyscy pomyślą, że to dziecko Olivera. Jeśli uważasz, że to najlepsze rozwiązanie.

Odnosiła, że raczej nie tak chciała to rozegrać, ale słowo się rzekło.

George najpierw znieruchomiał, ale zaraz spokojnie zdjął garnek z ognia, postawił go na żeliwnej podkładce i odwrócił się twarzą do niej.

- Co to znaczy? Jak to, nie muszę nic robić?

- No, nie oczekuję oświadczeń ani nic z tych rzeczy. Ale postanowiłam urodzić to dziecko. To nie najlepszy moment i wiem, że nie miałeś tego w planach, bo ja na pewno, ale nie próbuj skłonić mnie do zmiany zdania. To irracjonalne i nie umiem ci tego wyjaśnić, ale chcę je urodzić. - Rachel nie była pewna, skąd płyną te słowa, inaczej to sobie zaplanowała.

- Proszę - dodała.

George w zamyśleniu przeciągnął dłonią po twarzy. Kiedy ją opuścił, minę miał pełną niedowierzania.

- Zaraz, zaraz. Bierzesz mnie za faceta, który namawia kobietę do usunięcia ciąży? Naprawdę myślisz, że tylko na to mnie stać? Wiem, że słabo się znamy, ale myślałem, że masz o mnie lepsze zdanie.

- Ja nie... - zaczęła Rachel i zrozumiała, że mówiła to wszystko przez pryzmat Olivera. Nie George'a. W zasadzie oskarżyła go o to, że chce się wykręcić od odpowiedzialności.

Dalej świdrował ją wzrokiem.

- A zresztą czy nie powinnaś zacząć słowami: „Kotku, mam dla ciebie cudowną wiadomość”? Jak na kogoś, komu tak bardzo zależy na dziecku, wydajesz się niezbyt uszczęśliwiona.

- Ale jestem! I to naprawdę cudowna wiadomość. Po prostu... - Aż ją skreśliło. Nie tak miało być. Wprawdzie nie gadał jak Oliver, ale trzymał ją na dystans, wzbudzając w niej natychmiastowy odruch obronny. - Masz rację, faktycznie słabo się znamy - powiedziała. - Nie chciałam niczego zakładać. Nie chciałam, żebyś myślał, że cię wrobiłam. Ukradłam ci spermę jak jakaś wariatka.

- Wrobiłaś? Jak? - Teraz był nie tylko urażony, ale i autentycznie wstrząśnięty. - Rozumiem, że niektóre panie postępują w ten sposób, tak? Wybacz, Rachel, wieśniak ze mnie.

Klejnót pisnął na dźwięk podniesionych głosów i schował głowę.

Rachel opadła na krzesło i oparła głowę na rękach. No tak, bo niby skąd miał to wiedzieć? Nie czytał kobiecych pism ani nie słyszał opowieści o zdeterminowanych karierowiczkach z obsesją in vitro. Był po prostu przyzwoitym, staroświeckim kawalerem. Bynajmniej nie łatwiejszym we współżyciu niż śliski, żonaty kłamca, z którym miała do czynienia do tej pory.

Owszem, przyznał, że rodzina go nie interesuje, co nie znaczy wcale, że nie będzie domagał się swoich praw. Może nawet uprze się ją poślubić. Tego nie wzięła pod uwagę. Nie wzięła pod uwagę jego planów wobec dziecka. Ani matki.

Poczuła, że jej niezależność wisi na włosku, i nie było to przyjemne uczucie. Przecież nie zabierze dziecka ojcu, który chce mieć udział w jego wychowaniu.

- Przepraszam - powiedziała. - Głupio wyszło.

- Owszem. - Sięgnął po butelkę, żeby nalać jej wino.

- Nie, George - przypomniała. - Teraz nie wolno mi pić.

- Fakt. - Spojrzał na nią, po czym napełnił swój kieliszek, prawie po brzegi. Pociągnął solidny łyk i usiadł naprzeciw niej. Powoli wracał do siebie. - No to moje gratulacje - powiedział. Odniosła wrażenie, jakby miał ochotę wstać i ją

uścisnąć, ale jej postawa chyba go zniechęciła, bo zrezygnował.

Rachel popatrzyła tęsknie na butelkę. Jak na złość, miała straszną ochotę się napić.

- Dzięki.

- Jak się czujesz?

- Trochę dziwnie. Trochę grubo. - Skrzywiła się. - To moja pierwsza ciąża. Ty mi powiedz, czego mam się spodziewać.

Roześmiał się trochę nerwowo.

- Co mam ci powiedzieć, że masz wpaść za dziewięć tygodni, a ja przygotuję gumowe rękawiczki?

- Poproszę wodę - powiedziała Rachel.

Nalał jej wody z dużego dzbanka na stole i wypila ją duszkiem. W dzbanku był lód i plasterki cytryny. Świadomość tego, jak się postarał - ładne talerze, srebrne sztucce, kupione tulipany - nagle wzbudziła w niej ochotę do płaczu. Jak łatwo coś popsuć tylko jednym zdaniem.

Chwilę siedzieli w milczeniu. Rachel nasłuchiwała bulgotania w garnkach i cichego szumu piecyka. Jeszcze w zeszłym tygodniu od tych odgłosów zrobiłoby jej się ciepłej na sercu; cieszyła się na spotkanie z mężczyzną, który umiał gotować i lubił wino.

- Słuchaj, to moja wina - oznajmił George, znów pocierając twarz. - Nie popisałem się z tą prezerwatywą. Mówiłem ci, że nie mam wprawy. - Spojrzał na Rachel i zobaczyła, że jest zmartwiony.

Złagodniała.

- Moja też - przyznała. Nie powinnam być tak zalana, żeby nie wiedzieć, co się dzieje. I wylądować z tobą w łóżku. Stało się. Mój tata nie przyjedzie ci przylać.

- Powiedziałaś rodzicom?

Z rezygnacją potrząsnęła głową.

- Nikomu nie mówiłam, oprócz ciebie. Matka ucieszy się z kolejnego wnuka, ale z drugiej strony będzie mi wytykać brak odpowiedzialności. Miała mnie już za starą pannę. - Przełknęła ślinę, próbując nadać głosowi lekki ton. - A nie samotną matkę, która zaliczyła wpadkę z prawie nieznanym człowiekiem.

- Nie żartuj, to poważna sprawa - zganił ją George. - Możesz jej powiedzieć, że nie będziesz sama. Będę wspierał dziecko finansowo... i emocjonalnie, jeśli nie będziesz miała nic przeciwko temu.

- Mówimy o dziecku, George, nie inspekcji podatkowej - odparła Rachel. Próbowała dociec, czy złości ją jego dystans, czy może bardziej oburzyłaby się, gdyby chwycił ją w objęcia i zapewnił, że wszystko się ułoży.

- Wiem. - Przygryzł wargę. - Wiem. Wybacz. Próbuję to sobie uporządkować. Zostanę ojcem. A nawet nie wiem, kiedy masz urodziny.

- Może powinniśmy wyjąć paszporty? - zaproponowała.

- Mam dziewięć miesięcy na odgadnięcie twojego kretyńskiego drugiego imienia.

- To nie jest śmieszne.

- Masz rację. - Rachel przymknęła oczy. Żarty stanowiły dla niej formę samoobrony, ale nie chciała nieporozumień. Tak to jest, jak się kogoś mało zna.

- Zapytam tylko raz - powiedział cichym, łagodnym głosem. - Ale muszę zadać to pytanie... czy naprawdę jesteś tego pewna?

Otworzyła oczy.

- Tak. Zdecydowanie.

- No bo... - Z wysiłkiem szukał odpowiednich słów. - Coś mi tu nie pasuje.

- Co ci nie pasuje? No słucham. - Utkwiła w nim wzrok. Wyczuwała w nim upór na równi ze swoim własnym, ale

brnęła naprzód, byle najgorsze mieć za sobą. - Nie jesteśmy dziećmi. Rozwód nam nie grozi.

- Chodzi o to, że jeszcze nie tak dawno temu zarzekałaś się usilnie, że nie chcesz mieć dzieci. Białe dywany, wakacje. Pamiętasz? - Poczowała na sobie jego przenikliwe spojrzenie.

- Nie próbuj mi wmówić, że odwiedziło ci się z dnia na dzień. Niezależna kobieta z własnym życiem... rozumiem to, naprawdę. Chcę tylko powiedzieć, że jeśli jednak zmienisz zdanie, nie będę się wtrącał. To twoje życie.

- I kto to mówi? - odparowała, nie wiedząc dlaczego.

- Człowiek, który chodzi własnymi ścieżkami? Który pozwala sobie na luksus nieodbierania telefonu?

Podniósł rękę.

- Próbuję zrozumieć, co tu jest grane. To ważna decyzja, a tobą pewnie rządzą hormony.

Aż się w niej zagotowało. Hormony? To co, ciąża zakłóca pracę mózgu? Widać jak na dłoni, że ten człowiek nigdy nie był z kobietą.

- Wiem, że to ważna decyzja - warknęła. - Ale nie pierwsza zaszłam w nieplanowaną ciążę! I zmieniłam zdanie na temat cholernych dywanów, gdy przyszło co do czego. Przez ostatnie kilka tygodni wszystko się zmieniło! Wskazała na śpiącego psa.

- Nie sądzisz, że i tak mogę zapomnieć o białych dywanach? Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek mogła wrócić do dawnego życia. - Urwała, świadoma tego, że mówi prawdę. - I wcale mi na tym nie zależy. To, co mam teraz, jest prawdziwe. I moje własne.

George nie odpowiedział i Rachel uzmysłowiła sobie, że za mało się znają, by zrozumiał, w czym rzecz.

- Nie musisz w tym uczestniczyć - podjęła. - Nie przyszłam cię namawiać, żebyś, sama nie wiem, „stanął u

mojego boku". Mówię ci to, ponieważ masz prawo wiedzieć. I... - Słowa uwieźły jej w gardle.

George sprawiał wrażenie opoki, ale przecież myślała kiedyś, że Oliver też jest niezawodny. Niezawodny i kochający - a tu proszę, co z tego wyszło. Czy nie lepiej zacząć na własny rachunek i uniknąć rozczarowań?

- Mówisz tak, jakbyś nie życzyła sobie mojego udziału - zauważył George.

- No a co zmieniło się w twoim życiu? Nic. Dalej ciągniesz nadgodziny i nie masz na nic czasu. Nie możesz nawet powiedzieć, że poznałeś odpowiednią kobietę, bo prawie mnie nie znasz.

- Zmieniło się to, że zostanę ojcem - oświadczył po prostu.

- To zasadnicza zmiana.

Rachel ucichła, żeby stłumić falę wzruszenia; to nie hormony, tylko nagła tęsknota za mężczyzną, który wydawał się silny i godny zaufania. Co będzie z niej za matka? Trudno powiedzieć. Ale nie mogą udawać, że łączy ich więź, której nie mieli czasu zadzierzgnąć, poza tym nie po to zrezygnowała z dawnego życia pełnego kłamstw, żeby rozpocząć inne, oparte na oszustwie innego rodzaju, bez względu na dobre intencje.

- Co będzie z nami? - zapytał.

- Nie wiem. Nie chcę, żebyś robił to, na co nie masz ochoty, bo tak wypada. - Rachel przycisnęła język do przednich zębów, aż zaboląło. - Chyba będzie lepiej, jeśli sobie pójdę. Miałam kilka dni na rozmyślania... tobie należy się to samo.

- Rachel, proszę...

Dziwnie było słyszeć, jak wypowiada jej imię. Odsunęła krzesło, świadoma, że pogarsza sprawę.

- Wychodzę. Przykro mi z powodu kolacji, pachnie cudownie. Klejnot?

George też wstał.

- Skoro tego chcesz... - zaczął.

- Tak. - Nie. Chciała, żeby chwycił ją w ramiona i zapewnił, że wszystko będzie dobrze, że są dla siebie stworzeni, a Dot wszystko przewidziała. Ale była za stara, żeby w to wierzyć, on też.

Klejnot z ociąganiem wylaźł z koszyka, prostując długie nogi, i obrzucił ich sennym spojrzeniem, jakby zapytywał, dlaczego tak wcześnie.

- Idziemy - powiedziała, wyciągając rękę do owczarka.

- Zadzwoń - rzucił George. Potrząsnął głową. - Chciałbym wiedzieć, co należy mówić w takiej sytuacji. Ja po prostu...

- Wiem - odrzekła z rozpaczą Rachel. Czowała niesmak, jak po skwaśniałym mleku. - Ja też.

- Do zobaczenia. - Odprowadził ją do drzwi, a gdy wychodziła, nachylił się, żeby pocałować ją w policzek, ale nieświadoma tego odciągnęła Klejnota od jeża śpiącego za progiem.

Zanim się spostrzegła, pocałunek zawisł w powietrzu, a George niezgrabnie podniósł rękę i pomachał jej na pożegnanie.

Kilka dni później poranne mdłości dały o sobie znać ze zdwojoną siłą, a wraz z nimi pojawiło się uczucie wyczerpania i nudności na sam widok psiej karmy.

Biedna Megan żyła w przekonaniu, że Rachel zielenieje na twarzy z jej winy, i kazała jej przez parę dni omijać psiarnię, dopóki nie wyzdrowieje.

- Zostań w łóżku - błagała, kiedy Rachel zwlokła się o ósmej do kuchni, nieprzytomna mimo mocnej herbaty. - Proszę! I tak mam wyrzuty sumienia.

- Nic mi nie jest. Naprawdę. - Rachel przejrzała listy na stole. - Mam tyle roboty, nie możesz przecież... Och. - Przytrzymała się krzesła i usiadła z rozmachem, tłumiąc mdłości. - Wybacz. Jadłaś dziś kanapkę z bekonem?

- Jakąś godzinę temu. - Megan patrzyła na nią z niepokojem. - Na pewno nie chcesz się położyć? Freda będzie lada chwila, ochotnicy też się stawiają.

- Na pewno. Mam sporo do załatwienia.

- Masz na myśli Drzwi Otwarte? - Megan wyjaśniała. Była tak zachwycona tą inicjatywą, że Rachel i Natalie zasługiwały w jej mniemaniu na medal za pomysłowość. - Mam świetną myśl: Freda może poprowadzić stoisko z kanapkami! W cenie dwa funty za sztukę, a potem powiemy wszystkim, że za spacer z psem można mieć je za darmo!

Na samą myśl Rachel z trudem przełknęła ślinę.

- Świetny pomysł, Megan. Może zapiszesz to na tablicy?

Kiedy Megan ochoczo rzuciła się do zapisywania, Rachel segregowała pocztę. Były to głównie ulotki reklamowe i katalogi, ale zobaczyła wśród nich parę na oko urzędowych listów i serce zabiło jej mocniej w piersi. Czekwała na decyzję ze skarbówki; złożyła wszystkie dokumenty i Gerald Flint uprzedził, że pismo nadejdzie lada dzień.

Zaczerpnęła tchu, po czym otworzyła brązową kopertę i jęknęła na widok kwoty.

- Zła wiadomość? - spytała Megan.

- To zależy. - Dokładnie to samo powiedział Gerald, gdy agent nieruchomości przedstawił ostateczną wycenę. „Mam dla ciebie dobrą i złą wiadomość, Rachel”. Dobra wiadomość polegała na tym, że nie musiała płacić podatku za schronisko, a zdaniem agenta ziemia za domem była warta majątek.

Złą wiadomością było oczywiście to, że kwota podatku okazała się gigantyczna. Rachunek opiewał na blisko dwieście tysięcy funtów.

Przymknęła oczy i znów je otworzyła. Potworna suma nie znikła. Ze ściśniętym sercem Rachel czytała dalej: teraz musi zapłacić pierwszą ratę, a resztę za rok, wówczas dom, pole i przyległe budynki rzekomo warte fortunę, srebrne szczotki i płyty wraz z całą resztą życia Dot staną się jej własnością.

Aby pokryć rachunek, musiałyby sprzedać dom. Żeby sprzedać dom, musi pokryć rachunek. Była to logika rodem z Krainy Czarów i Rachel nie czuła się na siłach, żeby to roztrząsać.

Wepchnęła list do notesu na stole i zwróciła się do Megan sztucznie wesołym tonem.

- Ha, jednak świeże powietrze dobrze mi robi! Myślisz, że który ma ochotę na powolny spacer?

Nadmiar obowiązków w schronisku pozwolił Rachel na pewien czas zapomnieć o mdłościach i podatku, lecz siłą rzeczy odnotowała milczenie i nieobecność George'a oraz Natalie, która od incydentu z testem nie pojawiła się w Czterech Dębach ani razu.

Rachel tęskniła za jej spokojną obecnością przy kuchennym stole. Czuła, że wystarczyło kilka pragmatycznych, rzeczowych rad, a kwestia podatku zeszłaby na dalszy plan. Na spacerach wypatrywała w parku czerwonego płaszczyka Natalie i miała szczerą ochotę zadzwonić do niej z informacją, że przygotowania do festynu mogą ruszyć pełną parą.

Ale zastygała z ręką na słuchawce, gdyż musiałyby powiedzieć jej o dziecku, nie było rady. Bo nie chciała kłamać.

To dopiero początek, myślała sobie, rzucając w sadzie piłkę stafikom. Według źródeł prasowych i internetowych znawców tematu do końca pierwszego trymestru należało trzymać język za zębami, bo jeszcze różnie mogło być,

zwłaszcza w jej wieku. Kiedyś tak się naczytała okropności, że przerażona wyłączyła komputer.

Val. Jej też musi powiedzieć. Ale poczeka z tym parę tygodni. Wtedy dopiero się zacznie. Wyjaśnienia, dopytywanie, zaklęcia. A przecież jeszcze różnie może być...

Niektóre tajemnice wołała zachować dla siebie, zamiast afiszować się z nimi jak z piętnem tragedii. Biedna Rachel. Była biedną Rachel i bez tego.

Ale doskwierała jej samotność, a gdy patrzyła na żarliwe pyszczki terierów, zbierało jej się na płacz.

W środę dała Megan wychodne, bo wieczorami czuła się znacznie lepiej, po czym usiadła w kantorku, gdzie mogła mieć oko na psy, i ponownie zapoznać się z listem z urzędu.

Nie przyznałaby sama przed sobą, że psie towarzystwo i dźwięki Radio Four w tle działały na nią nadzwyczaj kojąco.

Przycisnęła palcami powieki i przywołała się do rozsądku. Pokryje pierwszą ratę, sprzedając kolię Dot i własną biżuterię; może też spieniężyć wszystkie swoje dotychczasowe inwestycje. Ale co z drugą ratą? Co jeszcze może sprzedać? Dom, żeby zapłacić za schronisko, czy może schronisko, żeby zapłacić za dom?

Zajrzała do notesu z adresami i zadzwoniła do koleżanki ze studiów, która pracowała w finansach. Omówiły różne opcje, z których żadna nie natchnęła jej nadzieją na przyszłość.

Wnosząc z zawołowanej wypowiedzi agenta nieruchomości, byłoby łatwiej zburzyć Cztery Dęby i sprzedać grunt deweloperom, niż brać się do modernizacji budynku, którego stan pozostawiał wiele do życzenia. Co do kredytu, jako bezrobotna specjalistka od public relations z niedochodowym schroniskiem nie miała wielkich szans.

Klejnot spał u jej stóp, co pewien czas marszcząc pysk. Przeszło jej przez myśl, że mogłaby wziąć na litość jakąś

stację telewizyjną. Może Channel Four da się złapać na rzewną bajeczkę o „pieskach, które tracą dom”?

Ktoś zadzwonił do drzwi, a gdy poszła otworzyć, zobaczyła George'a z plastikowym kontenerkiem w dłoni. Był jak zwykle zaaferowany i wkurzony na cały świat. Rachel odczuła dziwną mieszaninę ulgi i skrępowania.

- Wybacz, że przeszkadzam - powiedział. - Ale mam coś dla ciebie.

- Co? - Próbowała nadać głosowi zwykły ton. - Kolację?

- Niezupełnie. Chyba że lubisz psią potrawkę. - Wszedł do środka, a z kontenerka dobiegło popiskiwanie. - To jamnik.

Na dźwięk jego głosu Klejnot zastrzygł uszami. Jak się okazało, wcale nie spał.

- O, aha. Zadzwonić do Megan? Ma dziś wolne. - Rachel sięgnęła po słuchawkę, ale George machnął ręką.

- Nie trzeba. To tylko trochę papierkowej roboty, dasz radę. W przychodni zrobiłem mu kilka zastrzyków i go umyłem, ale na razie nie zamykałbym go z pozostałymi. Biedaczysko, jest przerażony. - Złagodniał. - Ktoś trzymał go w domu, to nie ulega wątpliwości, ale jeden z rolników w Rosehill znalazł go w stodole całego w strupach. Jamniki to psy myśliwskie, ale ten tutaj chyba nigdy nie widział szczura, nie mówiąc o ich łapaniu.

Zajrzał do kontenerka.

- Wygląda, jakby to one zapolowały na niego, a nie odwrotnie.

- Nie rozumiem, jak ludzie mogą być tacy podli. - Rachel odgarnęła grzywkę, próbując ukryć wzruszenie. Nic dziwnego, że Dot odpuściła sobie makijaż. Spłynąłby ze łzami.

- Płaczesz?

- Nie, to tylko hormony. - Wytarła oczy wierzchem dłoni z gorącym postanowieniem, że zapyta Natalie o dobrą henkę.

- Mogę wziąć go na ręce?

- Nie. Za bardzo się boi. - George postawił kontener na podłodze obok zapasowego legowiska. - Wyjdzie, jak będzie chciał. Udawaj, że go nie widzisz.

- Napijesz się kawy? Skoro już tu jesteś? - Rachel skierowała się do kuchni, starannie omijając kontenerek. - Niestety, mam tylko bezkofeinową.

- Może być. Nie sądziłem, że cię tutaj zastanę. - George wszedł do kuchni i oparł się o minilodówkę, nie spuszczając wzroku z biura, gdzie z czeluści kontenera wychynął mokry nos. - Nie powinnaś aby leżeć do góry brzuchem i czytać „Mamo, to ja”?

Zabrzmiało to jak jedna z jego dawnych zaczepek.

- „Mamo, to ja” mam teraz w Internecie. Poza tym muszę przejrzeć trochę dokumentów.

- W domu nie byłoby ci wygodniej?

- Nie chcę, żeby Megan widziała. - Rachel westchnęła.

- Chodzi o ten podatek spadkowy. Muszę zapłacić furę kasy.

- Duża ta fura? Na miarę pałacu Buckingham? Gwizdnął czajnik i Rachel nasypała do kubków kawę.

- Na miarę bezsennej nocy na pewno.

- Bez urazy - odparł George. - Ale jak to możliwe? Dom jest ładny i w ogóle, ale chyba nie masz w ogrodzie kopalni złota, co?

- Prawie. Ziemi jest więcej, niż myślałam, ale Dot, albo jej prawnicy, wystąpili o zgodę na przekształcenie budynków gospodarczych w dodatkowe schronisko. Wiem - dodała na widok jego zdziwionego spojrzenia - nigdy do tego nie doszło. W każdym razie grunt z pozwoleniem na rozbudowę jest podobno warty fortunę, czyli wszystko pięknie, muszę tylko sprzedać dom, aby zdobyć pieniądze na podatek.

- Weź kredyt. Jako właścicielka masz do tego prawo.

- Sęk w tym, że to nie takie proste. - Rachel podała George'owi kubek. - Znaczący wycenił posiadłość na niebotyczną sumę.

George wypił łyk kawy i skrzywił się z obrzydzeniem.

- Co? - spytała Rachel.

- Kawy też nie umiesz parzyć. Poproszę mleko. - Podała mu kartonik i dolała jeszcze trochę.

Jamnik wypełził z kontenerka i nieśmiało węszył dokoła. Był straszliwie wychudzony; Rachel patrzyła z przerażeniem na jego sterczące zębra i matową sierść, która powinna lśnić jak kasztan. Klejnot siedział z boku, czujny, ale opanowany i świadomy swej kontroli nad sytuacją, a mniejszy pies z wolna podszedł bliżej z potulnie opuszczonym ogonem. Rachel najchętniej wyciągnęłaby do niego rękę, ale nie chciała go spłoszyć.

- Zawsze możesz poszukać inwestora - podsunął George. - Chyba o to chodzi z tym festynem, tak? Żeby zebrać trochę gotówki?

Rachel potrząsnęła głową. Festyn, stragany i konkursy wydały jej się raptem mało ważne.

- To kropla w morzu potrzeb. Sponsorzy pokryją dzienny koszt utrzymania schroniska, ale wciąż nie znam odpowiedzi na pytanie, skąd wytrzasnę sto kawałków na spłatę podatku.

- Znajdź inwestora - powtórzył George z takim uporem, że Rachel spojrzała na niego uważniej. - Kogoś, kto będzie miał w tym osobisty interes.

- Masz na myśli siebie? - zapytała pół żartem. Kiwnął głową.

- Owszem.

- Sto kawałków?

- Chyba nie doceniasz zarobków weterynarza - odparł z udawaną urazą w głosie.

Rachel odstawiła kubek i spojrzała mu prosto w oczy.

- No chyba nie doceniam. Widziałam twoje rachunki. Dziękuję, ale to chyba zły pomysł. Prawie cię nie znam.

- Trochę za późno na taką gadkę, nie? - zauważył George.

- Składam ci rozsądną propozycję, przynajmniej z mojego punktu widzenia. Poza tym i tak spędzam tu dużo czasu gratis i... - Chodzi o dziecko? - Rachel znów poczuła się osaczona.

- Poniekąd. - George nie owijał w bawełnę. - Słuchaj, musimy wreszcie omówić to jak należy. Czy moja chęć pomocy naprawdę budzi w tobie taką zgrozę? - Urwał. - Mam w tym osobisty interes, pod każdym względem. Poza tym muszę dbać o twoje nerwy. Nie lepiej rozegrać to na takiej płaszczyźnie? Żebyś wiedziała, na czym stoisz?

- Nie. - Wstała i stanęła do niego plecami. Czowała, że zachowuje się jak ostatnia niewdzięcznica, ale nic nie mogła na to poradzić. Zbyt długo była panią samej siebie. Nie czuła się na siłach temu sprostać. - Nie mogę ci na to pozwolić. Przepraszam.

- Nie odwracaj się ode mnie. Przemyślałem wszystko, co mi powiedziałaś. - George odwrócił ją do siebie i oparł lekko rękę na jej ramionach. - Prawdę mówiąc, nie robię nic innego. Wiem, że nie zachowałem się tak, jak tego oczekiwałaś, i bardzo przepraszam. Naprawdę.

- To nie ma zna... - zaczęła, ale nie dopuścił jej do słowa.

- Ależ ma. Masz rację. Nie będę udawał, że wiem, co mam robić, bo nie wiem. Mam ponad czterdzieści lat i jestem samolubnym starym kawalerem. Ale zrobię, co tylko zechcesz. - Utkwił w niej żarliwe spojrzenie. - Gdy już określisz swoje oczekiwania. Przecież dobrze nam idzie, nie?

Kiwnęła głową i usiadła przy małym stoliku, zastawionym stertami czystych psich misek.

- Nie chcę być taka trudna - przyznała. - Po prostu mam poczucie, że improwizuję.

George przysunął krzesło i usiadł obok. Jego bliskość działała na Rachel krzepiąco.

- Ja tak samo - odparł. - Ale jesteśmy dwójką rozsądnych, dorosłych ludzi. I na wiele nas stać.

Nie była to żadna filozofia, ale Rachel zaraz pomyślała o ojcu. Zawsze prosił tylko o to, żeby się starała; żadne groźby ani obietnice nie działały na nią równie mobilizująco. Z kolei mama... cóż, Val była mistrzynią wyrzutów, w wyniku czego Rachel przeniosła się do Londynu. Największe rekiny biznesu były jej mniej straszne niż rodzona matka.

Odetchnęła głęboko, rozkoszując się chwilą, a George przesunął rękę po stole i ujął jej dłoń.

Siedział tak chwilę, jakby szukał właściwych słów, po czym odezwał się cicho:

- To nasza sprawa - szepnął - ale gdy ktoś zacznie wypytywać, odpowiadaj proszę, że to moje dziecko. To znaczy, nasze. Zaraz ukróczę głupie pytania.

Rachel uśmiechnęła się przelotnie, po czym spojrzała na ich splecione dłonie, bladą skórę na tle spierzchniętej.

Słyszając szmer, odwróciła głowę. Jamnik obwąchiwał miskę z wodą, jakby w obawie, że coś z niej zaraz wyskoczy. Klejnot obserwował w skupieniu, a gdy Rachel wstrzymała oddech, mały przybłęda wysunął język i zaczął chleptać, najpierw powoli, a potem coraz szybciej, jakby nie pił od wielu miesięcy.

Johnny otrząsnął się ze złego nastroju - a przynajmniej na to wyglądało - ale po drugim teście Natalie widziała, że daleko mu do dawnej wesołości. Często milkł bez powodu, a gdy w telewizji pokazywano niemowlęta, od razu zmieniał kanał. Próbowała skierować rozmowę na letnie wakacje, które obmyślali zwykle przez parę tygodni, zaścielając sofę folderami oraz wycinkami z niedzielnej gazety, ale w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami i zrobił wymijającą minę.

- Jeszcze dużo czasu - rzucił, choć do kwietnia zwykle mieli rezerwację. - Zobaczymy, jak będzie.

Jak co będzie, miała ochotę wrzasnąć Natalie. Ale nie wrzasnęła, na wypadek gdyby miał na myśli ewentualne leczenie. Nie wspomniała mu jeszcze o piśmie z kasy chorych, z informacją o wpisaniu ich na listę oczekujących. To mogło potrwać „około roku”. Jeszcze zdążą wrócić do tematu, stwierdziła. Johnny musi uznać, że sam tego chce.

Zaczął się od ciszy, która najpierw wyparła żarty i przekomarzanie, po czym niepostrzeżenie ogarnęła pozostałe sfery ich życia. Johnny wcześniej kładł się do łóżka pod pretekstem zmęczenia, a gdy przychodziła na górę, udawał, że śpi.

Którejś nocy, chcąc pokazać, jak go pragnie, bez względu na ich problemy, zdjęła podkoszulek i przywarła do męża całym ciałem, wsuwając mu ręce pod pizamę, której nigdy dotąd nie zakładał. Johnny nie oponował; na pół sennie musnął wargami jej szyję, po czym oboje uświadomili sobie jednocześnie, że już nigdy nie będzie tak jak dawniej, i chwila namiętności minęła bezpowrotnie.

Z głębokim westchnieniem opadł na plecy i leżeli obok siebie, udając, że śpią.

Natalie nie była pewna, jak długo to wytrzyma. Odkąd się poznali, nigdy nie było między nimi żadnych tajemnic, a co dopiero drażliwych tematów, zbyt bolesnych, żeby je poruszyć. Tak jakby oboje wiedzieli, że kto pierwszy się odezwie, wyzwoli lawinę konsekwencji i wzajemnych oskarżeń, toteż skrzętnie taili okropne myśli, które leży się gdzieś na obrzeżach świadomości.

W przyszłym tygodniu, obiecywała sobie w duchu. W przyszłym tygodniu powiem mu, że musimy iść na terapię. Sami nie możemy o tym rozmawiać.

- Gotów na spotkanie kółka towarzyskiego? - zapytał Johnny w sobotni poranek. - Na kanapeczkę z bekonem, hm? Spacer i pogaduszki z kędzierzawą kumpelą?

Natalie wiedziała, że tak naprawdę nie zwraca się do Bertiego, tylko do niej.

- W zeszłym tygodniu nam się upiekło - ciągnął, skrzętnie przemilczając fakt, że wypuścił się na trzygodzinną przejażdżkę, pozostawiając żonę samą z psem. - Znajomości trzeba podtrzymywać, ot co. - Spojrzał na Natalie. - Bill dzwonił wczoraj i pytał, czy idziemy do schroniska. - Urwał. - Ponoć tęsknił za nami tydzień temu. Lepiej chodźmy, zanim się odzwyczaimy.

Czy to możliwe, że dostaliśmy wyniki zaledwie dwa tygodnie temu, pomyślała. Miała poczucie, jakby minęły całe wieki.

- A nie wolisz iść sam z Billem? - Wyciągnęła rękę i pogłaskała Bertiego. Leżał rozwalony na kanapie z głową na poręczy i uszami wiszącymi po drugiej stronie. Nie powinien, tak jak ona nie powinna pić kawy. A kogo to obchodzi? - Co, Bertie? Pójdiesz na spacer z tatusiem?

- Dlaczego?

- Bo ja wiem. - Natalie wzruszyła ramionami. Wiedziała, że to dziecinne, czuła jednak, że Rachel nie była z nią do

końca szczerą. Coś podpowiadało jej, że Rachel jest w ciąży, a chwilowo nie miała ochoty silić się na powinszowania. Biedny Johnny też czułby się nieswojo. - Bertie spędza ze mną dużo czasu w ciągu tygodnia. Dostyc nasłucha się mojego zarządzenia.

- Nie chcesz iść do schroniska? - Johnny zmarszczył brwi.

- W zeszłym tygodniu o niczym innym nie mówiłaś. Tylko festyn i festyn. Co się stało? Czyżbyście zrezygnowały?

Natalie zamieszała swoją owsiankę.

- Nie zrezygnowaliśmy, ale ja już swoje zrobiłam - odparła.

- Nie chcę, żeby Rachel pomyślała, że się rządę.

- Na pewno tak nie myśli. Znasz się na marketingu, Nat! Dam głowę, że bardzo cieszy się z twojej pomocy. - To brzmiało jak dawny Johnny. - Bez gadania, zakładaj płaszcz. Masz iść z nami, prawda Bertie?

Kucnął i rzucił głębinowym głosem:

- Zbieraj się, Nat. Bertie marzy o kanapce. Powinam pójść, stwierdziła Natalie, patrząc na niego w zamyśleniu. Tyle go jeszcze czeka. Musimy tworzyć jeden front.

Ale nadal coś ją powstrzymywało.

- Może umówisz się z Billem i pogadacie? - zaproponowała. - Mam jeszcze coś do zrobienia: spotkamy się na miejscu, a potem pójdziemy razem na lunch?

Spojrzał na nią dziwnie.

- Dobrze - odpowiedział. - Daj znać, jak będziesz w drodze. Natalie odprowadziła ich wzrokiem. Czy tak już zostanie?

Czy teraz zawsze będziemy robić wszystko osobno, aż wreszcie przestanie nas to dziwić?

Zoe była u kresu sił: wpakowanie do samochodu dwóch rozbrykanych chłopców, ubrań na trening i drugiego

śniadania, a do tego psa na dokładkę, zdawało się graniczyć wręcz z cudem.

- Potrzebuję psa pasterskiego, nie labradora! - jęknęła, kiedy Leo pognał do domu „po jabłuszko”. - Spencer! Uspokój się!

Plan był taki, że zawiezie chłopców na trening piłki nożnej, zmęczy ich, a następnie zawiezie do schroniska na spacer z Toffim. Uznała, że trzeba pokazać im pozostałe psy oraz tresurę, ale w głębi serca czuła, że igra z ogniem.

Jeśli Bill tam będzie, zobaczy ich i zrozumie, jak dalece jest z nimi związana, to fantastycznie. Jeśli go nie będzie... No cóż. Mniejsza o to. Ale na wszelki wypadek schowała do kieszeni błyszczki.

Rzuciła ostrzegawcze spojrzenie Spencerowi, który prowokacyjnie zeszkrobywał butem mech z futki. Łypnął na nią wilkiem, ale darowała sobie ostrzeżenie, bo zadzwonił telefon.

Rachel.

- Zoe? Pamiętasz, że obiecałaś mnie ostrzec? Dałabyś radę zrobić to dzisiaj?

Zoe miała ochotę odmówić, ale usłyszała, że się zgadza, i chcąc nie chcąc, wróciła do domu po sprzęt.

Kiedy po dwóch godzinach dotarła do Czterech Dębów, ubłocona i zachrypnięta od dopingowania na boisku sportowym, Rachel czekała już z ręcznikiem na ramionach. Grzywka wpadała jej do oczu i choć miało to pewien artystyczny urok, nawyk nerwowego strząsania jej na bok sięgnął zenitu.

W kuchni roiło się od ochotników w pelerynach przeciwdeszczowych, a Leo i Spencer od razu rzucili się do piecyka, przy którym Freda Shackley serwowała kanapki z bekonem.

- Jesteś niezawodna, Zoe - oznajmiła Rachel, kiedy Spencer hojnie dołożył sobie keczupu. Ku przerażeniu Zoe nie zwrócił uwagi na bibułę, w którą Freda usiłowała zapakować kanapkę. - Wybacz, że zawracam ci głowę w wolny dzień, ale dłużej tego nie wytrzymam. Zaraz szalu dostanę z tą grzywką.

Zoe rozejrzała się nerwowo, usiłując mieć na oku dzieci i psa. Leo, też wysmarowany na twarzy, tarzał się pod stołem z Toffim. Trening nie zmęczył ich tak, jak miała nadzieję, chociaż Leo nabiegał się i nawrzeszczał za wszystkie czasy.

Ani śladu Billa. Zoe przełknęła rozczarowanie.

- Nie ma sprawy - odpowiedziała. - Spencer! Wystarczy tego keczupu.

Spojrzał na nią spode łba i dołożył jeszcze trochę. Zoe zgromiła go wzrokiem.

Rachel spojrzała niepewnie na jego umazaną twarz.

- Czy ty ich nie karmisz?

- Ależ karmię, bez przerwy, Ale to studnia bez dna. Słuchaj, może ich stąd zabiorę? Dokąd chcecie iść, chłopcy?

- Do kantorku - podsunęła Freda, trochę zbyt szybko. - Przy okazji przypilnujecie telefonu.

- Świetnie. Idziemy, dzieci. - Zoe popchnęła chłopców przed sobą. Żałowała, że nie może założyć im smyczy, jak Toffiemu, który jak na złość przy Megan zachowywał się bez zarzutu.

Nawet nie znając zawodu Rachel, Zoe bez trudu odgadłaby po jej włosach, że chodziła do drogiego londyńskiego salonu. Nie dała nic po sobie poznać, ale gęstwina czarnych włosów trochę ją onieśmieliła.

Rachel cała była taka... wymuskana, stwierdziła w duchu. Włosy, paznokcie, ubrania, samochód. Ale tak już jest, kiedy ktoś nie ma dzieci. Na co ma wydawać, jeśli nie na drogie fryzury za sto funtów od wizyty. Zoe poczuła ukłucie

zazdrości, po czym przypomniała sobie, że nawet nie mając dzieci, nie wydałaby tak dużo.

Za radą Megan Spencer i Leo próbowali nauczyć Toffiego polecenia „zostań”, skoro już z grubsza opanował „siad”, ale miał taką frajdę, uganiając się za nimi po kantorku, że ani myślał słuchać poleceń. Hałasowali straszliwie, zwłaszcza Spencer, który rozstawiał po kątach zarówno brata, jak i psa.

Zoe czuła emanujące z Rachel napięcie. Widziała to nie tylko po zeszywniałych ramionach, ale i po samych włosach. Lata praktyki, człowiek odbierał nastrój klienta jak fale radiowe.

- Będziecie wreszcie cicho? - huknęła zakłopotana. - Przepraszam - dodała pod adresem Rachel. - Coś im odbija w weekendy. Dzieci powinnam wysłać na tresurę, nie psa. Myślisz, że w zoologicznym mają klatki dla chłopców?

- Czy mogę ci zadać osobiste pytanie? - Zdecydowany zwykle głos Rachel brzmiał nie do poznania.

- Pewnie. Jeśli chodzi o farbę do włosów, nie ma osobistych pytań, możesz mi wierzyć na słowo.

- Nie. - Rachel urwała, po czym ściszyła głos. Chłopcy byli zbyt pochłonięci zabawą, żeby usłyszeć. - Trudno być samotną mamą? Domyślam się, że ciężko robić za oboje rodziców, nie zapominając przy tym o sobie, prawda?

Takiego pytania Zoe się nie spodziewała.

- Cóż, powiedzmy, że tego nie planowałam. Na początku mieliśmy być dwoje na posterunku. - Z westchnieniem przypomniała sobie dawne czasy po narodzinach Spencera. David był wówczas wspaniałym ojcem. Stanowili zgraną drużynę. A teraz? Teraz wykańczał ją nie tyle stres, ile wieczne poczucie nieuchronnej katastrofy. Nie „co” się stanie, tylko „kiedy”.

Skupiła uwagę na włosach Rachel.

- No, łatwe to nie jest. A co? Jak patrzysz na mnie, to ci się odechciewa? - Uniosła kosmyk i zobaczyła parę srebrnych nitek. Lepiej pominąć je milczeniem. - Nie drą się cały czas. Bywają całkiem mili.

- Ależ skąd, nie miałam nic takiego na myśli. To świetni chłopcy! - Rachel nawet nie mrugnęła okiem. - Bywa ciężko, ale rezultat wart jest wysiłku, co? Patrzysz, jak dorastają, czujesz ich miłość.

- Bezwzględnie. Ale naprawdę bywa pod górkę. - Zoe cieszyła się, że choć raz nikt nie widzi jej w lustrze. Minę miała chyba nietęgą. - I to wysoką. Satysfakcja przychodzi dopiero na szczycie, gdy stajesz i podziwiasz widok. Ale czasem to istna katorga, bez dwóch zdań.

- Ale są twoi. - Rachel zadrżał głos.

- Ano moi - przyznała Zoe. Podejrzewała, że Rachel dopadło napięcie przedmiesiączkowe; ją czasem też nachodziło, choć nie wyobrażała sobie użerania z kolejnym dzieckiem, nawet gdyby dostarczono je kurierem. - Hm, moi i swojego taty. I tu sprawy się komplikują. Każdemu odradzałabym taki układ.

Rachel nie odpowiedziała i Zoe ugryzła się w język. Możliwe, że Rachel też jest po rozwodzie. Ale gafa. Lub planuje wychować dziecko w pojedynkę: mało się o tym słyszy?

Przeczesała palcami włosy Rachel, unosząc poszczególne kosmyki. Dobra robota, pomyślała z uznaniem. W Londynie byliby pod wrażeniem.

- Wiesz co - podjęła niby to lekkim tonem, jakby od początku nie mówiła na poważnie. - Mogę podrzucać ci chłopców razem z psem. Tak na parę godzin w tygodniu. Zaspokojenie instynktów macierzyńskich masz jak w banku.

Na biurku zadzwonił telefon i Spencer dopadł go, zanim Rachel zdążyła wstać.

- Posterunek w Longhampton - rzucił do słuchawki. - Sierżant Pierdzialiński przy telefonie.

- Albo weź ich od razu - zaproponowała Zoe. - Oddasz, kiedy chcesz.

Natalie straciła humor, jak tylko Johnny i Bertie wyszli z domu.

Próbowała zająć się sprzątaniami, myśląc na pocieszenie, że przecież Johnny spędzi trochę czasu z przyjacielem, lecz uczciwość kazała jej spojrzeć prawdzie w oczy - po prostu unikała Rachel i miała ochotę z tego powodu zapaść się pod ziemię.

Sumienie nie dawało jej spokoju. Do czego jeszcze dojdzie? Zacznie unikać wszystkich ciężarnych? Bojkotować ulice ze sklepami dla dzieci i szkołami? Tak dobrze się dogadywały - a rzadko nawiązywała przyjaźnie. Jeśli Rachel faktycznie spodziewała się dziecka z żonatym mężczyzną, którego porzuciła, przyjaciele będą jej bardzo potrzebni.

Natalie stanęła na środku salonu i wyłączyła odkurzacz. Rachel okazała jej zaufanie, zwierzyła się z romansu z Oliverem. Nie musiała tego robić. A ona tak się odwdzięcza?

Ale to takie niesprawiedliwe.

Z trudem przełknęła ślinę. Problem polegał na tym, że uważała Rachel za bratnią, beztroską i bezdzietną duszę. Lecz skoro nawet czterdziestolatki miały większą szansę na ciążę niż ona, na kogo padnie następnym razem? Na Fredę?

Katowała się jeszcze przez pięć minut, po czym dała za wygraną, narzuciła płaszcz i pojechała do schroniska. Gdy weszła do kuchni, Billa i Johnny'ego jeszcze nie było, ale Freda i Megan poczęstowały ją kanapką.

- Jeśli szukasz Rachel, jest w kantorku na postrzyżynach - poinformowała Megan. - Słuchajcie, a może Zoe zrobiłaby coś takiego na festynie? Czesanie i strzyżenie, co myślicie?

- Może dla psów - podchwyciła Natalie, jak zwykle gotowa sypać pomysłami niczym z rękawa. - Szybkie fryzury dla psów? Mogłabyś się podjąć?

- Jasne! - Megan sięgnęła po flamaster i dopisała to na tablicy. Ochotnicy też dokładali swoje sugestie i roilo się tam od pomysłów w rodzaju „konkurs na najszybszy aport” i „łapanie zębami zawieszzonego jabłka - dla pana i psa”. - Co wy na to? Dwa funty od łebka?

- Czemu nie? - Natalie miała ochotę dopisać do listy „konkurs na najdłuższe uszy”. Żeby Bertie też miał szansę, a co.

- Przyszłaś obgadać to z Rachel? - spytała Freda. - Musze przyznać, że nie mogę doczekać się festynu. Trzeba zwrócić uwagę mieszkańców na to, co robimy. Znaleźć psiakom nowe domy. Może Ted i ja zajmiemy się cateringiem. W kawiarni mieliśmy kiedyś ruszt.

- Zawsze możesz adoptować psa, Fredo - wtrąciła Megan.

- O, to już nie dla nas. - Freda westchnęła. - Poza tym żaden nie dorówna naszemu Pippinowi. Opowiadałam ci, jak...

- Poszukam Rachel - rzuciła Natalie pośpiesznie i skierowała się w stronę drzwi do psiarni.

Gdy przestąpiła próg, ze środka buchnął taki hałas, jakby właśnie dostarczono cały kontyngent bezpańskich psów.

Okazało się, że to Leo i Spencer, którzy dość umiejętnie udawali labradory, a do tego sam Toffi - we trzech roznosili niewielkie pomieszczenie. Chłopcy byli umorusani keczupem i śmieli się do rozpuku, a kartki i broszury dosłownie fruwały dokoła.

Rachel siedziała pośrodku na krześle, a Zoe właśnie kończyła jej nową fryzurę, wystrzępioną po bokach, z grzywką sięgającą brwi. Wyglądała wprost nieprzyzwoicie pociągająco, nawet bez makijażu i z podkrążonymi oczami. Z

kolei Zoe sprawiała wrażenie, jakby była u kresu sił, ale to chyba za sprawą wściekłych spojrzeń, które co rusz rzucała synom.

Na widok Natalie stojącej w drzwiach mglisty niepokój na twarzy Rachel przybrał nieco bardziej konkretną formę. Ściśle rzecz biorąc, stał się niepokojem sprecyzowanym.

- Cześć, Rachel. Cześć, Zoe - powiedziała Natalie, zdobywając się na możliwie naturalny uśmiech.

Zoe też jakby trochę zeszywniała, no ale w końcu Natalie była przyjaciółką Billa. Człowiek poznaje znajomych nowego faceta i czasem robi się niezręcznie, bo nigdy nie wiadomo, o czym potem mówią za plecami. Natalie uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Nie wiesz może, kiedy przyjdą Johnny i Bill? - zwróciła się do Zoe. - Pracowałam w domu, żeby mieli trochę spokoju beze mnie - dodała. - Idziemy razem na lunch, może masz ochotę pójść z nami? Masz jakieś plany?

- Czy ja wiem? - Zoe wzruszyła ramionami. - Nie widziałam się dzisiaj z Billem.

- Aha. - Natalie zastanawiała się, czy coś ją ominęło.

- W sumie to na mnie już czas. - Zoe wrzuciła nożyczki do torby. - Spencer, będziesz dużym chłopcem i przyniesiesz miotłę? Pomóżcie mamusi zamieść te śliczne włosy.

Leo rzucił się spełnić polecenie, ale Spencer wojowniczo wysunął dolną wargę.

- Nie każ mi dwa razy powtarzać - ostrzegła i z ociąganiem ruszył za bratem.

- Widziałam w kuchni tablicę z pomysłami - oznajmiła Natalie. - Wygląda na to, że nie próżnujecie. Drzwi Otwarte aktualne, tak?

- Zdecydowanie aktualne. Prawnik dał nam zielone światło, w końcu robimy to w ramach prowadzenia

schroniska, więc nie muszę czekać do końca wszystkich formalności - odparła nieco zbyt oficjalnie Rachel.

- Świetnie! - Natalie odsunęła się z drogi, przepuszczając Leo, z miotłą dwa razy większą niż on sam, oraz jego nadąsanego brata. - Czyli kiedy to będzie?

- A kiedy spodziewamy się poprawy pogody?

- W lipcu? - rzuciła Zoe. - Mamy zwykle trzy dni lata, ale nie z rzędu. Ostrożnie, Leo, uważaj na stół... Co teraz mamy? Ostatni weekend marca? Stawiałabym na początek maja. Zostaje dobry miesiąc na przygotowania, ta śliczna wisienka na szczycie podjazdu akurat zacznie kwitnąć.

- Serio? - Rachel zrobiła zdumioną minę. - Nawet nie wiedziałam, że to wisienka. Czyli zgłaszasz swój udział?

- Spencer! - ryknęła Zoe. - Dziękuję, czy mógłbyś wrzucić włosy do śmietnika? Do śmietnika. Tak, choć tyle możemy zrobić. - Przewróciła oczami. - A teraz wybaczenie, muszę zabrać bandę do domu.

- Na pewno nie chcesz zaczekać na chłopaków? Niedaleko Rosehill jest świetny pub, do którego wpuszczają z psami.

Zoe walczyła ze sobą.

- Daj się namówić - dorzuciła Natalie. Chciała za wszelką cenę wynagrodzić komuś swój podły nastrój.

- Poproś ładnie Megan, to da ci parę dropsów dla Toffiego - wtrąciła Rachel. - Tabletki na ból głowy też się znajdują.

- No to może do zobaczenia później - powiedziała Zoe i wypchnęła chłopców na korytarz, skąd hałaśliwie ruszyli do kuchni.

- Jezu, mam wrażenie, jakbym ogłuchła. - Rachel wsadziła sobie palec do ucha. - Czy mi się wydaje, czy nagle zrobiło się bardzo cicho?

- Nie wydaje ci się. - Natalie zrozumiała, że nie bardzo wie, co powiedzieć. Poczowała się zakłopotana i skołowana jak nastolatka.

Rachel zachowała większy hart ducha; Natalie musiała przyznać, że na jej miejscu nie zdobyłaby się na podobny gest.

- Cieszę się, że przyszedłeś - powiedziała. - Muszę ci o czymś powiedzieć. Żeby już mieć to z głowy.

Oho, pomyślała Natalie. Nadrabiała miną, ale niebezpiecznie ścisnęło ją w żołądku. - Tak?

- Jestem w ciąży. - Zabrzmiało to niezbyt entuzjastycznie.

Patrzyła z obawą i Natalie widziała, że szuka odpowiednich słów. - Prawie szósty tydzień. Jeszcze nikomu nie mówiłam, bo to dopiero początek, ale chcę, żebyś wiedziała.

- Moje gratulacje. - Natalie usiłowała przywołać swe wcześniejsze argumenty, ale w środku aż się trzęsła. Jakim cudem ktoś, kto nienawidził swojego byłego, kto nie mógł nawet zaoferować dziecku szczęśliwej rodziny, miał więcej szczęścia niż ona i Johnny? Czy to jest sprawiedliwe?

- Nie mów tego. - Rachel drgnęła. - Nie będę udawać, że to nie szok, bo kłamałabym w żywe oczy. Kompletnie się tego nie spodziewałam. Nie to chciałaś usłyszeć - dodała pośpiesznie.

- Przepraszam.

- Dlaczego? Może nawet lepiej, że się nie spodziewałaś. - Łzy frustracji zapiekły ją pod powiekami. - To mniej... osobiste.

- Bałam się tej rozmowy, Natalie, ale wolałam, żebyś usłyszała to ode mnie, - Rachel wyciągnęła rękę i dotknęła jej rękawa.

- Naprawdę, bardzo mi pomogłaś, gdy zjawiała się Kath. To dla mnie wiele znaczy. Chciałam być z tobą szczerą.

Natalie mężnie kiwnęła głową. Widziała, że Rachel jest kłębkim nerwów, i chciała zdobyć się na wspaniałomyślność.

- Powiedziałaś mu? To znaczy ojcu dziecka? Rachel znów sposepniała.

- Tak - odparła. - Ale to nie Oliver - dodała po chwili w przypiływie uczciwości. - Tylko George.

- George... Fenwick? - Natalie zmarszczyła brwi i poczucie krzywdy znów dało o sobie znać. - Rany, kiedy to się stało? Nawet nie wiedziałam, że wy... - urwała - ...się spotykacie.

- W sumie to nie - odrzekła Rachel z nieszczęśliwą miną.

- To znaczy, teraz tak, ale to była tylko jedna noc. Wiem, że nie trzeba więcej, ale tym bardziej się nie spodziewałam.

Natalie spojrzała jej w oczy i ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć czegoś naprawdę okrutnego.

I nie powiedziała, gdyż nie leżało to w jej naturze. Ale jej stosunek do ciężarnych kobiet opierał się na dość skomplikowanych przesłankach i zależał od tego, jak długo się starały, ile kosztowało je to wysiłku i czy kochały swoich mężów.

Rozstanie z mężczyzną, który przekreśla szanse na szczęśliwe małżeństwo, to jedno, ale wpadka z człowiekiem, którego Rachel dopiero poznała...

- A to ci ambaras - rzuciła tylko i zdębiała, bo jakby usłyszała własną matkę.

Rachel zasłoniła usta. Wyglądała na wyczerpaną.

- Wiem. Proszę, nie mów nikomu. Chciałam tylko, żebyś wiedziała. Prawdę powiedziawszy, albo nie mogę w to uwierzyć, albo dygoczę ze strachu.

Natalie miotła się między zazdrością a współczuciem do siedzącej naprzeciw kobiety. Jesteście na dobrej drodze, żeby zostać przyjaciółkami, przypomniała sobie. Nie popsuj tego swoją obsesją. Widzisz, do czego doprowadziłaś z Johnnym.

Łatwo powiedzieć. O wiele trudniej zrobić.

Ale na chwilę zapomniała o niechęci i spróbowała się uśmiechnąć.

- Dzięki, że mi powiedziałaś. I dzięki za to, że wyjaśniłaś mi dlaczego.

Rachel odwzajemniła uśmiech, chociaż łzy płynęły jej po twarzy. A gdy Natalie podeszła ją przytulić, zobaczyła, że płaczą obie.

Dopóki ciąża była tajemnicą, Rachel zachowywała się jak gdyby nigdy nic, i to bez większego wysiłku.

W schronisku nikt nie robił rabanu, gdyż Megan i Freda żyły w błogiej nieświadomości, a Natalie nie przejawiała chęci na rozmowę o dzieciach. George też nie stanowił większego problemu, bo kiedy się zjawiał - zwykle pod wydumanym pretekstem, co widziała nawet Megan - traktował ją tak jak zawsze.

Dalej spotykali się dwa razy w tygodniu, lecz zasadnicza różnica polegała na tym, że na koniec się nie całowali. Jakoś im to teraz nie pasowało. Kiedy za pierwszym razem odprowadził ją do samochodu, nachylił się do pocałunku, na co w odpowiedzi cmoknęła go w policzek. Spojrzał zdziwiony i tak już zostało.

Musimy być dobrymi przyjaciółmi, pomyślała w drodze powrotnej, żeby dodatkowo nie komplikować sytuacji. Ale coś ciążyło jej na sercu i nie wiedziała dlaczego.

Poszedł z nią na pierwszą wizytę. Wspomniała o niej mimochodem, ale George widocznie słuchał uważniej, niż myślała, bo gdy zajechała przed przychodnię swoim lśniącym range roverem, jego wysłużony land rover już tam stał.

- Jesteś pewny? - zapytała przez otwarte okno. Poczekalnia będzie pełna; Rachel wprawdzie nikogo nie знаła, ale George owszem.

- Jestem pewny - odparł. - Masz być skupiona.

Po wizycie wszystko nagle stało się namacalne. Określono termin porodu - dwudziesty grudnia - i zapisano ich na pierwsze USG. Rachel zrozumiała, że nie ma wyjścia: pora na rozmowę z matką.

Odczekała, aż Megan wyjdzie z psami na pierwszy spacer, a Freda zasiądzie w biurze na posterunku.

Następnie poszła na górę i zadzwoniła do rodziców ze starego aparatu w przedpokoju, naprzeciw lustra. W głowie miała pustkę, gdzieś tylko kołatała myśl, że powinna przypomnieć George'owi o sprawdzeniu, czy Klejnot ma wszystkie szczepienia.

Kiedyś umiałam dzwonić, pomyślała. Non stop wisiałam na telefonie.

Już miała dać za wygraną, gdy w słuchawce rozległ się głos Val.

- O, Rachel - rzuciła bez tchu, - Myślałam, że to Amelia.

Grace źle się czuje.

- Może zadzwonię później - zaproponowała Rachel.

- Nie, nie. - Val nie dodała „tylko się streszczaj”, ale przekaz był jasny.

- Uhm, co słyhać? - Dowiedziała się kiedyś od kolegi, że złą wiadomość najlepiej poprzedzić gorszą, ale nic nie przychodziło jej do głowy oprócz wzmianki o diamentowej koliai w maselnicy i akcie ślubu w pudełku od butów. Wolą nie przeciągać struny.

- Wszystko w porządku, Rachel. - Cisza. - A co u ciebie? Brakuje ci towarzystwa?

- Ależ skąd! - Przełknęła ślinę. - Słuchaj, mam dla ciebie nowinę. Jestem w ciąży.

Milczenie w słuchawce trwało tak długo, że Rachel usłyszała trzask frontowych drzwi i głos ojca powracającego z gazetą. Przeszło jej przez myśl, że może Val straciła przytomność.

- Nie mieli twojego czasopisma, Vally, ale kupiłem miętówki! - zawołał tata i Rachel aż w gardle ścisnęło na myśl o latach spokojnego wspólnego życia, które mieli za sobą. Jej dziecko będzie miało innych rodziców, to pewne.

Weź się w garść, pomyślała. Sama też nie chciałaś takiego życia. Stawałaś na głowie, żeby nie żyć tak jak rodzice.

- Wybacz, kochanie - powiedziała Val słabym głosem. - Przyszedł tata i chyba nie dosłyszałam. Co mówiłaś?

- Powiedziałam, że jestem w ciąży. - Tym razem zdobyła się na lżejszy ton, aby Val nie miała wątpliwości, że chodzi o radosną nowinę.

- A... ale jak? - Matka sprawiała wrażenie kompletnie zbitej z tropu. Nie złej ani pełnej dezaprobaty, tylko oszołomionej, jakby Rachel oznajmiła, że wyhodowała sobie trzecią nogę.

- Och, normalnie. Pani poznaje pana. Bocian znajduje dom.

- Rachel, nie żartuj. W pierwszej chwili pomyślałam, że skorzystałaś ze sztucznego zapłodnienia. Czy coś w tym stylu.

- Val nie kryła irytacji. - Przecież nie masz chłopaka. A przynajmniej nic mi o nim nie mówiłaś - dodała.

- Teraz mam. Poniekąd. Nie planowałam tego, ale skoro tak wyszło... - Rachel wykrzywiła się do swego odbicia. Nie przypuszczała, że kiedykolwiek to powie - ...postanowiłam, że zaryzykuję.

- Moje gratulacje. - Jest tak pełna entuzjazmu jak wszyscy, którym to powiedziałam, pomyślała Rachel.

Val zasłoniła ręką słuchawkę i Rachel usłyszała jej stłumiony głos. „Dzwoni Rachel. Urodzi dziecko... Tak, dziecko. Nie, nie pies. Rachel urodzi. Ja nie...”

- Cześć, kochanie - usłyszała głos ojca. - Winszuję! Czy ja dobrze słyszałem? Zostaniesz mamą? Wspaniała wiadomość!

- Dzięki, tato. - Serdeczny głos ojca sprawił, że ścisnęło ją w gardle. - Grom z jasnego nieba, co?

- Ty też byłaś gromem z jasnego nieba. I Amelia. Wszystkie dzieci są. Bardzo się cieszę, kochana. Poznamy szczęśliwego tatę?

- No, właśnie po to dzwonię.

- Dam ci mamę - oznajmił Ken. - Bo mi wyrywa słuchawkę.

- Mamo - rzuciła z wysiłkiem Rachel, gdy telefon przeszedł z rąk do rąk. - Pomyślałam, że byłoby miło, gdybyście...

- Kto jest ojcem, Rachel? - Matce zadrżał głos. Melodramatyczne sceny nie były jej najmocniejszą stroną.

- Ma na imię George. Jest weterynarzem, leczy nasze psy.

- Przecież dopiero co przyjechałaś!

- Wiem. Mówię ci, że sama jestem w lekkim szoku. Ale takie jest życie, nie? W każdym razie chciałam spytać, czy nie przyjechalibyście z tatą na weekend. Poznalibyście George'a i zobaczylibyście, co w trawie piszczy. Moglibyście rozejrzeć się po domu i wybrać sobie jakąś pamiątkę po Dot. - Próbowała zażartować. - Psa nie musicie, ale jakby co, mam dla was na oku ślicznego spaniela.

- A nie możesz przywieźć tego George'a tutaj?

- Mamo, przecież nie zostawię Megan z całym majdanem, to nie byłoby fair. Poza tym George ma mnóstwo pracy. Jeszcze trwają wykoty owiec. - Wolą nie myśleć, czym skończyłoby się zawiezenie George'a do rodziców. Byli dwójką upartych dorosłych, nie nastolatkami, które przyłapano na gorącym uczynku. Poza tym na własnym gruncie zyska panowanie nad sytuacją i odeprze ewentualne niefortunne pytania.

- Cóż, skoro to jedyna pora na audiencję, to chyba nie mamy innego wyjścia - oświadczyła Val, ale zaraz się zreflektowała. - Nie myśl, że cię krytykuję, Rachel. Ja po prostu... - z trudem dobierała słowa - ...nigdy nie wiem, co mam ci powiedzieć. Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz.

- O co ci chodzi? - Obca, melancholijna nuta w głosie matki zbiła Rachel z tropu.

- O nic. O którym dokładnie weekendzie mówimy? - podjęła Val normalniejszym głosem. - Będę musiała poprzestawiać dyżury. Mamy coś przywieźć? Byłaś na wizycie kontrolnej? Jak chcesz, zadzwonię do Amelii i spytam o rzeczy po Jacku.

Rachel oparła głowę o drewnianą balustradę. Teraz się zacznie.

- Prawdę mówiąc, mam, prosiłabym raczej o kilka rad na temat organizacji festynu - odrzekła. - Organizuję Drzwi Otwarte, aby zebrać fundusze na schronisko. W przyszłym miesiącu. Tylko nic nie mów. Wiem, że to do mnie niepodobne.

Cisza po drugiej stronie linii trwała tylko pół sekundy krócej niż pierwsza.

- Cudowny pomysł, Rachel - oznajmiła Val. - A zabezpieczyłaś się na wypadek niepogody?

Rachel w spokoju wysłuchiwała tyrady o ustawieniu straganów. Jeśli tak ma wyglądać powrót do normalności, niech będzie.

W kuchni nie było nikogo oprócz Klejnota, który czekał na nią w progu. Na ulubionym krześle Megan, najbliżej piecyka, wisiała jej kurtka, czyli wróciła ze spaceru, lecz ulotniła się gdzieś z Fredą, która o tej porze zwykle robiła drugie śniadanie.

- Poszły do psiarni? - zapytała Rachel, gdy Klejnot dreptał za nią do biura.

Były tam obie; Freda siedziała przy komputerze Rachel, a Megan zaglądała jej przez ramię i udzielała wskazówek.

- Przyszło kilka wiadomości - wyjaśniła. - Na temat adopcji psów!

Założona przez Rachel i Natalie strona internetowa nabrała rozpędu po tym, jak Rachel zarejestrowała ją na kilku psich portalach ogólnokrajowych; obecnie napływały trzy,

czasem cztery wiadomości dziennie. Rachel starała się codziennie wprowadzać aktualizacje; ostatnią dodała ubiegłego wieczoru.

- A konkretnie jednego psa - uściśliła Freda. Obie z Megan miały dość niewyraźne miny.

- Którego? - Rachel odstawiła kubki i podeszła bliżej. Ponad ramieniem Megan spojrzała na monitor. - Och.

W tematach czterech wiadomości z rzędu widniało jedno imię: baset Bertie.

- Kto im powie? - zapytała Freda i wszystkie oczy - Fredy, Megan i Klejnota - zwróciły się na Rachel.

Natalie szła z Bertiem wzdłuż kanału, kiedy w jej kieszeni zadzwonił telefon.

Humor miała zwarzony, ponieważ kelnerka nie wpuściła jej do baru i udawała, że nie rozumie, gdy Natalie tłumaczyła jej przez szybę, że chce zamówić cappuccino. Johnny zaś, który zwykle sumiennie wyносił śmieci w ramach swych domowych obowiązków, zostawił je na dwa tygodnie w garażu i wybuchowa mieszanka zapachów zwabiła Bertiego oraz jego Nos Zagłady, z opłakanym skutkiem zresztą.

Ze złością wyszarpnęła komórkę z kieszeni i odebrała, spodziewając się usłyszeć skruszony głos Johnny'ego albo Rachel pytającą, jak sporządzić dokument w Excelu.

- Dzień dobry, czy dodzwoniłam się do Natalie Hodges?

- Natalie Hodge, przy telefonie - rzuciła odruchowo. Bertie zwęszył w trawie coś obrzydliwego i Natalie pociągnęła za smycz. Z urazą podniósł wzrok i pogroziła mu palcem.

- Nazywam się Maria Purcell, dzwonię z Blue Sky Solutions. Przepraszam, że wcześniej się nie skontaktowaliśmy. - Kobieta mówiła pewnym siebie, rzeczowym głosem i Natalie musiała się skupić. - Zmienialiśmy siedzibę i mieliśmy małe problemy techniczne.

Chciałabym przedstawić pani kilka możliwości, czy możemy teraz rozmawiać? Może dzwonię nie w porę?

Natalie przystanęła. Prawie wyleciało jej z głowy, że wysłała zgłoszenie do agencji rekrutacyjnej - doradzono jej to w kadrach, w dniu pamiętnej rozmowy z Seliną, kiedy poszła na zieloną trawkę.

- Nie, nie, proszę mówić. - Próbowała zebrać myśli, ale Bertie wcale jej tego nie ułatwiał: uszy miał umazane jakimś świństwem i wyglądało na to, że zaraz wytarza się w nim cały. „Nie”, rzuciła bezgłośnie, gromiąc go spojrzeniem. I tak się wytarzał, z zachwytem przymykając oczy. A smrodu lisa nie dawało się usunąć sosem pomidorowym, wbrew temu, co napisano w Internecie.

Natalie miała ochotę się rozłączyć, odciągnąć go od feralnego miejsca i oddzwonić pod pretekstem, że przerwało połączenie, ale sięgnęła tylko do kieszeni po przekąskę i pies w mgnieniu oka znalazł się przy niej.

- Słyszysz mnie pani? - ponagliła Maria Purcell.

Szukasz pracy, upomniała się Natalie. Poszłaś na półroczny urlop, a nie wieczne wakacje.

- Tak, tak! Proszę mówić - odpowiedziała, odciągając Bertiego od źródła smrodu.

- Mam dla pani świetną ofertę, będzie aktualna za parę tygodni. Dla takiej oferty warto było stracić pracę - podjęła kobieta z agencji rekrutacyjnej. - Zaraz prześlę pani szczegóły. Czy ma pani pod ręką komputer?

- Niezupełnie - odrzekła Natalie. - Jestem na spacerze z psem!

- Aha. - W głosie kobiety pobrzmiwało zdziwienie i jakby cień dezaprobaty.

Spacerów z psem nie wpisuje się do życiorysu, zreflektowała się Natalie. Zielona trawka nie ma z trawą nic wspólnego.

- W takim razie prosiłabym o możliwie szybki kontakt. Liczy się czas. Pasuje pani jak ulał do profilu określonego przez naszego klienta i jestem pewna, że będzie pani pod wrażeniem oferty. Pensja podlega negocjacom, ale z pani zapleczem... - Znacząco zawiesiła głos.

- Naturalnie - odpowiedziała Natalie swoim najbardziej urzędowym tonem. - Proszę czekać na mój telefon.

Zaraz po powrocie do domu wydrukowała załącznik i po wykapaniu Bertiego, którego smród w czterech ścianach był po prostu nie do zniesienia, spędziła resztę popołudnia wpatrzona w kartkę.

Nie pracowała dopiero od kilku tygodni, będących odpowiednikiem letnich wakacji Johnny'ego, ale coś w doborze słów sprawiło, że miała ochotę wyłączyć telefon i zapomnieć o Marii Purcell.

„... umiejętność zarządzania ludźmi...”

„...strategiczna wizja i bezkompromisowe parcie do celu...”

„...z uporem i wytrwałością...”

Spojrzała na Bertiego, który wylegiwał się na swoim dekadentckim skórzanym posłaniu, żując ohydne świńskie ucho, nagrodę za dość bezlitosną kąpiel.

- Tylko posłuchaj. - Pomachała kartką. - Kogo oni szukają, brand managera czy gladiatora?

Rzucił jej łzawe spojrzenie, na co sięgnęła po komórkę i zrobiła mu zdjęcie. Oto, jak wygląda czysty, szczęśliwy pies, który ma jej całkowitą uwagę i świńskie ucho na dokładkę. Żal serce ściska.

Trzymała w telefonie zdecydowanie za dużo jego zdjęć.

Spojrzała na swoje CV. Praca polegała na prowadzeniu działu marketingu niedużej firmy produkującej czekoladę organiczną, która właśnie została wykupiona przez jeden z wiodących koncernów. Szukali kogoś z doświadczeniem, a

zarazem wyczuciem - Natalie miała jedno i drugie. Na papierze wszystko wyglądało bardzo pięknie, a siedziba firmy mieściła się zaledwie pięćdziesiąt kilometrów od domu, na obrzeżach Birmingham.

- Myślisz, że wypada - ciągnęła - powiedzieć Marii Purcell, że nie skorzystam z życiowej szansy, bo chcę mieć dziecko? Chyba lepiej postawić sprawę otwarcie, niż zwinąć się zaraz na urlop macierzyński, nie? Tak byłoby uczciwie.

Urwała i popatrzyła na psa, który przewrócił się na plecy, odsłaniając cętkowany brzuch. W niczym nie przypominał stworzenia, które przygarnęła przed paroma tygodniami. Nie był wystraszony, jak niektóre psy, ale miał w sobie smutek, jakby usiłował zaskarbić sobie ich miłość, żeby go nie zostawili. A teraz leżał rozwalony z zamkniętymi oczami i czekał, aż podrapie go po brzuszku.

Co oni bez niego robili?

Reakcja Johnny'ego była dość zaskakująca.

Natalie w zasadzie nie umiała jej określić. Niby to się ucieszył - nie kryjąc dumy z jej tak prestiżowego wyróżnienia ani uszczypliwości pod adresem korporacyjnego żargonu - ale czuła przez skórę, że nie mówi jej całej prawdy.

Siedzieli po obiedzie na sofie, każde po swojej stronie, z Bertiem rozwalonym pośrodku. Był to wielki mebel, który zakupili w prezencie ślubnym; mogli wygodnie oglądać na nim telewizję, a i w razie potrzeby przenocować Billa bądź innego ze znajomych.

- Więc myślisz, że powinnam wysłać CV? - zapytała.

- To twój wybór, Nat.

- Wiem, ale czy powinnam?

Johnny opuścił kartkę z opisem stanowiska, celowo nadając twarzy pusty wyraz.

- To prawdziwa okazja. Zawsze chciałaś stanąć na czele działu marketingu, to mały zespół w obrębie liczącej się

korporacji, a za czekoladą przepadasz. Nie mogłaś wymarzyć sobie nic lepszego.

- No wiem. - Natalie przygryzła wargę. - Ale ustaliliśmy przecież, że odpuszczę sobie na pół roku, żebyśmy w spokoju przygotowali się na narodziny dziecka.

- A czy nie dowiedzieliśmy się aby, że to nie będzie takie proste? Może to ja powinienem wziąć urlop i iść się leczyć?

- Przestań. Wiesz, że to nie tak. - Stopą trąciła go w udo.

- Poza tym jeszcze nie dostaliśmy wyników drugiego testu, nie wiemy, co powie lekarz.

Johnny spojrzał na nią wyzywająco.

- Chyba wiemy.

Taka rozmowa nie ma sensu, pomyślała. Jeszcze niedawno patrzył na świat przez różowe okulary, a potem wszystko zawaliło się z dnia na dzień.

- Może powinnam jednak spróbować. - Natalie toczyła wewnętrzną walkę. - Trochę potrwa, zanim w ogóle dojdzie do leczenia. Potem i tak pójdę na macierzyński. - Urwała.

- O pensji nie ma ani słowa, ale Maria dała do zrozumienia, że będzie wyższa od dotychczasowej.

- Twój wybór, Nat.

- Przestaniez wreszcie to powtarzać? - Szturchnęła go mocniej.

- To poważna sprawa, Johnny, musimy przedyskutować ją jak należy. Tu nie chodzi o moją pracę, tylko o naszą przyszłość.

- No a gdybyś odmówiła? - Johnny zajął się uszami Bertiego, których Natalie bała się czyścić; były obrzydliwie brudne. Owinął mokrą chusteczkę wokół palca i wpakował go do małżowiny zachwyconego psa. - Jakoś dalibyśmy radę. Mamy pieniądze z twojej odprawy i moją pensję. No i tego tłumoka, przez którego nigdzie nie wychodzimy.

- No - przytaknęła bez entuzjazmu. - Ale czy nie chcieliśmy tego zainwestować?

- Twój odpoczynek to też inwestycja - stwierdził Johnny.

- Słuchaj, dalibyśmy radę. Jak pójdiesz na macierzyński, i tak będziemy musieli zacisnąć pasa. Czy nie mówiłaś, że po urodzeniu dziecka zrobisz sobie rok wolnego? Kiedyś chciałaś nawet zostać w domu, dopóki nie pójdzie do szkoły.

- Ale teraz mam wątpliwości. - Kochała Bertiego, ale czuła się jak w klatce: nie mogła chodzić do kawiarni, biblioteki, sklepów, oprócz zoologicznego, co zweryfikowało nieco jej pogląd na macierzyństwo. No i nie mogła zostawiać go na dłużej niż dwie godziny.

- Trzeba będzie żyć oszczędnie - dodał. - Innym się to udaje.

- Ale ja nie chcę, żebyśmy żyli oszczędnie, Johnny. - Natalie przymknęła oczy i poczuła, że wizja wymarzonej posady rozplywa się bezpowrotnie. - Zawsze pracowałam i nie mam zamiaru przestać! A jeśli nie możemy mieć dzieci, chcę, żebyśmy mieli najlepsze... - Dotarło do niej, co powiedziała. - Jeśli starania o dziecko będą trudniejsze, niż przypuszczaliśmy - sprecyzowała - muszę zarobić, ile się da, żebyśmy zaoszczędzili na prywatne leczenie. Dzięki temu ominiemy parę kolejek.

- Wiem, o co ci chodzi - odparł sztywno. - Obejdzie się bez lukrowania. Jeśli mam cię zapłodnić, musisz zarobić na leczenie, bo moja pensja nie wystarczy. Myślisz, że mogłaś ująć to w bardziej uwłaczający sposób?

Wyciągnęła do niego ręce, ale udał, że tego nie widzi i upuściwszy na podłogę brudną chusteczkę, zajął się drugim uchem psa.

- Nie o to mi chodziło. Po prostu chcę, żebyśmy byli szczęśliwi.

- Bo teraz nie jesteśmy. - Jego głos nie wyrażał żadnych uczuć. - A skoro teraz nie jesteśmy...

Natalie nie odpowiedziała, w obawie że pogorszy sprawę. Nigdy nie musiała tak się z nim cackać, to on powtarzał zawsze, że wszystko będzie dobrze.

- Nie chodzi o pieniądze. - Próbowała zajrzeć mu w twarz, ale siedział ze spuszczoną głową. - Chodzi o mnie, o ciebie i o to, na czym nam naprawdę zależy... Johnny, spójrz na mnie. Musimy o tym porozmawiać. Zależy ci na dziecku? Te rozmowy nie będą coraz łatwiejsze, nie ma co chować głowy w piasek.

- Sam nie wiem, na czym mi zależy. - Wyjrzał na ogród, o który żadne z nich nie umiało dbać. Wszyscy na ich ulicy mieli tam huśtawki, a oni grill, o wiele większy, niż należało.

Zaczerpnęła tchu i zadała mu pytanie, które dręczyło ją od paru tygodni. Pierwsza kostka domina w długim szeregu.

- Jesteś szczęśliwy? - Na co, ku jej zgrozie, z wolna pokręcił głową.

Przygryzła wargę. W głębi serca z góry знаła odpowiedź. W gruncie rzeczy mogła powiedzieć to samo. To wszystko jej wina. Oto, do czego doprowadziła swoimi humorami.

Chwilę siedzieli w milczeniu, Johnny odezwał się pierwszy.

- Wzięłaś pod uwagę, co oznacza powrót do pracy?

- Naturalnie - zaczęła, ale nie dopuścił jej do głosu.

- To tak oczywiste. Nie chce mi się wierzyć, że o tym nie wspomniałaś. - Bez słowa wskazał w dół na senną głowę Bertiego. - Co z nim będzie, kiedy wrócisz do pracy? - spytał, zniżając głos prawie do szeptu. - Nie mogę zabierać go do szkoły, sam też nie może zostawać. Będzie musiał wrócić do schroniska.

I to jak najszybciej, zanim na dobre się przywiąże.

Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. Były pełne łez, chyba nie tylko z powodu Bertiego. Czuła, że rozmyślnie zбочzył z tematu, ale czy aby na pewno? Przecież to Bertie jest teraz ich rodziną.

Jego specyficzny odorek, włosy, które codziennie zmiatała z podłogi, chrapanie nocą w ich łóżku stanowiły nieodłączny aspekt ich życia. Mieli go odesłać do schroniska, żeby uwierzył, że zawiódł kolejną rodzinę? Że nie zasługuje na miłość? I to teraz, kiedy jego wybryki przybrały formę niewinnych igraszek?

Natalie podniosła rękę do ust, próbując myśleć jak profesjonalistka, którą niegdyś była - i nadal jest. Ale serce krwawiło jej na myśl, że mogłaby rozdzielić smutnego psa i jeszcze smutniejszego pana.

- Nat - zaczął Johnny. - Tak sobie myślałem...

Ktoś zadzwonił do drzwi. Bertie ocknął się z drzemki i odrzuciwszy głowę w tył, zawył jak upiór.

- O czym? - zapytała Natalie, usiłując go przekrzyczeć.

- Nieważne. - Johnny zrobił ruch, żeby wstać, ale złapała go za rękę.

- Ważne. Tamto może poczekać. Co chciałeś powiedzieć?

Johnny potrząsnął głową. Bertie węszył w powietrzu, jakby rozpoznawał przybysza pomimo ścian i frontowych drzwi.

Jeśli to ktoś ze szkoły lub organizacji dobroczynnej, Johnny będzie tam sterczał do jutra. Łatwo było go zagadać, w przeciwieństwie do Natalie.

- Ja pójde - oznajmiła i poszła otworzyć.

Ku swojemu zdumieniu ujrzała na progu Rachel z Klejnotem.

- Cześć. - Rachel odgarnęła czarną grzywkę i niepokój w jej oczach z miejsca wzbudził czujność Natalie. - Macie chwilkę? Przyszłam nie w porę?

Natalie potrząsnęła głową, nie dając nic po sobie poznać. Miała nadzieję, że Rachel nie przyszła pozwierać się z ciążowych rozterek. To byłoby... Aż ją ciarki przeszły.

- Nie - powiedziała. - Proszę, wejdź. - Otworzyła szerzej drzwi. Bertie nie rzucił się na powitanie wbrew temu, co miał w zwyczaju. Schował się za nogami Natalie jak nieśmiały przedszkolak. - Nie wygłupiaj się, Bertie - dodała z lekkim zakłopotaniem. - Przecież to Rachel. Wybacz, Rachel.

Ustąpiła z drogi; Rachel i Klejnot weszli do kuchni, gdzie Johnny gotował już wodę.

- Siadaj, proszę - powiedziała Natalie, wyciągając puszkę herbatników. Bertie położył się na legowisku i świdrował owczarka podejrzliwym spojrzeniem. - Chodzi o festyn?

Rachel opadła na krzesło i spojrzała najpierw na nią, a potem na Johnny'ego. Położyła łokcie na stole i podparła brodę.

- Nie będę owijać w bawełnę - oznajmiła. - Dostaliśmy list w sprawie Bertiego, za pośrednictwem strony internetowej. W zasadzie kilka listów. - Uśmiechnęła się niepewnie,

- Ma wielu wielbicieli. Dwa dni temu umieściłam na stronie jego profil i wzbudził wielkie zainteresowanie.

Natalie oniemiała i mocno ścisnęła puszkę.

- Odpisałam do wszystkich - ciągnęła Rachel - żeby się upewnić, że to poważni ludzie, zanim podejmę z wami ten temat. Parę osób zniechęciłam opowieściami na temat paskudnych nawyków tej rasy. Ślinienie na komputer, podkradanie jedzenia. - Oczy jej posmutniały. - Ale napisało do mnie małżeństwo, które ma już dwa basety ze schroniska, są zdecydowani. Miałyby dużą działkę, całodzienne towarzystwo, mnóstwo rzeczy do obwąchania.

- Wymarzone warunki - powiedział Johnny zdławionym głosem.

- No właśnie. W każdym razie przyjadą na festyn, żeby go poznać. Prawdę mówiąc, nie chciałam, żeby przyjechali wcześniej, aby dać wam czas do namysłu.

- Aha - wydusiła Natalie. Nie mogła na niego patrzeć; wiedziała, że wpatruje się w nich i słucha. Nie zniosłaby tego spojrzenia.

- Wiem, że kochacie Bertiego, ale nie mogłam odmówić.

- Rachel wyglądała na zgnębioną. - No ale jeśli wrócisz do pracy, siedziałby sam. - Umilkła. - Wracasz do pracy, prawda?

Natalie przygryzła wargę, zastanawiając się nad odpowiedzią, ale Johnny był szybszy.

- Jeszcze nie wiemy.

Odwróciła głowę i spojrzała na niego.

- Nie wiemy, prawda? - rzucił.

Rachel z zakłopotaniem przenosiła wzrok z jednego na drugie.

- Przepraszam, może źle zrozumiałam? Myślałam, że jesteś na półrocznym urlopie, Natalie. Coś się zmieniło? - Z nadzieją uniosła brwi i Natalie wiedziała, co to znaczy: jesteś w ciąży?

- Sama nie wiem - odpowiedziała. - Wszystko się zmienia.

Woda zagotowała się w czajniku i Johnny zaparzył herbatę, przerywając niezręczną ciszę.

- Mleko? Cukier? Herbatniki? - spytał i Rachel odmruknęła coś w odpowiedzi.

To dlatego Anglicy mają fioła na punkcie herbaty, pomyślała mimochodem Natalie. Pozwala im uniknąć odpowiedzi na drażliwe pytania. W głowie miała taki zamęt, że już sama nie wiedziała, co jest najważniejsze: dziecko, praca, Johnny, Bertie, wewnętrzny spokój, jej kariera - co powinna postawić na pierwszym miejscu?

Czy mogłaby wrócić do dwunastogodzinnego dnia pracy, gdzie przez pierwszy rok musiałaby się wykazać, mając w perspektywie długi urlop na leczenie bezpłodności? Czy miała prawo odkładać leczenie na rzecz kariery, ze świadomością, że czas nie gra na jej korzyść? A Johnny, jaki miałoby to wpływ na niego?

Nie mogąc się powstrzymać, odwróciła głowę i spojrzała na Bertiego, który wpatrywał się w nią ze swego legowiska. Serce stopniało jej na widok bezgranicznej ufności w psich oczach i już sama nie wiedziała, co ma robić.

Tu chodzi o jego szczęście, upomniała się w duchu. Nowi właściciele pokochają go tak jak my. Przecież nie mogę poświęcić pracy na rzecz psa, którego mam od paru tygodni.

Lecz gdy przeniosła wzrok z powrotem na Rachel, cichy głosik w jej głowie podpowiedział, że nie chodzi tylko o Bertiego. Rzecz toczyła się o znacznie wyższą stawkę.

Rachel wiedziała, że powinna prowadzić kalendarz ciąży, w myśl zaleceń młodej entuzjastycznej położnej, ale wolała odmierzać czas psami, które znajdowały nowe domy, i tymi, które trafiały do schroniska. Dzięki temu nie musiała myśleć o tym wszystkim, co według Internetu mogło pójść nie tak, i miała poczucie, że robi coś użytecznego.

Między dniem, w którym zadzwoniła do Val, a datą kolacji „zapoznawczej” ona i Megan znalazły domy dla dwóch stafików, labradora Melasy i Oskara, czyli porzuconego jamnika przywiezionego przez George'a.

Jak się okazało, jamnik miał najwięcej szczęścia ze wszystkich. Był zbyt nerwowy, by przebywać w zagrodzie z innymi psami, toteż Rachel trzymała go w dużym kojcu przy biurku, gdzie zawsze miał towarzystwo. Gdy Freda po raz pierwszy wmaszerowała do środka w swych czerwonych kaloszach, ze strachu czmychnął pod krzesło, ale jej głos zaraz go uspokoił. A kiedy pod koniec zmiany wiązała szalik, gotowa iść po Teda do kawiarni, Oskar na dobre opuścił kryjówkę i przycupnął pod biurkiem, skąd obserwował ją paciorkowatymi oczami spod krzaczastych brwi.

- Fredo - odezwała się Rachel. - Wiesz, że unikam łożawych bajeczek o psach, ale chyba dostrzegam tu pewien potencjał.

- Czy ja wiem... - zaczęła Freda, ale oczy jej się zaświeciły. Oskarowi też, jakby już poznali się na wylot.

- Może chociaż pomyślisz? - Rachel postanowiła kuć żelazo, póki gorące. - Jest bardzo niezależny, jak Pippin, ale chętnie się przytuli i będzie cię bronił. Myślę, że tworzylibyście piękne trio, ty, Oskar i Ted. A Tedowi przyda się trochę świeżego powietrza, przynajmniej nie będzie sterczał całymi dniami przy kuchni.

- Ty mu to powiedz. - Freda patrzyła, jak Oskar obwąchuje jej nogę. Rany mu się prawie zagoiły dzięki maści, którą Megan smarowała go sumiennie dwa razy dziennie. - Ted uważa, że przejdzie na emeryturę i koniec. Wyciągnie nogi i zostawi biednego psa bez opieki. Psa, nie mnie - podkreśliła. - Nie chce, żeby to się tak skończyło.

Megan poklepała ją po ramieniu.

- George mówi, że Oskar ma jakieś dziesięć lat, a ty pociągniesz chyba jeszcze pięć, co? A propos, wiesz, co mi powiedział? Twierdzi, że musimy stworzyć specjalny program kojarzenia starszaków pod hasłem psa jesień życia.

Pokiwała energicznie głową, na co Freda oniemiała z zachwytu i oburzenia.

- Tak powiedział? Nazwał mnie staruszką? Bezczelny!

- Ale zastanowisz się, proszę? - Rachel stwierdziła, że mimowolnie wstrzymuje oddech, patrząc, jak wymieniają spojrzenia. Freda uśmiechała się bezwiednie, a Oskar z sekundy na sekundę odzyskiwał pewność siebie. Raptem zrozumiała, dlaczego Dot poświęciła wszystko, żeby to robić. Kojarzenie samotnego człowieka z samotnym psem było niczym dopisywanie szczęśliwego zakończenia do naprawdę smutnej bajki.

- Porozmawiam z Tedem - obiecała Freda, lecz Rachel wywnioskowała z jej matczynego uśmiechu, że nie zapyta go o zdanie, tylko postawi przed faktem dokonanym.

Megan zerknęła na nią ukradkiem i uniosła pod biurkiem kciuki, a Rachel odpowiedziała jej uśmiechem. Jakie to miłe uczucie. Dawno się tak nie czuła.

- Napijemy się herbatki? - zaproponowała Freda. - Akurat pora na podwieczorek.

Rachel spojrzała na zegarek: było wpół do czwartej, ale harmonogram Fredy rządził się własnymi prawami.

- Niestety, muszę was opuścić. Moi rodzice przyjeżdżają dziś na weekend i obiecałam ugotować kolację.

- Myślałam, że przygotowujemy listę potencjalnych sponsorów?

Rachel i Natalie określiły wstępnie datę festynu - miał odbyć się w sobotę za trzy tygodnie.

- Czy możemy pomówić o tym jutro? - zapytała Rachel. - Nie macie pojęcia, ile zabiera mi przygotowanie posiłku, a następnie wysprzątanie kuchni, żeby mama nie wiedziała, ile czasu tam spędziłam.

- Jakaś uroczysta okazja? - spytała Freda.

- Uhm, tak. George też będzie.

Megan i Freda wymieniły przelotne spojrzenia.

- Wieczorek zapoznawczy, co? - Freda schyliła się i wzięła Oskara na kolana. - Rozumiem! Mogę już biec po kapelusz?

- Nie, nie. To nie... to nie tak. Mama chce zobaczyć mnie i dom, to dobra okazja, żeby jej wszystko pokazać - zapewniła Rachel pospiesznie. - No a George, wiecie, spotykamy się i...

- To ja wezmę wolny wieczór - oznajmiła Megan.

Ken i Val zjawili się w Czterech Dębach punktualnie o siódmej i Rachel posadziła ich w salonie z dużymi szklankami dżinu z tonikiem, pozostawiwszy w przedpokoju walizki.

Była zła na George'a. Gdzie on się podziewa? Obiecał, że zjawi się jak najszybciej, ale w słuchawce od godziny słychać było tylko pocztę głosową. Rozpyliła w korytarzu odświeżacz powietrza, żeby zabić zapach psów, przypaliła grzanki do eksperymentalnej sałatki i nie zdążyła zmienić pościeli w pokoju gościnnym.

Na szczęście Val z chęcią oddała się oglądzinom salonu, a uradowany Ken przejrzał kolekcję starych płyt Dot, które Rachel przygotowała do wyniesienia do komisju.

Za dziesięć ósma Rachel porzuciła nadzieje względem pieczonego kurczaka, który bardziej przypominał już zwęgloną kaczkę i zachodziła w głowę, co by tu zamówić na wynos, gdy George stanął w progu z zapiekanką w jednej i butelką wina w drugiej ręce.

- Najwyższy czas - syknęła, popychając go do kuchni.

- Dobry wieczór, George - odpowiedział. - Jak miło cię widzieć! Przyniosłeś główne danie? Anioł z ciebie. Moje nie nadaje się do spożycia.

Nie zdążył przyczesać włosów po myciu, ale miał na sobie nową niebieską koszulę rozpiętą pod szyją i ciemnozielone sztruksy. Rachel osobiście uważała, że wygląda jak zatwardziały stary kawaler w typie Colina Firtha, ale nie była pewna, czy brak krawata spodoba się Val. Paul, mąż Amelii, wkładał garnitur, zabierając dzieci na basen.

- Zrobię ci drinka. - Weszli do kuchni, gdzie George wstawił zapiekankę do piekarnika, usuwając najpierw stamtąd jej pożałowania godne pieczyste. - Przyda ci się, mama pytała już, gdzie jest płyn do podłogi.

- Spokojnie. - Położył jej ręce na ramionach. - To tylko ludzie. W razie czego mam w samochodzie środek usypiający.

W odpowiedzi tylko uniosła brew.

Pomimo drinków rozmowa trochę się nie kleiła. Ona i Ken dwoili się i troili, lecz uporczywe milczenie George'a i Val nie ułatwiało sytuacji. Rachel i George nie pili; szczerze ubolewała nad tym, że nie wymyślono jeszcze używek dla ciężarnych.

- Pyszna zapiekanka, Rachel. - Ken podjął kolejną desperacką próbę zagłuszenia brzęku naczyń. - Byłaś na kursie gotowania?

Rachel unikała wzroku George'a, ale on ani myślał triumfować. Jego wcześniejszy dobry humor gdzieś się ulotnił i choć znosił bezsensowne pytania Val z nienaganną

uprzejmością, zmarszczka na jego czole pogłębiała się z każdą chwilą. Co rusz zerkał na telefon i Rachel miała ochotę mu go zabrać.

To moja wina, zadreżczała się w myślach. Patrzy na moją matkę i myśli, Boże, w co ja wdepnąłem.

- O nie, nie będę kłamać - oznajmiła pogodnie. - To dzieło George'a. Zapiekanek z dziczyzną... z bażantem, tak?

- George to ugotował? Valerie? Słyszałaś? Naprawdę się stara, pomyślała. Podchwyciła temat.

- Widzisz, tato? Mężczyzna, który umie gotować. To wcale nie tak rzadkie zjawisko.

Ken wzniosł kieliszek.

- Wypijmy zdrowie kucharza.

- Mamo - ponagliła Rachel. - Zdrowie kucharza. - Uniosła szklankę z wodą mineralną i George uśmiechnął się lekko.

- Bardzo dobre - powiedziała Val. - Co za niezwykle połączenie smaków.

Rachel zauważyła, że matka odkłada na bok kostki, marchewkę i wszystko, co budzi jej wątpliwości. Brzeg jej talerza wyglądał jak wykopaliska archeologiczne.

- Lata praktyki - oznajmił George. - Gdy jest się kawalerem, nie sposób jeść co wieczór fasoli z puszki.

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której powinna paść odpowiedź Val, ale matka spojrzała tylko nad stołem na Rachel.

Rachel zastanawiała się, co to, u licha, ma znaczyć, oraz kiedy matka wyjedzie z grubej rury i zapyta o dziecko. Dotychczas unikali tego tematu jak ognia, ale wisiał nad nimi niczym wielki niemowlak.

Nagle George odsunął krzesło i wyjął telefon z takim impetem, że Rachel mało nie dostała zawału.

- Muszę odebrać - oznajmił. Już podwijał rękawy. - Pomocnik mnie zastępuje, ale uprzedzał, że mogą być kłopoty z koniem, którego leczymy w Hartley. Darren!

Wyszedł do przedpokoju i jego głos ucichł, ale Rachel wywnioskowała z tonu, że coś się stało. Chyba że umówił się z kolegą, żeby po półtorej godziny wybawił go z opresji.

- Jest bardzo zajęty - wyjaśniła, wyrzucając sobie, że nie wpadła na ten sam pomysł. - Ma dużą praktykę.

- Pracuje w większość wieczorów? - spytał Ken, aby przerwać ciszę.

Rachel kiwnęła głową.

- To kiedy się widujecie? - zapytała Val.

- Parę razy w tygodniu. W ciągu dnia. Zresztą bardzo nam to odpowiada - dodała. - Lubię swoją niezależność, on też.

- Parę razy w tygodniu? - powtórzyła Val z niedowierzaniem. Jak się dobrze zastanowić, faktycznie brzmiało to trochę... dziwnie.

- Ale chyba zrezygnuje z części dyżurów, kiedy dziecko przyjdzie na świat? - drążyła dalej Val.

- Ależ mam! No pewnie.

- Tylko mówię. Przy tak niekonwencjonalnym układzie lepiej wszystko ustalić z góry.

- Tak - odparła ciężko Rachel. - Gdy dziecko przyjdzie na świat, George wprowadzi się do mnie albo ja do niego. Ale jeszcze o tym nie rozmawialiśmy.

- Dlaczego?

- Ponieważ jestem dopiero w siódmym tygodniu ciąży, mam! - syknęła Rachel. - jeszcze różnie może być! I nie ma sensu...

- O, George! - Ken oszczędził Rachel dalszych męczarni.

- Wszystko w porządku?

- Niestety, nie. - George już zakładał grubą marynarkę. - Koniowi się pogorszyło i Darren nie poradzi sobie sam, muszę

mu pomóc. Przepraszam, że uciekam, ale liczy się każda minuta.

Rachel przywykła już do jego zmian nastroju, gdy w grę wchodziło chore zwierzę, lecz Val osłupiała.

- Powodzenia. - Ken wstał i podał mu rękę. George uścisnął ją pospiesznie. - Liczę, że zobaczymy się jeszcze przed naszym wyjazdem?

- Tak. Być może. - George rozejrzał się za kluczami, w przelocie pocałował Rachel w policzek i ruszył do drzwi. - Rachel kupiła lody na deser, więc chyba obejdzie się bez niespodzianek. Na razie! - Uniósł szeroką dłoń i już go nie było.

Usłyszeli trzask zamykanych drzwi i w domu zapadła cisza jak makiem zasiał.

- Wygląda na miłego faceta - oznajmił wreszcie Ken. - Mężczyzna, który umie gotować, jest na wagę złota, nie? Zostało jeszcze trochę zapiekanki?

- Miło, że ci się spodobał, tato - odpowiedziała Rachel, wygarniając mu dokładkę na talerz. - Mamo? Dlaczego się nie odzywasz?

Val odłożyła widelec i zasznurowała usta.

- No mów - zachęciła Rachel. - Wyduś to z siebie.

- Jak dobrze go znasz? - zapytała matka.

- Wystarczająco! Nie ma żony, nie słynie w okolicy z dziwnych zachowań i jest dobry dla braci mniejszych. Powinnaś posłuchać, co mówią o nim dziewczyny ze schroniska. A to bardzo wybredne bestie.

Olivera znałam dziesięć lat i co z tego, miała na końcu języka.

Ale matka wiedziała swoje.

- Czytałam o takich mężczyznach w „Mail”, Rachel. Jaki mężczyzna tyle lat nie ma dziewczyny? Jaki nie chce się ustatkować?

- Valerie... - Ken spojrział z obawą na Rachel. - Jest bardzo zmęczona, kochanie, to była długa podróż.

- O nie, tato, nie tłumacz jej. - Rachel obrzuciła matkę wściekłym spojrzeniem. Postawi sprawę jasno, niech się dzieje, co chce. - Powiem ci, jaki mężczyzna: taki, który wstaje o piątej i biegnie do owczarni, i nie kładzie się, dopóki nie skończy! To samo chyba mógłby powiedzieć o mnie... ale nie mówi. Powiedzmy, że też nie mam dwudziestu lat.

- Tylko nie zaczynaj, Rachel - odparła Val. - Od dawna nie dawało mi to spokoju.

- To dlaczego się nie cieszysz? O co ci chodzi? - Rachel nie była pewna, czy to hormony, czy może stres związany z festynem, ale cała aż się trzęsła. - Jestem w ciąży, wiem, kim jest ojciec dziecka, nie jest żonaty, bezrobotny ani... ani... dziwny. - Wstała i podeszła do piecyka, żeby się oprzeć. - Okej, nie miał dziewczyny. I co z tego? Wołałabyś, żebym wpadła z żonatym mężczyzną?

Val drgnęła.

- Kiedy zostaniesz matką, nie będzie miejsca na takie sceny - zauważyła. - Przestaniesz być pępkiem świata.

Rachel spojrzała błagalnie na ojca.

- Tato?

- Ja nie mam mu nic do zarzucenia, Rachel - oznajmił Ken. - Podoba mi się.

- A pytałaś kogoś z miejscowych, dlaczego z nikim się nie związał? - syknęła Val. - Nie uważasz, że to bardzo dziwne?

- Jeśli sugerujesz, że jest gejem, mam, masz przed sobą żywy dowód na to, że wręcz przeciwnie - warknęła Rachel.

- Zapewniam cię, że doskonale wiedział, co robi.

- Może szuka gosposi!

- I tu się przeliczy, bo dostanie taką, która umie przypalić jajko na twardo - wtrącił żartobliwie Ken, na co obie zgromiły go wzrokiem. Podniósł ręce. - Ja nic nie mówiłem!

- Dlaczego nie możesz cieszyć się razem ze mną, mamó? - spytała Rachel. - Co się stało, to się nie odstanie!

- Nic do ciebie nie mam, skarbie. - Val wyglądała na udręczoną. - Ja tylko... Pomyśl o biednej Dot! Nie zniosłabym, gdyby ciebie spotkał taki sam los! Wystarczy, że stałam z założonymi rękami, kiedy lekkoduch złamał jej serce. Powiedziałam wtedy coś niestosownego i...

Rachel wpadła jej w słowo.

- O, bynajmniej. Na moje oko Dot nie miała na co narzekać. Widziałaś jej szafę? Albo szkatułkę z biżuterią? Czerpała z życia pełnymi garściami, Felix nosił ją na rękach. To ona odwołała ślub!

- Ślub? - Val wytrzeszczyła oczy.

- A tak, ślub. - Rachel nie mogła uwierzyć, że po raz pierwszy w życiu wie o rodzinie coś, o czym jej matka nie ma pojęcia. - Mieli się pobrać, a ona uciekła przed ołtarza. Znalazłam list od niego i brylantową kolie, którą miała dostać w prezencie ślubnym. Dlatego przestań obwiniać biednego Feliksa, bo to Dot nie chciała się wiązać.

Słowa płynęły same i Rachel nie zwracała uwagi na rozpaczliwe sygnały wysyłane przez ojca.

- Może była tak samolubna, jak mówiono! Może nie chciała żyć tak jak wszyscy. To żadne przestępstwo.

- Co znalazłaś? - zapytała Val. Wstała; Rachel po raz pierwszy widziała ją tak roztrzęsioną. Ramiona trzęsły się jej pod najlepszą jedwabną bluzką. - Co przeczytałaś?

- List. List od Feliksa. A co?

- Vally - mitygował Ken - tylko nie zaczynaj. Tyle razy ci mówiłem, że to nie twoja wina.

- Świat nie kręci się wokół ciebie, mamó - podchwyciła Rachel. - Ludzie świetnie marnują sobie życie bez twojego udziału.

Val spojrzała na nią nad stołem, usta miała zaciśnięte w wąską kreskę.

- Jesteś taka jak Dot, Rachel - oświadczyła. - Wyglądasz jak ona, mówisz jak ona. Nie chcę, żebyś też tak skończyła, nieszczęśliwa i sama jak palec.

- To dlaczego jesteś taka cholernie wredna? - Rachel nie zdążyła ugryźć się w język.

Val otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale dobył się z nich tylko cichy szloch. Rzuciła serwetkę na krzesło i wyszła z kuchni.

- Co ja takiego powiedziałam? - Emocje opadły i Rachel oparła się bezsilnie o kuchenkę. Zmęczenie nie dawało jej żyć. - Wiem, że inaczej to sobie wyobrażała, ale nie przesadzajmy.

- To alkohol - powiedział Ken. - Poza tym ta afera z Dot nie daje jej spokoju. Musisz pamiętać, że mama poczuwa się do winy.

- Gdyby ktoś wreszcie raczył mi powiedzieć, o co chodzi z tą aferą z Dot, może wykazałabym więcej zrozumienia.

Ken popatrzył na nią, a potem na drzwi. Następnie poklepał krzesło obok siebie, wskazując na nie głową. Rachel usiadła.

- Powinnaś o czymś wiedzieć - wyszeptał. - O Feliksie i Dot. Mama nie wie i nie jestem pewien, czy powinna.

Rachel zastanawiała się, jakim cudem wiedział o czymś, co umknęło matce; miała szczerą nadzieję, że jej to nie dotyczy.

- Nie wiem, od czego zacząć - powiedział Ken. - To było bardzo dawno temu, ale Dot nie wyszła za Feliksa z konkretnego powodu. - Kaszlnął i odczekał chwilę, jakby próbował poukładać sobie wszystko w myślach. - Felix i Dot,

rzadko ich widywaliśmy. Dot lubiła Londyn, tamtejsze życie bardzo jej odpowiadało. Twoja matka nigdy nie mogła tego zrozumieć. - Spojrzał na nią z błyskiem w oku. - Ale pewnie z tobą jest inaczej.

Rachel skinęła głową.

- Nasłuchaliśmy się o Feliksie, o tym, jaki jest przystojny, jaki ma piękny dom, podobno własność rodową, i różne takie. Myślę sobie, że może Dot trochę się nas wstydziła, prostaczków z Lancashire - dorzucił z żartobliwym akcentem z Północy.

- Przynajmniej tak zdawało się mamie. Tylko raz go do nas przywiozła, na chrzest Amelii. Przyjechali pięknym białym jaguarem, jak para gwiazd filmowych. Mama trochę miała o to pretensje, w końcu to była jej uroczystość. Dokazywałaś, więc po podwieczorku zabrała ciebie i Amelię do domu, a my zostaliśmy w hotelu na drinka: ja, Dot, Felix i kilkoro znajomych. - Ken zadumał się nostalgicznie. - Muszę przyznać, że Dot umiała się zabawić, a Felix hojnie szastał groszem.

- Ale mama się krzywiła - rzuciła Rachel domyślnie. Lista matczynych pretensji rosła w oczach.

Spojrzał na nią i wiedziała, że podziela jej zdanie.

- No więc mijał czas i powiedzmy, że wszyscy byliśmy trochę zawiani. Wreszcie przyszedł czas na pożegnanie, zaczęliśmy się ściskać i obejmować... - Ken poczerwieniał. - Nie wiem, jak to powiedzieć, Rachel, ale gdy poszedłem do łazienki, Felix dał mi do zrozumienia, że chętnie nie poprzestałby na przytulaniu. Ze mną. Kiedy wyprowadziłem go z błędu, od razu wytrzeźwiał. Próbował obrócić to w żart, ale ja wiedziałem swoje.

- Tato! - Rachel nie wierzyła własnym uszom. Próbowała wyobrazić sobie siwowłosego ojca tuż po trzydziestce,

wielbiciela futbolu i kufła piwa. Co mógł o tym wiedzieć: kobiety go nie podrywały, a co dopiero panowie.

- Nie zrozum mnie źle, nie mam nic przeciwko takim facetom. - Zerknął pospiesznie na drzwi, czy Val nie słyszy. - Każdy lubi co innego. Poza tym biedak był naprawdę wstrząśnięty.

Ale musiałem powiedzieć Dot. Miała prawo wiedzieć, to nie był taki sobie przelotny związek. Nie chciałem później patrzeć, jak cierpi.

- I co ona na to? - Rachel nie mogła sobie wyobrazić, jak prostolinijny Ken przekazuje szwagierce tę wiadomość, ale kochała ojca za to, że robił rzeczy, które uważał za słuszne, nawet jeśli później usiłował wymazać je z pamięci.

Ken westchnął ze smutkiem.

- Powiedziała, że w głębi serca czuła, co się święci. I że było w nim coś, co nie do końca umiała określić. Składała to na karb jego, no wiesz, arystokratycznego wychowania. Że niby był taki poprawny, od początku do końca. A gdy przyparła go do muru, wyznał, że miał romanse z mężczyznami od czasu szkoły, nie mógł z tym skończyć. Nawet będąc z nią.

- I co było dalej?

- Przecież wiesz. - Ken miał niewyraźną minę. - Powiedziała mi, że zjawił się z aktem ślubu i oznajmił, że decyzja leży w jej rękach. Jeżeli przymknie oko na jego słabostkę, on daje jej piękny dom i wszystko, czego dusza zapragnie. W sumie mogliby prowadzić całkiem udane życie. On ją naprawdę kochał. A ona jego.

Rachel pokiwała głową.

- Znalazłam ten list, aż przykro go czytać. Musiał być niepokieszony. Ale ona była nieprzejednana, tak? Pytałeś dlaczego?

- Przyjechała do mnie któregoś dnia, tylko ani słowa mamie. Poszliśmy na lunch; wyglądała jak gwiazda filmowa w tych swoich wielkich okularach. Powiedziała, że nie chce małżeństwa z tajemnicami. - Rachel widziała po ojcu, że wciąż jest pod wrażeniem tamtej sceny. - Nie chciała wiedzieć, z kim był i co się działo, ale i nie chciała żyć w świadomości, że nie wie. Rozumiesz? Powiedziała, że zazdrości mnie i mamie nudnego małżeństwa bez sekretów. - Uśmiechnął się pod nosem. - Ma się rozumieć, ujęła to trochę inaczej. Ale wiedziałem, o co jej chodzi.

Rachel rozejrzała się po kuchni. Klejnot leżał na posłaniu przy drzwiach, w pomieszczeniu, gdzie Dot niańczyła porzucone szczenięta i karmiła zapchlone przybłądy do czasu znalezienia im kochającego właściciela. Proste jak drut.

- To wtedy kupił jej ten dom?

- Chyba tak. Wiem, że przysyłał jej pieniądze, dopóki nie umarł; wydawała je na psy, nie na siebie. Ale po tym wszystkim rzadko ją widywaliśmy. Chyba nie chciała myśleć o tym, co się stało. - Spojrzał na nią z rezygnacją. - Oczywiście matka obwinia siebie.

Rachel przewróciła oczami. Dot postanawia rzucić biseksualistę, a ta myśli, że to jej wina. Cała Val.

- Dlaczego?

- Och, myśli, że chodzi o to, co powiedziała Dot w czasie chrztu. Nigdy nie przyznała, o co chodziło. Mówi, że to zbyt krępujące. - Ken pokręcił głową. - Pewnie poszło o kapelusz.

- To dlaczego nie powiesz jej prawdy?

Wzniósł rękę.

- Bo obiecałem Dot. No wiem.

Odparł oskarżycielskie spojrzenie córki.

- Kazała mi przysiąc, że nikomu nie powiem. Przez wzgląd na nią i na Feliksa. Była bardzo dumna. Prędeży

wolała, żeby zarzucano jej egoizm, niż aby ludzie poznali prawdę o zerwaniu. To była jej decyzja, nie moja.

Bardzo ładnie, Dot. Czyli skromna wielbicielka psów miała jednak melodramatyczne zapędy. Niech się szwagier męczy, a co! Ale Rachel zachowała tę myśl dla siebie.

- Chyba teraz możesz jej powiedzieć? - stwierdziła. - Bo teraz będzie się zadrećzać, że znajdę coś kompromitującego.

- I co, mam jej powiedzieć, że trzydzieści lat temu wpadłem w oko jej niedoszłemu szwagrowi i nie dopuściłem do ślubu Dot? Zrób coś dla mnie, kochana. - Urwał i popatrzył na nią znacząco. - Czy mogłabyś...

- O nie - oznajmiła Rachel. - Co to, to nie. I ty, Brutusie? Chciał, żeby to ona powiedziała Val. Dot również sobie tego życzyła. O ten właśnie sekret chodziło - miała zdradzić go Val, nikomu więcej - prawdziwy powód jej samotności i „konfliktu” z siostrą.

Dot i Val. Jedna warta drugiej, pomyślała Rachel ze złością.

- Proszę - powiedział cicho. - Możesz udać, że znalazłaś coś w szufladzie. Na przykład list.

- Ale... - Rachel zanurzyła ręce we włosach. - Mama i ja nie prowadzimy takich rozmów, tato. Ona tylko wydaje mi polecenia.

- Boi się, że traci z tobą kontakt, Rachel - oznajmił. - Wiem, że lubi się rządzić, ale nieba by ci przychyliła i bardzo za tobą tęskni. To dziecko... nie przyzna tego za nic w świecie, ale w głębi duszy jest wniebowzięta. Zrzędzi, bo chce, żebyś była szczęśliwa.

- Niech ją o to głowa nie boli! - zaproponowała Rachel. - Jestem już duża! Mam prawie czterdzieści lat!

Ken spojrzał na nią i dostrzegła w jego oczach tyle ojcowskiego uwielbienia, że znów poczuła ucisk w piersi.

- Może i masz, ale zawsze będziesz naszą małą dziewczynką,

Rachel. Naszą pierwszą córeczką.

Gdyby tylko wiedział, jaka czuję się mała. Chciałabym przytulić się do niego i o wszystkim zapomnieć.

W przedpokoju rozległ się stukot sandałów Val i Klejnot podniósł głowę. Zanim Rachel i Ken zdążyli wymienić spojrzenia, weszła do kuchni; usta miała umalowane różową szminką, a w jej oczach lśniły resztki łez.

- O czym gadacie? - zapytała dziarskim głosem, który sygnalizował radykalną zmianę tematu. - Myślisz, że George wpadnie na kawę, kiedy już upora się z koniem?

- Wyślę mu SMS - a - odpowiedziała Rachel identycznym tonem. - Nigdy nic nie wiadomo. Skusisz się na lody, tato?

- No ba! - Ken klepnął się w kolana, co w jego przypadku oznaczało zwykle powrót do normalności. Wyglądał, jakby odetchnął z ulgą. - Gdzie tu jest łazienka, Rachel? Panie wybaczą.

- Obejrzałam sobie tę tapetę na ścianach... - Z ust matki popłynął strumień rad na temat zmiany wystroju. Rachel z uśmiechem wyjęła salaterki, ale nie słuchała.

Próbowała wyobrazić sobie, jak to jest, kiedy mężczyzna, którego rzekomo znałaś na wylot, oznajmia ci, że od początku był kimś zupełnie innym. Wejrzała w głąb samej siebie. Co by było, gdyby Oliver latami ukrywał przed nią istnienie Kath? I gdyby dowiedziała się o tym znienacka?

Bądź co bądź Kath wiedziała. W zamian za bezpieczeństwo i rodzinę wybrała życie z gorzką świadomością, że jej mąż kocha inną kobietę. To dopiero musiało być niszczące.

Ale to nie to samo, stwierdziła. Tajemnica Feliksa oznaczała zmianę wszystkiego - łącznie z samą Dot. Okazało się bowiem, że nie wie o ukochanej osobie zupełnie nic.

Trudno się dziwić, że wstrząs rzucił ją aż tutaj, zrozpaczoną i pozbawioną celu.

Może nigdy nie da się kogoś poznać do końca. Rachel machinalnie rozłożyła na stole srebrne łyżeczki. Mama nie wiedziała, że ojciec mógł poderwać faceta, gdyby chciał. Ojciec nie wiedział, że jego mała dziewczynka była czyjąś kochanką dłużej, niż trwało małżeństwo Amelii. Może mama miała rację: co tak naprawdę wiedziała o George'u?

Przeszedł ją dreszcz, nie tyle z powodu George'a, ile siebie oraz niezbadanej przyszłości, z dzieckiem, które pojawi się przed Bożym Narodzeniem, w co wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć. Dot miała rację, że ten dom jest pełen tajemnic. Cztery Dęby, utrzymywane za pieniądze Feliksa, stanowiły jedną wielką zagadkę. Może najlepiej byłoby je sprzedać i odciąć się od przeszłości, zamiast ciągnąć to dalej wzorem Dot?

Val przykryła dłonią jej rękę i Rachel znieruchomiała.

Matka uśmiechała się ze skruchą. Pod tym względem były jak dwie krople wody: zawsze od razu żałowały swoich wybuchów.

- Jest o czym myśleć, prawda, kochanie?

Rachel skinęła głową.

- O tak - odpowiedziała. I uśmiechnęła się blado.

Rachel nie kwapiła się do rozmowy z matką, ale problem rozwiązał się sam, gdyż dawno nie mieli w schronisku takiego urwania głowy jak w sobotę.

Dzwonek u drzwi rozdzwonił się, ledwie zdążyła zrobić śniadanie: nadeszła pierwsza fala spacerowiczów, znęconych piękną pogodą oraz rześkim wiosennym powietrzem. Za nimi zjawili się następni i niebawem w kuchni zaroilo się od ochotników, rozgadanych i pożerających kanapki z bekonem, które Val uparła się robić ku świętemu oburzeniu Fredy, niekwestionowanej Królowej Sandwiczów.

Aby rozładować narastające napięcie, Rachel wysłała rodziców na spacer z Klejnotem, a następnie zajęła się petentami, którzy zdążyli ustawić się już w kolejkę. Strona internetowa znęciła kolejną rzeszę chętnych do adopcji, którzy chcieli zobaczyć psy, i podczas gdy obie z Megan zapisywały w kalendarzu terminy wizyt, zjawiała się załamana rodzina z trzema terierami, której właściciel wspólnoty mieszkaniowej zabronił trzymać psy. Ledwo Megan zdążyła ich uspokoić, przyszedł George z yorkshire terierem, którego ktoś zostawił przed kliniką.

Mimo próśb Rachel nie mógł zostać.

- Lecę na kolejną wizytę. - Spojrzał na zegarek, a zmarszczka między brwiami stała się jeszcze głębsza. - Mogłem powiedzieć Darrenowi, żeby go przywiózł, niepotrzebnie sam gnałem.

- Nawet dziesięć minut? Rodzice zaraz wrócą.

George skrzywił się z niechęcią i Rachel stwierdziła w duchu, że przydałaby mu się choć szczypta dyplomacji Olivera.

- Moja siostra ma jakieś problemy i będą musieli wrócić wcześniej, niż planowali - ciągnęła; chciała im pokazać, że George stawia ją na pierwszym miejscu, lecz nie przyznałaby

się do tego za nic w świecie. - Wiem, że mama chce się pożegnać.

- Wiesz, że nie mogę. - George tracił cierpliwość. - Muszę jechać do chorego psa. Przecież nie powiem właścicielom, że Tucker zdechł, bo gadałem o pierdołach z rodzicami mojej dziewczyny.

- Skoro tak, to spadaj. - Rachel wiedziała, że przesadza, ale po ostatnim wieczorze była jakaś rozdrażniona. Oboje z George'em zbyt długo żyli na własny rachunek, aby nagle zacząć odgrywać szczęśliwą rodzinę. Kto wie, czy to w ogóle nastąpi.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Zapadło między nimi milczenie i Rachel poczuła ukłucie żalu, że nie czuje się na siłach naciskać, w obawie iż dowie się czegoś, czego nie chciałyby usłyszeć.

George był niewzruszony.

- Przekaż im, że bardzo mi przykro, że nie zobaczymy się przed wyjazdem - powiedział uprzejmie. - Ale przecież nic straconego. Na festynie też będą, prawda?

- Lecą na Majorkę. - I dodała po chwili: - Z Amelią i dziećmi.

- Aha. - Dostrzegła na jego twarzy cień współczucia. - Fajnie. W każdym razie pierścionek dostaniesz. Masz jakieś plany na wieczór?

- Zobaczę, jak będę się czuła - odpowiedziała przekornie.

Rzucił jej nieodgadnione spojrzenie, kiwnął głową Megan, która właśnie wróciła z psiarni, i wyszedł.

- O co poszło? Znowu marudził? - Megan podała Rachel kartonową tabliczkę do powieszenia na drzwiach nowego lokatora. - Napisz z łaski swojej coś chwytającego za serce dla Mitzi, dobrze?

- Mitzi? - Rachel usiadła przy biurku i sięgnęła po flamaster. Była bliska płaczu, choć sama nie wiedziała z jakiego powodu.

- Wszystkie yorkshire teriery wabią się Mitzi, nie wiedziałaś? Co powiesz na to: „Kochałam moich ludzi, a oni karmili mnie smakołykami, ale nie czyścili mi zębów! Kiedy zaczęły mnie boleć, ludziom nie chciało się płacić za leczenie i zostawili mnie w...” - Megan urwała. - Ojej, czy to zbyt smutne? Rachel, proszę cię, nie płacz.

Rachel otarła kapiące łzy wierzchem dłoni.

- Nie, nie, to tylko głupie hormony. - Podniosła wzrok i uznała, że Megan powinna wiedzieć. Nie wypada, aby żyła w nieświadomości przyczyn tej huśtawki nastrojów. - Nie mów nikomu, ale jestem w ciąży. Będę miała dziecko.

- Wiem, co to jest ciąża. - Megan miała oczy jak talerze.

- Czy to...

- George'a. Tak, to dość niespodziewane.

- Wspaniała wiadomość! - Megan klasnęła w ręce, jakby mówiła szczerze. - Tak się cieszę!

Rachel uniosła brew.

- To dopiero początek. Pod każdym względem.

- Wiesz co, odzyskuję wiarę w burzliwy romans. Człowiek myśli, że to już koniec, a tu proszę. To jest - dodała ze skruchą - mam na myśli George'a. Myśleliśmy, że już sobie odpuścił.

- No tak. - Rachel uśmiechnęła się niewyraźnie i ponownie wbiła wzrok w kartkę. Wysmaruje dla Mitzi taką historię, że nowy właściciel przybiegnie w podskokach.

Koniec końców Natalie wysłała podanie do fabryki czekolady, ale gdy nie została zaproszona na rozmowę („mieliśmy bardzo wygórowane kryteria”), ku własnemu zdziwieniu stwierdziła, że ma to w nosie. Ba, w pewnym

sensie odetchnęła, że decyzja została podjęta za nią - przynajmniej czasowo.

Maria Purcell z agencji rekrutacyjnej też zbytnio się nie przejęła, choć zadzwoniła, kiedy Natalie była na spacerze, proponując spotkanie w celu omówienia „dalszej strategii działania”.

- Świetny pomysł - powiedziała Natalie, zezując na psa. - Jadę, uhm, na dwutygodniowe wakacje, więc może spotkamy się po moim powrocie?

Oczami wyobraźni ujrzała podejrzliwą minę Marii, ale to również miała w nosie: potrzebowała więcej czasu na określenie własnych potrzeb. Johnny nie ułatwiał jej zadania; mało tego, odmówił udzielania rad w jakiegokolwiek kwestii - zatrzymania Bertiego, jej powrotu do pracy oraz zapisania się na listę oczekujących na in vitro. Jednym słowem, wszystko spoczęło na jej barkach. Tylko ona zasługiwała na przywilej podejmowania decyzji.

Nagła i niespotykana apatia Johnny'ego rozpoczęła się pewnego ranka przed wizytą w szpitalu, kiedy oznajmił, że nigdzie nie pójdzie. Nie pomogły żadne zaklęcia.

- Czego jeszcze mogę się dowiedzieć? - burknął. - Moje plemniki są do niczego. Spójrz prawdzie w oczy. Ja próbuję.

- Po czym odmówił dalszej rozmowy na ten temat i wypadł z domu z taką miną, że przez pierwsze trzy godziny uczniowie pewnie siedzieli jak trusie. Natalie przez pięć minut spoglądała na drzwi, po czym padła na sofę i płakała, dopóki Bertie nie wlaź jej na kolana i nie zlizął z twarzy łez.

Przy braku współpracy ze strony Johnny'ego pierwotny zamysł półrocznego urlopu tracił sens. Nie mogła sobie na to pozwolić. Chcąc nie chcąc, postanowiła zatem zadzwonić do Marii Purcell i oddać się poszukiwaniu pracy.

Nadała głosowi ton fachowej pewności siebie, a po zakończeniu rozmowy rozłączyła się z westchnieniem. W tym

czasie Bertie wskoczył na ławkę obok niej i za nic w świecie nie dał się zepchnąć, po czym wpakował głowę do torby Natalie i oddał się poszukiwaniu batoników.

Będę za tym tęsknić, pomyślała z żalem. To już nie były wakacje, tylko zupełnie inne życie.

Spacery z Bertiem otworzyły jej oczy na miasto, które w swym mniemaniu znała jak własną kieszeń. Mijali eleganckie wille w georgiańskim stylu, budynki z zatartymi szyldami dawnych piekarni i stelmachów, ładne mosty ponad torami, o których każdy już zapomniał, kaplicę ukrytą między drzewami oraz miłych ludzi, których niemalże nauczyła się rozpoznawać, dzień po dniu. Zastanawiała się, jakim cudem dawniej mogła zebrać myśli bez godzinnego spaceru szlakiem żółtych strzałek na chodnikach.

Bertie triumfalnie wynurzył się z torby: znalazł ukrytą tam skarpetę Johnny'ego, z czasów kiedy jeszcze oboje wierzyli, że zrobią z niego tropiciela.

- Leżała tam dwa tygodnie, Bertie - zaznaczyła Natalie, odbierając mu zdobycz. Przypomniała sobie ze smutkiem, jak chodzili po parku, trzymając się za ręce i obserwując psa drepczącego przodem. Rodzina.

Bertie spojrzał na nią oczami, od których serce topniało jej w piersi za każdym razem. Tak się stara, a ona będzie musiała go oddać. Życie bywa czasem cholernie niesprawiedliwe.

Tymczasem przy głównym placu miasta Rachel siedziała w kancelarii, a Gerald Flint „porządkował formalności” związane z testamentem. Osobiście uważała, że sprawa ciągnie się w nieskończoność, zdaniem Geralda jednak cały proces przebiegał nadzwyczaj sprawnie.

Był również pod wrażeniem tego, jak szybko wpłaciła pierwszą ratę podatku, no ale to nie jemu Val suszyła głowę o srebrne szczotki oraz remont łazienki.

- Dobrze się stało, że miałaś oszczędności - stwierdził, na szczęście nie wnikając w szczegóły. - Zawsze radzimy klientom rozwagę, aby ich spadkobiercy uniknęli kłopotów. No ale taka była Dorothy. Każdy grosz szedł na psy.

- Uhm - mruknęła Rachel.

Dot wykazała wielką rozwagę, choć oczywiście na swój sposób, w związku z czym całodniowe wizyty u londyńskich jubilerów okazały się nieuniknione. Oprócz naszyjnika Rachel sprzedała jeszcze pierścionek z szafirem, który kupiła sobie na trzydzieste urodziny pod hasłem „mam gdzieś zaręczyny”, oraz małe diamentowe kolczyki od Olivera. Była to jedyna biżuteria, którą od niego dostała, toteż wiele ją to kosztowało, ale sam naszyjnik mógł sprowokować niepotrzebne pytania. A tak za jednym zamachem pozbyła się dwóch prezentów od niewiernych kochanków, i już.

- Możemy podjąć próbę negocjacji z urzędem co do terminu kolejnej spłaty - ciągnął George - ale chciałbym wiedzieć, co zamierzasz. Chcesz sprzedać dom albo kawałek ziemi? O ile zamierzasz tu zostać. - Umilkł na chwilę. - Nie mam zamiaru cię ponaglać, ale to wszystko może trochę potrwać. Biorąc pod uwagę obecną sytuację na rynku, nawet rok.

Rok? Za rok będę już miała dziecko, pomyślała Rachel. Nagle zobaczyła wszystko w innym świetle. Jeśli ma zacząć wszystko od nowa, musi pospieszyć się z podjęciem decyzji, żeby potem nie mieć na głowie formalności, przeprowadzki i porodu jednocześnie.

Ale przynajmniej w tym roku odpadnie problem z bombkami.

- Nie wiem, na ile ta informacja coś da... i niech to zostanie między nami - podjął z wahaniem Gerald. - Ale twój rzeczoznawca, miły jegomość, tutejszy rynek ma w małym palcu, pytał mnie, czy nie bierzesz pod uwagę sprzedaży

domu. Ma klienta, który byłby zainteresowany. Szuka dużego domu, z budynkiem gospodarczym na studio oraz kawałkiem gruntu. O ile się zorientowałem, płaciłby gotówką. Może warto by się zastanowić? Dom wymaga gruntownego remontu, może wolałabyś oszczędzić sobie zachodu?

- Kusząca propozycja. - Sama myśl o remoncie była ponad jej siły. - Dałbyś mi jego wizytówkę?

- Warto mieć jakąś inną możliwość - dodał Gerald, grzebiąc w szufladzie. - Mogłabyś sprzedać część ziemi, ale skoro nic cię tu nie trzyma, lepiej chyba sprzedać całość i zacząć od nowa z okrągłą sumką w kieszeni.

Rachel wyobraziła sobie uroczą chatkę bez hipoteki i oszczędności w banku. Sama nie wiedziała, czego chce - czasami budziła się rano pełna tęsknoty za dawnym życiem, a czasem kładła się spać rozradowana na myśl o kolejnym psie, który znalazł dom. Nie miała pojęcia, które odczucie jest autentyczne, a które wynika z burzy hormonów, skoro nawet ptasi śpiew doprowadzał ją ostatnio do łez.

- Potrzebuję czasu do namysłu - oznajmiła. - Przygotowania do festynu pochłaniają mi każdą chwilę, chociaż - dodała w przyływie uczciwości - ręk do pomocy mi nie brakuje. Dużo z tym roboty, ale może chociaż Megan na tym skorzysta. A jeśli zdecyduję się na sprzedaż, problem i tak będzie z głowy.

- Fakt! - Gerald uśmiechnął się szeroko. - Festyn! Nasza sekretarka dostała list od... Natalie, twojego nowego dyrektora do spraw marketingu, tak?

Rachel kiwnęła głową.

- Nie tylko marketingu.

Miała wątpliwości, czy zabrnęłaby tak daleko bez pomocy Natalie. Zadbła o ubezpieczenie, konieczne zezwolenia i wniosła o rejestrację schroniska jako organizacji dobroczynnej, jeśli „będzie taka możliwość”. Rachel nie

mieściło się to w głowie, ale Natalie ani myślała spocząć na laurach.

- Może Flint & Sunderland też byliby zainteresowani sponsoringiem? Nie skusisz się na psią miskę z nazwą firmy w zamian za zapas karmy na cały rok?

- Ha, dla kancelarii prawniczej byłoby jak znalazł. Owszem, sądzę, że jeszcze do tematu wrócimy. Te moje dały mi tyle radości...

Rachel zauważyła, że Gerald rozjaśniał się na samą wzmiankę o psach. Sztywniak gdzieś zniknął i w jego miejsce zjawiał się dobroduszny wujaszek. Miejscowi właściciele psów zdawali się złączeni jakimś tajemnym sprzysiężeniem. Każdy znał każdego.

- I dostałem list od Megan - dorzucił Gerald. - A dokładniej Molly i Szybki dostali list od Klejnota!

- Aha - odrzekła Rachel niepewnie. Nie miała okazji zerknąć na listy rozsyłane przez Megan, ale widziała na biurku pieczętkę w kształcie odcisku psiej łapy i miała złe przeczucia.

Podczas gdy ona i Natalie zajmowały się promocją i sponsoringiem, Megan obiecała skontaktować się z ludźmi, którzy w ciągu ostatnich lat adoptowali psa, z prośbą o wsparcie dla sprawy. Ich dane znajdowały się w archiwum schroniska, przeważnie ze zdjęciami i kartkami bożonarodzeniowymi.

- Zawsze powtarzałem, że gdyby Dot Mossop umiała tak kojarzyć pary, jak kojarzyła ludzi i psy, ustawialibyśmy się do niej w kolejkach. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Na pewno przyjdziemy... sobota, tak?

Rachel drgnęła. Zostały tylko cztery dni, a jeszcze tyle miała do zrobienia.

- Tak - odpowiedziała mężnie. - Weźmiesz udział w konkursie na Merdający Ogon?

- Bezwzględnie. - Gerald dla większego efektu odczekał chwilę. - A moje psy też mogą?

Rachel parsknęła śmiechem i w myślach złapała się za głowę. Śmieje się z psich żarcików! Koniec świata.

Zadanie Zoe polegało na znalezieniu wysoko postawionej osoby, która zgodziłaby się sędziować w konkursach. Jej wybór padł na burmistrzową, która nie miała jak uciec spod suszarki: pani Haileybury z chęcią zgodziła się na pomoc, przyznając jednak, że „woli koty”.

Zoe zaczynała myśleć, że o sobie może powiedzieć to samo. Po długim, bardzo długim dniu w pracy, gdzie dwie fryzjerki były na chorobowym, a ona nie miała serca odmówić klientkom, Toffi postanowił zniszczyć jej najlepsze buty, a Leo drapał się w głowę w nabożnym skupieniu, które zapamiętała z Wielkiej Plagi Wszy ubiegłego lata. Spencer dalej boczył się w najlepsze, toteż Zoe z trudem zachowywała zimną krew.

Wiedziała, że powinna zabrać się do kostiumów Leo i Toffiego szybciej niż w przeddzień festynu, ale po prostu nie miała na to czasu. Jakby tego było mało, pół godziny pomiędzy kąpielą a spaniem Spencer zrzucił kolejną bombę.

- Tatuś mówi, że na wakacje pojedziemy do Ameryki.

Zoe podniosła wzrok znad króliczych uszu ze swojego wieczorku panińskiego, z których robiła kostium dla psa. Nie był to może najszcześniejszy pomysł, ale musiała zaciskać pasa. Leo bez oporów zgodził się włożyć słodką kamizelkę, którą miał na ślubie jej siostry, ale przebranie Toffiego miało być odporne na pogryzienie, zasiusianie, a także na wszędobylskie palce sześciolatka.

- Mamusiu? - powtórzył Spencer, na wypadek gdyby nie usłyszała. - Tatuś zabiera nas na wakacje na Florydę.

- Naprawdę? - zapytała bez mrugnienia okiem.

- Tak. To specjalna wyprawa dla tatusiów i dzieci. - Spencer oznajmił to tym samym zadowolonym tonem, jaki usłyszeli zapewne z ust Davida. - Mają tam park wodny, miejsca do jazdy na deskorolce i co wieczór będziemy jeść szaszłyki.

- Kiedy ci to powiedział? - Zoe ponownie skupiła uwagę na gumce, którą mocowała do opaski z uszami. Na Florydę. Na Florydę! Albo David nie ma pieniędzy na alimenty, albo wręcz przeciwnie.

Albo to sprawka Jennifer, która próbuje przekabacić chłopców na swoją stronę. Zoe aż się wzdrygnęła.

- W zeszły weekend. Kiedy się widzieliśmy.

- Do wakacji zostało jeszcze parę miesięcy, Spencerze. Tatuś musi to ze mną omówić. - Usiłowała robić dobrą minę do złej gry. - Mieliśmy jechać do Kornwalii, pamiętasz? Będzie fajnie, co? Toffi na pewno z chęcią pobiega po plaży. A do samolotu nie wsiądzie, prawda?

Spencer zadarł głowę.

- Toffi może zostać z tobą. My jedziemy na Florydę z tatusiem. Kornwalia to nic w porównaniu z Florydą. Ja nie pojedę. Odmawiam.

Jego ton zaniepokoił Leo, który niepewnie podniósł głowę znad swoich zabawek. Pozbierał mniejsze figurki i schował je za transformersami, które w porównaniu z nimi robiły dość złowrogie wrażenie.

Zoe opanowała się z wysiłkiem. Jak na siedmiolatka Spencer reprezentował dość bezkompromisową postawę. Wiedziała, że próbuje zmusić ją, aby zadzwoniła do Davida z prośbą o wyjaśnienia, bez względu na ostateczny wynik rozmowy, ale nie mogła tolerować takiego zachowania. Posiadał zdumiewającą zdolność uderzania jej w najczulsze miejsce.

Podobnie jak David i jego kosztowne „łapówki”.

- Spencerze - powiedziała. - Decyzja należy do mnie. Tatuś powinien zadzwonić i to ze mną skonsultować, zanim wam powiedział, bo być może zaplanowałam dla nas coś innego.

Spojrzał na nią wojowniczo.

- Ja i Leo jedziemy na Florydę. Nie możesz nas powstrzymać.

- Ależ mogę. - Nie sprzeczasz się z własnym synem, upomniała się w duchu.

- Nie możesz. Ucieknę. Mam swój plecak.

- Nie pleć głupstw. - Zerknęła na Leo, który rozciągnął koszulkę i pochował w niej figurki jak w fartuchu, troskliwie otaczając je ramionami. - Może pokażesz mi, jak oprowadzić jutro Toffiego? - Próbowwała się uśmiechnąć. - W co się ubierzesz? Może w swoją ulubioną koszulkę piłkarską?

- Gdybyś nas kochała, też zabrałabyś nas na Florydę - wrzasnął Spencer, purpurowiejąc ze złości. Spojrzał na Zoe, jakby zaraz chciał uciec, po czym niespodziewanie podszedł do sofy, zepchnął śpiącego psa na podłogę i uciekł na górę.

- Spencer! - Zoe w jednej chwili znalazła się przy sofie. Toffi nie był już taki mały jak na początku i z hukiem wylądował na jednej z wielkich poduch, na których chłopcy oglądali telewizję. Nic mu się nie stało, ale był przestraszony i zdezorientowany. Zoe wzięła go na ręce; serce biło mu jak szalone. Jej również.

Leo uderzył w płacz.

- Dlaczego Spencer krzyczy? Dlaczego skrzywdził Toffiego?

- Nic mu nie zrobił kochanie - uspokoiła Zoe, wyciągając do synka wolną rękę. Przyciągnęła go do siebie. - Zobacz, nic mu nie jest. Prawda, Toffi?

Leo próbował pogłaskać go w mokry nos i Toffi zaczął wić się jak piskorz. Zoe z trudem panowała nad sobą. Co ma

najpierw zrobić? Ukarać Spencera? Jechać z psem do weterynarza? Przekonać Leo, że to nie wybuch trzeciej wojny światowej? Sama nie dawała sobie rady. Presja bycia mamą, tatą i wszystkim naraz była nie do zniesienia, ale z wysiłkiem odsunęła tę myśl na później.

- Leo, zanieś pieska na legowisko na dwie minutki, a ja pójdę na górę i porozmawiam ze Spencerem, dobrze? - poprosiła, próbując określić z grubsza, na ile może zostawić ich samych. - Niech niczego nie pogryzie, a jak zacznie piszczeć, to mnie zawołaj.

Pobiegła na górę, przeskakując po dwa schody naraz, i nacisnęła klamkę, ale Spencer trzymał ją od środka.

- Jestem bardzo zawiedziona, Spencerze - oznajmiła przez drzwi. - Mogłeś zrobić mu krzywdę!

- I co z tego?

- Nie będziesz jutro oprowadzał psa. - Postanowiła ukarać go za bezmyślność. - Jeśli go nie przeprosisz, zacznie się ciebie bać. Leo go oprowadzi.

- I co z tego?

- Jak sobie chcesz. - Zoe oparła czoło o drzwi. Cieszyła się, że Spencer nie widzi jej klęski.

Nie wiedziała, co powiedzieć. I tak będzie przez najbliższe dziesięć lat. Przymknęła oczy, wyobrażając sobie, jak byłoby miło znów iść na spacer z Billem - nie po to, żeby flirtować, ale mieć poczucie, że coś jeszcze robi jak należy.

- Maaaamooooo! - Z dołu napłynęło wołanie Leo i Zoe pobiegła na dół, aby rozprawić się z kolejnym kryzysem.

Z chwilą gdy Bertie zwęszył kanapki, nie sposób było utrzymać go na smyczy i Natalie pokonała drogę z parkingu biegiem. Wolała nie myśleć, jaki będzie jego następny krok.

- Johnny! Johnny, weź go na spacer, niech się zmęczy! - stęknęła, kurczowo trzymając się smyczy. - Tylko niech się w niczym nie wytarza. Ma być jak najdłużej możliwie czysty i pachnący.

Wprawdzie rano wykapali go przed spotkaniem z nowymi opiekunami, ale w głębi serca miała nadzieję, że wytarza się w jakimś świństwie i tamci w popłochu zdecydują się na coś mniejszego i bardziej higienicznego.

- Myślisz, że wie? - Johnny patrzył na Bertiego z rozpaczą.

- Myślisz, że coś przeczuwa?

- Nie - zapewniła, żeby go pocieszyć. - Ależ skąd.

- A pamiętasz, jak przychodziliśmy z nim na początku? Piszczął i nie chciał iść, bo myślał, że go oddajemy. - Johnny miał minę niemal równie rozdzierającą jak baset. - A potem doszedł do siebie.

- Johnny, tylko nie zaczynaj - powiedziała Natalie. - Proszę cię. No już, idź z nim na długi spacer. Obaj lepiej się poczujecie.

- Pójdiesz z nami? - Nie dodał „na ostatni spacer”, ale słowa zawisły w powietrzu.

Natalie stwierdziła, że ktoś musi tu wykazać hart ducha.

- Nie mogę. Jest tyle do zrobienia. Muszę sprawdzić, czy zestawy dla sponsorów są gotowe i czy nie brakuje ulotek. - Usiłowała nie patrzeć na Bertiego, na jego piękne aksamitne uszy, które zakładała mu na oczy jak maskę. - Przejdźcie dookoła sadu, a potem ścieżką w stronę zagajnika. Tylko nie prowadź go do parku, bo będzie szalał.

- Dobrze - odpowiedział Johnny i cmoknął na Bertiego. Kiedy to nie pomogło, zagrzechotał paczką z suchą karmą w kieszeni i Bertie posłusznie podreptał za nim, z ogonem wygiętym nad długim grzbietem w znak zapytania.

Natalie patrzyła, dopóki nie znikli jej z oczu, po czym z westchnieniem udała się do głównej kwatery Rachel - czyli kuchni.

Panowało tu jeszcze większe zamieszanie niż zwykle. Psy nie miały wstępu i kilka, w tym Klejnot, stało smętnie za bramką i śledziło, co się dzieje. Freda robiła stopy kanapek dla wszystkich, Rachel zaś, w dżinsach, czarnym podkoszulku i niewiarygodnym żakiecie wydawała polecenia ochotnikom. Natalie rozpoznała wśród nich Teda, męża Fredy, paru uczniów ze szkoły oraz Lauren z kliniki.

Bill stał przy szafce i przeglądał apteczkę tak wiekową, że Natalie prawie spodziewała się ujrzeć w niej pijawki.

- Dzień dobry! - zawołała.

Rachel obróciła się na pięcie i zobaczyła pod jej oczami ciemne obwódki, jakby przez całą noc nie zmrużyła oka.

- Super, że jesteś. Jeszcze tylko brakuje Zoe.

Natalie podchwyciła spojrzenie Billa, który lekko poróżowiał. Była ciekawa, co się dzieje; od pewnego czasu nie wspominał o żadnych spotkaniach, chociaż wcześniej opowiadał o niej jak nakręcony, a pochłonięta własnymi sprawami nie miała okazji go spytać. Obiecała sobie porozmawiać z nim na osobności i zobaczyć, czy coś da się zrobić. Bądź co bądź, tamten niefortunny incydent w parku zdarzył się z jej winy.

- Co mam robić? - zapytała. Rachel ślaniała się na nogach.

- Sama nie wiem. Wszystko? Do drugiej w nocy kąpałam cholerne psy i czyściłam psiarnię. Nie pamiętam, jak się nazywam.

- Co my tu mamy? - Natalie wyjęła jej z ręki notes i poczęła rozstawiać wszystkich jak figurki szachowe. Dzięki temu nie musiała przynajmniej myśleć o Bertiem.

O jedenastej wyszło słońce i ludzie zaczęli się schodzić, na przekór obawom Rachel, że będą zmuszeni zjeść stos kanapek tylko w dziesięcioro.

Natalie próbowała ją pocieszyć, ale od początku wyczuwała w niej napięcie.

- Dobrze się czujesz? - zapytała, kiedy zostały same w psiarni. Aby nie drażnić psów zbyt dużą liczbą gości naraz, Megan i Rachel postanowiły oprowadzać ich turami. Wszystkie boksy aż lśniły na użytek przyszłych sponsorów.

- To dla mnie... duża presja - odpowiedziała Rachel. Zawahała się i Natalie zrozumiała, że woli nie wspominać o ciąży.

- Nadal masz mdłości? - spytała mężnie. - To już chyba trzeci miesiąc, prawda?

Rachel spojrzała na nią z wdzięcznością, a Natalie pomyślała nie bez goryczy, że zyskała przyjaciółkę, która nigdy nie zrozumie, jak trudno przebywać w jej obecności.

- Mdłości? Nie mam czasu na mdłości. Trzęsę się, czy wszystko jest jak należy - oznajmiła Rachel. - Jeśli się uda, daleko mi do zacięcia Dot. Nie znam się na interesach tak jak ty i boję się, czy wszystkiemu podołam. Przez większość czasu nie mam pojęcia, co robię. Jak w dziwnym śnie, gdzie psy zaczynają gadać, a ja budzę się z powrotem w Londynie.

Natalie dotknęła krzepiąco jej ramienia. Rachel jak zwykle wyglądała w dzinsach fantastycznie, ale Natalie widziała, że podkoszulek zakrywa rozpięty guzik.

- Nie jesteś sama. Wszystko się uda, zobaczysz - zapewniła. - Ręczę swoją reputacją dyrektora marketingu.

Rachel przymknęła oczy.

- Zrobiłaś, co w twojej mocy - uzupełniła Natalie. - Poczekaj do wpół do szóstej, jak zaczniemy przeliczać łupy, dobrze?

Te słowa sprawiły, że Rachel wzięła się w garść.

- Dobrze - odpowiedziała z krzywym uśmiechem. - Wpół do szóstej, drinki dla wszystkich. Oprócz mnie.

Natalie stanęła przy furtce do sadu, witając gości i rozdając broszury na temat schroniska. Napływały kolejne psy oraz ich właściciele, wśród których dostrzegła wiele znajomych twarzy.

Sad wyglądał naprawdę przepięknie; pod obsypanymi kwieciami drzewami stało kilka straganów - z ciastem, loteryjką, ulotkami o pielęgnacji psów, uzupełnionymi przez Rachel drobiazgami ufundowanymi przez sklep zoologiczny. Było też stoisko, przy którym malowano twarze i oferowano drobne zabiegi stylizacyjne (dla psów), prowadzone przez studentów, oraz stół z pucharami dla zwycięzców w konkursach.

Według tabliczek, które Megan przypięła do drzew, przewidziano następujące konkurencje: Merdający Ogon, Jaki Pan, Taki Pies, Najbardziej Pomysłowe Przebranie, Najprzystojniejszy Pies, Najładniejsza Suczka, Zgadnij, Ile Ważę, oraz Najlepsi Przyjaciele.

Bertie ma szanse na zwycięstwo w co najmniej trzech kategoriach, uznała, dopisując jego imię przy Merdającym Ogonie, Najprzystojniejszym Psie oraz Najlepsi Przyjaciele. Zawahała się przy Jaki Pan, Taki Pies, ale postanowiła zaryzykować, choćby po to, żeby poprawić humor Johnny'emu. Obaj gdzieś przepadli; pewnie ostatni spacer miał być najdłuższym.

Wyjęła komórkę i sprawdziła, czy dzwonił, ale nie. Wybierając jego numer, zobaczyła, że Megan daje jej znaki

przy stoisku Fredy. Towarzyszyły jej dwie osoby i Natalie od razu zrozumiała, do czego jest potrzebna.

Wyglądali na miłych ludzi. Co tylko pogarszało sprawę.

Wzięła głęboki oddech i podeszła się przywitać. Ze ściśniętym sercem, ale uśmiechem przylepionym do ust.

- Musisz kogoś poznać, Natalie. - Megan z uśmiechem wskazała na mężczyznę i kobietę, którzy skwapliwie uścisnęli dłoń Natalie. - Adam i Paula. A to jest Natalie, która przez ostatnie miesiące tak wspaniale opiekowała się Bertiem.

- Och, to nie było trudne - odrzekła Natalie. - To wspaniały pies.

- Można go jeść łyżkami - przytaknęła Megan. - Naprawdę nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego ktoś go zostawił!

- Ale bywa niegrzeczny - dorzuciła Natalie bez namysłu.

- Nauczył się otwierać lodówkę. Wyje jak potępieniec. I najchętniej będzie spał w waszym łóżku.

- Nat! - Megan spojrzała na nią z ukosa. - Nie przestrasz ich!

- Jesteśmy przyzwyczajeni do basetów - odpowiedział Adam. Przewrócił oczami. - Znamy ich upodobanie do lisiej kupy, głuchotę i linienie.

- Mamy już dwa - wyjaśniła jego żona. - Innego byśmy nie wzięli! Mają charakterek.

- Podziwiam cię - podjął Adam. - Ja nie dałbym rady. W ciągu miesiąca mielibyśmy u siebie stado psów! A potem nie mógłbym się z nimi rozstać!

- Natalie i Johnny to niezwykli ludzie - wtrąciła Megan.

- Gdyby mogli, wzięliby go do siebie na stałe.

- O tak - odpowiedziała Natalie. - Bez wahania. Uhm, Bertie jest z moim mężem... wysłałam ich na krótki spacer, ale długo nie wracają. Mam zadzwonić?

- Bardzo prosimy! - odrzekła Paula. Wyglądała na szczerze podekscytowaną. - Nie możemy się doczekać, żeby go zobaczyć.

Natalie z bólem serca wyobraziła sobie Bertiego na tylnym siedzeniu ich samochodu, odjeżdżającego w dal. Zostanie po nim tylko puste legowisko w kuchni.

- Pochodzimy sobie - oznajmiła Megan. - Daj znać, jak ich znajdziesz.

- Na pewno zaraz wrócą - skwitowała Natalie i uciekła, żeby nie widzieli jej twarzy.

- Trzymaj mocno, Leo. Toffi, siad! Siad, mówię!

Zoe próbowała przymocować mu do głowy królicze uszy, gdy naraz usłyszała za sobą znajomy głos.

- W życiu nie widziałem takiego wspaniałego królika i iluzjonisty!

Odwróciła się niezdarnie, bo kuciała na piętach, na wysokości głowy Toffiego. Bill stał za nią z Lulu na nowej srebrzystej smyczy. Wyglądała na świeżo ostrzyżoną, jakby chciała zadać szyku na przekór całemu światu.

- Wiesz, czego ci brakuje, prawda? - Uśmiechnął się do Leo, który patrzył na niego z zadartą głową. - Tego!

Wyjął z kieszeni białą chusteczkę, strzepnął ją i z powagą wręczył chłopcu.

- Co się mówi? - przypomniała Zoe.

- Dziękuję - odpowiedział posłusznie Leo.

- Maaamooo - włączył się Spencer. - Ja chcę loooda.

- Nie teraz - oznajmiła kategorycznym tonem. - Zaraz będzie konkurs. Na lody pójdziemy później.

- Daj mi pieniądze, to sam pójdę.

- Nie. - Zoe spiorunowała go wzrokiem. Jeszcze tego brakowało, żeby w obecności Billa zrobił scenę. - Masz poczekać.

- Co słyhać? - zapytał Bill. - Brakowało nam ciebie w czasie popołudniowych spacerów.

- Och, miałam tyle pracy. Ledwo wychodzi słońce, a każdy chce mieć pasemka. - Być może była to zasługa wiosennej temperatury, ale Zoe poczuła, jakby nagle zrobiło się cieplej. Zdażyła zapomnieć, jak miło stoi się obok Billa. Przy nim od razu czuła się młodsza i mniej zaganiana.

Zatrzeszczał megafon i nad sadem rozniósł się głos Megan.

- Wszystkich uczestników konkursu na najbardziej pomysłowy strój prosimy tutaj. Wiwat!

Zoe chciała wziąć Leo za rękę, ale jej nie pozwolił.

- Pójdę sam - oznajmił. - Jestem dużym chłopcem.

- Nieprawda, smarkacz z ciebie - prychnął Spencer. Zoe obrzuciła go swoim najbardziej złowieszczym spojrzeniem, a on w odpowiedzi wepchnął język pod dolną wargę.

Tylko spokój, pomyślała. Ignoruj złe, nagradzaj dobre.

- Idź, Leo. - Zoe lekko popchnęła synka. - Będziemy patrzeć stąd! Powodzenia!

Oboje z Billem obserwowali, jak podąża do Megan, która powitała go z otwartymi ramionami i wesołym uśmiechem.

- Pierwszą nagrodę ma jak w banku - powiedział Bill, trąc ją łokciem. Koszula musnęła gołą skórę Zoe, przyprawiając ją o ciarki na plecach.

Zobaczyła, że Spencer rozgląda się nadąsany, i zapytała Billa o jego plany namawiania pacjentów na spacerzy z psami dla zdrowia. Chwilę rozmawiali, po czym bili brawo, kiedy Leo odbierał puchar z rąk pani burmistrzowej. Wygrali z bokserem przebranym za dalmatyńczyka, dwoma kłownami i Supermanem.

- Czyli lody dla wszystkich - oświadczył Bill.

- Tak, lody! Jakie chcesz, Spencer? - Zoe rozejrzała się, nie słysząc odpowiedzi. - Spencer?

Spencer zniknął.

Och, na miłość boską, pomyślała z irytacją. No i polazł gdzieś.

Była to jedna z nowych, denerwujących zagrywek Spencera, mających na celu wyprowadzić ją z równowagi: oddalał się niepostrzeżenie, na przykład podczas zakupów, a ona umierała ze strachu. Było to tym bardziej wkurzające, że działało za każdym razem, a ilekroć go znajdowała, odstawiał przedstawienie pod tytułem „Maaamooo, ja tylko przeglądałem gazetę/ patrzyłem na psa/dłubałem w nosie”.

- Jakiś problem? - zapytał Bill, kiedy Leo przybiegł do nich w podskokach, a za nim Toffi bez króliczych uszu.

- Spencer. Chyba postanowił sam kupić lody. - Spojrzała przepraszająco. - Wybacz, przechodzi denerwującą fazę.

Bill rozejrzał się dookoła.

- Lepiej przywyknij. To dotyczy każdego osobnika płci męskiej od piętnastego do osiemdziesiątego roku życia. Mam tu zostać, na wypadek gdyby wrócił?

- A mógłbyś? - Ucieszyła się, że zaproponował to tak naturalnie. - Zaraz wrócę. Weź smycz. Przynieść ci coś?

- Gwiazdkę z nieba. - Bill mrugnął do Leo, który patrzył spode łba, jak Toffi obwąchuje Lulu. - Nie martw się, Leo, to starzy znajomi.

- Idziemy. - Zoe wzięła Leo na ręce. Nieważne, że był na to za duży: chciała wrócić, zanim zjawi się Spencer i na dobre zrazi Billa do ich rodziny.

Natalie zadzwoniła na komórkę Johnny'ego, ale nie odebrał, a potem zaczęły ją dwie przemiłe panie z piekarni przy ratuszu, które bardzo chciały dofinansować schronisko, pod warunkiem że zamieszkają w nim same owczarki niemieckie.

Kiedy skończyła je oprowadzać i wytłumaczyła, że schronisko przeznaczone jest dla wszystkich psów, Bertie i

Johnny wciąż nie dawali znaku życia, toteż przeszła na skraj sadu w nadziei na lepszy zasięg. Nie zdążyła wybrać numeru, gdy na ścieżce pojawił się Johnny. Pomachała ręką, żeby ją zauważył.

Kiedy podszedł bliżej, zobaczyła, że jest sam. Bez Bertiego.

Pobiegła do niego przestraszona.

- Co się stało?

Johnny był czerwony jak burak, a na jego czole perlily się krople potu.

- Zgubiłem go. - Oparł ręce na kolanach, z trudem chwytając oddech.

- Słucham?

- Zgubiłem Bertiego. Spuściłem go ze smyczy, dosłownie na chwilę, żeby się wysikać w tych gęstych zaroślach na skraju sadu, a on chyba coś poczuł, bo... zniknął. - Natalie widziała, że jest bliski paniki. - Stał tam, a potem tylko zobaczyłem ogon i już go nie było! Musiał zwietrzyć zająca, czy coś.

Serce podeszło jej do gardła. Bertie wyglądał na piecucha, ale gdy postanowił działać, żadna siła nie mogła go zatrzymać. Wystarczył ułamek sekundy i zniknął jak kamfora.

- Wołałeś go?

- Czy go wołałem? No pewnie, że wołałem, do licha. - Johnny spojrzał na nią z rozpaczą. - Ale sama wiesz, że on nie reaguje, Nat. Musiałbym skwierczeć jak pieczony kurczak.

- To nie jest śmieszne. Co ci strzeliło do głowy? Nigdy go nie spuszczam, gdy nie mogę go widzieć. - Natalie złapała się za głowę. - Masz pojęcie, jaki jest ten las? Ogromny. - Las Collingdale ciągnął się od Czterech Dębów w kierunku Rosehill, a pomiędzy nimi była ruchliwa szosa. Ale tam jest ściana, pocieszała się Natalie, i pole po drugiej stronie - musiałyby przebiec kawał drogi, żeby dotrzeć do autostrady.

Ale las był wielki, to fakt. Naraz uderzyła ją straszna myśl.

- Przecież tam są sidła, nie? I zajęcze nory. Jezu, Jon, a jak wpadnie do dziury i nie będzie mógł wyjść? Albo wpakuje nos we wnyki? - Głos jej się załamał i zasłoniła ręką usta. Wiedziała, że przesadza, lecz napięcie ostatnich miesięcy w połączeniu z lękiem o łatwowieznego, wścibskiego psa okazało się nie do zniesienia.

Johnny położył jej ręce na ramionach.

- Spokojnie. Znajdziemy go.

- Tylko nie mów Megan. Jest z ludźmi, którzy przyjechali go adoptować. Szukają nas! Boże, a jeśli jest ranny? Jak go znajdziemy?

- Natalie. - Johnny potrząsnął ją delikatnie. - Przecież to Bertie. Pół godziny pobiega po lesie, wytarza się w kupie, a potem wróci do schroniska po kanapkę.

- Może powinniśmy sprawdzić, czy przyszedł. - Natalie ruszyła przed siebie, po czym stanęła. - Johnny...

Zatrzymajmy go, miała na końcu języka. Nie pozwólmy mu odejść.

Przystanął, wciąż czerwony na twarzy.

- Co? Tracimy czas.

- Już nic - powiedziała i poszła za nim.

Kiedy Spencera nie było już pół godziny, a Zoe zrobiła cztery rundki wokół sadu w eskorcie Leo i Toffiego, w miejsce irytacji pojawił się strach.

- Na pewno nie wiesz, dokąd mógł pójść? - zapytała synka dziesiąty raz. Wokół było tylu ludzi i tyle psów, że nie była nawet w stanie stwierdzić, czy Spencer nie chowa się za drzewem. - Nie mówił nic, że chce iść do miasta? Nie poszedł tam sam?

Leo przygryzł wargę, unikając jej spojrzenia. Zoe przykucnęła obok i owinęła sobie smycz wokół nadgarstka, żeby Toffi nie uciekł.

- No powiedz, Leelee - poprosiła. - Nie będę się gniewać.

- Spencer mówił wczoraj, że pójdzie do tatusia, ale myślałem, że ma na myśli przyszły tydzień. A nie teraz. - Leo poczerwieniał. - Chyba nie chciał iść teraz. Jak znajdzie tatusia? Przecież tatusia tu nie ma! I zabrał plecak z rzeczami Toffiego.

O cholera, pomyślała Zoe. Wstała, żeby Leo nie widział, jaka jest roztrzęsiona. Spencer mógł wyjść przez bramkę do ogrodu, a potem do miasta, albo poszedł na przełaj przez pole.

Jest zbyt mądry, żeby wsiąść do czyjegoś samochodu, pocieszała się w duchu. Ale jeśli faktycznie postanowił zobaczyć się z Davidem?

- Chyba musimy się porządnie rozejrzeć - oznajmiła.

- Niegrzeczny Spencer... przez niego biedny Toffi nie pójdzie na swoją lekcję!

- Niegrzeczny Spencer - zgodził się Leo i złapał ją za rękę, jakby w obawie, że też ucieknie.

- Zastanówmy się. - Zoe rozejrzała się za jasnymi warkoczykami Megan i dostrzegła ją przy straganie z ulotkami, rozpływającą się nad zaciętrzewionym terierem szkockim, który wyglądał jak monstualny wąsik Hitlera. - Może pójdziemy do Megan i pokażemy jej twój śliczny kostium?

Ruszyła naprzód tak szybko, że Leo i Toffi ledwo mogli za nią nadążyć. Zjawili się w chwili, gdy Megan pospiesznie cofała rękę.

- Megan, popilnowałabyś Leo przez pięć minut?

- A co? - Megan potrząsnęła palcami i zdobyła się na bohaterski uśmiech.

Zoe zniżyła głos.

- Spencer uciekł. Muszę powiedzieć Rachel, żeby ogłosiła to przez mikrofon, ale nie chcę niepokoić Leo. Odwróciłabyś na chwilę jego uwagę?

- O nie! - Oczy Megan zrobiły się okrągłe z przerażenia. - No jasne! Ale on zaraz przyjdzie, Zoe, nie odszedł daleko. Mam wysłać za nim jednego z psów? Na pewno go znajdzie! Chętnie bym to zobaczyła.

- Nie! Byłby przerażony! To moja wina. Rozmawiałam z Billem, a on zaczął się nudzić i kazałam mu siedzieć cicho! Bo chciałam rozmawiać z Billem! - Zoe jęknęła. - Jestem beznadziejną matką. Ważniejsze są dla mnie głupie amory niż...

Megan złapała ją za rękę.

- Nie pleć głupstw, Zoe. Masz prawo mieć przyjaciół, na miłość boską. I co, tak będzie za każdym razem, kiedy kogoś poznasz? Tu też chodzi o granice. Spencer musi wiedzieć, że go kochasz, ale nie może wечно zwracać na siebie twojej uwagi. Nie pozwoliłabyś, żeby Toffi wył i sikał dla zwrócenia na siebie uwagi, prawda?

Zoe z rezygnacją pokręciła głową.

- No widzisz. Znajdź go i mu to powiedz, tylko spokojnie. Leo Graham! - zawołała innym głosem. - Mamy teraz konkurs Zgadnij, Ile Ważę i potrzebuję psiego eksperta! Pomożesz mi?

Odciągnęła chłopca w stronę wielkiego bernardyna siedzącego obok stolika dla sponsorów, a Zoe z sercem w gardle ruszyła na poszukiwanie Rachel i mikrofonu.

Bertiego nie było w schronisku.

Nie było go też przy stoisku z kanapkami ani w domu.

Natalie odchodziła od zmysłów i widziała, że Johnny czuje to samo, choć zachowywał kamienną twarz, jak na doświadczonego nauczyciela przystało. Powtarzał jej, żeby przestała panikować, ale sam gryzł paznokcie i marszczył brwi, kiedy myślał, że Natalie patrzy w inną stronę.

- Najlepszym rozwiązaniem będzie pójście do lasu - oznajmił, prowadząc ją boczną dróżką z dala od oczu Megan.
- Tam mnie widział ostatnio i może nas znajdzie.

Natalie nie chciała mu mówić, że według przewodników basety szły z nosem przy ziemi, dopóki miały trop, a gdy wreszcie podnosiły głowę, były już wiele mil dalej.

- Ale co, jeśli się zgubił?

- Nie zgubił się, tylko gdzieś pobiegł, w biały dzień i niedaleko od domu! - pocieszał Johnny, obejmując ją ramieniem, gdy potykali się o kopce kretów. - Daj spokój, Nat, przecież on nie ma pojęcia, że przyjechali jego nowi opiekunowie. Przestań myśleć, że spakował węzełek i dał nogę.

Kiedy to powiedział, Natalie wyobraziła sobie oszołomiony pysk Bertiego na widok obcych ludzi i zaszlochała.

- Ja też go kocham, Natalie, ale to pies...

- Nie chodzi tylko o niego. - Zniknięcie Bertiego było ostatnią kroplą, która przepełniła czarę. - Chodzi o wszystko!

- Jakie znowu wszystko? - zapytał Johnny. Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- O wszystko, o czym nie rozmawiamy! O moją pracę, o dziecko, o badania. O wszystko! Tyle się dzieje, a ty każesz mi samej decydować, dłużej tego nie wytrzymam! - Pomachała rękami.

- Czy zatrzymamy Bertiego? Czy mam wrócić do pracy? Czy podejmiemy leczenie? A ty mi mówisz: „Twój wybór, Nat”. Mam wrażenie, jakbym jeszcze miesiąc temu wiedziała o tobie wszystko, a teraz... teraz zachowujesz się jak obcy człowiek, który nie chce mi powiedzieć, co mu chodzi po głowie! Śpisz obok mnie, ale jakby cię w ogóle nie było.

- Przestań. - Johnny chciał odwrócić głowę, ale mu nie pozwoliła.

- Musisz się otrząsnąć, Johnny. Bo inaczej szkoda zachodu! - Nie wiedziała, skąd się wzięły te słowa, ale zrozumiała, że mówi serio.

Na to zareagował.

- O czym ty mówisz? - zapytał.

- Ja... - Natalie utkwiała wzrok w mężu i po raz pierwszy ujrzała w nim dorosłego człowieka, a nie niezdarnego licealistę, którego wciąż widziała oczami wyobraźni. Człowieka, z którym obiecała spędzić resztę życia, milczącego i strapionego, a nie pełnego nadziei nastolatka, który patrzył na świat przez różowe okulary. Ten drugi zniknął na zawsze, po pierwszym badaniu. Natalie nie była pewna, czy zna tego nowego Johnny'ego.

- Ja już sama nie wiem, czego chcesz - uzupełniła.

- Nie wiesz, czego chcę.

- Nie, nie wiem. - Potrząsnęła głową, czując, że stanęli na rozdrożu i wystarczy jedno nieostrożne słowo, aby wkroczyć na drogę bez powrotu.

Też wybrałam sobie moment, pomyślała, z trudem trzymając nerwy na wodzy - Bertie może ucieka albo leży gdzieś ranny, lecz jeśli ta rozmowa do niczego nie doprowadzi, jeśli wreszcie czegoś z niego nie wyduszę, to może być koniec wszystkiego. Ze zdenerwowania aż mrowiło ją w palcach.

Johnny ruszył w stronę zagajnika, po czym zawrócił. Miał zaciętą, przestraszoną twarz.

- Zawsze chciałem tylko ciebie - oznajmił. - Ty i rodzina, na niczym innym mi nie zależało. Myślałem, że to się po prostu stanie, tak jak to, że pobraliśmy się i znaleźliśmy pracę. Miałem tyle szczęścia. A teraz nie mogę dać ci dziecka i boję się, co będzie dalej. To dlatego nie chcę o tym rozmawiać, rozumiemy się?

- Bo myślałeś, że jaka będzie moja odpowiedź? - zapytała Natalie.

- Jednoznaczna - odparł po prostu. - Że postanowisz znaleźć kogoś lepszego. Bogatszego. Dzięki komu już nigdy nie będziesz musiała pracować, tylko będziesz opiekować się psem i rodzić dzieci. I staniesz się jedynym powodem, dla którego będzie wracał do domu jak na skrzydłach. A ja... - Chwycił haust powietrza. - A ja jestem tylko bezużytecznym śmieciem, który nie potrafi nawet ci powiedzieć, co czuje. Wiem, że jesteś za dobra, żeby odejść, więc pomyślałem, że... - zamrugął - ...że może powinienem zwrócić ci wolność.

- Że co proszę? - Natalie nie wierzyła własnym uszom. - Czyś ty oszalał? Naprawdę tak myślałeś?

Kiwnął głową, niezdolny wydusić głosu.

- Co za idiota! - Zarzuciła mężowi ręce na szyję i stanęła na palcach, żeby spojrzeć mu w twarz. Na samą myśl o tym, co sobie uroił, chciało jej się płakać. - Tylko ciebie chcę, a jeśli nie będziemy mieć dzieci, mówi się trudno. Nie zostawię ciebie i tego, co mamy, z powodu tego, czego nie mamy. To bez sensu.

- Nie mam prawa cię o to prosić - wymamrotał. - Nie będziesz poświęcać się przez resztę życia. Dla mnie.

Natalie twardo utkwiała w nim wzrok. Stopy bolały ją od stania na palcach, ale nie zwracała na to uwagi.

- To żadne poświęcenie. Tego właśnie chcę. I gdybyś mnie zapytał, usłyszałybyś to samo. Dlaczego nie zapytałeś?

- To trudne. - Skrzywił się z zażenowania. - Ciężko o tym rozmawiać. Jak jest się mężczyzną.

- Nie można mieć wszystkiego, Johnny. A my mamy dużo. I wiesz, co ci powiem - ciągnęła, a słowa płynęły nie wiedzieć skąd. - Poczekam do końca urlopu. I dowiem się wszystkiego, co może nam pomóc. A Bertiego nie oddamy.

- Ale co z twoją pracą? - Był zdumiony, ale nie krył ulgi.

- Coś wymyślimy. - Natalie poczuła, że odrywa się od ziemi, bo Johnny nagle objął ją mocno i przytulił. - Nie chcę siał paniki - szepnęła mu do ucha, kiedy całował jej szyję i włosy - ale jeszcze musimy znaleźć naszego psa.

Od razu ją puścił i spoważniał.

- Prawda. Może już wraca.

Ruszyli naprzód szybkim krokiem i Johnny próbował dodzwonić się do Billa. Dotarli do rozwidlenia w drodze; obie ścieżki ginęły wśród drzew. Johnny wskazał na tę po lewej stronie.

- Idź tędy, a ja pójdę główną drogą. Masz przy sobie gwizdek?

Natalie skinęła głową, choć nie zdarzyło się jeszcze, żeby Bertie na niego zareagował. Zgnębiona podążała przed siebie, wypatrując w podszyciu śladów białego ogona lub brązowych uszu. Gałęzie drapały jej ramiona i nogi, ale prawie tego nie zauważała.

- Bertie! Bertie! - wołała, co rusz dmuchając w gwizdek. Z drugiej strony, zza sosen, dobiegało wołanie Johnny'ego, a wyobrażenia podsuwała jej straszne obrazy.

Niech będzie cały i zdrowy, myślała, a łzy leciały jej strumieniami. Wtedy wszystko będzie dobrze. I między nami będzie dobrze, niech tylko wróci.

Miała poczucie, jakby szła i krzyczała godzinami, gdy naraz na polanie mignęło coś białego i brązowego. Serce podskoczyło jej w piersi.

- Johnny! Tutaj! - wrzasnęła, brnąc przez zarośla. Coś białe - brązowe leżało bez ruchu, a gdy Natalie podeszła bliżej, ulga ustąpiła miejsca przerażeniu. Na śnieżnobiałym pysku i szyi widniała przyschnięta czerwona struga.

Natalie nie miała pojęcia, kiedy przebyła dzielącą ich odległość.

Nagle zobaczyła, że nie jest sam.

Bertie leżał obok chłopca, który zanosił się rozpaczliwym płaczem, aż podskakiwały mu chudziutkie ramiona. Gołe nogi i ręce miał całe w zadrapaniach i trzymał na kolanach głowę Bertiego. Krew na pysku i nosie Bertiego chyba nie należała do chłopca, a sądząc po tym, jak tulił psa, raczej nie został pogryziony.

O Boże, pomyślała Natalie. Pewnie wpakował nos w sidła i go złamał! Ależ musi cierpieć!

Baset leżał nieruchomo, ale na widok Natalie niemrawo machnął ogonem. Nie zrobił tego ze zwykłą werwą i Natalie mało nie pękło serce.

Przypadła do Bertiego i chłopca. To było silniejsze od niej: jedną ręką przytuliła psa, a drugą wyciągnęła do płaczącego dziecka. Chłopiec przytulił się do niej, obejmując ją oburącz. Gdzieś już go widziała... usiłowała sobie przypomnieć. W schronisku?

- Nic mu nie jest? A tobie? - Walczyła ze sobą, żeby nie wybuchnąć płaczem. Co się stało Bertiemu? Co widział ten mały? - Już dobrze, już dobrze. Ciii...

Przybiegł zdyszany Johnny, a po chwili Bill z Lulu, przeskakującą nad gałęziami jak kędzierzawy jelonek.

Na widok Billa chłopiec rozplakał się jeszcze bardziej.

- Spokojnie, Spencer - powiedział Bill, przyklękając obok. Odsunął Natalie, niby żeby obejrzeć chłopca, ale tak naprawdę aby zasłonić Bertiego, którym zajął się Johnny. - Co to za fontanny, stary? Boli cię coś? Czy tylko jesteś podrapany?

Johnny pochylał się nad psem.

- Nie patrz, Nat - rzucił. - Zajmij się Spencerem.

- Kiedy ja chcę zobaczyć! - załkała. - Co mu się stało, Joanny? Dzwonić po weterynarza? - Trzęsącymi się rękami wyjęła telefon. - Na pewno go zastanę... Boże, nie mam numeru George'a.

- Co się stało Bertiemu, Spencerze? - spytał Bill opanowanym lekarskim głosem. - Co widziałeś?

- Gonił mnie. - Spencer czknął tak, że prawie go zatkało. - A potem upadłem. Dorwał się do mojego plecaka, a potem... potem...

- Natalie - odezwał się Johnny z powagą. - Musisz to zobaczyć.

- A potem zeżarł mi kanapkę! - Spencer rozryczał się na nowo, a następnie spojrział żałośnie na Billa i zwymiotował mu na ubranie.

Johnny podniósł z ziemi papier śniadaniowy, ubrudzony keczupem, pokrywającym obficie białą sierść Bertiego.

- Jeśli ma z nami zostać, musisz go nauczyć dobrych manier - oświadczył łagodnie. - Co jak co, ale zdolności aktorskie ma na piątkę.

Komórka Zoe rozdzwoniła się w chwili, gdy Megan wypytała wszystkich, czy nie widzieli siedmiolatka w białej koszulce „Ben 10”.

- Nie zgubiłaś czegoś? - spytał Bill.

Zoe mało nie osłabła z ulgi. Powiedział, gdzie ich szukać, i w te pędy pobiegła do lasu. Bill, Johnny, Natalie i Spencer wyszli jej naprzeciw, z Lulu i potulnym Bertiem na smyczy.

Natalie i Johnny sprawiali wrażenie wycieńczonych, a nową koszulę, spodnie i zamszowe buty Billa pokrywały wymiociny. Spencer za to miał tylko małą plamkę na koszulce.

- Boże, co się stało! - krzyknęła.

- Znaleźliśmy Spencera. Chyba zjadłeś coś, czego nie powinieneś, prawda? - Bill zerknął z ukosa na minę Spencera,

a Zoe pomyślała mimowolnie, że nawet cały w wymiocinach wygląda bosko. - Jakieś jagódki, hm? I trochę się zdenerwowałaś.

Spencer markotnie pokiwał głową.

- Ale pojedziemy do przychodni i sprawdzimy dokładnie - ciągnął Bill, nie zwracając uwagi na stan swojej odzieży.

- Specjalnym przyrządem do mierzenia wymiotliwości.

Spencer ożywił się nieco.

- Coś ty zjadł? - zapytała z niepokojem Zoe. - Nie mówiłam ci, że w lesie nie wolno nic zbierać? - Próbowала się nie rozpłakać, co zważywszy na stan jej nerwów, okazało się niezwykle trudne. - Tak się martwiłam!

Wyciągnęła ręce i przypadł do mamy, wciskając jej głowę pod rękę. Kiedy Zoe udało się zapanować nad łzami, odsunęła go na odległość ramienia, żeby zobaczyć, jak się niepokoila.

- Dokąd się wybierałaś, Spencerze? Co robiłaś w lesie? Wargi mu zadrzały, najpierw lekko, a potem mocniej.

- Zjadł moją kanapkę z bekonem! Obie kanapki, i nie miałem z czym iść!

Natalie przykucnęła obok i otoczyła ramieniem drżące barki Zoe.

- Myślę, że Spencer bardzo rozsądnie uznał, że skoro ma uciec, przyda mu się coś do jedzenia. - Mówiła rzeczowym tonem, jak Bill. - Dlatego wziął od Fredy dwie kanapki i schował je do plecaka, ale wszyscy wiemy, kto tu jest największym amatorem kanapek, prawda? - Znacząco popatrzyła na Bertiego. - I lubi grzebać w cudzych plecakach? Pewnie włóczył się w pobliżu sadu, znalazł Spencera i zwęszył boczek.

Bertie milczał jak głaz, ale miał keczup na pysku i minę winowajcy.

- Będiesz wiedziała, co z tym zrobić. My musimy znaleźć Rachel. - Rzuciła mężowi konspiracyjne spojrzenie. - Mamy coś do obgadania z nią i Megan.

- Dziękuję - powiedziała Zoe. - Macie u mnie lody. Ty też - dodała pod adresem Billa, usiłując nie patrzeć na jego koszulę. Sądząc po zdumionych minach Natalie i Johnny'ego, nawet oni byli wstrząśnięci tym, że w ogóle się nią nie przejął.

- Idziemy na lody? - zapytał Spencer z nadzieją.

Zoe zebrała się w sobie. Wiedziała, że musi zmierzyć się z problemami synka, choć nie bardzo wiedziała jak. Ale niech wie, że próbuje.

- Zaraz do was dołączymy, muszę tylko...

- Jasne - odparł z zakłopotaniem Bill. - Machnął smyczą na Lulu. - Lulu! Lulu, do nogi!

- Spójrz na mnie, Spencerze. - Uniosła jego podbródek, żeby spojrzeć jej w twarz i zobaczył, jaka jest zdenerwowana.

- Powiedz mi, co się dzieje? Dlaczego chciałeś uciec?

Z chwilą gdy zostali we dwoje, brawura ulotniła się bez śladu.

- Nie wiem, co zrobiłem. - Ukrył twarz w jej ramieniu i ledwie mogła rozróżnić słowa.

- Kiedy?

- Co zrobiłem, że tatuś nie chce mieszkać ze mną i Leo. Dlaczego widuje nas tylko w weekendy. - Wzniósł ku niej zapłakaną twarzyczkę i zrozumiała, że logika dorosłych stanowi dla niego przeszkodę nie do pokonania. - Callum ze szkoły mówi, że Jennifer będzie naszą nową mamą, a ty znajdziesz sobie nowego tatusia i będziesz nas widywać tylko w weekendy. To gdzie Leo i ja będziemy mieszkać?

Serce mało jej nie pękło.

- O nie - powiedziała. - Nie, nie, nie, nie. Wykluczone.

- Dlaczego nie możemy być prawdziwą rodziną? - Kąciki ust wygięły mu się ku dołowi, jak u pieska z kreskówki.

- Ależ my jesteśmy prawdziwą rodziną. - Posadziła go sobie na kolanie i mocno przytuliła. - Ty i ja, i Leo, i Toffi. A potem tatuś i... i... - Wiele ją to kosztowało. - Jennifer. Rodzina to ci, którzy cię kochają! A my cię bardzo kochamy.

- Znajdziesz nam nowego tatusia? - Spojrzał na nią i serce wezbrało jej czułością. Zawsze umiał przejrzeć ją na wylot.

Przypomniała sobie coś, co usłyszała od matki, kiedy Spencer był jeszcze bardzo mały - żeby uważała, co przy nim mówi, bo dzieci chłoną wszystko jak gąbka.

- Tatusia masz tylko jednego - oznajmiła. - Ale któregoś dnia mogę kogoś poznać i być może z nami zamieszka. Ale musiałby pokochać was tak samo jak mnie, bo ty, ja, Leo i Toffi jesteśmy nierozłączni, prawda? - Uścisnęła go jeszcze raz. - Prawda?

Pokiwał głową.

- A ty zawsze będziesz moim kochanym chłopcem. I najlepszym przyjacielem Leo. Toffi też się liczy, nie?

Spojrzała nad głową Spencera i zobaczyła, że Bill stoi przy drzewie, udając, że uczy Lulu nowej sztuczki. Zdążył już wytrzeć koszulę pękiem trawy, ale gryzło ją sumienie z powodu nowych butów, które pewnie kupił specjalnie po to, żeby ją spytać o radę.

Niemożliwe, żeby je doczyścił, pomyślała. Odkąd miała dzieci, na wywabianiu plam znała się jak nikt.

Rzucił Lulu przekąskę i spojrzał na Zoe, niepewnie unosząc brwi jakby pytał, czy wszystko w porządku. Jaki mężczyzna dałby na siebie zwymiotować, a potem zaoferował, że jeszcze zawiezie dziecko do przychodni? Pewnie taki, który traktuje was na poważnie, chociaż nie ma doświadczenia z dziećmi.

- Jak tam twój brzuszek? - zapytała Spencera. - Pojedziemy z Billem na badanie?

- Jestem głodny - oznajmił Spencer. - Możemy pójść na lody? Dlaczego ten pies wygląda jak owieczka? Czemu jest taki włochaty? Bill mówi, że Lulu to koleżanka Toffiego i że chodzicie razem na spacer, kiedy Leo i ja jesteśmy na treningu. Czy to prawda? Czy też możemy pójść? Właściwie to zjadłbym kanapkę.

Zoe wstała i Bill od razu do nich podszedł.

- Chyba wrócił do siebie - powiedziała. - W każdym razie na tyle, żeby uzupełnić paliwo.

- Podwieźć cię? - spytał Bill, a gdy Spencer kiwnął głową, schylił się i posadził go sobie na barana. Zdaniem Zoe było to dość ryzykowne posunięcie, zważywszy na podrażniony żołądek Spencera. Ale chłopiec tylko pisnął z zachwytu i chwycił Billa za kędzierzawe włosy.

- Ja też marzę o kanapce - oznajmił Bill. - I kąpieli.

- Wypiorę ci ubranie - powiedziała Zoe. - Przepraszam, chociaż tyle mogę zrobić.

Poczuła na sobie jego wzrok. Na szczęście Spencer pochłonięty był pokrzykiwaniem na Lulu i nie zauważył ich figlarnych spojrzeń.

- Nie możesz wciąż podrzucać mi rzeczy do pracy - zaoponował. - Kwiaty to jedno, ale koszula? Ludzie zaczną gadać.

- I dobrze - odpowiedziała i ruszyła w stronę bramki, twardo spoglądając przed siebie.

Jeśli miarą udanego dnia było zmęczenie, wykończona Rachel uznała, że festyn zakończył się spektakularnym sukcesem.

Hotel wzbudził duże zainteresowanie, ale goście przede wszystkim chcieli oglądać schronisko. Megan organizowała krótkie wycieczki, aby niepotrzebnie nie drażnić psów, i na zmianę oprowadzały gości, objaśniając wszystko i nie szczędząc wzruszających szczegółów.

Ku wielkiemu zadowoleniu Rachel psy zachowywały się wzorowo - wychodziły z ochotnikami na krótkie spacery po sadzie, dumnie obnosząc smycze z napisem „Szukam domu” - a tabliczki na boksach prawie wypłowywały od ciągłego czytania.

Natalie gdzieś znikła i Rachel musiała sama pertraktować ze sponsorami. Na przekór obawom, że nie ma smykałki Nat, poszło jej nadspodziewanie dobrze i odpowiadała na pytania będące zwykle domeną Megan. O drugiej zabrakło formularzy, a zapotrzebowanie było takie, że musiała pobiec do biura i dodrukować kolejny plik. Do wpół do czwartej załatwiła sponsorów na dziesięć spośród piętnastu boksów, a do tego żywność, transport, gazety, tymczasowych opiekunów i umówiła się na domowe wizyty. To było po prostu niesamowite.

Jej radość mąciła tylko nieobecność George'a. Przysłał Darrena, młodego weterynarza świeżo po studiach, który wyglądał góra na dwanaście lat i miał w razie czego służyć pomocą, lecz pomimo czeku od spółki Fenwick Armstrong Rachel była zawiedziona. Chciała jego czasu, nie pieniędzy.

Byłoby miło, myślała z irytacją, gdyby George raczył zaszczycić ich dziś swoją obecnością. Nie powiedziała mu, ile zależało od tego, jak potoczy się festyn - ale może właśnie o to chodziło. Musiała podjąć decyzję na podstawie faktów, a nie dobrego sprawowania.

- Pewnie dostał nagłe wezwanie - powiedziała Megan, czytając jej w myślach, gdy skończyły oprowadzać przedstawicieli rady miasta, którzy byli „zachwyceni” obecnym stanem rzeczy.

- Na pewno przyjedzie, jak tylko będzie mógł. - Wypuściła Yoshi, jednego z nowych jacków russellów, i założyła jej smycz.

- Fredę mamy z głowy, teraz muszę zająć się George'em. Yoshi byłaby jak znalazł, nie sądzisz? Akurat zmieści się w kieszeni kurtki. - Na potwierdzenie swych słów podniosła małego białego teriera, który gorliwie liznął ją w ucho.

- George twierdzi, że nie ma czasu na psa.

- Uhm, jasne. Pewnie, że ma. Dot mówił to samo i chyba weszło mu w krew. - Megan postawiła Yoshi i spojrzała na Rachel. - Skoro będzie miał dziecko, może mieć psa, tak? Przyda wam się jeszcze jeden.

Rachel skubnęła wargę. Megan była tak rzeczowa i prostolinijna, że coś ścisnęło ją w gardle. Nie lubiła gdy obchodzono się z nią jak z jajkiem.

- A co z zasadą o nieoddawaniu psów pod opiekę ciężarnym?

- Klejnot nauczy go moresu. - I dodała po chwili wahania:

- Bez urazy, ale pamiętaj, że George długo był sam, a samotni ludzie mają swoje nawyki. Dot zawsze mi to powtarzała. Robisz, co ci się podoba, bo tak jest łatwiej. To wspaniały facet i jesteście świetną parą, ale przyda mu się parę lekcji ogłady.

Rachel z westchnieniem położyła rękę na niewielkim wybrzuszeniu pod bluzką. Miała nadzieję, że nie rzuca się w oczy.

- Nie mam czasu na udzielanie lekcji mężczyźnie. Potrzebuję wytresowanego. Od zaraz.

- Z tobą poszło gładko - stwierdziła Megan. - Lecę, mam do zrobienia coś naprawdę ekstra. Za jakiś kwadrans wyjdiesz na zewnątrz?

- Nie ma sprawy.

Megan uśmiechnęła się rozanielona.

- Super. Mogę pożyczyć Klejnota?

Owczarek siedział na swoim posłaniu, w oczekiwaniu na polecenia. Na dźwięk swego imienia zastrzygł uszami, po czym zerwał się i poszedł za Megan.

Rachel zajrzała do notesu i podeszła do drzwi przeciwpożarowych, aby rzucić okiem na psy. Kolejny obchód dopiero za dwadzieścia minut, boksy lśniły czystością, a telefon nie dzwonił.

Boże, jestem wykończona, pomyślała nagle. Jak dam sobie radę z wielkim brzuchem? A potem z dzieckiem? Dlaczego ktoś się mną nie zaopiekuje, tak jak psem?

- Herbata - oznajmiła z nagłą decyzją, tłumiąc narastającą panikę. - Cóż za miła propozycja! - odezwał się znajomy głos.

- Poproszę z mlekiem, bez cukru.

Rachel odwróciła się tak gwałtownie, że omal nie straciła równowagi.

Za jej plecami, w szarym garniturze i ręcznie szytych butach na tle worków ze śrutem, stał Oliver we własnej osobie.

- Co tu robisz, do licha?

Nie była to może błyskotliwa riposta z gatunku tych, które trenowała w swoich monologach, ale nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

Trzeba przyznać, że Oliver nawet nie mrugnął okiem.

- Przyjechałem cię ratować. Od tego są schroniska, nie? Zdradzieckie serce załomotało jej w piersi, budząc od dawna uspioną tęsknotę. Oliver w garniturze. Gładko ogolony, prosto od stylisty z Chelsea. Z oczami pełnymi skruchy, nadzieją na przystojnej twarzy i ręką - Rachel przełknęła ślinę - wyciągniętą prosząco w jej stronę, bez śladu znieprawdzonej obrączki.

To drań, przypomniała sobie w duchu. Zdradzał nudną Kath, zdradzał ciebie, przechodzi kryzys wieku średniego i nigdy cię naprawdę nie kochał.

- A jeśli nie trzeba mnie ratować? - odpowiedziała, siląc się na spokój.

Oliver opuścił rękę.

- To może ty uratujesz mnie - odparł gładko. - Przyjechałem przeprosić.

- No to słucham.

Zdziwił się nieco jej postawą, ale mówił dalej.

- Byłem strasznie głupi. Nie potrafię wyjaśnić, co działo się ze mną przez ostatnie miesiące, ale z tym już koniec. Przywołałaś mnie do rozsądku i przepraszam za wszystko.

- A Tarę uświadomiłeś? Podniósł brew i zrozumiał, że wie.

- Ona... Tary już nie ma.

Nastąpiła chwila ciszy, ale zaraz ją przerwał, jak na wytrawnego showmana przystało.

- Wiem, że nie mam prawa prosić, żebyś zapomniała o tym, co się stało, ale mam nadzieję, że mi kiedyś wybaczysz.

- A Kath?

- Kath to zamknięty rozdział. Dostanie mój dom, moje dzieci i połowę moich pieniędzy. Ma ci za co dziękować.

- Nie mogę udawać, że nic się nie stało, Oliverze. - Rachel oparła się o stół, bo kolana odmówiły jej posłuszeństwa. - Przeszłam istny koszmar. Straciłam wszystko! Dom, pracę, miłość mojego życia...

Cholera, oprzytomniała. Będzie zachwycony. Tylko tego mu trzeba.

- Wiem - powiedział. - Dlatego przyjechałem. Chcę wszystko naprawić. Musiałem sprzedać agencję... rada prawnika, nie pytaj... i postanowiłem zacząć od zera, na własny rachunek. Chcę skrzyknąć najlepszych ludzi z branży... czy zgodzisz się dla mnie pracować?

Rachel nie wierzyła własnym uszom. Miał czelność proponować jej pracę, jakby ambicja zawodowa liczyła się bardziej niż złamane serce?

- Jesteś najlepszą specjalistką, jaką znam - ciągnął. - O innych walorach nawet nie wspomnę. Od ręki dostaniesz podwójną pensję i stanowisko dyrektora. - Zbliżył się o krok i Rachel poczuła zapach drogiej wody kolońskiej. Zakręciło jej się w głowie. - Ale najbardziej pragnę tego, o czym nie śmiem nawet marzyć... wrócisz do mnie? Nie jako moja partnerka, ale... żona. - Spojrzał jej w oczy i poczuła, że jej opór słabnie. - Wiem, że zachowałem się karygodnie, ale dzięki temu oprzytomniałem, Rachel. A teraz jestem wolny, Kath przestała stanowić problem. I możemy zacząć od nowa.

- Ja... - Nie wiedziała, co powiedzieć. Myśli kołatały jej w głowie, do niektórych nie przyznałaby się nawet sama przed sobą.

Poczuła, jakby ktoś zdejmował jej z ramion ciężar odpowiedzialności i wszystkie dotychczasowe plany zadrzały w posadach. Oliver weźmie ją pod swoje skrzydła, na pewno. Małżeństwo z Kath było pomyłką, a dziecko... może to jednak on jest ojcem. Przecież nie robiła żadnych badań; istniał cień szansy, że to jego prezerwatywa zawiodła, nie George'a.

George pewnie odetchnie z ulgą, szeptał podstępny głosik. Dobrze mu tak, jak jest teraz; przypadkowe dziecko i kobieta, której prawie nie zna, to dla niego niepotrzebne obciążenie. Wyjazd Rachel będzie najlepszym rozwiązaniem dla obu stron.

- Chcę, żebyś wróciła - powiedział Oliver, jakby wyczuł jej wątpliwości. Podeszedł jeszcze bliżej i położył jej ręce na ramionach. Był to delikatny, romantyczny gest, a nie tania zagrywka; Rachel wiedziała, że za dobrze ją zna. A na koniec zagrał atutem, który zawsze trzymał tylko na wyjątkowe okazje. - Kocham cię, Rachel.

Rachel miała ochotę wykrzyczeć mu w twarz, jak bardzo ją skrzywdził, lecz oczarowanie odebrało jej mowę. Zawsze umiał ją podejść, a teraz wprost przechodził samego siebie. Bo mu na niej zależało. Musiała przyznać, że bardzo jej to schlebiało.

- Masz pojęcie, co mi zrobiłeś? - zaczęła, lecz widziała po jego minie, że odczytał to jako preludium do „zgadzam się”.

Drzwi pożarowe otworzyły się z hukiem.

- Rachel! Przepraszam za spóźnienie, ale coś mnie zatrzy... O.

Zrobiła krok w tył, jakby prąd ją przeszedł.

George stał w drzwiach, twarz mu pociemniała. Prawie wypełniał sobą framugę, zwłaszcza że wciąż miał na sobie roboczą kurtkę poplamioną błotem oraz innymi bliżej nieokreślonymi substancjami.

Jest o wiele wyższy od Olivera, pomyślała bezwiednie. A ściśle rzecz biorąc, to Oliver jest o wiele od niego niższy.

- Przepraszam, że przeszkadzam - rzucił sztywno. - Megan prosi, żebyś wyszła. Chce ci coś pokazać.

Rachel zerknęła na Olivera, który miał minę, jakby to on był u siebie, nie George.

- Oliverze, to George Fenwick, nasz weterynarz. George, poznaj Olivera Wrigleya. Mojego... - W chwili gdy to powiedziała, dotarło do niej, że popełniła straszny błąd, a wyrzut w oczach George'a tylko to potwierdził.

- Starego przyjaciela - uzupełnił Oliver z ważniackim uśmiechem. - Miło pana poznać.

George nie zniżył się do odpowiedzi.

- Naszego weterynarza - powtórzył. - No tak. Cóż, twój weterynarz cieszy się bardzo, że wszystko gra, więc nic tu po nim. Maść do smarowania ucha zostawię Darrenowi.

Kiwnął głową i wyszedł, zanim Rachel zdążyła go powstrzymać.

- Wszyscy wieśniacy są tacy lapidarni? - zapytał z rozbawieniem. - Nic dziwnego, że tyle dokonałaś, przynajmniej nie traciłaś czasu na gadanie. - Ponownie na nią natarł i tym razem bez ceregieli objął ją w pasie, przyciągając do siebie. Przypadkowo dotknął jej brzucha i uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Na czym to stanęliśmy? Widzę, że prowincjonalne życie bardzo ci służy...

Uściskał jej brzuch i Rachel poczuła nagle, że zdradza nie tylko George'a, ale i dziecko.

- Musisz o czymś wiedzieć - powiedziała bez zastanowienia. - Jestem w ciąży.

Oliver zachował zimną krew.

- Aha. Tego się nie spodziewałem. Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć?

- Nie wiem. - Rachel czuła, że stąpa po grząskim gruncie. Znał się na dzieciach bardziej niż ona. Daty, terminy, wychowanie. Bądź co bądź miał ich troje. Odsunęła się stanowczo.

- Na razie nie mam do tego głowy.

- Rozumiem - rzucił kojącym tonem. - Ale już nie jesteś sama. Wystarczy jedno twoje słowo, a zaraz nas tu nie będzie. Moi prawnicy załatwią wszystko w dwa dni. Jak chcesz, zapisz wszystko psom.

Sprytne posunięcie. Myśli, że jeden wspaniałomyślny gest załatwi sprawę.

- Muszę iść, czekają na mnie - odrzekła, grając na zwłokę.

- Chodź, zobaczysz naszych podopiecznych, są wspaniali.

- Nie wiedziałem, że lubisz psy. - Ruszył do drzwi, na wszelki wypadek patrząc pod nogi. Teriery warknęły na niego i Rachel musiała je uciszać.

- Ja też nie wiedziałam. Ale ludzie się zmieniają, nie? - Zamrugła, gdy oślepiło ją majowe słońce, a po chwili

zobaczyła Megan na drugim końcu sadu, z megafonem w dłoni i tłumem psów oraz ich właścicieli za plecami.

Na widok Rachel podniosła megafon do ust i zaczęła mówić. Jej australijski akcent zabrzmiał jeszcze wyraźniej, zwielokrotniony przez głośnik.

- Dziękujemy wam wszystkim za obecność i wsparcie! A teraz najważniejsza chwila dzisiejszego dnia: spotkanie po latach! Ale najpierw pozwólcie, że wam przedstawię naszą szefową Rachel Fielding, siostrzenicę założycielki schroniska i przyjaciółki wielu z was, Dorothy Mossop. Rachel?

Przywołała ją ruchem dłoni i zakłopotana Rachel podeszła bliżej.

- Co ty wyprawiasz? - syknęła.

Megan mrugnęła i znów podniosła megafon.

- Są z nami przyjaciele, którzy spotkali się dzięki Dot, a teraz chcieliby podziękować za swą drugą szansę. Bez miłości i zaangażowania Dot większość tych psów zostałaby uśpiona przez hycli albo głodowałaby na ulicy. Powitajcie proszę Geralda Flinta z Szybkim i Molly...

O Jezusie, pomyślała Rachel, skręcając się w środku. Nie mam na to czasu. Mam patrzeć na psy, kiedy powinnam być w biurze, z Oliverem, i zastanawiać się, co dalej! Zacisnęła pięści, wbijając paznokcie w skórę.

Ale Megan spoglądała na nią wyczekująco, toteż zmusiła się do uśmiechu i patrzyła, jak Gerald defiluje przed wszystkimi w beżowych spodniach i koszulce polo, dumnie prowadząc na smyczy dwa piękne cocker spaniele. Uśmiechnął się, przechodząc obok, i zrozumiała, że przy psach stawał się innym człowiekiem.

- Bridget Armstrong z Mufinem! Jim i Lesley Horrocksowie z Richardem i Judy! Gavin i Kaden Laine'owie z Marleyem!

- Za siwowłosą panią z grubym labradorem podążało starsze małżeństwo z dwoma kundelkami oraz młody mężczyzna z chłopcem i mieszańcem collie.

Rachel bezwiednie rozluźniła dłonie, odwzajemniając uśmiechy skierowane pod jej adresem. Ludzie szli jak parada weteranów. Stare psy, młode psy, psy na trzech nogach, każdy prowadzony przez właściciela, który mało nie pękał z dumy.

W pewnej chwili jakaś starsza pani z maltańczykiem wyłamała się z szeregu i podeszła bliżej.

- Proszę bardzo - powiedziała, wkładając Rachel do ręki wypełniony formularz oraz banknot dwudziestofuntowy.

- Na co to?

- Nie mam wiele do zaoferowania - oznajmiła kobieta. - Ale na świńskie uszy wystarczy. Dostałam Kipera od Dot; to najlepszy przyjaciel, jakiego miałam. Wspaniały i kochający. Zawsze sprawował się bez zarzutu, do samego końca.

- Dziękuję - odrzekła Rachel ze wzruszeniem.

- To, czego dokonała... - starsza pani przełknęła łzy - ...jest wspaniałe. Nie dla psów, ale dla ludzi takich jak ja. To my jesteśmy szczęściarzami. One dostały dom i pełną miskę, a my cierpliwych słuchaczy i wiernych druhów. To bezcenne doświadczenie. Zupełnie jakby wiedziała, czego nam trzeba.

- Cmoknęła na psa i odeszli.

- Jakie to urocze - oznajmił Oliver szczerym, żarliwym tonem prosto z reklamy kawy rozpuszczalnej. - Ta więź ze zwierzętami jest naprawdę wzruszająca. Pozwól, że wypiszę czek.

Rachel nie słuchała. Myślała o Dot i o Feliksie oraz obcych, którzy trwaliby gdzieś na obrzeżach ich małżeństwa, tak jak ona latami trwała między Kath a Oliverem. Dot mogła mieć wszystko, czego dusza zapagnie, ale musiała przystać na jego warunki. Dlatego wybrała towarzystwo kogoś, komu ufała bezgranicznie, owczarka oraz innych złamanych,

nieszczęśliwych zwierząt, które trafiły tu w nadziei na drugą szansę, aby pokazać, na co je stać. A co miał jej do zaoferowania Oliver? Całego siebie? Felix przynajmniej grał w otwarte karty. W przypadku Olivera nie mogła na to liczyć.

A ona, co miała do zaoferowania, oprócz tajemnicy, która w niej dojrzewiała? I cichej nadziei, że jeszcze wszystko da się naprawić tu, na miejscu?

- Nie - powiedziała głośno. Koniec z tajemnicami.

- Ależ tak - oznajmił Oliver, obejmując ją, jak gdyby nigdy nic. - Odpiszę sobie od podatku. Pomoc potrzebującym to moja specjalność.

Odwróciła się, strząsnęła jego rękę i spojrzała mu w oczy. W nowych butach nieco przewyższała go wzrostem. W ogóle czuła się większa. Wyższa, silniejsza, pewna siebie. Nareszcie.

- Nie - powtórzyła. - Bardzo mi przykro. Nie mówiłam o psach. Miałam na myśli siebie. Nie wrócę. I nikt nie musi mnie ratować, dziękuję.

Kiedy wyszli ostatni goście, była prawie szósta, a gdy Rachel nareszcie została sama, dochodziła jedenasta wieczorem.

Oliver wyjechał niemal od razu, poprosiwszy ją z zakłopotaniem o klucze do mieszkania. Kiedy wcisnęła mu je do ręki, zobaczyła, że odetchnął z ulgą. Może myślał, że zastanie tam dzikich lokatorów. Może Kath zmusiła go do działania. A może chciał po prostu odzyskać swoje okropne dzinsy. Woląca nie myśleć, na ile to klucze skłoniły go do wizyty i czy mogła rozegrać to lepiej, biorąc pod uwagę kolejną ratę podatku. Chciała, żeby wyniósł się z jej życia raz na zawsze.

Atmosfera w Czterech Dębach przypominała finał krzepiącego musicalu, pełen wzajemnej życzliwości i głośnej muzyki. Megan, Johnny i Natalie sprzątnęli psiarnię i nakarmili psy przy wtórze skocznych rytmów Radio One, zamiast kojącego Radio Four, po czym Freda posadziła wszystkich przy stole i zrobiła z Tedem na podwieczorek angielskie śniadanie.

Rachel była tak skonana, że prawie zasnęła z twarzą w talerzu, i Freda kazała jej się położyć. Mimo zamętu w głowie spała do ósmej, a kiedy zeszła na dół, wszyscy jeszcze siedzieli w kuchni. Johnny podliczył wpływy ze straganów, a Natalie wręczyła jej okazałą stertę formularzy sponsorskich.

- Poszło jak z płatka - oznajmiła. Sprawiała wrażenie odurzonej ze szczęścia. - Posiedziałam w Internecie i ściągnęłam wszystkie wnioski potrzebne do zarejestrowania schroniska jako działalności charytatywnej, dzięki czemu zyskasz ulgę podatkową i inne takie. Rozmawialiśmy o tym... - potoczyła wzrokiem po zgromadzonych - ...i chętnie zostanę pełnomocnikiem, Johnny też.

- Świetny pomysł - powiedziała Rachel. - Dziękuję wam. Kolejny argument za tym, żeby zostać. Skoro Natalie pomoże załatwić formalności...

- Wiesz już, że Bertie zostaje z nami? - podjęła Natalie, wskazując na baseta śpiącego z Klejnotem w niemożliwie małym koszyku.

- Naprawdę?

- A tak. Przekonaliśmy tych miłych ludzi, żeby zamiast niego wzięli Jacka Russella - wtrącił Johnny. - Mam pewne obawy, ale Megan twierdzi, że dadzą radę.

- Ale co z twoją pracą?

Natalie uśmiechnęła się i Rachel zobaczyła, że pod stołem trzymają się z Johnnym za rękę.

- Potrzebuję czasu do namysłu. Dlatego możesz liczyć na moje pełne zaangażowanie.

- Musimy się zbierać - oświadczył Johnny, odsuwając krzesło. - Ted, Fredo? Podwieźć was?

- Bardzo chętnie - odpowiedział Ted. Rachel zauważyła, że Natalie i Freda, wychodząc, szepczą do siebie.

Nie miała siły się nad tym zastanawiać. I tak się dowiem, uznała, zbierając talerze.

- Zostaw - powiedziała Megan. - Ja posprzątam. Nie gniewaj się, ale wyglądasz strasznie.

- Nie gniewam się. Wiem, że wyglądam jak zombie. - Rachel rozmasowała bolący krzyż. To był długi dzień, a przecież nie zrobiła nawet połowy tego co Megan. - Nie miałam okazji ci podziękować - dodała.

- Za co?

- Za to, co dzisiaj zrobiłaś. Ta defilada na końcu... mało się nie popłakałam.

- Jak wszyscy - odparła Megan. - W sumie o to chodziło. Szkoda, że nie widziałas wiader przy furtce. - Spoważniała. - A mówiąc serio, to wszystko twoja zasługa. Gdybyś nie

postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce... - Twarz jej się rozjaśniła. - Jak na kogoś, kto nie lubi psów, odwaliałaś kawał dobrej roboty, nie?

Rachel zamrugała powiekami, bo znów ogarnęło ją wzruszenie.

- Zajrzę do psów - powiedziała. - A potem idę spać. Weszła do psiarni, starając się nie obudzić śpiących psów, i usiadła na wysłużonym skórzanym fotelu Dot. Wokół było cicho, nie licząc przytłumionego szmeru radia i pochrapywania gdzieś, ale Rachel oparła głowę na rękach, prawie ogłuszona panującym w niej zgiełkiem.

Co robić? Zostać? Wyjechać? Sprzedać?

Dzisiejszy dzień uświadomił jej zmiany, jakie zaszły w jej świecie - nie chciała wracać do Londynu, do Olivera i dawnego życia. Dot nie po to zostawiła jej schronisko, żeby spisała je na straty. Zostawiła je Rachel, aby zrozumiała, ile może zrobić dobrego.

Ale było to obciążenie, a ona miała dosyć na głowie. Jeszcze nie wymyśliła nawet, skąd weźmie pieniądze na spłatę drugiej raty ani za co zrobi remont. Hotel dla psów może przynieść przyzwoity zysk, ale najpierw trzeba rozkręcić interes.

Może powinnam sprzedać cały kram gościowi od Geralda, pomyślała. Tak byłoby prościej. Przekazałabym pieniądze na jakąś organizację dla zwierząt, pomogłabym Megan znaleźć pracę...

Ktoś zapukał do drzwi. George wsunął głowę do środka.

- Przepraszam, że tak późno. Możemy pogadać? - Głos miał sztywny, ale zdeterminowany, jakby przysłano go do dyrektorki na dywanik.

- Jasne. - Rachel wyprostowała się i odgarnęła włosy. Dlaczego zawsze w jego obecności musi być tak zmachana? Ich związek był tak zwichrowany, że pewnie nigdy nie

zobaczy jej w normalnym stanie. Związek? A co to za związek?

- Przyszedłem przeprosić - oznajmił bez ogródek. - Rozumiem, że to był ten długoletni były, tak?

- Tak - odpowiedziała Rachel. - Oliver. Ja też przepraszam.

Nie żebym nie chciała nazwać cię swoim chłopakiem - ciągnęła, czując, że to ona ma za co przepraszać, nikt więcej. - Nie wiedziałam po prostu... - Co za idiotyzm. - Nie wiedziałam, czy życzyłbyś sobie... czy uważasz się za mojego chłopaka, czy nie. Jesteśmy chyba za starzy na takie gierki, nie sądzisz? George ścisnął podbródek, ale wzrok dalej miał chłodny.

- Uhm. Jeśli tak to ujmujesz, wolę, żebyś przedstawiała mnie jako swojego weterynarza niż inseminatora, czy jak to teraz nazywają.

- Słyszałam gorsze określenia.

Czekała, aż powie, że chciałby, aby przedstawiała go jako swojego chłopaka, ale milczał. Pociągnął tylko za rękaw swetra i w zamyśleniu wydał policzki.

- Może usiądziesz? - zaproponowała. - Mam wrażenie, jakbyś przyszedł na rozmowę o pracę.

George wysunął krzesło, na którym siadali zwykle goście, ale nie założył nogi na nogę, jak to miał w zwyczaju, tylko skrzyżował ręce na piersi i spojrzał bacznie na Rachel. Nie czuła się na siłach, by odwzajemnić spojrzenie.

- Mam coś dla ciebie - powiedział i wyjął z kieszeni czek. Rozprostował go i położył na biurko.

- O, już dostałam - zaczęła Rachel. - Od Darrena, bardzo hojny gest. Powiesimy na boksie specjalną tabliczkę...

- To inny czek - oznajmił George, nie zmieniając pozycji.

Nie podnosząc głowy, sięgnęła po świstek. Był to czek osobisty wystawiony przez George'a R.W. Fenicka na kwotę stu tysięcy funtów.

- Nie mogę tego przyjąć! - rzuciła odruchowo. - Możesz.

- Nie mogę.

- Możesz. Nie bądź taka cholernie uparta.

- Nie mogę... - zaczęła, po czym nagle przypomniała sobie słowa Megan, jak to Dot „mówiła na wszystko nie”. Ona zachowywała się identycznie, strzegła swojej prywatności, żeby nikt nie odkrył jej związku z Oliverem i nie zagroził jej światu, który rządził się swoimi prawami. Lecz w gruncie rzeczy działało się tak, gdyż samotność była łatwiejsza. Stanowiło to masochistyczną formę egoizmu pod płaszczykiem niezależności, i paskudnie ciężko było się od tego uwolnić.

Przeniosła wzrok na zaróżowioną od słońca ogorzałą twarz George'a i pomyślała, że musi być stuknięta, żeby nie przyjąć takiej oferty. Stuknięta i samolubna.

Pierwszy odruch kazał jej odrzucić propozycję George'a, bo nie chciała, aby ktoś przejął kontrolę nad jej życiem, lecz na to było już za późno. Mały dyktator w jej głowie rządził jej nastrojami, apetytem, nawet równowagą. A jeśli ktokolwiek miał zaistnieć w jej życiu, kto nadawał się do tego lepiej niż George? Który poradzi sobie z dzieckiem tak, jak radził sobie ze zwierzętami - i samą Rachel. Na samą myśl o nim robiło jej się gorąco; czuła, że przejrzał ją na wylot.

- Ja... - zaczęła.

Podniósł rękę, zanim zdążyła dokończyć.

- Mam ci coś do powiedzenia i byłbym wdzięczny, gdybyś wysłuchała mnie od początku do końca. Rozmowy o uczuciach to nie moja specjalność. Potrzebuję rozbiegu.

Rachel pochyliła głowę.

- Zauważyłam.

Rzucił jej przez stół mroczne spojrzenie i wyprostował plecy.

- Chcę, żebyś wzięła ten czek. Nie tylko przez wzgląd na siebie, ale na schronisko Dot, bo na to zasługuje. Weź go, nawet jeśli postanowisz wrócić do Londynu z tym miglancem. Nie jestem głupi. Widzę, że coś między wami jest. Możesz potraktować to jako alimenty, jeśli sobie życzysz. Ja... - urwał - ...rozumiem, że może tak będzie lepiej. Jak przypominasz mi na każdym kroku, nie znamy się za dobrze i może lepiej będzie zerwać, zanim zrobi się nieprzyjemnie.

Rachel poczuła, że opuszcza ją resztką sił.

- Tego chcesz? - Usiłowała rozszyfrować jego twarz. Próbował skorzystać z okazji i pchnąć ją w ramiona Olivera? O to chodziło? Wolał uniknąć komplikacji, jakie ze sobą niosła?

Może ktoś opowiedział mu o jej przeszłości. Takim postępowaniem wzgardziłby na pewno. Czy nie jest tak, że dawne grzechy znajdą nas nawet na końcu świata, pomyślała z goryczą.

- A ty, chcesz tego? - odparował.

Boże, jesteśmy do niczego, pomyślała, patrząc na niego błędnym wzrokiem.

- Dobra, w takim razie powiem ci, czego chcę - podjął, gdy nie odpowiedziała. - Jak już robić z siebie durnia, to na całego. Chcę, żebyś przyjęła czek, pozwoliła, żebym zainwestował w schronisko, jako partner... i pomyślała, czy w twoim życiu znajdzie się miejsce dla takiego smętnego starego kawalera jak ja. Mimo że to może być trudne dla nas obojga.

Utkwił w niej wzrok i zobaczyła, że oczy ma bardziej niebieskie niż Klejnot, i równie szczere.

- Zrozum, nie sądziłem, że kiedykolwiek poznam taką kobietę... tu i teraz. Nie tylko dlatego że jesteś piękna, mądra i cholernie... niezwykła... ale zwyczajnie nie miałem na to

czasu. Stres, odpowiedzialność i praca to moja codzienność, a chwile, które zostawały mi pod koniec dnia... chciałem przeznaczyć dla siebie. - Roześmiał się z goryczą. - Na miłość boską, byłem zbyt samolubny, żeby choćby mieć psa. Dot nie mogła mi tego darować. Lecz gdy poznałem ciebie, zrozumiałem, jakie to małostkowe. Jaki ja jestem małostkowy.

Zawiesił głos i Rachel odruchowo wyciągnęła do niego rękę przez stół. Czowała, że postawił wszystko na jedną kartę, zwłaszcza po tym, co dziś zobaczył.

- Nie mam zamiaru wciskać ci kitu o przeznaczeniu, prawdziwej miłości i innych bzdurach... - podjął - ...bo chyba żadne z nas w to nie wierzy, i wiem, że to będzie wyzwanie dla nas obojga. Ale czuję, że łączy nas więź, jakiej nie doświadczyłem jeszcze z żadną kobietą. Nigdy. - Spojrzał na nią. - Kiedy jestem z tobą, czuję się jak w domu. Nawet tutaj. Możemy rozmawiać w nieskończoność i nigdy się nie nudzę.

- Wiem - odpowiedziała Rachel. - Ze mną jest dokładnie tak samo. A to przecież nawet nie jest mój dom.

- Jest. Zawsze był.

Uścisnął jej rękę, a ona podała mu drugą, i tak siedzieli spleceni ze sobą jak para rozbitków, zbyt daleko, żeby się pocałować, ale wystarczająco blisko, by patrzeć sobie w oczy.

Jego dotyk przyprawiał ją o dreszcz, a zarazem czowała, że promienieje: było to poczucie bezpieczeństwa, którego nie zaznała z Oliverem, bezpieczeństwa, które wzięło początek z jego oczu, dumnych i pełnych niedowierzania. To będzie niewiarygodna podróż, ale wyruszą w nią razem, bo tego chcą.

Siedzieli, patrząc na siebie długi czas, byle tylko nie zmącić chwili żadnym nieostrożnym słowem.

Czowała, że George czeka na jej odpowiedź. W końcu to była jej kolej.

- Nie wrócę do Olivera - powiedziała. - Nic nas nie łączy. To było pożegnanie, nic więcej. Nie mogłabym wrócić do dawnego życia. Było puste. Ja byłam pusta.

Nie były to uczucia, które ćwiczyła w sadzie z Klejnotem; budziło się w niej coś nowego, coś, na co dotąd nie znalazła słów.

- Moja dla niektórych tak elitarna praca polegała w zasadzie na okłamywaniu ludzi. Sprzedawaniu pomysłów, niczym konkretnym. Będąc tutaj i widząc psy, które doznają strasznego cierpienia, a potem zmieniają się za sprawą odrobiny miłości i uwagi, ja też się zmieniłam.

Musnęła zagłębienie między jego kciukiem a palcem wskazującym. Wciąż nie wiedzieli o sobie tylu rzeczy, ale nie był jej obcy.

- Kiedy patrzę na ciebie, jak troszczysz się o nie bez uszczerbku dla ich godności... to niesamowite uczucie. Marzyłam, żeby ktoś zatroszczył się o mnie w ten sam sposób.

George nie odpowiedział, tylko musnął kciukiem dłoń Rachel, jakby podzielał jej zdanie.

- Jesteś niezwykłym człowiekiem - ciągnęła, odurzona chwilą. - A jeśli zachowuję się irracjonalnie, to tylko dlatego, bo nie wierzyłam, że po tylu latach przyjadę na jakieś wygwizdowo i spotkam kogoś tak przystojnego i pełnego dobroci, cudownego rozmówcę, kucharza i kochanka... i że będzie wolny. To zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Może być nawet nieokrzesany i nosić czerwone skarpetki: to tylko oznacza, że nie jest tworem mojej wyobraźni.

Umilkła, zastanawiając się, czy nie powiedziała za dużo.

- Jeśli więc nie masz nic przeciwko totalnej amatorszczyźnie, zainwestuj w schronisko. A jeśli wytrzymasz z kimś, kto nigdy nie dzielił z nikim łazienki... - zawahała się - ...bądź ze mną. I z Klejnotem.

- Czyli zostajesz? - spytał, nie podnosząc głowy.

- Tak. Zostaję. - Uśmiechnęła się lekko, po czym nachyliła się nad biurkiem, aby musnąć ustami jego usta. Początkowo ani drgnął, a gdy przysunęła się bliżej, by pocałować jak należy, jego jasne włosy połaskotały ją w policzek.

Co za ironia, pojawiła się przelotna myśl, przyjechałam taki kawał z Chiswick, żeby znów się ścisnąć nad biurkiem, gdy naraz George odwzajemnił pocałunek z namiętnością, jakiej się nie spodziewała. Wsunął ręce w jej włosy i przyciągnął do siebie, aż zapragnęła przysunąć się do niego jeszcze bliżej.

Oto prawdziwa spuścizna po Dot, pomyślała. Nie schronisko, nie dom ani pieniądze, tylko druga szansa. Szansa, której nie spisz na straty.

Epilog

Rachel zaproponowała, że zapłaci za kawę, ale Val tylko machnęła ręką, więc dała za wygraną.

W końcu nasłuchiwała się już o wózkach, ubraniach ciążowych, drobiazgach niezbędnych dla dziecka i torbach do szpitala - matka przebywała w Czterech Dębach zaledwie od czterech godzin, a Rachel miała wrażenie, że zapisała się do szkoły rodzenia.

Ale warto było, stwierdziła w duchu. Zbudowanie więzi z matką stanowiło obecnie punkt pierwszy na liście jej priorytetów, obok tego wszystkiego, co działo się w schronisku, od remontu począwszy. Dzięki temu nie musiała przynajmniej ślęczeć nad książkami dla przyszłych matek, bowiem Val była takim chodzącym podręcznikiem we własnej osobie.

- Ładnie tu - stwierdziła, rozglądając się po przytulnym, białym - niebieskim wnętrzu kawiarni. Lokal Fredy i Teda zmienił się nie do poznania, został tylko witraż nad drzwiami. - Ale czy to normalne, że macie tu tyle psów?

- U nas tak, mamo - odpowiedziała Rachel.

- Przecież to niehigieniczne. Na pewno istnieją jakieś przepisy... - Val omiotła wzrokiem przestronne, świeżo odmalowane wnętrze. W minibudach przy drzwiach siedziało kilka terierów i labrador, a pod sąsiednim stolikiem tkwiły grzecznie dwa spaniele, na smyczach przywiązanych do wieszaków na torebkę.

- Gdyby istniały, Natalie wiedziałyby o tym na pewno.

- Rachel wypła łyk bezkofeinowej kawy i spojrzała z uśmiechem za kontuar, za którym Natalie w śnieżnobiałym fartuchu robiła najlepsze cappuccino w Longhampton. Honorowe miejsce przypadło Bertiemu, którego legowisko przy oknie przyciągało maluchy z całego miasta.

Dzieci nie były szczególnie miłe widziane w kawiarni Natalie. Udawała, że to przez wzgląd na ich bezpieczeństwo, ale Rachel - jako stała bywalczyni - wiedziała, że właściciele psów po cichu wolą takie rozwiązanie. Jeśli - gdy - Natalie urodzi własne dziecko, bez wątpienia otworzy drugą filię, dla młodych mam.

- Cóż, chyba nieźle wam idzie - stwierdziła Val. - Jak widać sierść niektórym nie przeszkadza.

- Tych niektórych jest więcej, niż ci się zdaje, mammo. Natalie ma głowę na karku. Dasz wiarę, że jeszcze przed dwoma miesiącami to był zwykły bar? Gdy Nat się na coś uprze, nie traci ani chwili.

- To ona jest właścicielką? - Val z podziwem obróciła się w stronę wyżej wspomnianej. - Natalie ze schroniska? Faktycznie! - Pomachała ręką.

- Nasza menedżerka, mammo. Kupiła ją za swoje pieniądze z odprawy. Odmalowała z pomocą naszych ochotników. Nie masz pojęcia, ile zarabia na przenośnym automacie w parku.

- Rachel odsunęła się od stołu, żeby zrobić miejsce na brzuch.

- A dziesięć procent z każdego cappuccino idzie na schronisko.

- Bardzo pomysłowe - uśmiechnęła się Val, a Rachel poczuła szczerą, kobiecą więź, która nigdy dotąd nie mąciła jej relacji z matką. Cięża robiła z nią dziwne rzeczy. Napisała nawet do Amelii list z podziękowaniem za stopy dziecięcych ubranek, które wyciągnęła ze strychu, załączając zdjęcie psa, którego sponsorowała dla Grace i Jacka. Był to owczarek collie o imieniu Dot.

Korzystając z ocieplenia uczuć, Rachel postanowiła wypełnić ostatnią dzielącą je lukę, która od dawna zalegała na jej liście spraw.

- Muszę ci coś powiedzieć, mamó. - Musiała skłamać, nie było rady. Ojciec nie musiał znosić przykrości w imię ratowania dumy Dot. - Znalazłam coś w czasie sprzątanía...

Kiedy opowiadała matce o wielkiej miłości Dot oraz wyznaniu i oświadczeniach Feliksa, oczy Val wypełniły się łzami. Rachel nie wspomniała o incydencie z ojcem, usiłując nadać całości pozytywną wymowę - lata bezwarunkowej miłości do psów, szacunek w miasteczku - ale wiedziała, że matka płacze nad czymś innym: nad dziećmi, o których być może marzyła Dot, o siostrzeńcach i siostrzenicach, na które przelałaby swoje uczucia. W oczach Val to była prawdziwa ofiara, nie Felix ani życie, które przeszło jej koło nosa.

- Przepraszam. - Wytarła oczy, kiedy opowieść Rachel dobiegła końca. - Och, biedna Dot. Życ z czymś takim przez tyle lat. A ja o niczym nie wiedziałam. Cieszę się, że mi powiedziałaś. Myślałam, że to moja wina.

- Dlaczego? - Rachel wstrzymała oddech. Cóż to była za okropna rzecz, o której mama nie chciała powiedzieć ojcu? Zastanawiała się, czy nie ogłosić tajemnej, rodzicielskiej amnestii i zobaczyć, co z tego wyniknie.

Może i lepiej nie.

- Myślałam, że rzuciłam na nią klątwę. Na chrzcie Amelii.
- Val zamieszała cappuccino, dopóki piana nie zaczęła znikać z filiżanki.

A to dobre, pomyślała Rachel. Nawet jak na masochistyczną pasywną agresję matki. Klątwa, tego jeszcze nie było.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć? Val podniosła wzrok.

- Chyba już mogę, skoro będziesz miała dziecko. - Głos miała zadowolony, jakby dopiero jej to przyszło do głowy, po czym zrobiła skruszoną minę. - Nie pamiętasz tego, bo byłaś bardzo mała, ale to był upalny dzień. Kupiłam sobie nowy

strój, bo Dot miała zaszczycić nas swoją obecnością z mężczyzną, o którym tyle słyszeliśmy...

- Masz na myśli sukienkę w wielkie kwiaty, jak tapeta u babci? - spytała znacząco Rachel. - I kapelusz jak UFO?

- To był bardzo drogi strój - odrzekła Val z urazą. - I bardzo modny. Ale oczywiście przy Dot wyglądałam jak tłusta gospodyni domowa. - Westchnęła. - I nią byłam, a Dot wyglądała dziesięć lat młodziej i wszyscy rozplýwali się nad nią, „ach Dorothy, opowiedz nam o Londynie”, chociaż to był mój dzień. To znaczy, dzień Amelii. Całej naszej rodziny! A gdy zwymiotowałam od nadmiaru słodyczy, które ci przywiozła, i wytarłam ręce w moją sukienkę, musiałam zabrać cię do domu.

- Tego nie pamiętam - powiedziała Rachel. Ojciec chyba też nie, dodała w duchu.

Val z westchnieniem zacisnęła usta.

- Poszłam do baru, gdzie wszyscy słuchali opowieści Dot i Feliksa o Rolling Stonesach i nocnym klubie, w którym ostatnio byli, i próbowałam się pożegnać, ale nikt nie zwrócił na mnie uwagi, a Dot wyskoczyła ze swoim „Uciekasz do żłobka, mamusku?”, jakby to był jakiś dopust boży.

Twarz Val pociemniała i Rachel zrozumiała, że matką targają sprzeczne odczucia. Nigdy nie widziała jej tak rozdartej. Ani wzburzonej, to chyba najlepsze słowo. Chciała powiedzieć, że sama często mówiła to samo, żeby ukryć skrępowanie w obecności szczęśliwych mam, ale Val zatopiła się we wspomnieniach.

- I sęk w tym... - Val skrzywiła się lekko - ...że wtedy, w tamtej chwili, dokładnie tak się poczułam. Kochałam was nade wszystko na świecie, ale opieka nad dwójką małych dzieci to nie przelewki. Nie spałam więcej niż dwie godziny z rzędu. Śmierdziałam wymiocinami. To ja chciałam siedzieć w tym barze, w zgrabnym kombinezonie, z własnymi

pieniędzmi! Byłabym wniebowzięta. Dlatego powiedziałam coś, czego nie powinnam. - Przygryzła wargę, jakby ponieważ chciała zatrzymać tamte słowa.

- Co takiego?

- Spojrzałam prosto na nią i powiedziałam: „Nigdy nie dowiesz się, czym jest naprawdę miłość, Dorothy, dopóki nie urodzisz dziecka. A to nigdy nie nastąpi, bo jesteś zbyt samolubna”. - Spojrzała na Rachel ze skruchą. - Powiedziałam tak do rodzonej siostry. I naprawdę tak myślałam, ale tylko w tamtej chwili. Bo zaraz najchętniej odgryzłabym sobie język.

- Jestem pewna, że ona...

- A potem Felix z nią zerwał, nigdy nie wyszła za mąż i spędziła resztę życia wśród bezpańskich psów, z dala od własnej rodziny.

Rachel podsunęła matce chusteczkę.

- Mamo, czy ty masz pojęcie, od ilu młodych mam usłyszałam to samo? I wiesz, co im na to odpowiadałam?

- Lepiej mi nie mów, wolę tego nie słyszeć.

- Nic. Bo mówiłam sobie, że mają na głowie rozwrzeszczane bachory i zazdroszczą mi wygodnego życia. I zaraz mi przechodziło. - I dodała po chwili wahania w przyływie szczerości: - To, że latami słyszałam od ciebie to samo, wcale mi nie pomagało.

- Nie słyszałaś!

- Ależ słyszałam, mamo. - Rachel spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami. - Ilekroć dzwoniłaś, żeby opowiedzieć mi o wielkim szczęściu Amelii z jej dwójką, a następnie pytałaś, czy kogoś poznałam. I kiedy zamierzam się ustatkować. I czy myślałam o zamrożeniu jajeczek.

- Ja nie chciałam. - Val wytarła rozmazany tusz. - Bałam się tylko, że skończysz jak Dot. Sama jak ten kołek w płocie. Nie mogłam znieść myśli, że moja piękna dziewczynka mieszka z psami, zamiast z kochającą rodziną. Choć teraz, gdy

już wiem, dlaczego biedna Dot zerwała z Feliksem, chyba przestaje mnie to dziwić...

- Ale ona wcale nie była samotna, mamo. I wcale nie mówię tego, żeby cię pocieszyć. - Rachel zebrała palcem z talerza ostatnie okruchy ciastka. - Poza tym od dawna już nie jestem dziewczynką.

Val trzepnęła ją po rękę.

- Dla mnie zawsze nią będziesz. Nie ułatwiałaś mi zadania, Rachel - dodała. - Nigdy nie wiedziałam, czy z tobą rozmawiać, czy zostawić cię w spokoju. Pod tym względem też jesteś do niej podobna.

- Przepraszam. - Rachel wiedziała w głębi serca, co Val ma na myśli. Ale to było inne życie. Które minęło bezpowrotnie. Wsunęła rękę w dłoń matki i ją uścisnęła. Val odwzajemniła uścisk i Rachel poczuła na skórze jej grubą złotą obrączkę.

Ktoś zastukał w szybę. George stał na zewnątrz obok zaparkowanego w niedozwolonym miejscu land rovera. Rękawy podwinął wysoko; wciąż miał na sobie grubą kamizelkę i kraciastą koszulę, mimo sierpniowego upału.

- Przyjechał po nas - wyjaśniła Rachel. - Umówiliśmy się na trzecią. Niestety, nie mają tu więcej sklepów. - Pomachała mu ręką, kreśląc w powietrzu literę „K”, jak kawa. Potrząsnął głową i postukał w zegarek, z udawaną surowością na twarzy.

Val wskazała na palec córki, na którym połyskiwał stary pierścionek z szafirem.

- Masz mi coś do zakomunikowania?

- To pierścionek Dot odpowiedziała Rachel. - Zanim coś powiesz, wiedz, że George i ja robimy wszystko na opak. Jeśli się pobierzemy, najpierw wyprawimy ślub temu tutaj. - Wesoło poklepała się po brzuchu. - Czyli nie ma pośpiechu.

- Hm, to miło, że znajduje dla ciebie czas.

- Mamo - odparła Rachel z powagą. - Robi o wiele więcej.

- Zależy nam tylko na tym, żebyś była szczęśliwa. - Val uniosła brew i zebrała swoje pakunki. - Niedługo to zrozumiesz.

Wymieniły spojrzenia i Rachel poczuła, że lata wzajemnej podejrzliwości rozpływają się w niebyt. Po raz pierwszy dostrzegła w Val coś z siebie - nie była tylko córeczką ojca, ani obdarzoną ostrymi rysami siostrzenicą Dot, bo wiedziała, po kim ma upór.

Może będę taką samą kwoką jak ona, pomyślała. Może macierzyństwo rozbudzi gen zamięłowania do czystości. Uszczypliwe poglądy Val na temat cen wózków już podzielała. Teraz pójdzie z górki.

Boże, miej nas w swojej opiece, pomyślała, kiedy kelnerka sprzątała filiżanki. Gdyby ktoś powiedział jej w zeszłym roku, że będzie rozmawiać z matką o wózkach i rzuci się w ramiona prowincjonalnego weterynarza, powiedziałyby mu, że śni.

- Dziękuję - powiedziała na migi Val do George'a. - Chodźmy, Rachel. Po drugiej stronie widzę policjanta, poza tym teraz wszędzie mają kamery. Pomóc ci?

- Nie, nie. Wciąż próbuję udawać, że to nie ciąża, tylko obżarstwo.

Sądząc po wydatnym brzuchu, dziecko musiało być naprawdę sporych rozmiarów. Zostały jeszcze cztery miesiące, toteż Rachel nie wykluczała bliźniąt. Amelia przysłała jej dwie walizki ubrań ciążowych, ale Rachel uparcie chodziła w ostatnich dobrych dżinsach i podkoszulkach George'a. Najbardziej tęskniła za butami na wysokich obcasach, ale George podarował jej kalosze marki Hunter („w sklepie mówili, że Kate Moss ma takie same”) i prawie się z nimi nie rozstawała.

Klejnot zerwał się spod stołu i pomachał ogonem, gotów do dalszej drogi, bez względu na to, dokąd prowadziła.

- Nie idziesz z nami? - Val zrobiła zatroskaną minę. - Chyba nie masz zamiaru wracać na piechotę, co?

Rachel spojrzała na psa i poczuła tę samą więź bez słów, której doświadczała co rano, widząc go leżącego przy łóżku, i co wieczór, kiedy kładł się spać, pomrukując z zadowoleniem.

- Musi rozprostować nogi - odpowiedziała. - Zresztą ja też. Do zobaczenia za chwilę.

- Powiem George'owi, żeby nastawił czajnik. - Val cmoknęła ją w policzek, a Rachel się nie uchyliła. Odpowiedziała matce tym samym i założyła psu smycz.

- Idziemy - powiedziała, machając na pożegnanie Natalie i Bertiemu.

Dzwonek na drzwiach zadzwonił za ich plecami, a oni ruszyli z wolna ulicą w stronę parku, gdzie droga wiodła wśród trawników, po czym prowadziła na wzgórze. Rachel kiwała głową innym spacerowiczom, a Klejnot obwąchiwał ich uprzejmie na powitanie. Znajome twarze, znajome psy, znajoma trasa - dzięki nim czuła, że zapuściła tu korzenie tak jak róże babiego lata, nadal kwitnące na klombach.

A gdy znaleźli się na pustej ścieżce, spuściła go ze smyczy, aby swoim zwyczajem zaprowadził ją do domu.

Psychotest: Z jakim psem skojarzyłaby cię Dot?

1. Twoja ulubiona aktywność ruchowa to:
 - a. Wyczerpująca gimnastyka, po której idziesz się zdrzemnąć
 - b. Mecz piłki nożnej ze znajomymi
 - c. Długi spacer za miastem
 - d. Sesja jogi
2. Prace domowe to:
 - a. Coś, co robisz tylko przed wizytą mamy
 - b. Cotygodniowe sprzątanie z udziałem wszystkich członków rodziny
 - c. Walka z wiatrakami - ale brudny dom to szczęśliwy dom!
 - d. Coś, za czym skrycie przepadasz, nawet jeśli zdaniem niektórych kolorowe miotelki do kurzu to przeżytek
3. Stawiasz sobie za cel, żeby nauczyć psa:
 - a. Schodzenia z kanapy, kiedy mu każesz
 - b. Podstawowych poleceń: do nogi, zostań, aport, na dół, łapa etc.
 - c. Wszystkiego, czego uczą w szkołach tresury
 - d. Sztuczek, które zrobią wrażenie na twoich znajomych, czyli na przykład udawania martwego czy robienia zblazowanej miny na zawołanie
4. Samochód, który stoi przed twoim domem, to:
 - a. Sportowy hatchback
 - b. Minivan
 - c. Terenowy z napędem na cztery koła
 - d. Kabriolet
5. Na spacerze z psem można poznać cię po:
 - a. Klasycznym prochowcu
 - b. Jaskrawoczerwonej kurtce
 - c. Zielonych kaloszach
 - d. Modnym kapeluszu

Większość a: Chart

Wielu ludzi nie wyobraża sobie trzymania chartów w domu, ale emerytowani uczestnicy wyścigów to niezwykle wrażliwi przyjaciele. Są łagodni, posłuszni i nie gubią zbyt dużo sierści. Aby się wybiegać, chart potrzebuje dwugodzinnego spaceru, a potem z rozkoszą będzie polegiwał na kanapie - toteż świetnie nadaje się dla osób w starszym wieku bądź takich, które nie mają czasu spacerować w nieskończoność. Jest elegancki, a przy tym niesłychanie funkcjonalny - taki porsche wśród psów.

Większość b:

Staffordshire bull terrier (stafik)

Jeśli jakakolwiek rasa zasługuje na określenie: „nie ma złych psów, są tylko źli właściciele”, są to właśnie cieszące się niezasłużenie złą reputacją stafiki. Są lojalne i kochające, ale stanowią znaczny procent populacji schronisk, często z powodu szemranych hodowców i nierozważnych właścicieli, którzy nie biorą pod uwagę ich potrzeby aktywności fizycznej. Jednak wystarczy okiełznać ich naturalną żywiołowość spokojnym, ale stanowczym zachowaniem i długimi spacerami, a okażą się niezrównanymi przyjaciółmi rodziny.

Większość c: Spaniele

Jeśli masz wiecznie zabłocony samochód i nie przeszkadzają ci odciski łap na tapicerce, zaprzyjaźnij się z żywiołowym spanielem. Żaden inny pies nie dorówna mu wdziękiem i niespożytą energią - będzie biegał do upadłego, wysłucha wszystkich poleceń, a na koniec i tak wywinie ci jakiś numer. Spaniele z długą sierścią należy czesać, aby uniknąć kołtunów, ale ich piękne kędzierzawe uszy i łapy są warte zachodu.

Większość d: Pudiel

Na przekór temu, co możemy sądzić na podstawie ich wyglądu, pudle to nad wyraz mądre stworzenia. Szybko się

uczają, są niezależne, a do tego wytrzymałe: nie bez przyczyny hodowano je niegdyś na psy łowieckie. Częste postrzyżyny są koniecznością, ale pudle nie gubią sierści, dzięki czemu są świetnymi towarzyszami dla alergików, i występują w trzech różnych rozmiarach, od kieszonkowego, do całkiem słusznej budowy. Jeśli masz styl i szukasz bratniej duszy, pudel będzie jak znalazł.

Pięć dobrych powodów, aby wziąć psa ze schroniska

Więź rodząca się między przygarniętym zwierzęciem a ludźmi, którzy dają mu drugą szansę, jest naprawdę niezwykła. Nie zapominaj o psach w podeszłym wieku!

Jest nauczony czystości: Szczenięta są słodkie, ale nauczanie ich czystości to istna katorga dla ciebie i twoich dywanów. Starsze psy z kolei nie mają z tym problemu i zwykle załatwiają swoje potrzeby poza domem. Oczywiście na samym początku może być różnie, ale niebawem wszystko wróci do normy.

Widzisz to, co bierzesz: Bywa, że z małego szczeniaczka w ciągu paru miesięcy wyrasta cielak - co często kończy się odwiezieniem go do schroniska. Adoptowanie dorosłego psa oznacza, że w pełni przygotujesz się na jego potrzeby i obejdzie się bez niespodzianek.

Nie wszystkie psy ze schroniska są „wybrakowane”: Rozpad małżeństwa, śmierć właściciela, zmiana okoliczności życiowych, i wzorowy czworonóg musi szukać nowego domu, bynajmniej nie z własnej winy. Psy oddawane z powodu „niegrzeczności” często przebywały w niewłaściwym domu; dzięki tresurze i odpowiedniej ilości ruchu staną się nie do poznania.

Zyskujesz wsparcie pracowników schroniska: Żadne schronisko nie chce po raz kolejny szukać domu dla swoich podopiecznych! Pracownicy nie tylko pomogą ci wybrać odpowiedniego psa, ale w razie potrzeby służą fachową radą i wsparciem - a ze swoim doświadczeniem udzielą odpowiedzi na każde pytanie.

Nie wszystkie psy ze schroniska to kundelki: Jeśli upatrzyłeś sobie szczególną rasę, łatwo zlokalizujesz psa, zaglądając na strony internetowe schronisk lub hodowców. Odpowiedzialny hodowca zawsze zgodzi się przyjąć psa z

powrotem, jeśli właściciele będą zmuszeni go oddać, i
dopilnuje, aby za drugim razem znalazł dobry dom!

Jeśli kupujesz szczeniaka

Zoe przekonała się na własnej skórze, że szczeniak bywa nietrafionym prezentem. Ale odpowiedzialne znalezienie małego przyjaciela wymaga tylko przestrzegania paru prostych zasad...

Nie wspieraj pseudohodowców: Nigdy nie kupuj szczeniaka w sklepie zoologicznym, od kogoś, kto umawia się z tobą w parku, hoduje więcej niż dwie (maksymalnie trzy) rasy, ani z ogłoszenia, które bez przerwy ukazuje się w jednej gazecie. Najprawdopodobniej pochodzi on od wycieńczonej matki i przyszedł na świat w strasznych warunkach. Chory, przestraszony piesek budzi litość, ale kupując go, pomagasz pseudohodowcy ciągnąć ten odrażający proceder. Zgłoś incydent organizacji do spraw opieki nad zwierzętami i na policji, i poszukaj szczeniaka z wiarygodnego źródła.

Skontaktuj się ze związkim kynologicznym: Warto najpierw przestudiować temat, a większość znawców wskaże ci plusy i minusy danej rasy. Często wiedzą też, na kiedy przypada kolejny miot - nie spodziewaj się go w okolicach Bożego Narodzenia, gdyż większość hodowców stara się tego unikać ze względu na porę prezentów - i skontaktują cię z miejscowym hodowcą.

Zawsze pytaj o matkę: Dobry hodowca chętnie pokazuje swoje psy, szczególnie matkę szceniąt. Powinna być przyjazna, zdrowa i spokojna. Pytaj też o reproduktora, ale nie zdziw się, jeśli pochodzi z innego źródła - odpowiedzialny hodowca unika ciągłych krzyżówek w obrębie tej samej rodziny i często pokonuje wiele mil, aby znaleźć dobrego reproduktora. Dba o to, aby zwierzęta były zdrowe, i nie oddaje szceniąt przed ukończeniem ósmego tygodnia życia.

Obserwuj rodzeństwo: Nie wybieraj najbardziej energicznego malucha i nie rozczulaj się nad najsłabszym - obserwuj je i zobacz, który najbardziej ci odpowiada. Oczy i

nosek szczenięcia powinny być czyste, podobnie jak uszy; zwierzę nie powinno mieć problemów z poruszaniem się ani biegunki. Zapytaj, czy zostało odrobaczone i czy ma za sobą pierwsze szczepienia.

Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami

www.toz.pl

Pro Animals

www.proanimals.org

Ogólnopolskie Towarzystwo Ochrony Zwierząt „Animals”

www.otoz.pl

Straż dla Zwierząt

www.strazdlazwierzat.com.pl

Adopcje

www.adopcie.org

Przygarnij Zwierzaka

www.przygarnijzwierzaka.pl

Zaginione/Znalezione Psy i inne Zwierzęta

www.zaginionepsy.waw.pl

Koci Dom

www.kocidom.waw.pl

Stowarzyszenie Przyjaciół Zwierząt „Amicus”

www.amicus.malopolska.pl

Dar Serca Fundacja dla Zwierząt

www.pomoczwierzakom.pl